



GRAHAM
MASTERTON

SZKARŁATNA WDOWA

O książce

XVIII-wieczne CSI – Crime Scene Investigation – w klimacie „Szkarłatnej litery”

Dickensowski Londyn, Ameryka z czasów polowania na czarownice i młoda alchemiczka, która zamierza pokonać szatana.

Beatrice Bannister dorasta w szczęśliwej londyńskiej rodzinie. Ojciec, ceniony aptekarz, przekazuje jej wiedzę na temat tworzenia lekarstw i trucizn. Ale spokój kończy się wraz ze śmiercią matki...

Osierocona Beatrice mieszka w ponurym domostwie ciotki, a potem wraz z mężem pastorem płynie do Ameryki. Przytłoczona obowiązkami, musi porzucić nauki ojca. Aż do chwili, kiedy w miasteczku zaczynają dziać się niepokojące rzeczy. Padają zwierzęta, giną ludzie, bez przyczyny wybuchają pożary. Mieszkańcy są przekonani, że to dzieło szatana. Tylko Beatrice widzi w nieszczęściach, jakie spadają na parafię jej męża, działania człowieka. W wyjaśnianiu kolejnych zagadek pomagają jej notatniki ojca. A każda następna zbrodnia coraz bardziej przypomina prowadzone przez niego eksperymenty.

Co wspólnego z nimi ma tajemniczy jegomość, który zjawia się w miasteczku w czarnej karocy i głosi, że wie, jak pokonać szatana jego własną bronią? I czy aby na pewno do kolejnych morderstw nie przyczyniły się siły nadprzyrodzone?

GRAHAM MASTERTON

SZKARŁATNA WDOWA

Z angielskiego przełożył
WIESŁAW MARCYSIAK



Wydanie elektroniczne

GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy.

www.grahammasterton.co.uk
www.grahammasterton.blox.pl

Tego autora

Sagi historyczne

WŁADCY PRZESTWORZY
IMPERIUM
DYNASTIA

Rook

ROOK
KŁY I PAZURY
STRACH
DEMON ZIMNA
SYRENA
CIEMNIA
ZŁODZIEJ DUSZ
OGRÓD ZŁA

Manitou

MANITOU
ZEMSTA MANITOU
DUCH ZAGŁADY
KREW MANITOU
ARMAGEDON

Wojownicy Nocy

ŚMIERTELNE SNY
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY
DZIEWIĄTY KOSZMAR

Katie Maguire

UPADŁE ANIOŁY
CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY

Inne tytuły

STUDNIE PIEKIEŁ
ANIOŁ JESSIKI
STRAŻNICY PIEKŁA
DEMONY NORMANDII
ŚWIĘTY TERROR
SZARY DIABEŁ
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ
ZJAWA
BEZSENNI
CZARNY ANIOŁ
STRACH MA WIELE TWARZY
SFINKS
WYZNAWCY PŁOMIENIA
WENDIGO
OKRUCHY STRACHU
CIAŁO I KREW
DRAPIEŻCY
WALHALLA
PIĄTA CZAROWNICA
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW
BŁYSKAWICA
DUCH OGNI
ZAKŁĘCI

ŚPIĄCZKA
SUSZA
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału:
SCARLET WIDOW

Copyright © Graham Masterton 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Wiesław Marcysiak 2015

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: © Roy Bishop/Arcangel

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-289-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Prolog

W wielkanocny poranek, po długim i bolesnym porodzie, Beatrice powiła dziewczynkę. Kiedy wreszcie usłyszała jej płacz, poczuła się tak, jakby pozbyła się ciężkiego kamienia i za sprawą cudu powróciła do życia.

– Jest piękna – powiedziała pani Rust, podsuwając jej noworodka. – Ma ciemne włoski jak ty. Ale oczy chyba ma po ojcu, nie sądzisz?

– Postaraj się uciąć pępowinę krótko – wtrąciła pani Kettle. – Nie chcemy, żeby wyrosła z niej ladacznica!

Beatrice podciągnęła się nieco, aby usiąść. Włosy miała mokre od potu, a w ustach jej zaschło. Poranne słońce oślepiło ją, więc tłum przyjaciółek i sąsiadek zgromadzonych w jej sypialni zdawał się jej teatrem cieni. Siedem z nich siedziało przy niej przez całą noc, karmiąc ją pożywным ciastem, pojąc piwem i pocieszając, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Teraz trajkotały, śmiały się i podawały sobie niemowlę z rąk do rąk.

Pani Rust usiadła na łóżku obok Beatrice i poprawiła poduszki.

– Na pewno będzie miała szczęśliwy żywot – powiedziała cicho. – Wiesz, co mówią? Że łyzy boleści zraszają ogród szczęścia.

– Zachowałam dla ciebie łóżysko – odezwała się pani Greene. – Zaniosem do kuchni, żeby Mary je wysuszyła.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem Beatrice.

– No, a teraz się połóż – powiedziała pani Rust. – Posprzątam tutaj i będziesz mogła się przespać.

– Ale daj mi ją jeszcze potrzymać – upomniała się Beatrice.
Podano noworodka pani Rust, a ta włożyła go w ramiona Bei.

Dziewczynka miała teraz zamknięte oczka, chociaż Beatrice dostrzegła, że pod powiekami szybko porusza gałkami, jakby już jej się coś śniło.

Czubkiem palca dotknęła koniuszka jej noska.

– Kim jesteś, moje maleństwo? – wyszeptała.

Rozdział 1

W Boże Narodzenie, kiedy wracała wczesnym rankiem z kościoła, na progu natrafili na klęczącą dziewczynkę przypominającą aniołka.

Jej głowę okalała kanciasta, lodowa aureola, a na plecach zebrała się cienka warstwa szronu, tworząc coś na kształt białych złożonych skrzydeł. Miała otwartemlecznobłękitne oczy i lekko rozchylone usta, jakby za chwilę miała zacząć śpiewać.

Ojciec Beatrice stał, przyglądając się dziewczynce przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Zamarznięta na kość – stwierdził. – Idź do domu, Beo. Cofnę się po zakrystiana.

Beatrice zawahała się, a śnieg padał bezgłośnie na jej czepek i pelerynę. Już wcześniej widziała na ulicach martwe dzieci, ale dziewczynka znaleziona w zaułku, którym na skróty zmierzali do domu, wprawiała ją w większy smutek. Było Boże Narodzenie, rozbrzmiewały kościelne dzwony, słyszała śmiech i śpiewy ludzi, którzy szli ulicą Giltspur z powrotem do swych domów, ognisk i rodzin.

Poza tym dziewczynka była taka piękna, chociaż bardzo blada i wychudzona, a Beatrice wyobrażała sobie, jakie to szczęśliwe życie mogło ją czekać.

– Idź, Beo – powtórzył ojciec. – Już nikt nic więcej nie może dla niej zrobić, poza modlitwą.

Rozdział 2

Tego popołudnia, podczas obiadu, ojciec powiedział:

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie możliwe, żeby zachować ukochane osoby po ich śmierci dokładnie takimi, jakimi były za życia?

– Clemencie, co ci chodzi po głowie? – obruszyła się jej matka, nakładając mu buraki na talerz.

– No, na przykład ta biedna dziewczynka, którą rano znaleźliśmy z Beą. Oczywiście, była tylko zamrożona, więc jej wnętrzości długo nie wytrzymają. Ale gdyby tak można było zamienić ludzi w kamień albo w drewno? Wtedy można by ich zachować na zawsze.

– Oj, Clemencie, co to za pomysł! Nie wyobrażam sobie, żeby drewniany posąg mojej matki siedział z nami przy stole! Chybabym oszalała!

Ojciec uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Tak... Tak, być może masz rację. Ale można by to zrobić z jakimś zwierzątkiem. Z psem albo kotem. Wtedy dzieciak mógłby się bawić nim w nieskończoność.

Beatrice odłożyła łyżkę.

– Co ci jest, Beo? – spytała ją matka. – Nie jesteś głodna?

– Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynce – powiedziała Beatrice. – Gdyby tylko ktoś dał jej coś do zjedzenia i pozwolił ogrzać się przy ogniu.

– Nie zamartwiaj się. Jest teraz w niebie i Pan Jezus się nią zaopiekuje.

Beatrice nic już nie odpowiedziała. Nie chciała przeciwstawiać się matce. Chociaż miała dopiero osiem i pół

roku i nigdy nie ośmieliła się myśleć inaczej niż rodzice, nie mogła przestać zastanawiać się nad tym, czy niebo istnieje naprawdę, czy to tylko zmyślona historyjka, żeby ludzie nie smucili się tak bardzo utratą najbliższych. A może, kiedy zamarzniesz na śmierć, jest ci już zawsze zimno?

Rozdział 3

– Chodź tu, Beo! – zawołał ojciec, stając w drzwiach kuchni, oświetlony od tyłu promieniami słonecznymi. – Pokażę ci coś wspaniałego!

– Och, proszę, Clemencie! – zaprotestowała mama. – Ma teraz jeść śniadanie!

– To nie potrwa długo – przekonywał ją. Oczy mu się rozświeciły i uśmiechnął się, jak zawsze, gdy udał mu się eksperyment.

– To samo mówiłeś, kiedy zrobiłeś ten tak zwany wulkan – sprzeciwiła się matka. – „To nie potrwa długo”, i biedna dziewczyna wróciła po dwóch godzinach, cuchnąc siarką, jakby poszła do piekła i z powrotem!

Zakaszłała, jakby samo wspomnienie podrażniło jej gardło.

– Teraz to będzie tylko pięć minut – obiecywał ojciec. – Przysięgam, na życie mojej drogiej matki.

– Clemencie, bardzo dobrze wiesz, że nie cierpiałeś swojej matki, a poza tym ona zmarła przed laty.

Jednak Beatrice sama zakończyła ten spór, odsuwając krzesło i przechodząc przez kuchnię, żeby wziąć tatę za rękę.

– Co to takiego, tatusiu? Zrobiłeś błyskawicę?

– Nie, nie. Jeszcze nie wychodzi mi z tą błyskawicą. Zrobię ją, na pewno, ale teraz to coś innego! Chodź i sama zobacz.

Beatrice spojrzała błagalnym wzrokiem na matkę, a ta po chwili machnęła ręką.

– W takim razie idź... – Westchnęła. – Ale tylko na pięć minut, bo owsianka ci wystygnie!

Beatrice wyszła z ojcem przez spiżarnię i trzymając się za ręce, przemierzyli otoczony wysokim murem ogród z ziołami. Na schludnych grządkach rósł piołun, fenkuły, lawenda, rozmaryn i marchewnik anyżowy. Był ciepły letni poranek, a rośliny pachniały tak mocno, że dziewczynka kichnęła.

– Na zdrowie! – zawołał tata. A potem, spoglądając na nią z góry, dodał o wiele ciszej: – Na zdrowie.

Weszli do pobielonej przybudówki znajdującej się na tyłach domu. To tutaj ojciec ucierał wszystkie zioła i korzenie dla klientów, przygotowywał lecznicze mikstury, i tutaj także pracował nad tym, co nazywał swoimi „tajemnicami”. Było tu chłodno i ciemno, ponieważ okna były małe i brudne. Na trzech ścianach wisiały półki zastawione fiolkami i butelkami aptecznymi pełnymi różowych, zielonych i żółtych substancji oraz porcelanowe słoje na przyprawy z napisami: imbir, galangal, szafran, pieprz, goździki, cynamon i gałka muszkatołowa. Poza tym mocno tu pachniało, ale nie tak aromatycznie jak w ziołowym ogrodzie; tu zapach był ostry i piżmowy. Czując go, Bea zawsze wyobrażała sobie dalekie kraje, gdzie mężczyźni noszą turbany, a kobiety mają zasłonięte twarze, i wszyscy latają na dywanach, jak w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*.

– Nie uwierzysz, jak zobaczysz, Beo – powiedział ojciec, prowadząc ją do warsztatu na końcu pokoju. Błat zastawiony był garnkami i patelniami, świecznikami i przeróżnymi szklanymi retortami. Na samym środku stał miedziany pojemnik w kształcie łódki, przypominający raczej garnek do ryb, do połowy wypełniony kleistym żółtym olejem.

Obok pojemnika ojciec Beatrice rozłożył brązową bawełnianą szmatkę, pod którą najwyraźniej coś było schowane, bo była na środku wybrzuszona.

– Pamiętasz Gwiazdkę, kiedy znaleźliśmy tę biedną zamarzną dziewczynkę w Zaułku Dzwonnika, a ja mówiłem o przemianie zwierząt w drewno, żeby prawdziwe zwierzątko mogło stać się zabawką?

Beatrice skinęła głową, szeroko otwierając oczy. Nie

odzywała się, ponieważ wszystko, co jej tata robił, zawsze ją dziwiło. Kiedyś powiększył kroplę wody i wyświetlił jej obraz na ścianie, żeby pokazać wszystkie maciupeńkie stworzonka, które roily się w środku. Innym razem zrobił tak, że z palców leciały mu iskry, jakby był czarownikiem. Potrafił sprawić, że płyny zmieniały się z zielonych w fioletowe i na powrót w zielone, a żelazne opiłki pełzły po kartce jak pajaki, gasił też zapalone świece, nawet ich nie dotykając. Spowodował nawet, że martwa żaba zeskoczyła ze stołu na podłogę.

Teraz chwycił za jeden róg szmatki.

– Zobaczysz teraz cud nauki, o którym człowiek marzył od stuleci! Nawet najwięksi alchemicy ze starożytnego Egiptu nie potrafili tego dokonać!

Beatrice nie mogła powstrzymać śmiechu. Tata zwykle był bardzo poważny i nie okazywał emocji, a kiedy rozmawiał z klientami, twarz zawsze miał ponurą. Był przystojny, o nieco lisich rysach, a przedwcześnie posiwiałe włosy zaczesywał do tyłu. Zazwyczaj ubierał się elegancko, ale tego ranka miał na sobie samą koszulę, nawet bez przypiętego kołnierzyka.

– Daję ci... Drewnianego szczura! – wykrzyknął i zerwał szmatkę.

Na stole stał wielki pręgowany szczur i oczami czarnymi jak paciorki wpatrywał się w Beatrice. Dziewczynka wrzasnęła i odskoczyła, podnosząc fartuszek do twarzy. Przeraziła się szczurów. Zaledwie przed dwoma tygodniami, kiedy poszła w odwiedziny do swojej koleżanki Lucy, która mieszkała przy Cock Lane, usłyszały, że jej mały brat Rufus płacze. Pobiegly do pokoju dziecinnego i zobaczyły, że wielki szary szczur wspiał się do łóżeczka i gryzł go w twarz.

– Nie bój się! Ten nie robi ci krzywdy! – To powiedziawszy, ojciec podniósł szczura i uderzył nim o kant stołu. Rozległo się stuknięcie, jakby gryzoń był wyrzeźbiony z kawałka mahoni.

Beatrice nadal trzymała się z daleka.

– Wygląda jak prawdziwy – wyszeptala. – Ma futro i wasy, i prawdziwe zęby!

– Jest całkiem prawdziwy, moja kochana! Sam go złapałem

w beczce na deszczówkę w ogrodzie!

– To co z nim zrobiłeś? Jak go zamieniłeś w drewno?

– Aha! Najpierw go uśpiłem, wkładając do szklanego flakonu i odsysając całe powietrze, żeby nie mógł więcej oddychać. Potem, kiedy już nie żył, delikatnie podgrzewałem jego ciało przez dwa dni w lnianym oleju. Następnie wyjąłem go z oleju, umyłem i osuszyłem, i zostawiłem do ostygnięcia. I oto jest! Całkiem nieszkodliwy, zabawka, a nie szkodnik!

– To okropne – stwierdziła Beatrice. – Nie chciałbym się nim bawić!

– Świetnie cię rozumiem, przecież to szczur. Wybrałem go do mojego pierwszego eksperymentu, bo jest obrzydliwy. Ale można też zamienić kotki, szczeniaki albo króliczki w drewniane zabawki, i będą milusie.

– Nie, nie będą! Jak możesz tak mówić? Kotki, szczeniaczki i króliczki? To by było okrutne!

Ojciec wyglądał na zaskoczonego.

– Robiłbym tak tylko z niechcianymi i bezdomnymi zwierzątkami, Beo. Inaczej, co by się z nimi stało? Albo zginęłyby z głodu, albo zawiązano by je w worku i wrzucono do rzeki. U nas przynajmniej odeszłyby bezboleśnie, a potem jeszcze całymi latami dawałyby przyjemność i radość dzieciom, które by je dostały. Proszę – powiedział ojciec, podsuwając jej szczura. – Dotknij go, pogłaszcz. Nie ugryzie cię.

Beatrice niechętnie szturchnęła szczura czubkiem palca. Był zupełnie twardy, a jego sierść była ostra i szorstka, jak ryżowa szczotka.

– To okropne – upierała się.

– Hm, tak, może i tak. To w końcu szczur. Ale wygląda dokładnie tak jak za życia... Dokładnie... I to kolejne wykorzystanie tej metody. Taksydermia.

Dziewczynka pokręciła głową, żeby pokazać ojcu, że nie wie, co to takiego jest taksydermia. W końcu miała tylko dwanaście lat.

– Taksydermia to wypychanie martwych zwierząt i pokazywanie ich. Wiesz, jak głowy jeleni, papugi, ryby

w szklanych gablotach.

– Ach, tak – odpowiedziała Beatrice. – Przed Shepard’s Coffee House stoi wypchany chart angielski. Zawsze się go bałam. Myślałam, że może nagle ożyć i mnie pogonić.

Ojciec uśmiechnął się.

– Tak... Ale przyznasz, że ten chart wygląda dziwacznie, co? Cały pokrzywiony, z haczykowatym ogonem i głupawym uśmiechem. To dlatego, że do uzyskania naturalnego kształtu i cech martwego zwierzęcia potrzeba ogromnych umiejętności i wiedzy anatomicznej, a niewielu taksydermistów je posiada. Za to dzięki tej metodzie – uniósł stwardniałego szczura – dowolne stworzenie będzie wyglądało dokładnie tak, jakby żyło i oddychało.

Przerwał, a potem dodał:

– Może kiedyś ktoś zrobi coś podobnego z ludźmi. Wiesz, gdy straci się kogoś ukochanego...

– Tato! – oburzyła się Beatrice.

– Nie, oczywiście, że nie – rzekł ojciec. – Tylko taka myśl mi przyszła do głowy. – Odwracał szczura na różne strony, a potem odłożył go na stół. – Naprawdę ci się nie podoba? Myślałem, że go polubisz.

Beatrice zdecydowanie pokręciła głową.

– Cóż, jesteś bardziej podobna do matki niż do mnie – zdecydował ojciec. Objął ją ramieniem i pocałował w głowę. – Twoja mama nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Wyszli na dwór, do ogrodu z ziołami, a ojciec zamknął domek na klucz. Kiedy byli już przed kuchennymi drzwiami, znowu usłyszeli kaszel mamy, tym razem bardziej uporczywy. Weszli do środka i zastali ją przy zlewie, o który się opierała i wycierała usta chusteczką.

– Nancy, ten kaszel wygląda na gorszy – powiedział Clement.

Matka szybko splukała plwocinę.

– Nic mi nie jest. To jest to letnie przeziębienie. Wiesz, jakie mam słabe płuca. Beo, możesz już siąść do śniadania? Co tata chciał ci pokazać?

– Szczura zamienionego w drewno. Był wstrętny.

– Prawdziwego szczura?

Beatrice usiadła przy stole, a mama przyniosła jej miskę owsianki.

– Bea nie zainteresowała się nim specjalnie – dodał ojciec. – Ale znajdę sposób, żeby ludzie konserwowali żywe stworzenia dokładnie takimi, jakimi są za życia, na zawsze.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytała Nancy. – Nie wiedziałam, że coś takiego może przetrwać na zawsze.

Clement stał w drzwiach, nic nie mówiąc, tylko patrząc na żonę zatroskanym wzrokiem. Beatrice zerknęła na niego znad miski z owsianką, nie rozumiejąc skąd ten niepokój w jego oczach.

– Muszę się do końca ubrać, moja droga – powiedział po chwili. – I otworzyć sklep. Zanim się obejrzę, klienci będą walić do drzwi.

– Zrobię ci herbaty – odparła Nancy i zakaszła, raz, a potem jeszcze raz.



Wcześnie rano Beatrice zbudził kaszel mamy. Przez ścianę słyszała, jak ojciec z nią rozmawia i jak skrzypi łóżko; a potem zapaliło się światło na korytarzu, bo schodził na dół, żeby przynieść jej wody.

Beatrice wstała i cichutko przeszła pod sypialnię rodziców. Mama siedziała na łóżku wsparta na poduszkach. Była śmiertelnie blada i przyciskała chusteczkę do ust. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale wtedy znowu zaczęła kaszeć. Beatrice obeszła łóżko i cierpliwie czekała, aż kaszel ustanie.

– Nie podchodź do mnie zbyt blisko, Beo – powiedziała mama, ocierając usta. – Nie chcę, żebyś zaraziła się, cokolwiek mi dolega.

Chociaż mama zmięła chusteczkę w dłoni, dziewczynka zdażyła zauważyć, że jest poplamiona na różowo.

– Mamo, powinnam sprowadzić lekarza.

– Nie ma takiej potrzeby. Twój tata przygotowuje dla mnie miksturę, która złagodzi kaszel.

Znowu zakasłała, i tym razem chusteczka zrobiła się czerwona od krwi.

– Tato! – zawołała przerażona Beatrice. – Tato!

Usłyszała, jak ojciec wbiega po schodach. Wpadł do sypialni w długiej, białej koszuli nocnej i delikatnie odsunął córkę na bok, żeby usiąść na łóżku obok żony. Nancy znowu zaczęła kaszleć, obryzgując koszulę plamkami krwi.

– Beo, proszę, przynieś mi ścierkę – polecił ojciec. – Jakąkolwiek. Znajdziesz jakieś w dolnej szufladzie.

Odsunęła szufladę i wyjęła małą, płócienną ściereczkę; tata rozłożył ją jednym potrząśnięciem i podał mamie. Nancy znowu kasłała, zasłaniając ścierką usta, ale więcej krwi już nie poleciało, tylko zaróżowiona plwocina. Ojciec przytrzymał ją za ramiona, gdy na siedząco walczyła o oddech, a jej pierś unosiła się i opadała z ostrym rżeniem.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał po chwili, a ona skinęła głową, chociaż oczami omiatała pokój, jakby nie rozumiała, co tu robi.

Odwrócił się do Beatrice i powiedział:

– Na stole w kuchni stoi kubek wody i zielona butelka. Możesz je tu przynieść? I łyżkę.

Kiedy wróciła, niosąc to, o co prosił, ojciec pomógł mamie napić się wody. Potem podał jej dwie łyżki szmaragdowego lekarstwa, które sam przygotował.

– Proszę, moja kochana. Czyściec i miodunka z odrobiną miodu. Powinny zmniejszyć wydzielinę z płuc. A teraz spróbuj się przespać. Rano powinnaś poczuć się lepiej.

Pomógł jej się położyć i przewrócić na bok. Bładożółty koc naciągnął jej pod szyję. W sypialni było ciepło i duszno, ale ona drżała i pocila się, szcękając zębami.

Ojciec zabrał Beatrice do jej pokoju.

– Mamie jest dużo gorzej – powiedziała dziewczynka zmartwiona, spoglądając przez korytarz na matkę w łóżku. –

Dzisiaj rano powiedziała, że to tylko przeziębienie. Dlaczego pluje krwią?

– Zdaje się, że ma suchoty – odpowiedział ojciec. – Módlmy się, żeby to nie było to, ale zobaczymy, jak się poczuje za kilka godzin. Lekarstwo, które jej dałem, powinno pomóc.

– Będziemy musieli zabrać ją do szpitala?

– Do Świętego Tomasza? – spytał ojciec. – Nie. Mogę ją leczyć w domu, tak samo jak wszyscy lekarze w tym szambie. Ale zanim położysz się spać, Beo, poproś Pana Boga, aby miał ją w opiece i żeby wyzdrowiała, dobrze?

Beatrice pokiwała głową i przytuliła się do taty. Jego broda połaskotała ją w policzek i przypomniał jej się szczur z najeżoną sierścią; pomyślała wtedy o tym, co mówił ojciec o konserwowaniu ludzi. Widziała, jak mama wpatruje się w świeczkę przy łóżku – jej piękna matka z ciemnymi lokami leżącymi na poduszce. Odsunęła od siebie myśl o tym, że mogłaby ją stracić i o tym, co się stanie, jeżeli umrze.

Usłyszeli znowu kaszel mamy, więc tata, pocałowawszy córkę w czoło, wrócił do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Długo nie mogła zasnąć i leżała z otwartymi oczami. Trudno jej było się modlić, gdy mama nieustannie kaszłała, a co dopiero zasnąć. Kiedy w końcu zapadła w sen, śniło jej się, że weszła do salonu, gdzie zastała mamę siedzącą przy oknie z tamborkiem do haftowania. Gdy zaczęła do niej podchodzić, zauważyła, że igła jest wbita, ale dłonie mamy się nie poruszają.

– Mamo! – usłyszała własny, przytłumiony głos. – Mamo!

Lecz mama nie odpowiadała, ani nawet nie podniosła oczu. Zanim Beatrice znalazła się na środku salonu, uświadomiła sobie, że mama nie żyje, a tata zamienił ją w drewno.



Pewnego ranka trzy tygodnie później Beatrice obudziła się, a w domu panowała cisza.

Przez wiele dni i nocy jej mama kaszlała prawie nieustannie, ale teraz najwyraźniej przestała. Na zewnątrz było ciepło i wietrznie. Widziała, jak papiery przelatują przed jej oknem i przez całą ulicę Giltspur, docierały do niej przytłumione pokrzykiwania handlarzy zmieszane z hurgotem kół wózków podskakujących na kocich łbach. W domu jednak było duszno i cicho.

Wstała i przeszła do pokoju rodziców. Zobaczyła ojca klęczącego koło łóżka, miał pochyloną głowę i trzymał dłoń matki, która leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Nie oddychała.

– Tato? – wyszeptała Beatrice.

Odwrócił się do niej. Nigdy nie widziała u nikogo tak zbolalej twarzy.

– Beo, mama jest teraz u Boga – powiedział. – Od teraz jesteśmy tylko ty i ja, i nikt się nami nie zajmie, tylko my sami.

Rozdział 4

Dzień pogrzebu Nancy Bannister był ciepły, ale ponury, z powodu nisko wiszących szarych chmur. Przed nabożeństwem ciało wystawiono w salonie, przykryte białym, wełnianym całunem, z głową wspartą na białej wełnianej poduszce, jak wymagała tego ustawa o pochówku w wełnie.

Beatrice podeszła do trumny, trzymając ojca za rękę. Tata bez słowa uniósł chustę, która przykrywała twarz mamy. Beatrice zasłoniła dłonią usta. Nie mogła uwierzyć, że ta postać to jej matka. Twarz miała koloru kości słoniowej, a oczy wyglądały jak dwa głębokie i czarne kałamarze.

– Nie denerwuj się, Beo – uspokajał ją ojciec. – Teraz mama jest w niebie, śmieje się i weseli. To tylko ciało, które przynosiło jej cierpienie.

Trumnę zabrano z salonu i wyniesiono na ulicę, gdzie czekał karawan, do którego zaprzęgnięto dwa kare konie, by zabrać ją w krótką drogę do kościoła pod wezwaniem Świętego Jakuba przy Clerkenwell Close. Wyruszył milczący kondukt prowadzony przez młodego, łysiejącego pastora i karawaniarza z pióropuszem strusich piór kiwającym się na głowie. Czuć było nadciągający deszcz.

W kościele łysiejący pastor wysokim, śpiewnym głosem wymienił cnoty Nancy jako żony i matki, a następnie polecił jej duszę Bogu. Echo zwielokrotniło jego głos, więc odnosiło się wrażenie, jakby przemawiało trzech pastorów jednocześnie. Dzwon wybił sześć razy, co było zwyczajową liczbą dla kobiet.

Potem trumnę z ciałem Nancy przeniesiono do krypty, by dołączyła do ponad dwustu innych parafian Świętego Jakuba śpiących wspólnie w ciemnościach.

Dopiero gdy żałobnicy wrócili do domu, lunął deszcz i spływał po szybach jak łzy. Siostry Nancy, Jane i Felicity, podały herbatę i ciasto cynamonowe, a Clement poczęstował wszystkich porto. Dłoń mu drżała, a twarz tak mu zszarzała z żalu, że sam wyglądał na chorego.

– Teraz ty zostaniesz panią domu, Beatrice – powiedziała ciotka Felicity. – Zdaje się, że koniec z nauką u pani Tutchin.

– Absolutnie! – zaprzeczył Clement. – Bea nadal będzie pobierała lekcje, tak jak do tej pory.

– Ależ, Clemencie! Jakże zamierzasz dać radę? Nie obraż się, ale nie wyglądasz zbyt zdrowo! Nie chcę tu wracać na Boże Narodzenie na kolejny pogrzeb!

Clement pokręcił głową.

– Każdej młodej dziewczynie potrzebny jest francuski, matematyka i logika, jak również gotowanie i robótki ręczne. Ale Bea będzie mi też pomagać w pracy. Zawsze wykazywała wielkie zainteresowanie mieszaniem leków, już odkąd była na tyle duża, by utrzymać łyżkę. Woląca to od pieczenia ciasteczek. Pewnego dnia, zważcie moje słowa, będzie w Londynie pierwszą i najbardziej uznaną kobietą aptekarzem.

– Kobieta aptekarzem? Nie wyobrażam sobie, aby to było do przyjęcia! Zwłaszcza że Bea jest taka młoda i ładna! Ilu dżentelmenów będzie czuło się swobodnie w towarzystwie aptekarki... Szczególnie jeśli będzie im doskwierać coś wstydlivego?

– Wątpię, czy będzie ich mniej niż tych, którzy codziennie proszą mnie o emulsję kalomelową. Widzicie, jakoś nigdy to nie jest dla nich. Zawsze „dla przyjaciela”.

– Emulsja kalomelowa? – odezwała się Beatrice. – To na chorobę francuską, tak, tato?

– Och! Jestem zaszokowana! – wykrzyknęła ciotka Felicity, wyrzucając w górę ręce obleczone w czarne rękawiczki. – To

dziewczę nie ma więcej niż dwanaście lat. Co ona wie o tej przypadłości?

– Tak naprawdę to za trzy tygodnie skończę trzynaście lat – odpowiedziała spokojnie Beatrice. – A tata nigdy nie robił tajemnic z chorób ani z informacji, gdzie ich się ludzie nabawiali.

Clement objął córkę ramieniem i czule przytulił. Kiedy jednak spojrzął na nią i uśmiechnął się, zobaczyła w jego oczach więcej bólu niż nadziei, i wiedziała, jak bardzo cierpi.



Kiedy lato ustąpiło jesieni, a potem zimie, Beatrice starała się nie opuszczać lekcji w szkole pani Tutchin i uczestniczyć w nich codziennie. Pani Tutchin młoda blondynka, chuda niemalże jak szkielet, była żoną bankiera. Nie miała własnych dzieci, więc cały czas poświęcała dziewięciu dziewczętom, ucząc je manier i obycia, potocznego francuskiego oraz arytmetyki. Pokazywała również, jak przyszywać guziki i haftować, a także jak upiec tradycyjny chleb na smalcu z rodzynekami.

Beatrice uwielbiała tę szkołę, ponieważ pani Tutchin była tak łagodna, miała miły głos i pachniała wodą różaną. Była cierpliwa wobec wszystkich dziewcząt, ale szczególne względy okazywała Beatrice, ponieważ wiedziała, jak bardzo brakuje jej matki. Czasami, kiedy Bea pochylała się nad robótką, stawiała za nią i delikatnie kładła kościste dłonie na jej ramieniu, jakby zapewniała ją, że matka wciąż jej pilnuje.

Jednak z tygodnia na tydzień coraz trudniej było Beatrice znaleźć czas na lekcje, chociaż dom pani Tutchin stał przy Snow Hill, zaledwie o trzy przecznice od Giltspur. Teraz, kiedy zrobiło się chłodniej i wcześniej zapadał zmrok, jej ojciec był coraz bardziej przygnębiony i roztargniony. Zaczął też pić – początkowo tylko po południu, do obiadu, ale potem wypijał kieliszek jałowcówki przed otwarciem sklepu i kolejne w ciągu dnia, z brązowej butelki, którą trzymał schowaną pod ladą.

Prawie co wieczór zasypiał w fotelu przed dogasającym powoli ogniem i co noc słyszała, jak gramolił się po schodach, kiedy ogień zamienił się w popiół, a on budził się, dygocząc z zimna.

Prawie każdego ranka musiała go budzić, ponieważ kiedy przychodziła pora otwarcia sklepu, jeszcze chrapał mocno, zawinięty w koce, ubraniu z wczorajszego dnia, cuchnący przetrawionym alkoholem.

Z trudem otwierał zalepione oczy i wpatrywał się w nią, jakby nie wiedział, kim jest. Potem siadał i chrypiał:

– Przepraszam... Przepraszam, Beo. To już się więcej nie powtórzy, przysięgam na Boga.

Czasami umyty i przebrany schodził na dół, aby zjeść z nią śniadanie. Był wtedy prawie taki sam jak dawniej... Zwłaszcza jeżeli podawała kleik owsiany z masłem i winem. Jednak w takie dni było zbyt późno, aby iść do pani Tutchin, a i ojciec namawiał ją, aby została w domu i pomogła mu przygotować lekarstwa, bo miał stos recept do zrealizowania i całą rzeszę pacjentów, którzy zaczęli już tracić cierpliwość.

– Bóg mnie pobłogosławił taką zdolną córką – powtarzał niemal codziennie, całując ją w głowę. – Gdyby tylko twoja mama mogła cię dzisiaj zobaczyć!

Beatrice zakładała sztywny płócienny czepek, długi fartuch z tego samego materiału, a na to jeszcze gruby wełniany płaszcz, ponieważ przybudówkę ogrzewał jedynie mały piecyk na drewno. Potem cały poranek spędzała samotnie, robiąc pigułki, proszki, emulsje i przeróżne syropy według receptur z notesów ojca z pozaginanymi rogami.

Niektóre mikstury wymagały wielu godzin pracy. Jednym z najpopularniejszych lekarstw Clementa Bannistera było mithridatium, antidotum na przeróżne zatrucia, ukąszenia zwierząt, leczące nawet dżumę. Zawierało ponad pięćdziesiąt składników, które Beatrice musiała dokładnie odmierzyć – w tym opium, kardamon, olibanum, szafran, imbir, anyż, pietruszkę i sok akacjowy. Wszystkie te ingrediencje trzeba było dokładnie utrzeć z miodem. Równie popularny, choć o wiele droższy, był teriak, zwany też driakwią, na który składało się

sześćdziesiąt składników – korzenie, zioła, różne rodzaje pieprzu, a nawet bitumin i organy zwierząt.

Poza tymi dwoma medykamentami Beatrice musiała przyrządzać płyn do płukania jamy ustnej z suszonych płatków nagietków i przymiotna, stosowany jako lek na chroniczny ból zębów. Na krwotoki z nosa mieszała żywokost i babkę, czasami dodając krwawnik.

Za każdym razem, gdy poczuła duszącą woń liści krwawnika, przychodziła jej na myśl piosenka, którą śpiewała mama, gdy kładła ją spać. Mówiła, że jeśli zawinie liście krwawnika w chusteczkę, to kiedy obudzi się rano, będzie wiedzieć, za kogo wyjdzie za mąż.

*Żeniszku śliczny tysiąclistny,
Krwawnikiem wszystkim znany.
Kto będzie moim mężem,
Zdradź no mi czym prędzej!*

Nieomal słyszała czysty, wysoki głos matki i z wielkim trudem akceptowała fakt, że matka leży teraz w krypcie kościoła Świętego Jakuba martwa, zimna, sama pośród ciemności.

Jedną z najlepiej sprzedających się mikstur ojca była patentowana odżywka do włosów Bannistera, ale Bea nie lubiła jej przygotowywać, ponieważ miała zapach starego łoju. Trzeba było zagotować liście ostrzenia z odrobiną oleju i soli, a potem uformować z nich kompres, używając słoniny, którą musiała kupić na znajdującym się niedaleko Smithfield Market. Łysiejący klient miał nałożyć sobie ten kompres na głowę na noc, przykryć gorącym ręcznikiem i zmyć rano.

Nie lubiła także przygotowywać kalomelowej emulsji, ponieważ zawarta w niej rtęć brudziła jej palce. Emulsja podobno leczyła chorobę francuską, zwaną też kiłą, ale Bea widziała, jak wyglądały osoby, które długo jej używały. Działy im gnęły i przypominały surowe mięso, wypadały wszystkie

zęby, psuły się też szczęki, więc ci ludzie z trudem otwierali usta, żeby coś powiedzieć.

Mimo to nadal przychodzili do apteki i niewyraźnie błagali ojca o więcej, bo wydawało im się, że użyli jej zbyt mało.



W ostatni poniedziałek kończącego się roku Beatrice formowała właśnie długi walec, z którego miała później wykroić tabletki, kiedy Clement otworzył drzwi do domku z takim hukiem, że aż podskoczyła. Wszedł niepewnie do środka, wpuszczając podmuch lodowatego powietrza. Za jego plecami gęsty śnieg padał szybko i bezgłośnie, przykrywając białą pierzynką ogródek z ziołami. Płatki śniegu topniały szybko na brodzie i włosach Clementa.

– Beo, kochana! – wykrzyknął. – Dlaczego nie jesteś u pani Tuu-czi-in?

– Tato... Drzwi! Zimno leci!

– Co? Ach, tak, przepraszam! Nie mogę przecież córki przeziębic na śmierć! Mojej kochanej córeczki danej od Boga!

Podszedł do stołu i stanął obok niej, lekko się kołysząc.

– Tato, znowu piłeś. Mam nadzieję, że zamknąłeś sklep.

– Co? Sklep? Tak, tak, zamknąłem! Zamknąłem na klucz! Zamknąłem szczelnie jak beczkę!

– Może lepiej pójdziemy do domu. Chciałam ci zrobić baraninę na obiad, z gotowanymi ziemniakami i marchewką. Ale możesz zjeść chleb z serem, jak wolisz...

Beatrice podniosła się, ale Clement położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie przytrzymał.

– Co robisz? – spytał i zmarszczył brwi, przyglądając się waleczkowi suchej, białej pasty, który toczyła na niebieskim kafelku z Delft, gotowa była właśnie go pociąć.

– Tabletki na wzdęcia, o które prosiłeś. Mówiłeś, że to pilne, bo skończył ci się zapas.

Clement pochylił się i powąchał substancję.

– Ach, tak. Mięta, fenkuł i anyż, gwarantowany sposób na najbardziej wybuchowy żołądek. Dobra dziewczyna. Cudowne dziecko. Ale możesz teraz to przerwać.

– Myślałam, że ci się spieszy?

Przekrzywił głowę z boku na bok, jakby zeszywniał mu kark.

– Nie jesteś u pani Czu-czin.

– Nie, tato. Nie pamiętasz? Chciałaś, abym została i zrobiła te tabletki na wzdęcia i syrop na płuca.

– Tak? Hm, nawet jeśli chciałem, to nie musisz. Już więcej nie. Możesz teraz przestać. Możesz odłożyć tłuczek i zrobimy coś o wiele zabawniejszego. Coś, co nas rozśmieszy i przestaniemy się smucić.

Zamilkł i rozbieranym wzrokiem długo spoglądał na stół. Potem odwrócił się do Beatrice i powiedział:

– Tak bardzo jestem zmęczony płaczem, Beo. Nie chcę już więcej płakać. Byłem w sklepie i weszła ta kobieta. Wiesz która? Zawsze ubiera się na zielono. Weszła do sklepu i poprosiła o coś na melancholię. Chciałem jej zaproponować mój wyciąg z ogórecznika, kiedy mnie zatkało, jakbym miał kolce w gardle, i łzy zaczęły mi płynąć po policzkach. Była skonsternowana, a ja nie mogłem się powstrzymać. Płakałem na jej oczach. Pomyślałem: ta kobieta pyta mnie, jak wyleczyć melancholię? Mnie? Kiedy mnie samego wykańcza tęsknota za twoją matką. Wykańcza, to dziwne słowo, prawda, wykańcza? Wykańcza, wykańcza, wykańcza! Ale tak właśnie jest.

– Tato... – próbowała wtrącić Beatrice, ale ojciec mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

– Ta kobieta powiedziała, że jej mąż niedawno zmarł, a ona cierpi na głęboką depresję. I wiesz, co jej powiedziałem? Powiedziałem jej prawdę. Powiedziałem, że nie ma na to lekarstwa. Powiedziałem, że może wypić dziennie nawet trzy butelki mojej mikstury z ogórecznika, aż twarz zrobi jej się zielona jak ten płaszcz i czepek. Ale nie ma lekarstwa. Nie na śmierć, Beo. Nie na śmierć.

Beatrice ujęła jego dłonie.

– Tato, powinieneś iść do domu i coś zjeść. Masz takie zimne ręce! Jeśli chcesz, zrobię ci gorącą czekoladę.

– Czekoladę? – powtórzył. – A co da czekolada? – Przyjrzał się bacznie Beatrice i dodał: – Dlaczego nie jesteś u pani Czuczyn?

– Potrzebowałeś mnie tutaj, tato. Teraz wróć do domu.

– Zabawmy się! – wykrzyknął głośno, jak konferansjer zwracający się do publiczności zgromadzonej w teatrze. – Dzisiaj zrobmy błyskawicę! I dym, który zmienia kolor! Dym! I ogień! Dzisiaj podrzujemy papier na tysiące kawałków i sprawmy, że wzlecają jak płatki śniegu podczas burzy! Roztopmy cynę. Zrobmy eksplozję tak głośną, że ogłuchniemy na cały tydzień! Ale będziemy się śmiać! I tańczyć! I będziemy tak weseli jak nigdy dotąd!

Nadal trzymając Beatrice za ręce, podskoczył ciężko i powoli, kiwając głową i podśpiewując niemelodyjnie.

– Tato, musisz coś zjeść – powtórzyła Beatrice, uwalniając ręce. – Chodź do domu.

– Ach – powiedział Clement – przypomniałem sobie, dlaczego tu przyszedłem! Skończył mi się gin. Musisz iść do Fortune i kupić mi butelkę!

– Tato, naprawdę nie możesz więcej pić! Wypiłeś już dzisiaj dosyć.

Clement znowu otworzył drzwi i wyszedł na mróz. Cisza była wszechogarniająca. Śnieg nie tylko wygłuszał odgłos kół wozów, ale też przegnał ulicznych handlarzy z ich trąbkami i grzechotkami; zatrzymał w domach nie tylko ludzi, ale i zwierzęta. Londyn był jak ze snu.

– Beo – odezwał się ponownie ojciec. – Nie obędę się bez niego. W sklepie jest śmiertelnie zimno, a ja mam całą przepełnioną koszulę i ręce mi się trzęsą tak mocno, że zupełnie nie mogę odmierzać proszków. Proszę, kochana. Wiem, że nie powinienem, i obiecuję, że jutro zacznę nowe życie i nie wypiję ani kropli.

Beatrice zgasła ozdobną mosiężną lampę, której używała do podgrzewania opium.

– Mówisz to codziennie, tato, ale nie dotrzymujesz słowa.

– Wiem, moja najukochańsza. Wiem, że obiecuję. Ale jutro już nie wypiję, i już nigdy więcej. Dzisiaj jednak, proszę, idź do Fortune i przynieś mi jeszcze butelkę. Masz... – Pogrzebał w kieszeni i wydobył sześciopensówkę. – Właściwie możesz mi przynieść dwie butelki, żebyś nie musiała chodzić później.

– Tato... – zaoponowała, ale on nadal stał w otwartych drzwiach i wpatrywał się w padający śnieg.

– Nie chcę cię więcej prosić, Beo. Nie zmuszaj mnie, abym błagał. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz, boję się, że umrę.

Beatrice wyszła na zewnątrz i zamknęła drzwi przybudówki. Ojciec wyciągnął klucz, ale ręce mu się trzęsły tak bardzo, że nie był w stanie wsadzić go do zamka. Beatrice zabrała mu go, przekreśliła i oddała.

– Nie mów mi, że zesłał mnie Bóg – upomniała go, gdy już chciał otworzyć usta. – Jeżeli pójdę kpić więcej ginu, to raczej zostałam przysłana przez diabła.

– Beo, jesteś moim aniołem. Wiesz o tym, prawda? Moim aniołem i moim zbawcą. I jesteś taka podobna do swojej matki. Mogłabyś być nią, zmartwychwstała, powstała z grobu.

Beatrice miała ochotę upomnieć go, żeby tak nie mówił, ponieważ smuciło ją ciągle przypominanie o śmierci mamy i przerażała myśl o jej zmartwychwstaniu. Miewała koszmary, w których matka zjawiała się nagle w drzwiach jej sypialni, i wyglądała tak samo jak wtedy, gdy leżała w trumnie w salonie, z ciemnymi, pustymi oczyma i dłońmi pomarszczonymi jak zamszowe rękawiczki, które pozostawiono na deszczu.

Pomogła ojcu wejść do domu. Wtoczył się do salonu i padł ciężko na fotel blisko kominka, dygocząc. Węgłe na palenisku nadal się żarzyły, więc Beatrice poruszyła je pogrzebaczem i dosypała jeszcze trochę z kosza.

Uklękła i dmuchała w ogień, aż między węgielkami pojawiły się małe języki ognia.

– Co? – Ojciec otworzył oczy i zapytał: – Nie byłaś jeszcze w Fortune? Zostaw ten ogień.

Beatrice nie zwracała na niego uwagi. Ojciec wpatrywał się

w nią z narastającą desperacją, kurczowo wbijając palce w fotel, jakby się bał, że z niego wypadnie, ale Bea czekała i nie spuszczała oczu z kominka, aż ogień mocno się rozpałił i zaczął przyjemnie trzaskać. Wtedy, bez słowa, wyszła do holu, zdjęła gruby brązowy płaszcz i założyła czepek.

– Beo! – zawołał ojciec, gdy otwierała frontowe drzwi.

Nie odwróciła się, ale powiedziała wyraźnie:

– Zaraz wrócę, tato, obiecuję. – I wyszła na ulicę.

Rozdział 5

Śnieg padał gęsto i ulice były puste. Kilka powozów powoli przesuwało się w mroku niczym zjawy, a końskie kopyta ślizgały się po oblodzonym bruku. Beatrice nie pamiętała, żeby kiedykolwiek było aż tak zimno.

Przynajmniej śnieg przykrył sterty śmieci na chodnikach, a ulica wyglądała przyzwoicie czysto, chociaż zarys ciała martwego psa nadal był rozpoznawalny i bladobrazowa nitka ścieków wciąż płynęła rynsztokiem.

Naciągnęła na głowę kaptur i skierowała się w stronę Pye Corner, mrużąc oczy przed płatkami śniegu, które oblepiały jej rzęsy. Pub Fortune of War był oddalony zaledwie o sześć domów, za sklepami bławatnym i spożywczym oraz za małym sklepikiem, gdzie do paździenika sprzedawano książki i materiały piśmienne, ale właściciel zmarł na, jak to określił lekarz, „zęby”.

Dwoje małych dzieci, chłopiec i dziewczynka, kulilo się pod brudną końską derką przy drzwiach zamkniętej księgarni. Chłopiec spał, ale dziewczynka patrzyła bez słowa pustymi oczami na przechodzącą obok Beatrice. Nawet mama Bei, mimo całej swej dobroci, powiedziała kiedyś, że jest niemożliwe, aby nakarmiły i dały schronienie wszystkim nieszczęśliwym dzieciom, które spotykają na ulicy, ale Beatrice zdecydowała, że gdy tylko zanieśie ojcu gin, wróci i da tym dzieciom po kubku gorącej zupy z pasternaku, którą wcześniej ugotowała.

Fortune of War znajdował się przy Pye Corner. W połowie wysokości ceglanego, pokrytego sadzą frontonu osadzono małą, pozłacaną figurkę chłopca, Golden Boy of Pye Corner, który

zaznaczał miejsce, do którego sięgnął wielki pożar Londynu niemal siedemdziesiąt pięć lat temu. Tego ranka na czubku głowy chłopca śnieg utworzył małą piramidę.

Beatrice pchnęła drzwi i weszła do środka. Nie lubiła tu przychodzić, ponieważ było ciemno, gęsto od dymu z fajek i tłoczyli się pijani mężczyźni, którzy zaczepiali ją i patrzyli na nią lubieżnie, szczerząc się w szczerbatych uśmiechach. Krzyki i śmiech były ogłuszające.

– Witaj, ślicznotko! – zawołał tłuścawy tragarz w za dużej czapce i ciasnej szarej kamizelce. – Chodź no tutaj, usiądź mi na kolanach, daj szczęście samotnemu!

Zawył z uciechy i klepnął się w udo, a jego kompani zarechotali.

– Jack, nie znalazłbyś pisiora, nawet jakbyś go miał przywiązane do nosa!

Beatrice podeszła do lady, gdzie rumiany właściciel pubu nalewał do kieliszków brandy.

– Co podać, panno Bannister? – zapytał z uśmiechem. – Kolejną butelkę jałowcówki?

Beatrice położyła sześciopensówkę.

– Dwie poproszę, panie Andrews. Tata mówi, że nie będę musiała chodzić dwa razy.

– Och, zmyślny ten tata – odparł ze smutkiem barman. – Proszę poczekać minutę, muszę zejść do piwnicy po te butelki. Ci panowie od rana wszystko wypili do cna. Może to dobre dla interesu, ale nie będzie mi przykro, kiedy śnieg przestanie padać, a oni wszyscy wrócą do pracy.

Zapalił lampę, a potem otworzył drzwi do piwnicy za barem i zszedł w ciemność. Beatrice stała z łokciami opartymi o ladę, dłońmi ostentacyjnie zatykając uszy, żeby zgromadzeni mężczyźni widzieli, że wcale nie słucha ich rubasznym żartów o pisiorach, podnietach i chędożeniu.

Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła Roberta, szczupłego piętnastoletniego chłopaka, o sztywnych blond włosach, który w Fortunie roznosił piwo i sprzątał. Lubiała go, podobał się jej mimo pryszczki na twarzy,

a kiedy tylko przychodziła do pubu, zawsze z nią rozmawiał, i przy nim czuła się ładna i dorosła.

– Hej, Beo, nie przyszłaś czasami po więcej pocziwego ginu?
– zapytał ją.

– Tata potrzebuje go do mikstur – odparła Beatrice. – Miesza z nagietkami i czyścćem. To działa na przeziębienie.

– Naprawdę? – Robert uśmiechnął się. – Działa na przeziębienie? – Z kieszeni długiego skózanego fartucha wydobyl cienki zwitek papieru.

– Landrynkę? John Welkin dał mi kilka za pomoc w transporcie sztywnych.

Przełamał laskę cukierka na pół i wyciągnął rękę w jej stronę, ale Bea pokręciła głową. Lubiła słodyczne, ale John Welkin był rezurekcjonistą, a ona nie chciała wkładać do ust czegokolwiek, czego mógłby choćby tylko dotknąć rezurekcjonista.

Robert odgryzł kawałek i głośno chrupał.

– Ci sztywni to są naprawdę sztywni, w większości. Sztywni jak deski! Wczoraj w nocy pijani jak bele przechodzili przez rzekę i lód się pod nimi załamał. Wpadli do wody i zamarзли na kość.

– To straszne! Jak ty możesz ich dotykać?

– E, nie, to nie takie straszne. Przynajmniej nie brudzą. W każdym razie dopóki nie odtają. A niektórzy z nich mają parę pensów w kieszeniach, które pan Welkin pozwala mi zatrzymać. Chcesz ich zobaczyć? Dzisiaj rano miał całkiem dobry połów, i nie są to tylko pijacy. Jest tam też dwójka dzieci, które chciały się poślizgać, i ich matka, co chciała je ratować. Powinnaś zobaczyć jej twarz! Wygląda, jakby ciągle ich wołała!

– Nie... Dziękuję. Wolę nie.

– Och, daj spokój, Beo! Nigdy nie widziałaś czegoś takiego! To lepsze od gabinetu osobliwości! I to za darmo!

Niejeden już raz Beatrice widziała martwe ciała zanoszone na zaplecze Fortune of War, szczególnie po odpływie. Ojciec powiedział jej, że pub został oficjalnie wyznaczony przez Królewskie Towarzystwo Humanitarne do zajmowania się

topielcami wyłowionymi z Tamizy. Jeżeli po ciała nikt się nie zgłosił, chirurdzy ze szpitala Świętego Bartłomieja przychodzili, by sprawdzić, czy nadają się do sekcji. Jeżeli tak, rezurekcjoniści, tacy jak John Welkin, otrzymywali za dostarczenie ciała nawet aż cztery gwinee.

Ojciec mówił jej o tym wszystkim w dość nerwowy sposób, aż Beatrice zaczęła się zastanawiać, czy potajemnie nie myśli o kupieniu takiego ciała dla siebie, aby je utwardzić, jak kiedyś tego zjeżonego, burego szczura. Zmieniła temat i powiedziała, że musi zająć się tłustym puddingiem, który akurat przygotowywała.

Robert wzruszył ramionami.

– Jak chcesz – skwitował. – Ja w każdym razie muszę tu posprzątać.

Podszedł do najbliższego stołu i zaczął zbierać brudne kufle i szklanki. W tej właśnie chwili obleśny tragarz dźwignął się z ławy i zbliżył do baru.

– No, co teraz, moja śliczna, mała owieczko! – wykrzyknął.

Zataczając się, podszedł do niej tak blisko, że Beatrice poczuła woń moczu z przemoczonych bryczesów. Odwrócił się do niej z krzywym uśmiechem, bez ostrzeżenia objął w talii ramieniem i energicznie przyciągnął do siebie. Miał poźółkłe białka oczu, a usta wypełniały mu szerniałe pieńki zębów.

– Mogłabyś dać mi całusa, ślicznotko, co? Co zaszkodzi całus? Już pora, aby ktoś zapoznał cię z uciechami ciała, nie?

Beatrice próbowała się uwolnić, ale on wzmocnił uścisk wokół niej i zaśmiał się, aż poczuła jego ślinę na twarzy.

– No, chodź, moja mała! Nie mów, że nie chcesz!

Przyciągnął ją bliżej, ale wtedy Robert podszedł do lady i szybko odstawił wszystkie cynowe kufle. Bez słowa ominął Beatrice i uderzył tragarza w prawe ucho. Pijak krzyknął: „Cholera!” i puścił Beatrice, osuwając się ciężko na ladę, aż czapka zsunęła mu się na oczy. Robert uderzył go znowu, tym razem w grzbiet nosa. Krew trysnęła z obu nozdrzy i zalała tragarzowi brudną, szarą kamizelkę.

– Ty gnojku! – parsknął tragarz, ściągając czapkę

i przyciskając ją sobie do nosa. – Obetnę ci za to kutasa!

Trzech lub czterech jego kolegów wstało ze swoich miejsc i otoczyło Roberta, z groźnymi minami mierząc go wzrokiem. Wszyscy byli tak samo brudni, obleśni i pijani.

– Ty! – odezwał się jeden z nich, wskazując Roberta poczerńiałym paluchem. Wyglądał jak klaun, miał głębokie, poziome blizny po obu stronach ust, jakby ktoś przeciągnął mu między wargami nóż rzeźnicki. – Prosisz się, żeby ci skrócić kark, chłopcze!

Robert szybko przerzucał wzrok z jednego tragarza na drugiego. Tłuścioch sięgnął do kieszeni kamizelki i wydobyl wielki składany nóż; otworzył go z wprawnym zamachem, jakby był sztukmistrzem. Z nosa nadal leciała mu krew, i musiał od czasu do czasu oblizywać górną wargę, żeby nie ściekała mu na brodę.

– Teraz inaczej będziesz śpiewał, słoneczko – wycedził. Pociągnął nosem, aż się w nim zakotłowało, i dodał: – Bardzo wysoko, jak dziewczka, bo w nią cię zamienię!

Robert cofnął się z uniesionymi pięściami, gotowy do obrony, ale najwyraźniej nie wiedział, co począć. Beatrice czuła, jak serce tłucze się jej w piersi; była tak przerażona, że brakowało jej tchu. Pięciu pijanych tragarzy pewnie nie tylko zrani Roberta, ale zamorduje go, a potem ją skrzywdzi. Nagle przypomniała sobie martwą kobietę leżącą na Hosier Lane, o twarzy pokrytej szkarłatnymi sińcami i ze spódnicą podciągniętą do pasa, z trzonkiem szpadla wbitym do środka.

Próbowała chwycić Roberta za rękę, jednak on najwyraźniej nie rozumiał, czego od niego chce, więc musiała złapać go powtórnie, żeby zwrócił na nią uwagę. Spojrzał szeroko otwartymi oczami i mruknął nieprzytomnie:

– Co?

Ale ona nic nie odpowiedziała, tylko odciągnęła go od lady i poprowadziła do tylnych drzwi pubu.

– Zaraz! Zaraz! – krzyknęli tragarze. – Wracaj tu, gówniarzu!

Lecz Beatrice i Robert byli już na zewnątrz, a Robert zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz i zasunął górne i dolne

zasuwę. Zdażył w samą porę. Kilka sekund później tragarze napaarli z całej siły na drzwi, aż pękła jedna z desek. Po chwili znowu w nie uderzyli, ale trzymały się mocno we framudze.

– Otwieraj! – ryczeli. Teraz bardziej przypominali wściekłe bestie niż ludzi. – Otwieraj te cholerne drzwi, bo inaczej...!

Beatrice i Robert nie ruszyli się z miejsca; spoglądali na siebie bez słowa. Tragarze kopali w drzwi, walili w nie krzesłami, ale po kilku daremnych próbach zrezygnowali. Beatrice słyszała ich głosy. Wyglądało na to, że pan Andrews wyszedł z piwnicy.

– Co teraz zrobisz? – wyszeptała. W korytarzu, gdzie stali, było mroczno i bardzo zimno, a do tego czuć było mdławę zapach – trochę jak w kościele – od którego ścisnęło ją w żołądku.

Robert już miał coś powiedzieć, kiedy rozległo się krótkie, szybkie stukanie.

– Robercie? Jesteś tam? Robercie! Słyszysz mnie?

– Panie Andrews! Jestem tu z Beą, córką aptekarza!

– Co się dzieje, na miłość boską? Było tu pięciu czy sześciu obwiesiów, którzy twierdzili, że ich zaatakowałeś. Rozdarliby cię na strzępy, gdyby mogli.

– Bronięm honoru Bei, proszę pana!

– Czym? Siekierą? Na podłodze jest więcej krwi niż w rzeźni u Symonda!

– Proszę pana! – zawołała Beatrice. – Czy ci ludzie już sobie poszli?

– Tak, moja droga, wyrzuciłem ich wszystkich. Ale na twoim miejscu wyszedłbym przez podwórko i wrócił do domu zaułkami. Jak wyjdiesz od frontu, mogą czekać na ciebie za rogiem. Są bardzo pijani, mówiąc oględnie, a nie chciałbym, aby stała ci się krzywda.

– Jeden chciał pocałować Beę – odezwał się Robert. – Tylko dlatego go wałnąłem.

– Później o tym porozmawiamy – odparł pan Andrews. – Otwórz drzwi, dam pannie Bannister dwie butelki ginu, żeby mogła już wrócić do domu.

Robert odciągnął rygle i otworzył drzwi. Pojawił się pan Andrews, policzki miał jeszcze bardziej czerwone niż zazwyczaj. Podał Beatrice szorstki jutowy worek z dwiema ciężkimi glinianymi butelkami, które zastukały o siebie, gdy go brała.

– Przekaż tacie najlepsze życzenia ode mnie. Ale powiedz mu też, że w jałowcówce nie znajdzie rozwiązania na swoje smutki. Musi wyjść do ludzi.

– Dziękuję panu – szepnęła Beatrice.

Dobrze zrozumiała, co chciał jej powiedzieć, a jego współczucie dodało jej otuchy. Był jedną z nielicznych osób, które widziały, jak bardzo była samotna, jak ciężko musiała pracować, aby pomóc ojcu, i jak się martwiła tym, że on pije.

– Będziesz musiała przejść przez park sztywnych – odezwał się Robert. – Ale nie martw się. Żaden z nich cię nie skrzywdzi, nie tutaj.

Beatrice zawahała się, ale wtedy pomyślała o pijakach czekających na nią na ulicy, skinęła więc głową i poszła za nim do dużego pomieszczenia na zapleczu. Było tu jeszcze zimniej, więc para leciała jej z ust, a jedyne światło wpadało przez pojedyncze wysokie okno. Z wilgotnych, pokrytych czarnymi plamami grzyba ścian łuszczyła się farba, jakby zaraziły się chorobami od znoszonych tutaj codziennie ludzi.

Tego ranka było tu dziewięć ciał – pięciu mężczyzn, dwie kobiety i dwoje dzieci. Leżały na stołach pod ścianami, a na tablicach tuż nad nimi kredą wypisano nazwiska rezurekcyjistów, którzy żądali opłaty za przyniesienie zwłok. Trzech mężczyzn było ubranych w płaszcze i bryczesy, chociaż buty albo same im spadły, albo ktoś je zdjął, odsłaniając dziury w pończochach lub nagie, brudne stopy. Dwóch kolejnych owinięto grubymi wełnianymi całunami. Także jedna z kobiet była przykryta całunem, ale jej był o wiele czystszy, jakby dopiero co wyjęto go z trumny. Natomiast druga miała na sobie ciężką, szarą spódnicę, a pod nią wiele warstw poszarpanych halek i czarne, wysoko sznurowane buty o startych obcasach. Wszystkie twarze przykryto flanelowymi ścierkami – nie po to, by dodać im powagi, ale by oszczędzić wszelkim gościom

widoku zmieniających się pod wpływem rozkładu rysów. Chociaż w pomieszczeniu było chłodno, a większość ciał została wydobyta z lodowatej Tamizy, smród był tak mocny, że Beatrice pociągnęła rękaw, aby zasłonić nos i usta, i starała się nie oddychać zbyt głęboko.

– Zerknij na tego! – powiedział Robert, podnosząc szmatkę z twarzy jednego z mężczyzn. Miał zeza, placki rudych włosów, a język sterczał mu z boku, jakby zmarł, próbując rozśmieszyć kolegów.

– Proszę... Nie chcę – jęknęła Beatrice i odwróciła się. – Chcę tylko wrócić do domu.

– A może chociaż popatrz na tę młodą kobietę... To ona chciała uratować swoje topiące się dzieci!

Beatrice nie mogła się opanować i spojrzała. Kobieta o białej twarzy była bardzo młoda, miała najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia lat, ostry nos i sterczące kości policzkowe, jak ktoś, kto nigdy nie najadał się do syta. Piuwe oczy miała skierowane w sufit, a usta szeroko otwarte.

Zanim Beatrice zdążyła się odwrócić, kobieta wydała wysoki, chropawy skowyt, zakończony skrzekiem. Bea odskoczyła przerażona.

– Ona żyje! Robercie! Żyje!

Robert znowu wziął ją za rękę i odciągnął.

– Nie, Beo, nie martw się, oni często tak robią. To gaz w ich brzuchach. Możesz tu przyjść w letni wieczór, kiedy jest ciepło, a oni leżą tu przez cały dzień i wszyscy gwizdzą, pierdzą, jęczą i utyskują. Zupełnie jakby mówili: „Co my tu robimy martwi, kiedy powinniśmy być w barze, pić piwo i grać w karty?”.

Uniósł szmatkę z twarzy kobiety przykrytej całunem i zajrzał pod spód.

– Nie wiem, dlaczego tę tu przywieźli. Według mnie już nie nadaje się dla chirurgów.

I znowu Beatrice nie chciała patrzeć, a jednak nie mogła się oprzeć. Mimo że ich ciała tak bardzo ją niepokoiły, a zapach przyprawiał o mdłości, to jednak ją fascynowali. Dlaczego? Ten zezowaty, który pewnie dostał ataku serca, śmiejąc się; albo ta

przeżrana młoda kobieta uwieczniona na wieki w niemym krzyku – ona i Robert mogli się im przyglądać i rozmawiać o nich, ale nie potrafili wyjaśnić, co się im przytrafiło. Byli tu wszyscy, cała dziewiątka, ale jednocześnie każdy z nich już odszedł.

Beatrice ruchem głowy wskazała kobietę w całunie.

– Dlaczego ona ma na sobie żałobną szatę? Wygląda, jakby była przygotowana do pochówku.

– Pewnie już raz ją pochowano – wyjaśnił Robert. – Albo była przygotowana do pogrzebu. John Welkin nigdy nie mówi, skąd ich bierze, a chirurdzy nie pytają. Bywa tu wiele ciał wykopanych z cmentarzy, a nawet takich, które zniknęły z domów, gdy wystawiono je w salonie.

Beatrice ostrożnie zrobiła krok naprzód, nadal zasłaniając rękawem nos i usta. Kobieta leżała tuż pod oknem, więc padało na nią zimne, bezbarwne światło odbite od śniegu na zewnątrz. Przez to wyglądała jeszcze bardziej białą i upiornie. Gdy Bea zbliżyła się, zauważyła, że oczy kobiety zapadły się, policzki były wklęsłe, a skóra wokół ust napięła się tak bardzo, że aż znikły wargi.

– Na pewno rozgotują jej ciało i wykorzystają szkielet – stwierdził Robert. Uniósł szmatkę wyżej, odsłaniając włosy kobiety. Były ciemne i faliste, a wtedy Beatrice zorientowała się, kim była ta kobieta.

– Odłóż to! – wrzasnęła.

– Co? – spytał Robert.

– Szmatkę! Odłóż! Zasłoń jej twarz!

Robert zmarszczył brwi i zawahał się, ale postąpił, jak mu kazała, i opuścił materiał na twarz zmarłej.

– Muszę natychmiast wracać do domu! – powiedziała Beatrice i zaczęła płakać. – Muszę wracać do domu! Muszę powiedzieć tacie!

– Beo, co się stało? – pytał Robert. Próbował schwycić ją za ramiona, aby ją uspokoić, ale wykręciła się i podeszła do drzwi prowadzących na podwórze. Próbowała przekręcić klucz, ale trzymała worek jutowy w jednej ręce, a zamek stawiał opór.

– Robercie... Proszę... Muszę iść do domu! Muszę powiedzieć tacie!

Robert otworzył drzwi. Podwórko było zastawione beczkami po piwie i drewnianymi skrzyniami pełnymi pustych szklanych butelek. Nadal padał gęsty śnieg.

– Beo... – odezwał się. – Nie rozumiem! To ja cię tak zdenerwowałem?

Znowu spróbował chwycić ją za ramię, ale wyszarpnęła się mu. W rozpaczy usta wygięły jej się w podkówkę, rzęsy miała sklezione łzami.

– Robercie, to moja mama!

– Co?

Beatrice wskazała pomieszczenie za jego plecami.

– To moja mama! Twój kochany John Welkin, który pozwala ci zatrzymywać pensy zmarłych, wykradł ciało mojej matki z trumny!

To powiedziawszy, wypadła na podwórko i szarpnęła za koślawą bramę.

– Beo! – zawołał Robert, ale już jej nie było. Słyszał tylko, jak butelki ginu podzwaniają w torbie, gdy biegła zaułkiem. – Beo!

Stał chwilę w śniegu, a potem wrócił do środka. Dziewięć martwych ciał czekało na niego. Podeszedł do matki Beatrice i przyjrzał się jej. Starał się dostrzec, czy jest jakieś podobieństwo, ale ciało było tak zniszczone, że trudno było mu wyobrazić sobie, jak wyglądała za życia. Nadal stał nad nią, kiedy zjawił się pan Andrews.

– Co tu robisz, łazęgo? Naczynia trzeba pozmywać i podłogę zamieść, i musisz zanieść wiadomość ode mnie do Świętego Tomasza!

– Tak, proszę pana, przepraszam – odparł Robert.

Idąc za panem Andrewsem do baru, zapytał:

– Myśli pan, że Bóg bawi się nami?

Właściciel pubu odwrócił się i zmarszczył brwi, jakby miał przed sobą idiotę.

– Oczywiście, że się bawi. A jak myślisz, po co tu jesteśmy?

Rozdział 6

Uderzała wściekle w tylne drzwi domu, wołając:

– Tato! Tato! Wpuść mnie! Tato! Wpuść!

Minęły chyba wieki, zanim ojciec zorientował się, skąd dochodzi głos. W końcu jednak usłyszała jego kroki w korytarzu. Odryglował i otworzył drzwi, w oszołomieniu przyglądając się jej stojącej w śniegu.

– Co tu robisz na tyłach? Dlaczego nie podeszłaś od frontu?

Beatrice rzuciła się na niego, z całej siły czepiając się jego ubrania i szlochając tak, że ledwo mogła oddychać. Ojciec klepał ją po plecach i starał się uspokoić:

– Co się stało, Beo? – spytał. – Co jest? Chodź, opowiesz mi. Dlaczego tak płaczesz? Czy ktoś cię skrzywdził?

Zamknął drzwi i zaprowadził ją do salonu, gdzie płonął ogień w kominku. Stała przed nim, trzęsąc się cała.

– Przyniosłaś mi gin? – zagadnął, biorąc od niej worek i kładąc na stoliku. – Co cię tak zdenerwowało?

– Mama... – Beatrice szlochała, ciężko oddychając w zdenerwowaniu. – Mama leży w Fortune.

Ojciec usiadł w fotelu i przyciągnął córkę do siebie.

– Nie rozumiem, kochanie. Mama jest w niebie. Przecież wiesz o tym.

Beatrice zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie chodzi mi o jej duszę, ale o jej ciało. Jej ciało leży w Fortune, razem z innymi... Z tymi topielcami.

– Posłuchaj, córeczko. Szczątki twojej matki spoczywają w krypcie pod Świętym Jakubem. Nie mogą być w Fortune. Musiałaś się pomylić.

Beatrice otworzyła oczy i niemal krzyknęła na ojca:

– Wykradli jej ciało! Rezurekcjoniści! Skradli jej ciało i teraz je ugotują, aż zostanie z niej sam szkielet!

– Ciii, ciii! – uciszał ją ojciec, trzymając mocno za nadgarstki. Potem spojrzał na nią bacznie i powiedział: – Naprawdę tak uważasz? Że to ona?

– Wygląda tak smutno. – Beatrice wciąż szlochała. – Co zrobimy, taaato?

Ojciec wstał i zaczął zapinać surdut.

– Idziemy ją odzyskać, oto co zrobimy. Zabierzemy ją i złożymy z powrotem w trumnie. A tego, kto ją stamtąd zabrał, postawimy przed sądem i ukarzymy za plądrowanie grobów. Chodź.

– Powinniśmy iść zaułkami – powiedziała Beatrice. – Pijacy awanturowali się w pubie i mogą jeszcze czekać na ulicy.

– Nic się nie martw – uspokoił ją ojciec. – Trzeba całego gangu pijaczyn, żebym się przestraszył. – Sięgnął po ciężki, brązowy płaszcz, narzucił go sobie na ramiona i zapiał sprzączkę. Potem założył trójgraniasty kapelusz i wyciągnął rękę: – Chodź, Beo. Bądź dzielna!

Beatrice niechętnie wzięła go za rękę. Chciała koniecznie odzyskać ciało matki z tej okropnej lodowni na tyłach Fortune, ale nie pałała chęcią zobaczenia mamy takiej, jaką teraz była – wysuszonej i nieodwracalnie martwej. Rozkładające się ciało kobiety na prowizorycznym stole, z twarzą zakrytą flanelą. To nie była ta sama mama, do której modliła się co noc. Tamta mama była ciepła, uśmiechnięta, żywa, o błyszczących oczach.

Wyszli na zaśnieżoną ulicę i ruszyli w stronę Pye Corner. Dwójka dzieci skulonych w drzwiach do księgarni zniknęła już, a Beatrice poczuła ukłucie żalu, że nie zaniósła im gorącej zupy.

Ojciec coś wyczuł i zapytał:

– Co tam? Coś się stało?

Pokręciła głową.

– Nic – odpowiedziała.

Przypomniała sobie słowa mamy: „Możemy chcieć, Beo, ale

nigdy nie uratujemy ich wszystkich. Tylko Pan Bóg to potrafi”.

Dotarli do Fortune of War. Clement miał właśnie pchnąć drzwi, kiedy dobiegł ich szorstki głos:

– Hej! Ty tam! Tak, ty!

Clement odwrócił się. Tłusty tragarz w za dużej czapce chował się w drzwiach po przeciwnej stronie ulicy razem z mężczyzną o uśmiechu klauna i jeszcze trzema innymi zapijaczonymi typami.

– Nie ty, ta cipa! – krzyknął tragarz. – Ta śliczna, mała sekutnica obok ciebie, do niej mówię! Ta słodka szelma, przez którą dostałem w kichawę, wyrzucili mnie i nie mogłem dopić kufla, za który zapłaciłem!

Tragarz wyszedł na ulicę, zataczając się, i prawie wpadł pod dwukółkę, która wyjechała z klekotem zza rogu, ciągnięta przez dwa konie.

– Gnoje! – krzyknął za powozem, wymachując pięścią. – Gnoooooojeeee!

Jednak kiedy pojazd znikł za śniegiem, wyprostował się, obciągnął poplamioną krwią kamizelkę i z determinacją pijanego szedł dalej wężykiem przez jezdnię. Koledzy podążyli za nim, zataczając się w ten sam sposób, tak że cała piątka wyglądała, jakby przemierzała pokład żaglowca.

– Wejdz do środka – polecił ojciec Beatrice. – Zajmę się tymi głupcami.

Lecz ona wczepiła się w jego płaszcz i błagała:

– Tato, nie! Zostaw ich! To nieważne! Nie wejdz do środka, pan Andrews im nie pozwoli!

– Nie – odparł ojciec. – Nie pozwolę, aby ktokolwiek cię znieważał, szczególnie takie zbiry! Jesteś moim aniołem, pamiętasz? Moim aniołem i zbawicielem.

Beatrice spojrzała na niego i dostrzegła, że z trudem skupia na niej wzrok. Wtedy uświadomiła sobie, że jest niemal tak samo pijany jak tamci.

– Tato, proszę, wejdz do środka!

Jednak tłusty tragarz podszedł do nich i stał z pięściami na biodrach i nogami rozstawionymi szeroko dla utrzymania

równowagi. Z powodu krwi zaschniętej na górnej wardze wydawało się, że ma czarny wąs.

– Wiesz, czego chciałem? – spytał cichym, bełkotliwym głosem, który był tym bardziej przerażający, że brzmiał tak rozsądnie. – Całusa... Tylko tyle! Nic więcej! Tylko żeby pokazać, jak bardzo mi się podoba. Nie prosiłem o rżnięcie.

– Jesteś pijany – powiedział Clement. – Ruszaj w drogę, ty i twoi kompanii zanim każę was zamknąć za groźby.

– Wiesz, kim ja jestem? – dopytywał tragarz.

– Nie, nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– A powinno, bo nazywają mnie Dźgaj.

– Mówiłem ci. Nie obchodzi mnie nic a nic, ani kim jesteś, ani jak cię nazywają. Zostaw nas.

Clement otworzył drzwi szerzej i próbował wepchnąć Beatrice do środka. W tym momencie tragarz zrobił trzy niezdarne kroki do przodu i najwyraźniej uderzył Clementa w pierś, trzy razy, a potem jeszcze dwukrotnie w brzuch. Clement chwycił powietrze i uniósł rękę, jakby chciał się bronić, ale było już za późno. Osunął się na próg jak marionetka, której nagle odcięto sznurki.

– Tato! – krzyknęła Beatrice. Uklękła przy nim, ale wtedy tragarz pochylił się i ją też uderzył, aż poleciała do tyłu i uderzyła głową o framugę. Miał już ją chwycić za ramię, gdy wewnętrzne drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich pan Andrews, wymachując długą mahoniową pałką.

– Co tu się dzieje, na miłość boską! – wykrzyknął. – To znowu ty, obszczymurze! Zdaje się, że kazałem ci trzymać się stąd z daleka! Robercie, biegnij po posterunkowego!

– Nie waż się tak do mnie mówić! – zripostował tragarz. – Chyba, że chcesz oberwać jak ten tu!

Podniósł prawą rękę i wymachiwał nią z boku na bok, a wtedy Beatrice zauważyła, że trzyma zakrwawiony scyzoryk i że palce także połyskują mu od krwi. Chociaż była oszołomiona od uderzenia, udało jej się pochylić i odwinąć połę płaszcza ojca. Surdut i kamizelka były przesiąknięte ciepłą

krwią, która zaczęła spływać po chodniku w śnieg, barwiąc go czerwono.

– Dźgnąłeś go! – krzyknęła. – Dźgnąłeś go! Panie Andrews, on dźgnął tatę!

– Dostyc tego! – powiedział karczmarz. Przeszedł nad Clementem i zmierzył się z tragarzem, wymachując pałką. – Posłałem chłopaka po posterunkowego i zawiśniesz za to!

Kumple tragarza ciągnęli go za ubranie. Jeden z nich był tak pijany, że wszyscy przewrócili się w śnieg.

– Cholera! – przeklął.

– Chodź, Dźgaj, już to załatwiłeś należycie! Chodź, daj spokój. Chodź, zanim ten pies się tu zjawi! – przekonywali go.

Tragarz wahał się przez chwilę, nadal wyzywająco podnosząc nóż, ale przyjaciele znowu go pociągnęli, więc ostentacyjnie zamknął ostrze i poszedł za nimi przez ulicę. Śnieg padał tak gęsto, że wszyscy zniknęli w ciągu sekund.

Beatrice próbowała obrócić ojca, żeby zobaczyć jego twarz. Pan Andrews uklęknął.

– Wnieśmy go do środka i sprawdźmy, jak mocno oberwał. Duncan! Charlie! Pomóżcie nam, dobrze?

Czterech mężczyzn wniosło Clementa do baru, uprzątnęli stół i położyli go na nim. Miał zamknięte oczy i poszarzałą twarz. Krew spływała mu z kącików ust; coraz płycej oddychał. Pan Andrews rozpiął mu kamizelkę i koszulę, która była cała we krwi.

– Niech ktoś przyniesie więcej szmat! – zawołał, a stojąca obok kobieta w średnim wieku zdjęła fartuch i podała mu go.

– Masz, Dicky, użyj tego – powiedziała.

Beatrice rozpoznała w niej Molly, sprzedawczynię win, która zazwyczaj wędrowała ulicą z koszem butelek.

Tyle krwi leciało z piersi i brzucha Clementa, że fartuch Molly natychmiast zabarwił się na czerwono. Beatrice widziała, że tragarz dźgnął jej ojca trzy razy w pierś – zrobił mu dwie płytkie rany w mostku i jedną głębszą między żebrami. A potem pchnął go jeszcze dwa razy w lewą stronę brzucha. Te rany były

teraz otwarte niczym pysk zdychającej ryby, i nie było sposobu zatamowania krwawienia.

Beatrice cała drżała z przerażenia. Położyła ojcu dłoń na czole.

– Tato! Tato! Słyszysz mnie, tato? To ja, Bea! Twój anioł, tato! – Lecz ojciec nie otwierał oczu i tylko pojedyncza bańka krwi pojawiła mu się w ustach.

Molly przyniosła trochę opatrunków z za baru, a pan Andrews poskładał je i przycisnął do rany na piersi Clementa.

– No, dalejże, aptekarzu, nie poddawaj się – błagał, ale Beatrice zauważyła, jak z ponurą miną zerka na Molly.

– Nie możemy zabrać go do szpitala, panie Andrews? Potrzebny mu chirurg, co? Żeby pozszywał te wszystkie rany.

Właściciel pubu przycisnął opuszki palców z prawej strony szyi Clementa, aby wyczuć puls, a potem pochylił głowę nisko nad jego twarzą.

– Na to już chyba za późno, panno Bannister.

– Co?

– Zdaje się, że twój ojciec nas opuścił. Nie będzie musiał iść do zerka na Świętego Bartłomieja. Jest w drodze do świętego Piotra.

Beatrice wpatrywała się w ojca i powoli docierało do niej, że pan Andrews ma rację. Na twarzy ojca pojawiła się subtelna zmiana – pustka, której nigdy wcześniej u niego nie widziała, nawet w najgłębszym pijackim śnie. Mógł być otumaniony ginem, ale nadal miał rumiane policzki i zawsze wyglądał, jakby lada moment miał otworzyć oczy i powiedzieć: „Mój Boże! Moja głowa! Gdzie ja jestem?”.

Jednak nie teraz. Odszedł, a ciało leżące na stole było tak samo martwe jak ciało jej matki tam, na zimnym zapleczu.

Wycofała się. I wtedy jeden z mężczyzn w barze zawołał:

– Spójrz na siebie, dziewczyno! Ciebie też załatwił! Nie czułaś tego?

Odrętwiała Beatrice obróciła się.

– Nie rozumiem – odpowiedziała. – Co to znaczy, że mnie też załatwił? Tylko uderzyłam się przez niego w głowę.

Lecz mężczyzna wskazał na deski podłogi. Zerknęła w dół i spostrzegła, że stoi w kałuży krwi. Beatrice w panice rozpięła płaszcz i spojrzała po sobie. Nie zauważyła niczego na granatowej sukni, ale teraz, kiedy mężczyzna zwrócił jej uwagę, poczuła wilgoć na nogach. Uniosła rąbek sukni i zobaczyła, że po jej łydkach spływają strużki krwi. Popatrzyła na Molly i ledwo słyszalnym głosem szepnęła:

– Patrz! – I osunęła się.



Kiedy otworzyła oczy, zorientowała się, że leży na łóżku w małej sypialni na piętrze. Na dworze zaczynało się ściemniać, chociaż wyglądało na to, że śnieg przestał padać. Po przeciwnej stronie pokoju na toalecie stał dzban, miednica, i drewniana rzeźba świętego Sebastiana, męczennika przywiązanego do drzewa, z ciałem gęsto poprzeszywanym strzałami, z oczami skierowanymi ku niebu.

Usiadła. Jej płaszcz, suknia i halki leżały przewieszane przez oparcie krzesła, a ona nie miała na sobie nic poza koszulą i gorsetem, chociaż przykryto ją grubym wełnianym kocem.

Uniosła go i zobaczyła, że koszulę ma całą poplamioną zaschniętą już teraz krwią. Więc jednak tragarz ją dźgnął. Musiał trzymać scyzoryk w ręku, kiedy ją pchnął. Na szczęście nie zranił jej bardzo mocno, bo już więcej nie krwawiła.

Ale zabił jej ojca. Tata nie żył. Położyła się i zakryła twarz dłońmi, chociaż z jakiegoś powodu nie była w stanie płakać. Oczy miała kompletnie suche, jakby zabrakło jej łez.

Leżała więc bez ruchu, kiedy usłyszała kroki na schodach, a potem stukanie do drzwi, które przecież były otwarte. Twarz miała nadal zakrytą dłońmi. Nie chciała rozpocząć następnego etapu swojego życia, jeszcze nie teraz.

– Jak się czujesz, Beo? – rozległ się miły kobiecy głos. – Wyglądasz jak jakaś święta leżąca w grobie.

Beatrice odsunęła dłonie z twarzy. Molly przechyliła głowę i uśmiechała się do niej współczująco.

– Tak nam wszystkim przykro z powodu twojego taty. Taki dobry człowiek. Zawsze miał czas, żeby wysłuchać, obojętnie, czy dolegała ci jedna zaraza, czy inna, i zawsze dawał człowiekowi syrop, nawet jak nie miał pieniędzy.

Molly usiadła na skraju łóżka. Miała dużą brodawkę na górnej wardze i bardzo gęste brwi. Chwyła Beatrice za rękę i powiedziała:

– Dick Andrews mówi, że pomoże wszystko zorganizować, jeżeli tylko chcesz. Ale pewnie masz krewnych, co? Ciotki i wujów, do których możesz się zwrócić. Chcemy tylko, żebyś wiedziała, kochana, że nie musisz wszystkiego robić sama.

Beatrice nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nadal nie mogła płakać i czuła się tak wykończona, że nawet nie potrafiła znaleźć słów, aby powiedzieć Molly, dlaczego przyszła z ojcem do Fortune i że wykradzione z grobu ciało jej matki leżało na zapleczu. Była tak wyczerpana, że chciała tylko zamknąć oczy i zasnąć na zawsze. Przynajmniej wtedy mogłaby ujrzeć znowu rodziców.

– Przyszli policjanci – oświadczyła Molly. – Powiedzieliśmy im, co się stało i kto to zrobił. Znają tego gagatka, więc prawdopodobnie prędzej czy później go złapią. A wtedy im się nie wywinie.

– Nie mam pojęcia, gdzie mnie zranił – powiedziała Beatrice, unosząc koc.

– Hm, wybacz mi, kochana, ale pozwoliłam sobie cię obejrzeć, i nie jesteś ranna.

– To skąd ta cała krew?

Molly ścisnęła ją za rękę.

– Straciłaś mamę, prawda, więc nie miał ci kto powiedzieć. To, co się stało... Po prostu dostałaś pierwszy okres.

Beatrice zmarszczyła brwi. Nie rozumiała.

– Dostałaś miesiączkę – tłumaczyła Molly. – Ciotka przyjechała.

– Co?

- Stałaś się kobietą, Beo, kochanie, pod wszelkimi
względami.

Rozdział 7

– Chociaż bardzo bym chciała, Beatrice, moja droga, po prostu nie mogę się tobą zająć – oświadczyła ciotka Felicity. – Nasz dom już teraz jest przepełniony, od kiedy mój brat zbankrutował i przeprowadził się do nas z rodziną, zabierając jeszcze naszego ojca, który całkiem zdziecinniał na starość. Chciałabym, wierz mi, gdybym tylko miała wolny pokój, ale na pewno będzie ci wygodniej u kuzynki Sary w Birmingham.

Beatrice milczała. Stała w salonie przed kominkiem, w którym przygasał ogień, zamieniając się w kupkę rozgrzanego białego popiołu. Poza ciotką Felicity wszyscy goście obecni na pogrzebie już wyszli. Zostały szklanki i talerze, które trzeba było pozmywać, wytrzeć i odstawić; trzeba było też zamieść podłogę, a potem nie wiedziała, co będzie robić, chyba tylko zarygluje drzwi, wejdzie na górę i położy się do łóżka, jak wtedy, kiedy ojciec żył, wypił za dużo i zasnął w fotelu.

Powóz ciotki czekał na zewnątrz, w mroku wczesnego popołudnia, gotów zabrać ją z powrotem do domu w Blackheath, na południe od rzeki. Denerwowała się, aby nie wyjechać zbyt późno, ze względu na rabusiów, którzy wychodzili na drogę, gdy zaczynało się ściemniać.

– Będziesz musiała sprzedać interes – poradziła. – Powinnaś dostać za niego sporo pieniędzy; starczy na podróż do Birmingham i twoje potrzeby jeszcze przez jakiś czas. Mam przyjaciela prawnika w Lincoln's Inn, pana Lacey'a, którego urzędnicy zajmą się sprzedażą.

– Dziękuję, ciociu – odparła Beatrice. – Jesteś dla mnie bardzo miła.

Kuzynkę Sarę Minchin Bea widziała do tej pory tylko raz, kiedy przyjechała do nich wiele lat temu, gdy Beatrice miała siedem czy osiem lat. Zapamiętała ją jako wysoką kobietę o szpiczastym nosie, której nic w życiu się nie podobało – ani łóżko, ani jedzenie w domu Bannisterów, ani zapach londyńskich ulic, pogoda, nawet sukienka, którą Bea miała na sobie.

– Młoda dziewczyna zawsze powinna wyglądać skromnie i posłusznie – powiedziała o czerwonym fartuszkach, który dla Beatrice uszyła mama. Bea nie miała pojęcia, co znaczy „skromnie”, ale uznała, że to musi być kwaśna mina, jak u kuzynki Sary.



Kiedy ciotka Felicity odjechała, Bea poszła do mrocznego sklepu i rozejrzała się po lśniących butelkach stojących na półkach. Było tak bardzo cicho. Wszystko, nawet drewniana lada, przesiąknięte było wonią przypraw i ziół. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ojciec nie żyje, i że jej życie tutaj też się kończyło. Zawsze wyobrażała sobie, że będzie pracować z ojcem, aż on przejdzie na emeryturę, a Stowarzyszenie Aptekarzy przyjmie ją na członka, chociaż była dziewczyną, i że pewnego dnia sama poprowadzi interes.

Ojciec nauczył ją tak wiele, że wierzyła, że właściwie już teraz mogłaby poprowadzić aptekę samodzielnie, chociaż wiedziała, że to niemożliwe.

Wróciła do salonu i zaczęła sprzątać. Tylko piętnastu żałobników zjawilo się na pogrzebie, ponieważ śnieżycyca utrudniła wysłanie listów do wszystkich starych przyjaciół i znajomych ojca, którzy zechcieliby złożyć mu hołd, a równie trudno tym, którzy otrzymali listy, było udać się w podróż. Clementa złożono w krypcie Świętego Jakuba obok jego żony, której ciało policjanci odzyskali z Fortune of War.

Kiedy szła ze świeczką wąskimi schodami do swojej sypialni na piętrze, zatrzymała się w połowie drogi i zaczęła szlochać. Stała, kurczowo trzymając się poręczy, łzy spływały jej po policzkach, a ona próbowała przełknąć tę rozpacz, która gulą dusiła ją w gardle.

Nigdy dotąd w mieście z siedmiuset tysiącami mieszkańców nie czuła się tak samotna.



Kuzynka Sara miała na nią czekać, gdy dyliżans przybędzie późnym popołudniem do Rose Inn w Birmingham. Było bardzo zimno, ale jasno, a dyliżans dojechał szybko z Shelly, ich ostatniego przystanku na posiłek i zmianę koni.

Poprzedniego dnia zatrzymała ich w Banbury pęknięta sprężyna, ale mimo to potrzebowali tylko trzech dni, aby pokonać dystans ponad stu dziewięćdziesięciu kilometrów z Londynu. Beatrice stać było na wydanie pięciu pensów na miejsce wewnątrz i była z tego zadowolona, szczególnie pierwszego dnia, kiedy niedaleko Watford wjechali w potężną burzę gradową, a pasażerowie na dachu zmarzli i przemokli, pomimo grubych okryć.

Z początku Beatrice nie rozpoznała kuzynki Sary, dopóki ta nie przedarła się przez tłum na dziedzińcu, wołając:

– Beatrice! Beatrice! Tu, ty niemądra dziewczyno! Tu! – Jakby przywoływała psa.

Kuzynka Sara nie była wcale tak samo wysoka, jak zapamiętała ją Beatrice. Właściwie teraz wydała się bardzo drobna i szczupła. Pod prostym czarnym czepcem kryła się szczurza twarz o osadzonych blisko siebie oczach i sterczących zębach. Kuzynka miała na sobie ciemnoszarą pelerynę i szare zamszowe rękawiczki.

– Dzięki Bogu, przyjechałaś na czas! – wykrzyknęła. – Myślałam już, że umrę, jeśli będę musiała czekać dłużej! Mój

Boże, dziewczyno, jak ty marnie wyglądasz! Nie jesteś przypadkiem chora, co?

– Jestem tylko zmęczona – odparła Beatrice. Chociaż kuzynka Sara była taka drażniąca, to po takiej podróży spotkanie kogoś, kto troszczył się o nią, niosło ulgę, i Beatrice była bliska płaczu.

Woźnica ściągnął z dachu powozu jej brązowy skórzany kufer, a bezzębny tragarz przyciągnął go do niej z uśmiechem.

– Jeremy! – zawołała kuzynka Sara, odwracając się. – Jeremy... Gdzie ty jesteś? Co za chłopak!

Z tłumu wyłonił się młody, około siedemnastoletni, chłopak ubrany w grubą ciemnozieloną kurtę i czarny trójgraniasty kapelusz. Był wysoki i dobrze zbudowany, o falistych kasztanowych włosach, które sięgały mu prawie do ramion. Beatrice pomyślała, że jest całkiem przystojny, chociaż nie podobały jej się jego usta, dość pełne i krwiste, jakby wciąż potajemnie zajadał się truskawkami, ani oczy, które zdradzały przebiegłość.

– To mój najmłodszy syn, Jeremy, twój krewny – wyjaśniała kuzynka Sara. – Jeremy, to Beatrice, córka nieodżałowanego Clementa. Spraw, aby poczuła się u nas jak w domu.

Jeremy zdjął kapelusz i wykonał przed Beatrice przerysowany ukłon.

– Witaj w Birmingham, Beatrice – odezwał się z drwiną w głosie. – Obyś była tu szczęśliwa. Zobacysz, że w porównaniu z Londynem jest tu niesamowicie nudno, ale postaramy się cię rozbawić.

– Jeremy, zachowuj się – rzuciła kuzynka Sara. – Ta biedna dziewczyna została właśnie sierotą i na pewno nie szuka uciech.

Opuścili dziedziniec i wyszli na drogę, gdzie czekał na nich powóz, prosta rdzawa dwukółka z podniszczonym skórzanym dachem. Dwa zmęczone konie stały między dyszlami, a na koźle siedział starszy woźnica z bokobrodami, w cylindrze na głowie, wyglądający na jeszcze bardziej wyczerpanego niż konie. Jeremy umieścił kufer Beatrice z tyłu i wszyscy wsiedli.

– Wio! – zawołał woźnica, bez entuzjazmu potrząsnawszy lejcami, i konie powlokły się noga za nogą.

– Tylko tyle rzeczy zabrałaś? – spytała kuzynka.

– Ciocia Felicity wyśle więcej – odparł Beatrice. – Resztę moich ubrań i wszystkie książki ojca razem ze sprzętem laboratoryjnym.

– A na co ci to, do diaska?

– Mogłabym przygotowywać dla nas lekarstwa, kiedy tylko będziemy potrzebować.

– Ty? Cóż za myśl! Jesteś tylko dzieckiem!

Beatrice zastanowiła się nad tym, co Molly jej powiedziała o staniu się kobietą, ale nie chciała się spierać.

– Tata pokazał mi, jak sporządzać wszelkiego rodzaju toniki, syropy i pigułki, prawie na wszystkie dolegliwości, o jakich można pomyśleć. I jak robić różne sztuczki magiczne, na przykład świece, których nigdy nie można zdmuchnąć, obojętnie jak mocno się dmucha, i drobiny papieru, które same tańczą.

Kuzynka Sara zamrugnęła z dezaprobatą.

– Beatrice, właśnie zostałam sierotą. Nie sądzę, aby takie głupstwa przystawały podczas żałoby. A właściwie nie sądzę, żeby przystawały kiedykolwiek.

Beatrice była przekonana, że tacie spodobałoby się, gdyby kontynuowała jego „tajemnice”, szczególnie jeżeli miałyby ją rozweselić. Jednak tylko odwróciła głowę, nie mówiąc już nic więcej. Nawet jeśli wciąż była dzieckiem, była też wystarczająco dorosła, aby zaakceptować szczodrość kuzynki Sary i to, że zaoferowała przyjęcie jej do siebie. Ponadto wiedziała, że nie ma absolutnie innego miejsca na świecie, do którego mogłaby pójść.



W porównaniu z Londynem Birmingham wydawało się Beatrice bardzo małe, ale było też o wiele czystsze. Chociaż ze

wszystkich kominów w mieście buchał dym, to silny zachodni wiatr znad pokrytych śniegiem wrzosowisk rozwiewał go, przywracając powietrzu przejrzystość. Główna ulica była niestarannie wybrukowana i bardzo stroma, pełna straganów, sklepów i domów stojących po obu stronach. Miała o wiele szersze chodniki niż centrum Londynu, i lepiej zamiecione, ale Beatrice zauważyła, że większość przechodniów jest niemodnie ubrana. Mężczyźni nosili pełne peruki i płaszcze do kostek, a tylko nieliczne kobiety miały suknie z fiszbinami.

Konie powoli ciągnęły pod górę powóz, a woźnica od czasu do czasu, bez większego entuzjazmu, poganiał je wołaniem: „Wio! Wio!”. Dotarli do High Town i skierowali się w stronę Pinfold Street, gdzie mieszkała kuzynka Sara. Gdy skręcili, wskazała wspaniałą barokowy kościół na szczycie wzgórza, wykończony połyskującym, białym piaskowcem.

– Tutaj czcimy Pana, Beatrice. To parafia Świętego Filipa. Będiesz mogła pomodlić się za twojego biednego tatę.

Beatrice rzuciła jej przelotny uśmiech, bo nie musiała iść do kościoła, aby modlić się za ojca. W swojej głowie cały czas z nim rozmawiała. Nadal słyszała jego głos, jego śmiech.

Zajechali przed trzykondygnacyjny dom kuzynki Sary, stojący w środku szeregu pięciu ceglanych kamienic, które wychodziły bezpośrednio na ulicę.

– Proszę – powiedziała Sara, gdy Jeremy pomógł im wysiąść z powozu. – Teraz to będzie twój dom, Beatrice, na resztę życia.



Chociaż z zewnątrz budynek wyglądał na wąski i nijaki, wewnątrz był przestronny, miał wysokie pokoje i wysokie okna, które wychodziły na mały jabłoniowy sad znajdujący się na tyłach. Kuzynka Sara pokazała Beatrice elegancko umeblowany salon z mosiężnym zegarem z kurantem oraz lustrem nad kominkiem, które lekko zniekształcało odbicia. Potem zaprowadziła ją do jadalni, gdzie na środku stał lśniący

mahoniowy stół, a przy nim krzesła z rzeźbioną tarczą w oparciu; na końcu przeszły do kuchni, w której otyła czarnowłosa kobieta w długim, białym fartuchu pocila się obficie, gotując udziec barani w wielkim, czarnym garnku.

– To jest Elizabeth – przedstawiła kucharkę kuzynka Sara. – Elizabeth, to Beatrice. Biedna dziewczyna na pewno jest głodna po podróży. Może ukroisz jej trochę szynki i chleba, i marynowanej cebuli.

Elizabeth uniosła fartuch i przytknęła go do twarzy, aby zetrzeć pot. Kiedy go opuściła, powiedziała:

– Muszę jeszcze nastawić zupę rybną, proszę pani.

– Dasz radę, Elizabeth – odparła pani Minchin, chociaż Beatrice odebrała to bardziej jako rozkaz niż wyrażenie zaufania. – Poza tym, jak Beatrice odpocznie i przeberze się, będzie ci pomagać. Nasza pomoc kuchenna, Jane, wyjechała w tym tygodniu do Edgbaston na pogrzeb matki, a pokojówka Agnes jest na zakupach. Umiesz obierać ziemniaki, co, Beatrice? A mama na pewno pokazała ci, jak nakrywać do stołu.

Kiedy wychodziły z kuchni, Bea zerknęła na Elizabeth i zauważyła jej kwaśną minę, gdy łyżką cedzakową zdejmowała szumowiny z gotującego się udźca.

– Chodź, Beatrice – powiedziała kuzynka. – Pokażę ci twój pokój.

Weszły głównymi schodami na piętro. Kuzynka Sara dotknęła palcem ust, a potem wskazała drzwi po lewej stronie.

– To pokój Rodericka. Zawsze zachowujemy się bardzo cicho, kiedy przechodzimy obok jego pokoju.

Zatrzymała się, a kiedy zauważyła, że Beatrice nie wie, o co chodzi, dodała:

– Roderick, mój mąż. Wkrótce po narodzinach Jeremy’ego kopnął go koń i od tamtej pory trudno przewidzieć jego zachowanie, więc staramy się mu nie przeszkadzać.

– Rozumiem – odparła Beatrice, chociaż trudno jej było sobie wyobrazić, co według kuzynki ma oznaczać, że „trudno przewidzieć jego zachowanie”.

Pokonały kolejną kondygnację po węższych i bardziej stromych schodach. Na najwyższym piętrze znajdowały się dwie duże sypialnie i dużo mniejszy pokój wychodzący na tyły domu.

– To pokoje Olivera i Charlesa – oznajmiła kuzynka Sara, otwierając drzwi do obu większych pokoi. – Nie ma ich teraz, Oliver jest w Indiach, a Charles na uniwersytecie. – Otworzyła drzwi do mniejszego pokoju. – Będiesz mieszkać tutaj, Beatrice.

W pokoju stało pojedyncze drewniane łóżko przykryte patchworkową kołdrą, pod oknem sosnowy stolik z dzbanem i miednicą do mycia, mała szafa o półkolistych drzwiach z dwiema szufladami na dole. Nic więcej się nie zmieściło, nie było nawet krzesła.

Na ścianie obok łóżka wisiał w ramce drzeworyt przedstawiający brodatego mężczyznę w długim, niebieskim płaszczu.

– Święty Filip – oznajmiła kuzynka. – Wielki cudotwórca. Wiesz, że ukrzyżowano go głową w dół? Ale on nie przestawał się modlić, nawet gdy wisiał.

W tym momencie Jeremy wszedł po schodach, ciągnąc kufer Beatrice, który stukał głośno na każdym stopniu, aż kuzynka Sara syknęła:

– Ciiii! Chcesz, żeby twój ojciec znowu dostał ataku?

– On śpi, mam – uspokoił ją Jeremy. Zaglądałem do niego.

– Mimo to nie chcę, żebyś go obudził. W tej chwili mam i tak dosyć spraw na głowie.

Jeremy zostawił kufer na korytarzu i zszedł na dół, celowo gwiżdżąc po drodze.

– Co za chłopak – zachnęła się kuzynka. – W końcu mnie wpędzi do grobu. – Rozejrzała się po pokoju. – Zostawiam cię, żebyś się rozpakowała. Jak skończysz, zjedź do kuchni i pomóż Elizabeth. Na obiedzie będzie dzisiaj siedem osób, bo przyjdą jeszcze członkowie rady parafialnej, a Elizabeth zawsze wpada w panikę, jak ma przygotować posiłek dla więcej niż czterech osób.

Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się i dodała:

- Zanim zapomnę... Ten dochód.
Beatrice uniosła brwi.
- Jaki dochód?
- Ze sprzedaży interesu ojca. Felicity powiedziała mi, że weźmiesz całkiem rozsądną sumę. Dwieście czterdzieści trzy gwinee, zdaje się, po spłacie prawników i licytatorów.
- Tak – odparła Beatrice.
- Przywiozłaś pieniądze ze sobą?
- Tak. Ciotka Felicity powiedziała, że będziesz miała sejf, żeby je bezpiecznie przechować.
- Cóż, tak, bo będę na nie liczyć w kwestii opłat za twoje mieszkanie i wyżywienie, nie wspominając o ubraniu i wszystkich innych przypadkowych wydatkach, które mogą się pojawić w ciągu najbliższych lat.
- Przyniosę je, kuzynko, gdy tylko się przebiore.
- Kuzynka Sara uśmiechnęła się jak szczur.
- W takim razie pospiesz się. I załóż coś skromnego, najlepiej z fartuszkem. W tym domu nie zezwalam na frywolne stroje, a poza tym czeka cię praca.
- Zanim wyszła, wyjęła z zamka klucz i uniosła go.
- Na wypadek pożaru – powiedziała i wrzuciła do kieszeni. – Nie chciałabym, abys była tu zamknięta w płonącym łóżku, a my nie moglibyśmy cię uratować.



Tego wieczoru, kiedy kuzynka Sara pożegnała ostatnich gości, zeszła do kuchni. Miała na sobie prostą, błękitną sukienkę, a włosy ciasno zaplecione.

W kuchni Beatrice i Agnes, pokojówka, już zaczęły zmywać talerze i sztuce, gdy kucharka Elizabeth siedziała przy stole, szorując garnki, jakby żywiła wobec nich jakąś urazę.

Agnes, która po południu wróciła z zakupów, była małą, zwinną dziewczyną o dużym biuście, okazałych biodrach i okrągłej twarzy z perkatym nosem i rzucającym się w oczy

brakiem dwóch jedynek. Zabrała się do pracy bez utyskiwania, mówiła bez emocji, lecz jej akcent z Birmingham był tak silny, że Beatrice z trudem ją rozumiała.

– Bertrice, przynieś ino te talerki ze stoła, ja? – poprosiła, nalewając gorącej wody z emaliowanego dzbana do zlewu.

Kuzynka Sara stała przez chwilę i przyglądała się im.

– Udaję się teraz na spoczynek – powiedziała. – Do zobaczenia rano, Beatrice. Dobrych snów. Agnes, poproszę herbatę na wpół do siódmej. Mam jutro dużo pracy. Elizabeth, sos z kaparów był bardzo cienki, a wielebny Bute miał ość w zupie, przez co prawie się udławił.

Elizabeth nic nie odpowiedziała, ale stuknęła żelaznym garnkiem.

– Dobranoc, kuzynko – powiedziała Beatrice. – I dziękuję.

Kuzynka uśmiechnęła się powściągliwie, pełna samozadowolenia, jakby Beatrice komplementowała jej świętość, a potem zostawiła je, aby skończyły sprzątać. Minęła już dziewięta i Beatrice czuła się mocno zmęczona. Po trzech dniach podróży dylizanssem, kiedy była ściśnięta z piątką innych osób, bolało ją wszystko, a szczególnie plecy.

– Bertris, jidź no, na górę – powiedziała Agnes, gdy Beatrice zaczęła wycierać wazę. – Ja i Elizabeth dokończymy. Spójrz na siebie, dziewczyno, zmachana jesteś.

Dała jej zapaloną świecę i Beatrice powoli wspięła się po schodach do swojej sypialni. Zatrzymała się na pierwszym piętrze i chwilę nasłuchiwała. Z pokoju Rodericka dochodziło szorstkie, nieregularne chrapanie, ale po drugiej stronie usłyszała głos Sary; mówiła bardzo cicho i bardzo szybko, jakby w pośpiechu wydawała komuś polecenia.

Beatrice podeszła na palcach pod drzwi pokoju kuzynki i przyłożyła do nich ucho, aby rozróżnić słowa. Jednak usłyszała jedynie: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen”. Po nich rozległo się skrzypienie, gdy Sara kładła się do łóżka.

Poszła dalej na górę do swojego pokoju. Kiedy otworzyła drzwi, okazało się, że jest tam tak zimno, że para leci jej z ust,

na dworze zaś panują takie ciemności, że jej postać odbija się w czerni okna i wygląda jak blady duch, który jej się przygląda. Nie była w stanie rozebrać się przed położeniem do łóżka. Zdjęła tylko czepek, rozpięła buty i poluzowała sznurki gorsetu. Otuliła się szczelnie kołdrą i tak leżała, skulona i drżąca. Nie miała nawet siły zapłakać. Flanelowa pościel był szorstka i wilgotna, jakby nie wysuszono jej dokładnie po praniu.

Przez chwilę słyszała jeszcze echa brzękania w kuchni na dole, ale po dwudziestu minutach w domu ucichło, a ona zasnęła.



Śniło jej się, że znowu jest w drodze do Banbury i siedzi w rogu powozu, który podskakuje i szarpie. Niemal przygniatała ją ogromna suknia z fiszbinami kobiety obok, a mężczyzna siedzący naprzeciw dźgał ją kościstymi kolanami. Na zewnątrz krajobraz ciemniał i wielkie płaty śniegu spadały z nieba jeden za drugim. W oddali widziała pozbawione liści wiązy, na których przysiadły atramentowe kruki.

Kobieta odwróciła się do niej i okazało się, że to Molly z Fortune of War. Puściła oko do Beatrice i powiedziała:

– Dostałaś ciotki, kochana. Ciotki, cioty.

W następnej chwili nastąpił potężny wstrząs, a jej pokój nagle wypełniło światło i tańczące cienie. Owinęła się kołdrą i z walącym sercem usiadła na łóżku. Przez kilka sekund nie mogła się zorientować, czy to nadal jej się śni, czy to jawa.

W drzwiach jej sypialni stał kompletnie nagi, przerażający mężczyzna z długą świecą w dłoni. Siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony jak puch dmuchawca, a głęboko osadzone oczy błyszczały niezdrowo. Był kościsty i potwornie wychudzony, tylko brzuch miał tak opuchnięty, że aż pępek mu sterczał. Mężczyzna pochylał się i mocno trzymał penisa we wzwodzie, jakby się bał, że gdy go puści, to straci równowagę i upadnie.

– No! No! Chwała niech będzie Panu i wszystkim serafinom!
– wykrzyknął, unosząc i opuszczając sugestywnie brwi z każdym wypowiedzianym słowem. – Moja najdroższa Sara mówiła mi, że będziemy gościć w domu młodą dziewczynę! Ale nie powiedziała, jak będzie nadobna!

Zrobił jeden niepewny krok w jej stronę, potem drugi.

– Odrzuć tę kape, moja droga, i pozwól, by zmarznięty człek poczuł ciepło twego łóżka i ciała.

Beatrice cofnęła się, skulona i przerażona, podciągając kóldrę pod szyję. On stanął przy łóżku ze świecą w jednej dłoni i penisem w drugiej i ostentacyjnie oblizywał usta.

– Spędzimy razem noc, ty i ja! – powiedział do niej. – Dasz mi dzieci, posłusznych potomków, a ja wywłaszczę tych moich zdradzieckich synów, którzy chcą tylko ograbić mnie z fortuny.

– Kuzynko Saro! – próbowała krzyczeć Beatrice, ale była tak przerażona, że udało jej się wydobyć z siebie jedynie szept.

Odchrząknęła, gdy napastnik zrobił kolejny krok, i już miała krzyknąć, kiedy w drzwiach zjawił się Jeremy ze świecznikiem w ręku. Miał na sobie szlafmycę i długą, białą koszulę nocną.

– Ojczy! – rzucił krótko, jakby przemawiał do nieposłusznego dziecka. – Co tu robisz? Wracaj do łóżka w tej chwili!

– Łuuuu! – zawołał szalencie, zakręcił się na pięcie przerażony i upuścił świecę na podłogę. Niemal przewrócił się na bok, ale Jeremy schwycił jego chude ramię i pchnął go ku drzwiom.

– Szybko, Beo! Beatrice! Świeca! – krzyczał.

Beatrice zerwała się z łóżka i podniosła ją w chwili, gdy kudłaty dywanik już zaczynał się tlić.

Jeremy pchał i ciągnął Rodericka po schodach na dół. Ten przez całą drogę lamentował gardłowo, bardziej jak nieposłuszny pies niż człowiek, a kiedy wrócił do swojego pokoju, Jeremy całkiem głośno zatrzasnął drzwi. Nic z tego najwyraźniej nie zaniepokoiło kuzynki Sary, bo zapewne była do tego przyzwyczajona. Beatrice siedziała na skraju łóżka, trzymając świecę, a Jeremy wrócił do niej.

– Bardzo cię za to przepraszam! – zwrócił się do niej. – Nie

zrobił ci krzywdy? Zupełnie oszalał.

– Nic mi nie jest – odparła Beatrice, starając się być dzielna, chociaż drżała z zimna i przerażenia.

Jeremy usiadł na łóżku obok niej.

– Jeżeli kiedyś znowu będzie ci się naprzykrzał, musisz mnie zawołać. Zawsze zjawiam się natychmiast. A tak naprawdę, powinnaś zamykać się na noc na klucz.

– Twoja matka zabrała klucz. Powiedziała, że to za duże ryzyko zamykać drzwi, na wypadek pożaru.

– Och, ona panicznie się tego boi. Jej rodzice zginęli w pożarze, kiedy była młoda. Widziała, jak dobijają się do okien z palącymi się włosami, i nic nie mogła zrobić, aby ich uratować.

– To straszne!

– Hm... wtedy przygarnęła ją ciotka. Dlatego czuła się zobowiązana, żeby przyjąć ciebie. Mało ma współczucia dla innych ludzi, Beo, to wiem, ale mocno wierzy w swój chrześcijański obowiązek.

Jeremy objął ją ramieniem.

– No, już... Lepiej się czujesz? Powiem ci, co zrobię... Przyniosę ci drewniany klin, który możesz wepchnąć pod drzwi w nocy, żeby ojciec nie wszedł.

– Dziękuję – odpowiedziała Beatrice. – A jak naprawdę będzie pożar?

– Wtedy wykopię drzwi i uratuję cię, nie martw się.

Jeremy wziął od niej świecznik i Beatrice położyła się z powrotem do łóżka.

– Śpij dobrze – powiedział z uśmiechem. – Ty i ja będziemy dobrymi przyjaciółmi, poczekaj, a się przekonasz.

Pochylił się i pocałował ją w czoło. Potem wyprostował się i wyszedł z pokoju, po cichu zamykając za sobą drzwi. Beatrice otuliła się ciasno kołdrą i leżała w ciemnościach z otwartymi oczami. Nieomal żałowała, że nie wierzy w duchy, bo chciała poczuć, jak jej mama pochyla się nad nią, tak jak zawsze.

– Dobranoc, mamó – wyszeptała. – Dobranoc, tato.

Jednak nie padła żadna odpowiedź, a za oknem miasto

Birmingham milczało, poza jakimś pijakiem śpiewającym na ulicy.

Rozdział 8

Pierwszy raz zobaczyła Francisa rankiem siedemnastego marca, gdy wracali z niedzielnej mszy u Świętego Filipa. Beatrice i Jeremy szli z przodu, a kuzynka Sara podążała kilka kroków za nimi z panią Shelley, ich owdowiałą sąsiadką, której sztywne, czarne spódnice szeleściły głośno, gdy szła, i nie przestawała mówić o tym, jak jest nieszczęśliwa.

– Dlaczego Pan wybrał mnie ze wszystkich ludzi? Co ja takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na tę niedolę?

Poranek był chłodny, czyste błękitne niebo przecinała tylko cienka długa smuga cirrusa, a platan miał już zielone pąki.

– Zasnęłaś podczas kazania – powiedział Jeremy.

– Nie zasnęłam – odparowała Beatrice. – Tylko zamknęłam oczy, żeby skupić się jak najlepiej na słowach wielebnego Bute’a, zamiast patrzeć na ciebie, jak stroisz te swoje głupie miny.

– To w takim razie, o czym było kazanie?

Beatrice spojrzała w niebo i nie odpowiedziała.

– No, dalej, mów – nalegał Jeremy. – Jeżeli tak mocno się koncentrowałaś, to o czym było?

– O trzodach.

– Nieprawda. Było o chorobach.

– Hm, w tym kościele jest echo. Trzody, choroby. Choroby, trzody. Brzmią prawie tak samo.

– Wcale nie. A palce nie odpadają pasterzom.

Skręcili w Bell Street, a wtedy okazało się, że grupa dwudziestu lub trzydziestu osób obu płci zablokowała chodnik. Właśnie wyszli z dużego domu przy głównym rynku miasta,

śmiali się, rozmawiali i podawali sobie ręce. Beatrice pomyślała, że nigdy nie widziała tak radosnych ludzi w niedzielny poranek. Może dlatego, że nie byli w kościele Świętego Filipa i nie musieli siedzieć przez niekończące się kazanie wielebnego Bute'a o trędowatych.

„I włożył rękę pod ubranie, a gdy ją wyjął, była pokryta trądem białym jak śnieg. I rzekł do niego Pan: «Włóż jeszcze raz rękę pod ubranie!». A gdy to zrobił i po chwili wyciągnął, była taka jak reszta ciała”.

Beatrice i Jeremy musieli obejść tych ludzi ulicą, a Beatrice usłyszała, jak kuzynka Sara głośno cmoka za nią i mówi:

– Naprawdę! Nie mają żadnego szacunku dla wiary ani dla innych także.

Jeden z mężczyzn usłyszał to, ponieważ zszedł na bok, aby ją przepuścić.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, pani Minchin – powiedział.

Beatrice odwróciła się, a wtedy zauważyła wysokiego chłopaka, stojącego obok mężczyzny, który właśnie przeprosił. Chłopak przyglądał się jej, jakby wiedział, kim jest i co dokładnie tu robi. Mało tego, wyglądał, jakby się martwił, ponieważ ona postanowiła go nie rozpoznać. Był bardzo szczupły, miał ciemne włosy i był ubrany cały na czarno, poza białą chustą zawiązaną ciasno pod szyją. Beatrice pomyślała, że jest całkiem przystojny, choć patykowaty, jakby ręce i nogi nagle urosły mu przez noc, ale reszta ciała jeszcze nie zdążyła. Jednak tak naprawdę jej uwagę zwrócił wyraz jego oczu. Niemal wierzyła, że rozumiał wszystko, co czuła: jak bardzo była samotna, jak bardzo tęskniła za rodzicami, i jak trudno było jej żyć tu, w Birmingham, u kuzynki Sary.

– Ko to był? – zapytała Sarę, oglądając się przez ramię.

– Geoffrey Scarlet – rzuciła kuzynka Sara. – Ma księgarnię przy High Street, a mieszka nad gospodą Łabędź. Wydaje cotygodniową gazetę, „The Birmingham Journal”. Same plotki.

– Chodziło mi o tego chłopaka, który był z nim.

– Nie odwracaj się, dziewczyno. Nie chcemy, aby pomyśleli,

że choćby trochę się nimi interesujemy, bo oczywiście tak nie jest. To są nonkonformiści. To znaczy, że nie zgadzają się z tradycją Kościoła ani nie przyjmują jego władzy. Jest ich o wiele za dużo w Birmingham. To wylęgarnia. Mamy tu kwaków do licha i trochę. I radykalnych dysydentów też. Aż strach pomyśleć, do czego zmierza świat.

Beatrice znowu spojrzała przez ramię. Widziała, że chłopak zszedł na jezdnię i patrzył, jak ona idzie ulicą.

– Nie wie kuzynka, jak się nazywa? – zapytała Sarę.

– Kto jak się nazywa? O czym mówisz?

– Ten chłopak.

– Mówiłam, nie odwracaj się! To Francis, syn Geoffreya Scarleta. Do diaska, na co ci to wiedzieć?

– Zadurzyła się! – zahuczał Jeremy. A potem powiedział wprost do Beatrice: – Zadurzyłaś się, co? Zadurzyła się we Francisie Scarlecie! Akurat w nim z tych wszystkich gamoni!

– Wcale nie – zaprotestowała Beatrice. – Tylko on tak się gapił, to wszystko, i chciałam wiedzieć dlaczego.

Jeremy postukał się palcem w nos i puścił do niej oko.

– Może to on zadurzył się w tobie, mała Beo! Nie życzę ci takiego pecha!



Mijały miesiące, a Beatrice widywała Francisca prawie w każdą niedzielę. Gdy tylko ją widział, jak wraca do domu z kościoła po mszy, występował z tłumu nonkonformistów stojących na rogu Bell Street i odprowadzał ją wzrokiem, aż dochodziła do Lea Lane. Ona od czasu do czasu zerkała na niego przez ramię i posyłała nieśmiały uśmiech.

Kiedyś kuzynka Sara przyłapała Beatrice na odwracaniu się, sama spojrzała do tyłu, aby sprawdzić, czemu dziewczyna tak się przygląda.

– Beatrice? Ten chłopak od Scarletów znowu na ciebie łypie, co?

– Pójdę go walnąć, jak chcesz – zaproponował Jeremy, także się odwracając.

– Och, Jeremy, nie wygłupiaj się! – powiedziała Beatrice. – Odwracałam się, bo nie dosłyszałam, co pani Shelley mówi do twojej matki, i pomyślałam, że zostawiliśmy je w tyle.

– Moja Beatrice! – skarciła ją kuzynka. – Nie pozwalaj sobie na taką bezczelność!

Beatrice widywała Francisa także w ciągu tygodnia. Zawsze był ze swoim ojcem, matką lub czasami z jedną z sióstr, więc nie mogli zatrzymać się i porozmawiać. Ona też zazwyczaj była z Jeremym, który rzadko kiedy zostawiał ją samą. Jeżeli kuzynka Sara wysyłała ją po sól albo masło do sklepu czy do rzeźnika po wieprzową wątrobę, Jeremy upierał się, żeby iść z nią. Nawet niósł jej koszyk, ignorując drwiny kolegów: „Po sprawunki, panna z kawalerem?”.

Zawsze, gdy była w domu, na piętrze lub na parterze, on starał się być przy niej, oferując pomoc w dowolnych pracach, obojętnie czy zmywała sztućce, czy zmieniała pościel albo trzepała dywany. Jeżeli nie pomagał, to po prostu na nią patrzył.

Był jednak zabawny i przez większość czasu radosny. Nauczył ją grać w gęś na kolorowej planszy z sześćdziesięcioma trzema polami.

– Jeżeli wylądujesz na gęsi, będziesz bogata i ci się poszczęści – tłumaczył jej. – Jak wylądujesz na złym polu, na przykład na piwiarni, to jesteś biedna i nieszczęśliwa jak ja... Ja zawsze kończę w pubie.

– Oj, nie mów tak – odparła Beatrice.

Jeremy wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Jak pożyczysz tu z moją matką wystarczająco długo, pewnie przyłączysz się do mnie. Lepiej być pijanym niż poniewieranym.



Pewnego ranka w połowie lipca, kiedy kuzynka Sara poszła na zebranie parafialne, a Agnes była w ogrodzie i wieszała pranie, Beatrice zdjęła klucz z haczyka w kuchni i zeszła do piwnicy. Zostało tam zmagazynowane całe wyposażenie apteki ojca – słoje suszonych ziół i szklane retorty, butle z truciznami i witriolem – ale Beatrice szukała jego notesów.

Znalazła je w drewnianej skrzyni na końcu piwnicy, zawinięte w jute. Było razem pięć zeszytów oprawionych w brązową skórę, a każdy z nich wypełniało staranne, równe pismo ojca. Szczegółowo opisał wszystkie preparaty, które sporządzał na gorączkę, zakrzepicę albo *lupus vulgaris*. Nie tylko na to, zapisał tam wszystkie swoje „tajemnice”, naukowe doświadczenia, na przykład, jak sprawić, aby martwa mysz przebiegała przez pokój lub pierze samowolnie zajęło się ogniem, albo żeby ludziom włosy stanęły dęba, jakby zobaczyli ducha.

Zaniosła bruliony do swojego pokoju i schowała pod łóżkiem, ale prawie co noc wyciągała jeden i czytała, aż robiła się zbyt zmęczona albo kuzynka stawała w połowie schodów i wołała:

– Beatrice! Natychmiast gaś światło i idź spać!

Kiedy czytała słowa ojca, niemal słyszała, jak do niej mówi, słyszała jego śmiech, jak wtedy, kiedy zaskoczył którąś ze swoich magicznych sztuczek. Opuszkami palców dotykała napisanych przez niego literek.

– Kocham cię, tato, gdziekolwiek jesteś.



Minał rok, potem kolejny, i jeszcze jeden. Wraz z upływem czasu Beatrice przejmowała coraz więcej obowiązków domowych, a zanim skończyła piętnaście lat, kuzynka Sara często powierzała jej całe gospodarstwo, gdy sama wyjeżdżała w odwiedziny do siostry lub przyjaciółek, często nawet na dwa lub trzy dni.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Agnes zaszła w ciążę z synem miejscowego woźnicy, chociaż nie powiedziała o tym nikomu poza Beatrice. Błagała ją o olej miętowy z zapasów jej ojca, żeby wywołać poronienie, ale Beatrice odmówiła. Przeczytała w notatkach ojca o ciężarnej prostytutce z Bow, która zażyła tylko dwie małe łyżeczki, a to wystarczyło, aby się zatrula i umarła. Agnes nie przestawała jej prosić, ale Beatrice nie ustępowała, aż w końcu pokojówka przewróciła się na oblodzonym bruku na targu i poroniła w naturalny sposób.

Beatrice nadal całkiem często widywała Francisa, chociaż wciąż nie mieli okazji ze sobą porozmawiać. Co dziwne, nie miało to znaczenia. Wymieniali przelotne spojrzenia, a w nich przekazywali sobie wszystko, co chcieli o sobie wiedzieć. Na twarzy Francisa zawsze gościła mina, która mówiła: „Któregoś dnia będziemy razem, ty i ja, ale mogę poczekać”.

Jeremy wyjechał do Londynu, aby studiować prawo u starego przyjaciela jego ojca w Lincoln's Inn. Wrócił jednak po niespełna pół roku z listem, w którym przyjaciel ojca napisał, że „Postępowanie sądowe nie powinno być postrzegane tak, jak czyni to Jeremy, czyli jako rozrywka porównywalna z walką psów”.

Wczesnym wieczorem w maju, po długim dniu pieczenia chleba, gotowania prania i trzepania dywanów, Beatrice z trudem weszła po schodach do swojej sypialni, aby się umyć i przebrać do kolacji. Rozebrała się, powiesiła suknię, a halki położyła na łóżku. Z dzbanka nalala wodę do porcelanowej miednicy, ale zanim się umyła, podeszła do okna i spojrzała na ogród i sad.

Słońce schodziło coraz niżej, wypełniając ogród złotym światłem, tak że wyglądał jak Eden na ręcznie pokolorowanej reprodukcji, którą widziała na ścianie w korytarzu. I oto ona, stała w oknie, a słońce padało na jej skórę. Naga jak Ewa.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie szczęśliwa – tak jak była z ojcem i matką – albo może jej życie będzie niekończącym się ciągiem codziennych obowiązków i prac, i coniedzielnymi wizyt w kościele. Jednak stojąc w promieniach

słońca, czuła, że wzywa ją przyszłość i że gdzieś za wzgórzami na zachodzie, gdzie chowało się słońce, znajdzie utracone szczęście.

Wtedy usłyszała za sobą skrzypnięcie. Odwróciła się i zorientowała, że kiedy spoglądała przez okno, drzwi do jej pokoju otworzyły się, a za nimi, na korytarzu stał Jeremy i przyglądał się jej.

Schwyciła halki z łóżka i zasłoniła się nimi, czując, jak się rumieni.

– Jeremy! Co robisz? Przestań się gapić! Idź sobie!

Jeremy najwyraźniej był zażenowany, że go przyłapała, ale wzruszył ramionami i krzywo się uśmiechnął.

– Co za różnica? – powiedział. – I tak niedługo się pobierzemy.

– Kto tak powiedział?

– Matka, oczywiście. Zaplanowała całe twoje życie. A jak myślisz, co ma robić, skoro się zestarzała? W najbliższą Wielkanoc skończy czterdzieści trzy lata! Ktoś będzie musiał prowadzić za nią dom i dać jej potomków. Nie przyjęła cię z dobroci serca, wiesz przecież.

– Nie wyjdę za ciebie!

– To za kogo? Kogo znajdziesz? Kto oprócz mnie się tobą zainteresuje?

Beatrice nie odpowiedziała, ale zamknęła drzwi i wepchnęła pod nie drewniany klin. Czekala, nasłuchując, ale po chwili dobiegły ją kroki Jeremy'ego schodzącego po schodach.

Odwróciła się do okna. Słońce już zaszło, a niebo szarzało. „Kto się tobą zainteresuje?”, powiedział Jeremy, a ona nie przestawała myśleć o Francisie i o tym, jak na nią patrzył, gdy tylko mijali się na ulicy.

Rozdział 9

– Elizabeth! Agnes! Jenks! – wołała kuzynka Sara. – Chodźcie wszyscy tutaj, natychmiast! Ty też, Beatrice!

Zgromadzili się w jadalni. Padało dość mocno, a Beatrice słyszała, jak deszcz chłoszcze gałęzie jabłoni. Było też mroczno jak na kwietniowe popołudnie.

Na wypolerowanym stole stał wysoki słój na słodycze, do połowy wypełniony zaśnieżonymi, brązowymi monetami, pensówkami i ćwierćpensówkami oraz kilkoma srebrnymi sześciopensówkami. Kuzynka Sara stała po przeciwnej stronie stołu z założonymi rękoma i mocno zaciśniętymi ustami.

Beatrice, która właśnie usuwała pajęczyny z sufitu w sypialniach, wbiegła, trzymając miotełkę ze strusich piór. Agnes stała tuż obok niej, z podwiniętymi rękawami i rękami czerwonymi aż po łokcie od prania w balii. Za nimi stała Elizabeth, od której czuć było pot i słoninę, i Jenks, młody mężczyzna, który wykonywał różne prace w domu, przekopywał ogród i zajmował się końmi. Jenks nieustannie omiatał wzrokiem jadalnię i wachał. Był najstarszym synem jednego z tutejszych kowali, ale jego ojciec uznał, że to zbyt wielka odpowiedzialność powierzyć mu pracę z płynnym żelazem, więc znalazł mu zatrudnienie u Sary Minchin.

Beatrice widziała ich wszystkich w nieco zniekształcającym lustrze stojącym za kuzynką, a subtelne skazy zwierciadła sprawiały, że wyglądali jak obcy, którzy ich tylko udawali.

– Któreś z was bardzo mnie rozczarowało – obwieściła Sara. – Wszyscy musicie być świadomi, że zbieram w tym słoju monety, które w każdą Wielkanoc ofiarowuję ubogim z parafii

Świętego Filipa. Pewnie nie wiecie, ale przeliczam je pod koniec każdego tygodnia po niedzielnym posiłku.

Wszyscy spoglądali na siebie kątem oka. Jenks prawdopodobnie jako jedyny nie wiedział, co chlebowodawczyni zaraz powie.

Podniosła słój i potrząsnęła nim.

– Kiedy przeliczyłam zawartość słoja w zeszłą niedzielę, były w nim dwa funty, siedem szylingów i sześć pensów. Kiedy przeliczyłam monety dzisiaj, odkryłam, że mam tylko dwa funty, jeden szyling i dwa pensy. Ponieważ nie wierzę, że monety mogą wyparować ani że ten dom jest nawiedzony przez kradnące duchy, nie mam innego wyboru, niż uznać, że ktoś z was kradnie. Mówiąc dokładnie, że ukradł sześć szylingów i cztery pensy. Sześć szylingów i cztery pensy! I co któreś z was zrobi z takimi pieniędzmi?

Agnes natychmiast uniosła rękę.

– Proszę pani, jeśli wolno, ja ich nie zabrałam.

– Ach, nie? To dlaczego tak ci spieszo zaprzeczać?

– Bo nie chcę, żeby pani myślała choć przez chwilę, że to ja mogłam je zabrać, bo nie zabrałam.

– Więc gdzie mogły się podziać? To musiał być ktoś z was. Te pieniądze nie zniknęły za sprawą czarów. Elizabeth? Czy przypadkiem nie narzekałaś, że potrzeba ci nowych butów? Sześć szylingów i cztery pensy! Starczyłoby na porządną parę butów, prawda?

– Tak – odparła Elizabeth. – Ale nie ukradłam pani pieniędzy, przysięgam na Pismo Święte.

– Jenks! – warknęła kuzynka Sara. Jenks łypnął na nią i przyłożył lewą dłoń do ucha, żeby pokazać, że słucha.

– Wkładałeś łapę w ten słój z monetami, młodzieńcze?

Zmarszczył brwi, patrząc na swoją dłoń i obracając ją to w jedną, to w drugą stronę. Najwyraźniej nie rozumiał, co do niego mówi.

– Wzięłeś coś z moich pieniędzy, Jenks? Często wałęsałeś się z tego słoja?

Jenks gwałtownie pokręcił głową.

– Nie, pani Chimney. Ja nie.

– Minchin – poprawiła go chlebodawczyni, ale Beatrice widziała po tym, jak zamyka oczy, że to nie pierwszy raz, i nie ostatni. Wtedy kuzynka dodała: – Dobrze! Jeśli żadne z was nie przyzna się do zabrania pieniędzy, a ktoś przecież musiał to zrobić, to wszyscy będziecie musieli za to zapłacić. Elizabeth, Agnes, Jenks... Każdemu z was będę odejmować trzy pensy z tygodniówki, dopóki strata się nie wyrówna, a od ciebie, Beatrice, wezmę szylinga ze spłaty interesu ojca.

– Ale ja nie skradłam pieniędzy kuzynki! – zaprotestowała Beatrice. – Dlaczego miałabym kraść, skoro mam dosyć własnych?

– Nie masz własnych pieniędzy, Beatrice. Pieniądze po twoim ojcu są powierzone mojej pieczy, aby zrekompensować to, że cię przygarnęłam, i wierz mi, że wcześniej czy później się skończą. Co wtedy? Czy wyrzucę cię na ulicę? Oczywiście, że nie.

– Ale mimo to nie wzięłam pieniędzy ze słoja!

Kuzynka wzruszyła ramionami.

– Wierzę, że pewnie nie wzięłaś, moja droga. Ale jeżeli prawdziwy winowajca nie chce się przyznać, jaki mam wybór? Dlaczego biedni i głodni z tej parafii mają cierpieć, bo któreś z was jest takie nieuczciwe? Dlaczego mają chodzić bez butów albo, na ten przykład, głodni? Na miłość boską, za sześć szylingów i cztery pensy dostaliby całe trzy świnie albo tuzin królików.

– Psze pani, trzy pensy na tydzień? Mam rodzinę na utrzymaniu – odezwała się Elizabeth.

– Przykro mi, Elizabeth, ale już postanowiłam. A może wolisz, żebym zawołała komornika? Proszę wracać do obowiązków, wszyscy. Jeżeli któreś z was zechce widzieć się ze mną na osobności i przyznać się do kradzieży, może przyjść o dowolnej porze. W duchu chrześcijańskiego miłosierdzia nie każę was aresztować, ale spodziewam się, że zwrócicie pieniądze.

Wyszli z jadalni i udali się na dół do kuchni. Elizabeth trzęsła się ze złości.

– Nigdy w życiu nie zrobiłam niczego złego! – protestowała. Sięgnęła po wałek i uderzyła w kulę ciasta leżącą na kuchennym stole, jakby to była głowa Sary.

– Żeby pani Minchin oskarżała mnie o takie coś i jeszcze odejmowała mi trzy pensy z tygodniówki! To skandal!

– Toż to tyż ni ja – odezwała się Agnes. – Jokbym znalazła inna robota, zara bym stund pojszła i ani bym się nie obejrzyła.

Jenks podrapał się w głowę i wzruszył ramionami.

– W życiu ich nie wziąłem. Na co miałbym je wydać? Nawet nie wiedziałem, że je ma. A może wiedziałem? Nie pamiętam już zupełnie.

– Może ktoś wszedł do domu z ulicy i je ukradł – zasugerowała Elizabeth. – Frontowe drzwi często są uchylone, co nie, jak Agnes zamiata.

– To naprawdę nie ma sensu – powiedziała Beatrice. – Gdyby złodziej wszedł z ulicy, zabralby cały słój, prawda? To chyba ktoś z domu, bo pomyślał, że jak weźmie sobie parę monet, to nikt nie zauważy.

– Nie ma tu nikogo poza nami, co nie, i panem Roderickiem i paniczem Jeremym?

– Hm, trzeba to sprawdzić – odparła Beatrice.

– A co to da? – dopytywała się Elizabeth. – Dalej będę miała o trzy pensy mniej na tydzień. A pani Minchin nie wytłumaczy moim dzieciom, dlaczego mają się obejść jeden dzień bez mleka.



Kuzynka Sara spędziła czwartek i piątek z przyjaciółkami w Edgbaston. Pewna kobieta, którą znała od dzieciństwa, umierała na dur brzuszny. Sara wróciła wczesnym popołudniem nazajutrz i Agnes zaniósła jej filiżankę herbaty i trochę herbatników, ale po niecałej godzinie pani znowu wezwała wszystkich do jadalni.

Przed nią na stole stał słój, chociaż tym razem był pusty. Kuzynka Sara przeliczyła wszystkie pensy i półpensy i ułożyła

je na szylingowe kupki, a sześciopensówki ułożyła w korony.

– Kpicie sobie ze mnie? – spytała.

Nikt się nie odezwał.

– Czy rozmyślnie prowokujecie mnie i chcecie zmusić, żebym zaciągnęła was przed sąd i wtrąciła do więzienia?

– Nijak nie mam pojęcia, psze pani, co to ma znaczyć? – odezwała się Elizabeth. – Kpimy? Jak?

– Nie domyślasz się, Elizabeth, czy tuman z ciebie? Czysta, bezczelna impertynencja tego czynu! Ze słoja zginęło jeszcze więcej pieniędzy! Trzy szylingi i siedem półpensówek! Nalegam, abyście powiedzieli mi teraz, kto z was je skradł!

Agnes zaczęła szlochać.

– Nie wiem, kto je zabrał, psze pani, jak Boga kocham.

Jenks tylko mrugał i wyglądał na zdezorientowanego.

– Brak mi słów! – dodała kuzynka Sara. – Nigdy nie spotkałam się z taką bezczelną nieuczciwością, ani razu w całym moim życiu.

– Twoje palce, kuzynko – odezwała się Beatrice. – Spójrz na swoje palce.

– Co?

– Spójrz na palce, kuzynko. Widzisz te plamy?

Kuzynka Sara powoli uniosła obie dłonie. Kciuk i opuszki prawej ręki pokrywały fioletowobrazowe przebarwienia, a wewnątrz lewej dłoni widniała o wiele większa plama. Kuzynka wytarła dłonie o fartuch, ale plamy nie chciały zejść. Potarła je ponownie mocniej, lecz zamiast schodzić, robiły się ciemniejsze z każdą sekundą.

– Co?! – krzyknęła. – Skąd one się wzięły? Co mi zrobiłaś?

Pocierała je jeszcze zacieklej.

– Beatrice! Co to jest? Ty to zrobiłaś? Co mi zrobiłaś? Beatrice!

Beatrice podeszła do niej i wzięła za ręce.

– To kamień piekielny, kuzynko. Plami skórę na krótki czas, ale nie szkodzi. Chirurdzy używają go w szpitalach do leczenia ran, a tata sprzedawał go ludziom, którzy chcieli usunąć brodawki.

– Ale skąd? Co? Jak znalazł się na moich rękach? Jak go teraz usunę?

– Wziął się z monet. Gdy cię nie było, wyjęłam je wszystkie i zamoczyłam w azotanie srebra, a potem wysuszyłam, żeby pokryły się solą srebra. Myślałam, że ktokolwiek je weźmie, będzie miał czarne plamy na palcach, jak ty. Przepraszam. Chciałam ci powiedzieć, co zrobiłam, przysięgam. Myślałam, że uznasz to za sprytne. Nawet nie wiedziałam, że będziesz je przeliczać tak szybko.

Kuzynka Sara znowu spojrzała na dłonie. Plamy na opuszkach palców jeszcze bardziej pociemniały, aż zrobiły się prawie czarne.

– Przypuszczam, że zesłaś do piwnicy – powiedziała. Była tak zła, że dostała drgawek, jakby miała zaraz ulec atakowi padaczki. – Powinnam była wyrzucić wszystkie te butelki po twoim ojcu. Wszystkie te eliksiry, proszki i całą resztę tego hokus-pokus.

– Psze pani? – odezwała się Elizabeth. – Psze pani? – powtórzyła z większym naciskiem. Uniosła obie dłonie, spodem na zewnątrz, żeby Sara zobaczyła, że nie ma nich czarnych plam. Szturchnęła Agnes łokciem, żeby postąpiła tak samo.

– No, dalej, Jenks – mówiła Elizabeth. – Pokaż pani Chimney ręce.

– Bardzo dobrze – rzuciła kuzynka Sara. – Wygląda na to, że mogłam was źle ocenić. Możecie teraz iść. Wracajcie do pracy.

– To pani nie zabierze nam trzech pensów na tydzień w takim razie?

– Nie, oczywiście, że nie, bo wygląda na to, że nie odpowiadacie za to. Beatrice... Jak mogę usunąć te straszne plamy? Jutro rano mamy w parafii lekcje szycia. Nie mogę uczyć młodych dziewcząt haftowania z takimi czarnymi paluchami.

– Tata używał soli trzeźwiących.

– W takim razie, mam nadzieję, że je masz.

– Nie wiem, kuzynko. Będę musiała zejść do piwnicy i sprawdzić.

– A jak nie masz?

– Aptekarz na High Street pewnie będzie miał w zapasie. Albo.. jak tacie się skończyły, to używał siuśków.

– Co takiego?

Beatrice zarumieniła się. Ojciec zawsze rozmawiał z nią tak bezpośrednio, a ona często zapominała, że inne osoby mogą być bardziej pruderyjne. Kiedy tylko miał dłonie poplamione kamieniem piekielnym, sikał do miednicy i mył w tym ręce, żeby amoniak usunął srebro.

Miała już wyjaśnić to kuzynce, kiedy Jeremy minął wejście do jadalni, najwyraźniej ukradkiem, nieomal na palcach. Już prawie dotarł do drzwi frontowych, kiedy zaskrzypiała jedna z desek w podłodze.

– Jeremy! – zawołała kuzynka Sara, nie odwracając się. – Nie wychodzisz przypadkiem, Jeremy, co? Chcę, żebyś poszedł ze mną do pani Jupp i zaniósł te wszystkie worki ze starymi ubraniami, które zebraliśmy dla biednych.

Jeremy zatrzymał się, ale nadal stał odwrócony plecami.

– Nie mogę, mamó. Umówiłem się z Frederickiem.

– Frederick może poczekać. Nie mogę przecież nieść tych wszystkich worków sama.

– Niech Jenks zanieś, co?

– Mógłby, oczywiście. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego ty masz iść ze mną. Bardzo chciałabym, abyś zobaczył najmłodszą córkę pani Jupp, Grace.

– Och, proszę, mamó! Nie próbujesz chyba znowu mnie wyswatać, co? Ostatnim razem to była ta okropna Rebecca Buckland. Wolałbym iść do ołtarza z łaciatą świnią niż z nią! Niech Jenks zanieś te worki.

Ruszył dalej korytarzem w stronę drzwi, ale kuzynka Sara poszła za nim. Dogoniła go, gdy właśnie unosił rękę, aby ująć klamkę.

– Pokaż mi swoje palce! – poleciła.

Jeremy niechętnie wyciągnął obie dłonie.

– Ty złodzieju! – wrzasnęła. – Żeby tak mi zabierać pieniądze! Jak śmiałeś zrobić coś takiego?

– Nie brałem twoich pieniędzy! Idę o zakład, że zrobiła to Agnes! Pobręczałaś jej kieszenia? To na pewno ona!

Kuzynka Sara schwyciła go za nadgarstek i zmusiła, aby podniósł poplamione na czarno palce.

– Nie wykpisz się! Oto dowód! Beatrice pokryła monety srebrem! Patrz... Widzisz?! Też poplamilo mi palce! A teraz oddaj pieniądze, w tej chwili, ty niewdzięczny diable!

– Niewdzięczny? Niewdzięczny? Za co mam być wdzięczny? Dajesz mi pół korony na tydzień i spodziewasz się, że będę żył jak lord!

– Gdybyś nie wydawał każdego pensa w Starej Koronie na piwo z tymi twoimi nieudolnymi kolesiami, może zostałoby ci coś z tego! A teraz oddawaj!

Jeremy sięgnął do obwisłej kieszeni surduta i wyciągnął garść pensów i sześciopensówek. Wrzucił je, jedną po drugiej, w dłoń matki, ale kiedy to robił, przyglądał się nie monetom, ale Beatrice, bez zmrużenia oka, a jego spojrzenie nie kryło wściekłości.



Przez następne trzy dni Jeremy jej unikał. Kiedy mijali się na schodach albo jedli razem kolację, nie spoglądał na nią ani się do niej nie odzywał. Palce z uporem nie dawały się wyczyścić, podobnie jak u Sary. Posłali Agnes do miejscowej apteki, żeby kupiła sole trzeźwiące, i przez całe popołudnie w całym domu cuchnęło amoniakiem. Ale za długo zwlekali z usuwaniem plam i już nie dały się zetrzeć.

Kuzynka Sara nie chciała powiedzieć, czy próbowała usunąć je moczem, a Beatrice nie śmiała sugerować tego ponownie, ale prawdopodobnie to też by się nie sprawdziło. Będą musieli poczekać, aż samo zejdzie.

W czwartek po południu, gdy po delikatnym deszczu wyszło słabe słońce, Sara poprosiła Beatrice, aby poszła z Agnes do pasmanterii na High Street po zielone jedwabne nici i igły,

a potem do golibrody po funt pudru do włosów o zapachu pomarańczy.

Szły więc pod rękę przez High Town. Ulica była zatłoczona, a słońce świeciło tak jasno, że odbijając się od mokrego bruku, aż je oślepiało. Dlatego Beatrice nie zauważyła, że Jeremy wyskoczył ze Starej Korony i przedzierał się w ich stronę przez tłum kupujących. Pojawił się przed nimi nagle, z peruką przekrzywioną na jedną stronę i brązowymi plamami po piwie na surducie z wielbłądziej wełny. Był tak pijany, że zataczał się na boki, jakby ktoś go nieustannie popychał.

– Ty! Wścibska! Myślałaś sobie, że jesteś sprytna, mała pannico, zaznaczając pieniądze? Wpędziłaś mnie w kłopoty! Gdyby to były pieniądze kogoś innego, a nie mojej matki, to mógłbym za to zawisnąć! Mogliby mnie powiesić!

– Przepraszam, Jeremy – odpowiedziała Beatrice.

– Przepraszasz? Ty przepraszasz? Co mi z tego przyjdzie? Ona mówi, że wykreśli mnie z testamentu! Z czego będę żył, jak ona się przekreśli? Myślałem, że się pobierzemy! Niezła z ciebie okazała się żona!

– Naprawdę, Jeremy, nie wiedziałam, że to ty zabierasz pieniądze.

– A myślałaś, że kto to był, do diaska? Służba za bardzo się boi albo jest za głupia, albo jedno i drugie! A mój drogi ojciec, niespełna rozumu, nie odróżniłby młotka od guzika!

Agnes odciągnęła Beatrice od niego i powiedziała:

– Panicz Minchin ostawi ją w spokoju. Zrobiła ino to, co uznała za słuszne.

Lecz Jeremy rzucił się na nie z uniesionymi rękami. Krzyczał tak głośno i chrapliwie, nieomal wrzeszczał, że kupujący odwracali się w jego stronę. Przy tym pluł śliną.

– Wiesz, co powinienem ci zrobić za to, że na mnie doniosłaś? Powinienem cię walnąć, aż ci krew polecie z nosa! Jak nosa wścibiasz w nie swoje sprawy, to ci go utną!

Agnes próbowała znowu odciągnąć Beatrice, ale kiedy ta cofnęła się o krok, straciła równowagę na kocich łbach i prawie upadła. Ktoś ją podtrzymał, łapiąc od tyłu, i pomógł stanąć na

nogach. Odwróciła się i ku własnemu zdziwieniu zauważyła, że to Francis Scarlet, chłopak, który przyglądał się jej w niedzielne poranki.

– Nic się panience nie stało? – zapytał delikatnie, a kiedy skinęła głową, zbyt zaskoczona, aby cokolwiek powiedzieć, zwrócił się do Jeremy’ego: – Nie waż się jej tknąć! Słyszysz mnie? Wracaj do piwa i zostaw ją w spokoju!

Jeremy znowu poleciał na bok i wbił we Francisa rozbiegane spojrzenie.

– Ty... – bełkotał. – Ty pęta! Ja ci pokażę!

Francis puścił ramię Beatrice. Zrobił dwa kroki naprzód i pchnął Jeremy’ego obiema rękami bardzo mocno w pierś. Jeremy stracił równowagę i upadł ciężko na plecy, aż nogi poleciały mu w górę. Przetoczył się do rynsztoka, którym nadal płynęła brudna deszczówka, i leżał tam, ogłuszony, wznosząc ku niebu oczy i mrugając.

Beatrice przyłożyła dłoń do ust. Nie wiedziała, co powiedzieć. Dwóch kolegów Jeremy’ego wyłoniło się z pubu, żeby go poszukać, a kiedy zobaczyli go leżącego na wznak w rynsztoku, zanieśli się śmiechem.

– Pomóżcie mi, kutasy! – krzyknął na nich. – No, już!

Agnes też się śmiała, ale Beatrice powiedziała:

– Och, nie! To straszne! On mi nigdy tego nie wybaczy.

Francis uśmiechnął się do niej i pokręcił głową. Jego oczy były dziwnie poważne jak na jego wiek. Beatrice wyobraziła sobie, że Jezus patrzył na swych uczniów z takim samym wyrazem... Troskliwym, silnym, ale nieskończenie tolerancyjnym.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Zajmę się panienką. Zaopiekuję się panienką na zawsze.

To powiedziawszy, odwrócił się i ruszył na wzgórze. Beatrice stała i patrzyła za nim, aż znikł wśród tłumu kupujących. Koledzy Jeremy’ego, nadal zanosząc się śmiechem, dźwignęli go i postawili na nogi i cała trójka wróciła zygżakiem do tawerny. Jeremy nawet nie obejrzał się za Beatrice i Agnes. Był tak

pijany, że pewnie zapomniał, dlaczego w ogóle przeszedł przez ulicę.

– No! – odezwała się Agnes, uśmiechając się znacząco. – To, ci dopiero!

Lecz Beatrice nie mogła wydobyć głosu. Ogarnęło ją przedziwne uczucie, że cały świat zaczął powoli wirować wokół niej – chmury, dachy, drzewa, sklepy i ludzie – a ona stała pośrodku w całkowitym bezruchu, zawieszona w czasie. Zniknęły wszelkie odgłosy na High Street, kupujących trajkoczących jeden do drugiego, pokrzykujących przekupniów, stukot kół jadących ulicą powozów.

W głowie jedynie słyszała słowa Francisa: „Zajmę się panią. Zaopiekuję się panią na zawsze”.



Kolejny raz Francis wypowiedział do niej te słowa w dniu ich ślubu, w sobotę, czternastego maja 1750 roku, w salonie Geoffreya Scarleta nad gospodą Łabędź przy High Street.

Zgodnie z prawem zapowiedzi ich małżeństwa czytano przez trzy niedziele z rzędu w kościele Świętego Filipa, ale przysięgę złożyli sobie tutaj przed Rogerem Fultonem, sędzią pokoju, wielkim, przelewającym się mężczyzną o tak głośnym śmiechu, jakiego Beatrice w życiu nie słyszała, i przed wszystkimi przyjaciółmi ze zgromadzenia nonkonformistów. Beatrice założyła swoją najlepszą błękitną sukienkę z aksamitu i nowy koronkowy czepek.

Geoffrey Scarlet przemawiał długo i w skomplikowany sposób o poświęceniu i przebudzeniu, czego prawdopodobnie nikt naprawdę nie zrozumiał, a potem weselnicy usiedli do kolacji na zimno: pieczonych mięs i pasztetów.

Ze wszystkich krewnych jedynie kuzynka Sara przyszła na jej ślub. Nikt z pozostałych nie był w stanie udać się w żmudną podróż z Londynu, a Jeremy pod koniec poprzedniego roku pojechał do braci w Manchesterze, gdzie uruchomili firmę

handlującą z Indiami Wschodnimi. Jeremy już dawno wybaczył jej zdradzieckie plamy na palcach, ale Beatrice podejrzewała, że nigdy nie wybaczył braku reakcji na jego zaloty.

Kuzynka Sara podeszła do niej i ujęła za obie dłonie.

– Będzie mi ciebie brakowało, Beatrice. Dom będzie bardzo pusty bez ciebie, szczególnie teraz, po odejściu Rodericka, Boże błogosław jego obłąkaną duszę. – Zamilkła i dodała po chwili: – Byłam czasami dla ciebie ostra i oczekiwałam od ciebie wiele, ale uwierz mi, pokochałam cię jak własną córkę. Oto pięćdziesiąt dwie gwinee, które zostały z majątku po twoim ojcu, otrzymasz je ode mnie jako prezent ślubny.

Beatrice nie wiedziała, czy ma dziękować, czy wypomnieć kuzynce skąpstwo, ale to był przecież dzień jej ślubu i była szczęśliwa, że nie musi szukać w sobie niechęci. Pocałowała kuzynkę w policzek i po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak wyniszczona jest ta kobieta, jaka koścista, jakby te wszystkie lata żalostnej duchowości ją wysuszyły.

– Dziękuję, kuzynko – odpowiedziała. – I dziękuję za opiekę nade mną.



Tej nocy, kiedy Beatrice weszła do sypialni w długiej, białej koszuli, z rozpuszczonymi włosami luźno spadającymi na ramiona, zastała Francisca stojącego przy oknie, spoglądającego na własne odbicie. Gościnną sypialnię nad tawerną wychodziła na wzgórze za miastem, więc okno było całkowicie ciemne.

Odwrócił się. Odkąd go zobaczyła po raz pierwszy w niedzielny poranek przed tak wielu laty, bardzo zeszcupłał, miał długą surową twarz i prosty, ostro zakończony nos. Przypominał jej jednego z tych kościstych, wychudzonych świętych namalowanych przez El Greco, zwłaszcza że nadal miał te ciemne, fascynujące oczy. Były jednocześnie bogobojne i wyrozumiałe, ale w jakiś sposób smutne. Kiedy w końcu musiał przyznać, że pokochał ją od pierwszego wejrzenia, nie

potrafiła się oprzeć uczuciu, jakby sięgał wzrokiem wprost do jej serca, do tego, co ją trapiło i ekscytowało.

Tego wieczoru jednak jego twarz była wyjątkowo smutna.

– Co się stało? – spytała go. – Czy czymś cię zasmuciłam, kochany? Jesteśmy małżeństwem niecałe pół dnia!

– Nie – odparł. – To ja. Ja już byłem dla ciebie złym mężem.

Podeszła do niego ze zmarszczonym czołem i wczepiła się w rękaw jego koszuli nocnej.

– Francisie, co się stało?

– Zrobiłem coś, nie naradzając się z tobą, bo bałem się, że będziesz chciała mnie od tego odwieść. Naprawdę przepraszam. Powinienem wykazać się większą odwagą i większą wiarą w siebie. Lecz gorąco pragnąłem tego dokonać od lat, a teraz, kiedy znalazłem żonę, wierzę, że to dla mnie właściwa droga.

– Francisie, cóż to takiego, do diaska? Powiedzże! Sprawiasz, że zaczynam się bać!

Delikatnie obracał jeden z pierścieni na palcu.

– Wykupiłem dla nas rejs do Ameryki. W New Hampshire jest mała społeczność, która znalazła się w potrzebie... A mianowicie potrzebuje tymczasowego pastora, i ja zgodziłem się popłynąć.

– Do Ameryki? – przeraziła się Beatrice. – Och, Francisie! Coś ty zrobił?

– Moja droga, jeżeli naprawdę nie chcesz, abyśmy tam popłynęli, z pewnością znajdę parafię tutaj, w Birmingham.

Lecz wtedy Beatrice pomyślała o chwili, kiedy stała w oknie sypialni i spoglądała na zachodzące słońce, i przypomniała sobie uczucie, że pewnego dnia podąży za nim i odnajdzie szczęście.

– Nie – odparła. – Teraz jestem twoją żoną, i pójdę za tobą wszędzie.

Rozdział 10

– Pani Scarlet! Pani Scarlet! Świnie!

Beatrice wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Mary biegnie wzdłuż płotu na tyłach domu, gdzie rosły słoneczniki. Odstawiła wielką misę leguminy, którą mieszała, i podeszła do drzwi w momencie, gdy Mary wpadła do sieni. Miała zarumienione policzki, a czepek na bakier.

– Pani Scarlet, świnie! Wszystkie! Zdechły na amen!

– Boże, chroń nas – wyszeptała Beatrice. Wyszła za Mary na dwór i pospieszyła ścieżką przez ogród do zagrody dla świń, która znajdowała się pod boczną ścianą domu. Otaczał ją drewniany płot sięgający do pasa, wykonany z zastrzonych palików, a do ściany przylegała wiata z sianem, gdzie świnie sypiały w nocy i ogrzewały się zimą.

Mary poszła nakarmić świnie zaledwie chwilę wcześniej, ale jej drewniany kubełek z kukurydzą, ziemniakami i buraczanymi obierkami tkwił teraz przewrócony w trawie. W wyschniętym błocie leżało bez ruchu pięć w pełni wyrosniętych świń rasy berkshire – knur i cztery lochy – nadal z otwartymi oczami, ale muchy już po nich chodziły, włączając w pyski i nozdrza. Czarne świnie z białymi plamami wyglądały jak pięć wielorybów wyrzuconych na brzeg. Smród był obezwładniający.

Beatrice odryglowała furtkę i weszła do środka. Zebrawszy jasnyniebieską lnianą spódnicę, przykucnęła obok najbliższej lochy. Przesunęła dłoń po jej bokach i uniosła tylne nogi, ale nie zauważyła żadnych oczywistych ran. Spojrzała na Mary i powiedziała:

– Chodź, pomożesz mi ją przewrócić.

Manewrując, przekreśliły dwustukilową lochę na lewy bok. Zdenerwowane muchy oderwały się chmurą, ale szybko znowu obsiadły zwierzę. Beatrice zbadała bok i grzbiet lochy, lecz nadal nie mogła znaleźć żadnych ran, zmian chorobowych czy ukąszeń. Wstała i przeszła do pozostałych czterech świń. Na nich najwyraźniej też nie było żadnych śladów. W każdym razie, pomyślała, nawet gdyby zostały zadźgane albo pobite pałkami lub pogryzione przez jakieś zwierzę, to mało prawdopodobne, że wszystkie pięć zginęłyby bez pisków, których nie usłyszałyby z kuchni, a nawet z salonu. A gdyby zostały zastrzelone, z pewnością usłyszałyby trzask muszkietów.

– Co im się stało, pani Scarlet? – pytała Mary. Była pulchną dziewczyną o rudych lokach, zaledwie piętnastoletnią, chociaż pomagała w gospodarstwie Scarletów, odkąd skończyła dwanaście.

– Po samym obejrzeniu nie mogę niczego stwierdzić – odparła Beatrice. – Na pierwszy rzut oka nie mają żadnych ran. A jeżeli ktoś zabił je rozmyślnie, to dlaczego? Nie mamy wrogów, przynajmniej nic mi nie wiadomo o kimś, kto chciałby zrobić nam coś takiego. A jeżeli to Indianie szukający jedzenia, to czemu ich nie zabrali... Albo nie pognali ich za życia. Tak byłoby łatwiej, prawda?

Pomyślała, że to równie dobrze mogli zrobić Indianie, ale tacy, którzy bardziej niż zemsty szukali zaopatrzenia. Miejscowi Indianie nadal nienawidzili angielskich osadników, ponieważ wyparli ich z ich ziemi, w związku z czym często najeżdżali miasteczko. Ale gdyby to byli oni, zapewne weszliby do domu i porwali Beatrice wraz z Mary dla okupu, a może zabraliby też małego Noego, który jeszcze spał.

Jednak nie wspomniała o tym Mary. Biedna dziewczyna była i tak wystarczająco zrozpaczona.

– Cóż teraz poczniemy? – spytała Mary. – Poćwiartujemy je? Powinnyśmy, zanim robaki wejdą w mięso. Dzisiaj jest tak gorąco.

– Nie, Mary – odparła Beatrice. – Dopóki nie dowiemy się, co

je zabiło. To mogła być biegunka albo inna, o wiele gorsza infekcja. Gdybyśmy zjedli to mięso, mógłby nas spotkać ten sam los. Zobaczę, co postanowi Francis, kiedy wróci. Mój Boże, na pewno bardzo się zmartwi. Zapłaciliśmy ponad dwa funty i dziesięć szylingów za każde z tych biednych stworzeń.

Nie mogła w tej chwili, bez konsultacji z mężem, zrobić nic więcej. Jeżeli świnie padły ofiarą jakiejś choroby, nie miała pojęcia, co by to mogło być, chociaż w przeszłości leczyła wiele chorych świń. Gdyby to była przewlekła infekcja, byłoby po nich widać: marniałyby przez tygodnie, jeśli nie miesiące, zanimby zdechły. Gdyby natomiast to była choroba o ostrym przebiegu, z pewnością by wymiotowały albo miały biegunkę.

Wychodziły już z zagrody, gdy zamykając furtkę, dostrzegła coś połyskującego w otwartym ryju knura, coś z ostrymi końcami, jak gwiazda.

– Czekaj, Mary – powiedziała i wróciła do chlewu. Pochyliła się, a kiedy szerzej otworzyła ryj knura, zauważyła, że w jego grubym, szarym ozorze utknął mały, trójkątny odłamek lustra. Ostrożnie go wyjęła, wytarła w fartuch, a potem uniosła, aby dziewczyna mogła zobaczyć.

– Co to? – zdziwiła się Mary.

– Mały kawałek zwierciadła. Nie wiem, skąd się wziął w jego pysku. Na pewno nie chciał go zjeść.

– O, mój Boże – westchnęła z przerażeniem Mary i przycisnęła obie dłonie do piersi jak w modlitwie.

– Co się stało?

– Wie pani, co mówią o odłamku szkła na języku? To komunia diabła.

– Komunia diabła? Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałam. – Beatrice podeszła do jednej z loch i otworzyła jej pysk. W tyle języka zobaczyła kolejny odprysk lustra. Zostawiła go na miejscu i obejrzała pozostałe zwierzęta. Wszystkie miały na językach fragmenty lustra, różnych kształtów i wielkości, niektóre zakrzywione, inne cienkie i zastrzone jak ostrza noża. Obojętnie z jakiego lustra się wzięły, musiało ono zostać rozbite ze znaczną siłą.

– Dzieło szatana, naprawdę – wyszeptała Mary. – Diabeł drwi ze świętej komunii i wkłada w usta kawałek zwierciadła zamiast opłatka. Przez własną próżność rozcinamy sobie język, żebyśmy napili się własnej krwi, zamiast krwi Chrystusa.

– A kto ci tego naopowiadał? – spytała Beatrice. Starła się zachować spokój, ale serce biło jej szybko pod gorsetem. Zrobiło się jej niesamowicie gorąco i brakło tchu.

– Sam pastor mi powiedział – odparła Mary.

– Chcesz powiedzieć, wielbny Scarlet? Mój mąż?

– Tak, proszę pani. Jak byłam dużo młodsza. Powiedział, że to ma mnie nauczyć nie być dumną ze swego wyglądu.

Nagle w sadzie, na lewo od nich, zerwał się jarząbek, wrzeszcząc w panice, jakby przeraził go sam szatan, i pomknął pośród jabłoni.

Rozdział 11

Francis wrócił o wiele później, niż Beatrice się spodziewała. Zegar w salonie zdążył wybić ósmą, zanim usłyszała cichy łoskot i skrzywienie na wyboistym podejździe. Niebo przybrało odcień fioletu i nadal było bardzo ciepło, chociaż na zachodzie zbierał się złowieszczy wał czarnych chmur. Wokół domu latały dziesiątki brązowych nietoperzy, łapiąc owady unoszące się w wieczornym powietrzu.

Wyszła przed dom z latarnią. Francis wprowadzał Królewicza do wozowni, żeby zdjąć mu uprząż i zaprowadzić na padok obok sadu. Przejechali kawał drogi z Bedford, trzydzieści pięć kilometrów, i obu, Francisa i Królewicza, pokrywał delikatny, białawy pył.

– Dzięki Bogu, że wróciłeś – przywitała go.

Spojrzał na nią pytająco.

– Co się stało?

– Będziesz musiał sam zobaczyć, kochany.

– Nie, powiedz mi. Noe nie jest chory, co?

– Noe czuje się całkiem dobrze. Chodzi o świnię. Mary poszła je nakarmić dzisiaj rano i wszystkie zastała martwe.

– Martwe? Jak to? Co się z nimi stało? Jak to możliwe, że zdechły?

Zaprowadził Królewicza na padok, a potem wraz z Beatrice poszli za dom do chlewu. Francis stał i spoglądał na martwe świnię przez kilka sekund, nie mówiąc ani słowa.

– Proszę, moja droga – wyciągnął rękę, aby wziąć od niej latarnię. Otworzył furtkę i wszedł do środka, oświetlając po kolei każde ze zwierząt.

– Nie mają żadnych ran, a przynajmniej ja ich nie widzę – rzekła Beatrice. – Ale każda z nich miała na języku kawałek rozbitego lustra. Mary powiedziała, że jak była mała, opowiedziała jej o tym historię. Komunia diabła, tak to nazwała.

– Usunęłaś je?

– Wyjęłam tylko jeden kawałek, żebyś zobaczył.

– Mam nadzieję, że nie zaniósłaś go od domu?

– Tak, dlaczego? Źle postąpiłam?

– Skąd mogłaś wiedzieć. Ale musimy natychmiast usunąć go z domu. To fragment lustra szatana, przez który diabeł może nas widzieć wyraźnie, tak jak my widzimy siebie.

Spojrzał na świnię i pokręcił głową.

– To najwyraźniej robota jakiejś czarownicy.

– Czarownicy? Naprawdę tak myślisz?

– Uwierz mi, Beo, szatan nadal robi wszystko, abyśmy nie umocnili naszej wiary w tym kraju, i jak zwykle używa słabych i złych ludzi jako swych narzędzi. Zaledwie dzisiaj o tym rozmawialiśmy na spotkaniu parafialnym i próbowaliśmy zdecydować, jakie kroki podjąć, aby się bronić.

– Ale dlaczego ktoś miałby zabijać nasze świnię? Jaki miałby w tym cel?

– Naprawdę nie wiem, najdroższa. Może to dlatego, że jestem pastorem. Wstrząsnąć korzeniami, umyślił sobie szatan, i zatrząśnie się całe drzewo, a wtedy wszystkie owoce spadną na ziemię i zgniją.

– Nie myślisz chyba naprawdę, że to była czarownica? – zapytała Beatrice. – To znaczy, patrz, co stało się w Salem. Tyle biednych kobiet zostało powieszonych za czary, a na koniec okazało się, że żadna z nich nie była winna.

– Wiem – odparł Francis. – Ale to coś całkiem innego. To, co się stało w Salem, to zbiorowa histeria. Nie było żadnych dowodów, tylko pogłoski. – Ale tutaj przed nami leżą dowody. Nie może być nic bardziej materialnego od martwych świń. Nie mają na sobie żadnych śladów, prawda? Ani objawów chorób.

Za to wszystkie mają po kawałku lustra na językach. Jakie inne wnioski można wyciągnąć?

Stali przez chwilę, przyglądając się świniom, a potem wrócili ścieżką przez ogród. Beatrice poszła do kuchni, a Francis podążył za nią.

– Więc co możemy zrobić? – zapytała go. – Jeżeli ktoś jest tak zdeterminowany, aby nam zaszkodzić, obojętnie czy to czarownica, czy nie, jak możemy się bronić?

Francis podszedł do stołu, gdzie Beatrice zostawiła trójkątny kawałek zwierciadła.

– To jest to? – zapytał. Pochylił się, aby zobaczyć odbicie własnego oka, ale nie dotykał lustra. – Przede wszystkim, jak najszybciej musimy go zakopać na zewnątrz, żeby szatan nie widział, gdzie jesteśmy ani co robimy. Potem pobłogosławie dom i pomodłę się do Pana, aby bronił nas jak tarcza przed kimkolwiek, kto źle nam życzy.

Sięgnął po wilgotną ścierkę leżącą obok balii i zawinał w nią fragment lustra. Wyniósł je na dwór, a Beatrice oświetlała mu drogę latarnią. Teraz zrobiło się zupełnie ciemno, ponieważ chmury przetoczyły się na wschodni horyzont i nie było widać gwiazd. Francis wykopał łopata dziurę w ziemi obok ogrodzenia padoku i wrzucił tam kawałek lustra. Królewicz podszedł do płotu i zarżał, jakby pytał ich, co robią.

– No, już, spokojnie – powiedział Francis. – Zasłoniliśmy ślepią szatańskiej mości, przynajmniej tymczasem. Jutro rano poproszę Jubalę, aby pomógł nam spalić te świnie na popiół.

– Spalić? Nie możemy po prostu ich zakopać?

– Muchy zdążą złożyć w nich jaja, wylęgną się larwy, a one z kolei zamienią się w muchy, i rozniosą diabelską zarazę w swojej plwocinie. Jak wleczą do domu i usiądą na jedzeniu, to wtedy i my też się zarazimy.

– A co z czarownicą? – pytała Beatrice.

– Rozpytam się dyskretnie pośród mężczyzn w osadzie i może poproszę cię, abyś zrobiła to samo wśród kobiet. Wiem dobrze, jak lubią plotkować. Może jakaś poczciwa kobiecina podsłuchiwała, jak sąsiadka nam źle życzy, albo może widziała,

jak dziwnie się zachowuje, warzy niezwykle eliksiry albo rozmawia z psami lub coś podobnego.

– Z pewnością nikogo takiego nie znamy, co? Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto życzyłby nam źle.

– Mam otwarty umysł, Beo. Jest kilka kobiet w miasteczku, które nie są złe same w sobie, ale mają słaby charakter, więc szatan łatwo może je zwieść. Pani Merrow, przede wszystkim, albo wdowa Belknap. Mijałem dom wdowy w zeszłym tygodniu i słyszałem, jak śpiewa do swego kozła. Pieśń miłosną, a jakże, jakby już to samo w sobie nie było wystarczającą profanacją.

Kiedy wrócili do kuchni, Beatrice strzepnęła pył z jego ramion.

– Przebierz się, mój drogi, a ja podam ci kolację – powiedziała. – Zajrzyj też do Noego. Większość dnia spędził w ogrodzie, zbierając dla mnie truskawki. Chyba zjadł tyle samo, ile zebrał, ale starczy nam aż nadto na wieczerzę.

Dołożyła do ognia w piecu Franklina, aby rozgrzać wielki żelazny garnek z potrawką z kurczaka, którą ugotowała tego popołudnia, a Francis poszedł do ich sypialni. Słyszała, jak podłoga trzeszczy pod jego nogami, aż w końcu zszedł w luźnej, sięgającej kostek koszuli, z niebieskim wzorem w romby, którą zazwyczaj nosił wieczorem lub gdy wychodził do sadu, szukając inspiracji do kazań.

– Zajrzałeś do Noego? – spytała Beatrice, gdy usiedli do stołu.

Francis skinął głową.

– To błogosławieństwo od Boga, Beo. Taki mały aniołek. Nie wiem, czybym sobie kiedykolwiek wybaczył, gdyby stało mu się coś złego z mojego powodu.

– Nic mu się nie stanie, Francisie, dopóki ja tu jestem i go pilnuję. Obiecuję.

– Nie wiem, Beo. To nie tylko nasze świnie. Dzisiaj na spotkaniu słyszałem o wielu niepokojących rzeczach, które wydarzyły się ostatnio w tej parafii. John Mechison powiedział, że w Dover pięcioro noworodków zmarło z niewyjaśnionych przyczyn w przeciągu trzech ostatnich tygodni. Kilka sadów

w Ipswich zostało dotkniętych jakąś zarazą, która czerni wszystkie owoce, zarówno jabłka, jak i gruszki, a w Londonderry było całymi stadami zapada na choroby. Zupełnie jakby samo powietrze, którym oddychamy, zostało skalane.

Spojrzał na nią, a w blasku świec Beatrice dostrzegła w jego oczach coś, czego nie widziała nigdy dotąd, nawet kiedy wyruszyli w podróż do Nowej Anglii. Niepewność.

Położyła dłoń na ręce męża, a potem on przykrył ją swoją drugą dłonią, ale miała wrażenie, że to bardziej on szuka wsparcia dla siebie, niż daje jej.

– Boję się – wyznał. – Wiem, że Bóg nas ochroni, ale chciałbym wiedzieć przed czym. Najbardziej niepokoi mnie nieznane.

Beatrice nałożyła potrawkę, szparagi i ziemniaki do jego misy. Potem ukroiła ćwiartkę świeżego żytniego bochenka i podała mu z brązowym kamionkowym słojem masła.

Francis złożył dłonie, zamknął oczy i pochylił głowę.

– Dobry Boże – zaczął – dziękujemy Ci za ten dzień i za wsparcie. Dziękujemy Ci za wszystkie Twoje błogosławieństwa i pokornie prosimy o zbawienie od wszelkiego złego, które zjawi się pod naszymi drzwiami. Amen.



Tej nocy w sypialni było tak gorąco i duszno, że zostawili okno szeroko otwarte. Beatrice mimo zmęczenia i bólu pleców po zasadzeniu dziewięciu długich rzędów fasoli i ścinaniu szparagów, miała kłopot z zaśnięciem. Nie mogła przestać myśleć o martwych świniach z odłamkami lustra na językach i o tym, kto mógł im podać komunię diabła. Jednocześnie jednak nie przestawała zadawać sobie pytania, jak taka komunia mogła je uśmiercić.

Beatrice wierzyła w Boga i szatana, ale ojciec wychował ją tak, aby zawsze kwestionować to, co niewytłumaczalne.

– Tylko dlatego, że nie wiesz, jak coś działa, mała Beo, nie oznacza to, że koniecznie zaraz są to czary.

Przypomniała jej się historia z ewangelii świętego Łukasza o świniach z Gadary, w której Jezus wygnał z człowieka złe duchy i wpędził je w stado świń, które potem skoczyły z klifu do jeziora i utonęły. Może rzeź ich zwierząt była rozmyślną drwiną z tego, jak Jezus zademonstrował swoją władzę nad złem. Jednak w przeciwieństwie do tamtych świń, Beatrice nie mogła poza czarami znaleźć przyczyny, dla której zginęła ich trzoda, ani odpowiedzi na pytanie, kto mógł chcieć uczynić im coś złego.

Z tego, co wiedziała, ta osoba mogła się czaić nieopodal ich domu nawet teraz, w ciemnościach, z torbą pełną odłamków lustra. Co zrobi, jeśli rano znajdzie martwe wszystkie gęsi i kury albo Królewicza padłego na padoku?

Nasłuchiwała, ale do jej uszu dochodziło jedynie pohukiwanie sowy i niekończące się cykanie świerszczy.



Ledwie zasnęła, kiedy coś ją zbudziło. To Francis dotknął jej w ciemności i uniósł skraj jej koszuli. Otworzyła oczy, ale nie poruszyła się, nadal oddychając równomiernie, jakby ciągle spała.

Ujął jej prawą pierś i delikatnie pociągnął za sutek, tak że zeszywniał. Potem przesunął palce po jej boku, aż zadrżała, gdy dotarł do biodra. Jednak nadal leżała w bezruchu, oddychając głęboko i powoli. Ona nie umarła, tylko śpi.

Rozsunął jej uda i uniósł się tak, że klęknął między nimi. Potem, nie bez trudu, sięgnął za siebie i ściągnął koszulę nocną przez głowę, a potem zrzucił ją na podłogę. Beatrice nie widziała go w ciemnościach, ale czuła, jak pochyla się i wchodzi w nią. Była teraz ciepła i wilgotna, a on wsunął się z łatwością, aż poczuła jego szorstkie włosy trące o jej łono.

– Beo? – Odezwał się tak blisko, że poczuła jego oddech na swojej twarzy.

– Co takiego, Francisie?

– Kocham cię – powiedział. – Kocham cię na śmierć.

Objęła go i pocałowała w nos, zanim odnalazła jego usta.

– A ja ciebie, najdroższy – odparła. – A ja ciebie.

Rozdział 12

Nazajutrz rano, gdy tylko wzeszło słońce, ich pracownik Jubal wraz ze swoim młodszym bratem, Calebem, zaciągnęli martwe świnie z chlewa na trójkątne poletko za warzywnikiem.

Tam z kory i gałęzi orzesznika zbudowali stos, położyli na nim cielska i przykryli je kolejnymi gałęziami. Potem polali to wszystko wielorybim tranem, ale zanim podłożyli ogień, Francis otworzył pysk każdemu ze zwierząt i ostrożnie usunął fragmenty lustra, po czym wrzucił je do niebieskiego bawełnianego worka do zbierania ofiary podczas mszy, gotowe do zakopania tam, gdzie wczoraj zagrzebali pierwszy fragment.

Lustro mogło poczernieć od dymu, ale nie spłonie, więc przez każdy odłamek Szatan mógłby ich śledzić.

Zarówno Francis, jak i Beatrice czekał pracowity poranek. Francis musiał udać się do osady, aby pocieszyć panią Jenkins, która umierała na suchoty, natomiast Beatrice musiała ubrać i nakarmić Noego, a następnie zająć się szyciem, robótkami na drutach i prasowaniem swoich fartuszków oraz koszul męża. Miała też upiec świeży chleb oraz obrać i posolić fasolę.

Mimo to przez chwilę stali obok siebie na polu i patrzyli na trzaskający ogień i unoszący się pośród drzew dym, przez którego smugi przeświecało słońce, jakby to były okna w kościele.

- Będziemy musieli kupić nowe świnie – powiedział Francis.
- Nie przetrwamy zimy bez szynek, bekonu i smalcu.

– A stać nas? – spytała Beatrice. W tym momencie ciała zwierząt zajęły się ogniem i czuć było mocną woń palonej szczeciny; Beatrice uniosła fartuch, aby zakryć twarz, bo dym wywołał kaszel.

– Jubam! – zawołała. – Jak skończycie, chodźcie z Calebem do kuchni na śniadanie.

Ruszyła w stronę domu, gdzie na sznurku przed kuchnią Mary wieszała już świeżo uprane pieluchy Noego.

Zapowiadał się kolejny gorący dzień. Na niebie gdzieniegdzie pojawiały się pierzaste chmurki. Z lasu dochodził cichy, gorączkowy furkot skrzydeł cietrzewi. Nigdy wcześniej nie myślała, że ten odgłos może być tak przerażający, ale tego ranka czuła, że pojawił się w nim niepokój: „Uwaga! Uwaga! Czai się zło!”.

Już prawie stali przy drzwiach, kiedy usłyszeli stukot końskich kopyt i zobaczyli mocno zbudowanego mężczyznę jadącego ku nim podjazdem. Cały ubrany był na brązowo – brązowa czapka z włóczki, brązowa koszula i brązowa skórzana kamizelka. Bryczesy i buty z cholewami też miał brązowe, nawet jego koń lśnił kasztanowo.

– Wielebny Scarlet! – zawołał mężczyzna chropawym głosem.
– Wielebny Scarlet!

Francis i Beatrice poczekali, aż do nich podjedzie. Był to Henry Mendum, hodowca krów, którego posiadłość leżała na północny wschód od osady. Był jednym z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych parafian Francisa. Mimo że jechał kłusem, z powodu tuszy był zgrzany, a twarz jak zwykle miał ciemnopurpurową. Jego głowa przypominała Beatrice wielki kawał wołowej pieczeni, ale nigdy nie ośmieliła się tego nikomu powiedzieć, nawet mężowi. Miał bladozielone, wyłupiaste oczy, a czoło obficie zraszał mu pot.

– Wielebny Scarlet! Klęska! – zawołał, zsiadając z konia. – Będę zrujnowany!

– Co się stało, Henry? Proszę, drogi przyjacielu... wejdź do środka. Tu jest dużo chłodniej.

– Moje dewony, ojczy! Moje rodowodowe mleczne dewony!

Farmer przywiązał konia do ogrodzenia z bali i wszedł za Beatrice do domu. Przeprowadził go przez salon, gdzie siedziała Mary, szyjąc fartuch, a widząc ich, podniosła się i dygnęła.

– Mary, przynieś, proszę, panu szklanę soku jabłkowego – poleciła jej Beatrice.

Henry Mendum wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł twarz.

– Wszystkie zachorowały! Wszystkie dwadzieścia dziewięć! Kiedy dziewczęta poszły je wydoić dzisiaj rano, zastały je powalone na ziemi. Ledwo zipsyły!

– Co im dolega? – spytał Francis. – Nie rozumiem, jak mogę ci pomóc. Żałuję, mało znam się na bydło, poza tym, co napisane jest w Biblii.

Henry usiadł na jednym z krzeseł i wziął od Mary szklanę soku. Wypił go łapczywie, beknął raz i drugi i wytarł usta chusteczką, po czym pociągnął nosem.

– Z początku myślałem, że może to tężyczka pastwiskowa – powiedział. – Kilka sztuk mojego holsztyńskiego bydła zapadło na to zeszłej wiosny, ale wtedy trawa była świeża i bardzo bujna przez deszcze. Dewony jednak jadły dobrze i nie ma śladu, żeby się rzucały o ile mi wiadomo, nie miały konwulsji. Nie jest to biegunka, bo nie ma śladów odchodów, i nie są wzdęte. Nie mają także pasożytów płuc ani wszy.

– Posłałeś po Andrew Pepperilla?

– Tego konowała? Nie powierzyłbym mu zdychającego szczura. Słyszałeś, co zrobił z krową pani Bradstreet? Spuścił jej krew, dał na przeczyszczenie, poparzył i przypiekl, i sprawił więcej bólu niż wszelkie choroby, a krowa i tak padła. Moje dewony są zbyt drogie na takie złe traktowanie. Nie. Tylko ty możesz mi pomóc, ojczy. Mocno podejrzewam, że z moimi krowami stało się to samo, co przytrafiło się waszym świnom.

– Słucham? Wiesz o naszych świnach?

– No pewnie, wielebny. Cała osada wie o waszych świnach.

Mary, której policzki były już tak samo czerwone jak policzki pana Menduma, pospiesznie sięgnęła po pustą szklanę i zapytała:

- Jeszcze soku, psze pana?
- Mary? – odezwała się Beatrice.
- Tak, psze pani?
- Kiedy poszłaś wczoraj po południu do miasteczka po sól, to z kim rozmawiałaś?
- Tylko z panią Pearson, jak mnie obsługiwała.
- A powiedziałaś jej o świninach i o tym, że padły?
- Mogłam o tym wspomnieć. Tak, zdaje się, że tak.
- Och, Mary! Na miłość boską! Powiedziałaś jej też o odłamkach lustra?

Mary skinęła głową, jeszcze bardziej się czerwieniąc. Beatrice objęła ją za ramiona i czule ścisnęła.

- Głupia dziewczyna z ciebie, co? Powiedzieć coś pani Pearson to jak dać ogłoszenie do gazety!

- Beatrice, daj spokój dziewczynie – odezwał się Henry Mendum. – Lepiej wiedzieć, że diabeł jest wśród nas, przyznasz chyba sama?

- A czy wasze krowy miały odłamki lustra na językach? – zapytała Beatrice.

Farmer pokręcił głową.

- Nie, nie widziałem. Ale moje krowy jeszcze nie padły, więc może została im oszczędzona ta obrazoburcza komunia, którą dostały świni, może tylko zostały przeklęte.

- Nie mają żadnych widocznych okaleczeń?

- Żadnych. Chociaż, z drugiej strony, są tak bardzo chore, że nie mogą ustać, i jest jeszcze coś, co chciałbym, żeby ojciec zobaczył i powiedział, co o tym myśli. Coś, co bardzo mnie niepokoi.

- Co takiego? – spytał Francis.

- Chyba sam ojciec musi to zobaczyć – odparł Henry Mendum, wstając z krzesła. – W żadnym razie nie jestem przesądny, ojciec, i nie chciałbym, aby oskarżano mnie o zwidy.

Francis wyjął zegarek kieszonkowy.

- Dobrze – powiedział. – Myślę, że pani Jenkins jeszcze przez chwilę powstrzyma się z odejściem z tego świata. – Wszedł do holu i sięgnął po swój pastorski kapelusz z szerokim rondem.

Poza tym miał na sobie długą czarną kamizelkę nałożoną na luźną białą koszulę, ale dzień był zbyt ciepły, aby założyć surdut.

Beatrice wstała.

– Francisie – odezwała się. – Pozwól... Że też pojedę.

Henry Mendum spojrział na wielebnego, unosząc krzaczaste brwi, jakby chciał się zapytać, po co, do diaska, mamy zabierać twoją żonę? Skąd kobieta może znać się na chorobach bydła? Poza tym ona musi mieć do wykonania mnóstwo prac w gospodarstwie.

Beatrice dostrzegła wyraz jego twarzy i dodała:

– Henry, mój ojciec był człowiekiem nauki. Uczył mnie od wczesnego dzieciństwa, aby nigdy nie sądzić czegoś po pozorach. Pewne rzeczy, które z początku wydają się nadprzyrodzone, często mogą mieć bardzo prozaiczne wytłumaczenie.

– Wasze świnię padły z odłamkami lustra na językach – odparł Henry Mendum. – Jeżeli to nie sprawa czarownicy działającej w imieniu diabła, to jakie masz logiczne wytłumaczenie?

– Przyznaję, że jeszcze nie wiem – odpowiedziała Beatrice. – Równie dobrze możemy obwinać diabła. Ale nie widzę nic złego w rozważeniu innych możliwości, bardziej ziemskich. W końcu, dlaczego Bóg miałby pozwalać diabłu na takie rzeczy? Przecież nie brakuje nam pobożności. Może zgrzeszyliśmy, nie wiedząc o tym, ale sama nie mam pojęcia jak.

– Czasami Bóg daje nam nauczkę, zanim zgrzeszymy – odpowiedział ponuro Henry. Nie wyjaśniał tego dalej, ale Beatrice słyszała plotkę o nim i pani Greene, młodej wdowie, która mieszkała na obrzeżach osady, niedaleko jego gospodarstwa.

– Cóż, uważam, że Beatrice powinna pojechać z nami – zdecydował Francis. – Kto wie? To, czego nauczyła się od ojca, może być nam pomocne, tak jak na przykład przy kurach.

– Waszych kurach?

– Tak. Dwadzieścia albo trzydzieści kur okulało zeszłej

wiosny, a niektóre w ogóle nie mogły chodzić. Zupełnie nie miałem pojęcia dlaczego i już podjąłem decyzję, żeby je wszystkie zarżnąć. Lecz wtedy Beatrice odkryła, że z powodu padającego od tygodni deszczu kurza karma rozmokła i zapleśniała, i to spowodowało chorobę kur.

– To rzeczywiście możliwe wytłumaczenie. I jakie jest na to lekarstwo?

– Bardzo proste, Henry. Beatrice podała wszystkim ptakom roztwór melasy, żeby usunąć z żołądków pleśń, a potem nakarmiła je pokruszonymi skorupkami ostryg, żeby wzmocnić im kości, i prawie wszystkie wyzdrowiały. Wkrótce chodziły po podwórku zdrowe jak gdyby nigdy nic.

– Hm – zamruczał Henry Mendum, układając usta w podkówkę. Zdecydowanie nie chciał okazać, że jest pod wrażeniem. – Chyba zobaczycie, że moje dewony dotknęło coś bardziej niepokojącego od zapleśniałej karmy.

Beatrice uśmiechnęła się do niego pojednawczo, ale on nie chciał odwzajemnić uśmiechu, a nawet łypnął na nią z niechęcią.

Francis wyszedł na dwór i polecił Calebowi, aby przyprowadził Królewicza z padoku i zaprzął go do dwukółki. Tymczasem Beatrice kazała Mary zająć się Noem do jej powrotu i nakarmić go kaszką. Potem zapięła czarne skórzane buty i owinęła się delikatnym, żółtym szalem z frędzlami. Francis pomógł jej wsiąść do bryczki i ruszyli podjazdem. Henry Mendum jechał przed nimi; jego wielkie pośladki podskakiwały na siodle; parskał i sapał prawie tak samo jak jego cierpiąca klacz.

– Zastanawiam się, dlaczego Henry jest w takim stanie? – spytała Beatrice, gdy dojechali do końca podjazdu i skręcili w stronę miasteczka. – Zazwyczaj jest taki nieczuły; a kiedyś był żołnierzem, prawda? Nigdy nie widziałam go tak rozzłoszczonego i przestraszonego.

– Hm, wkrótce się dowiemy – odparł Francis. Zamilkł, a potem dodał: – Inną rzeczą jest wiara w szatana, Beo, a inną znalezienie się w obliczu materialnych dowodów na jego

istnienie. Tak samo jest, gdy Bóg objawia się nam, dając taki czy inny znak. Obojętnie, jak bardzo się boimy, nadal to nami wstrząsa aż do głębi.

– Masz rację, najdroższy – powiedziała Beatrice. Przywykła do krótkich kazań Francisa. W ciągu trzech i pół roku ich małżeństwa nauczyła się, że wygłasza je, aby radzić sobie zarówno z oczywistymi przeciwnościami codziennego życia, jak i z problemami parafii.

Kiedy zbliżyli się do osady, przywitała ich wieża zegarowa kaplicy wznoszącej się ponad koronami dębów. Tuż obok stał rząd drewnianych domków o spadzistych dachach, sklep pani Pearson i kuźnia Rodneya Bartletta. Jego młot podzwaniał o kowadło głośno i monotonnie, niczym dzwon pogrzebowy.

Z turkotem przejechali przez osadę i znaleźli się na trzykilometrowej drodze prowadzącej na farmę Henry’ego Menduma. Upał utrudniał oddychanie i Beatrice wachlowała się perkalowym wachlarzem, który zrobiła na początku lata. Liście drzew po obu stronach drogi szeleściły liśćmi, jakby szeptem plotkowały o nich: „Dokąd oni jada, ci ludzie? Co oni tu robią?”.

Beatrice po raz pierwszy w życiu czuła, że wydarzy się coś ważnego, i modliła się, aby to nie było coś straszego. Spojrzała na granatowe niebo i zastanowiła się, czy Bóg obserwuje ich, gdy jada z terkotem pośród drzew, i czy raczej się o nich troszczy, czy daje im naukę za dumę i samodzielność.

Zerknęła na Francisa i uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech, chociaż bez przekonania.

Henry jechał przodem prowadzącą na jego farmę aleją wysadzaną orzesznikami. Rozbudowany biały dom stał na wzniesieniu, otoczony oborami, w których dojono krowy, spichlerzami i stodołami. Jak wielu dobrze prosperujących farmerów wokół Sutton, Henry Mendum powiększał dom raz za razem, dokładając do niego przybudówki, szczególnie od strony północnej, gdzie spiżarnie i składziki na ser i soloną wołowinę miały zapewniony naturalny chłód.

Podwórko wychodziło na sto czterdzieści hektarów pastwisk,

upraw lucerny i sadów. W oddali Beatrice widziała ciągnące się kilometrami lasy i skaliste wypiętrzenia, wszystko spotęgowane gorącem, jakby patrzyła na nie przez szkło powiększające. Widziała nawet granitowe wzniesienie oddalone o dziesięć kilometrów na północ, zwane Amboną Diabła, chociaż uznała za bardziej stosowne nie pokazywać go Francisowi, gdy pomagał jej wysiąść z dwukółki.

Szczupły niewolnik w spodniach w paski i postrzępionym kapeluszu ze słomy wybiegł ze stajni. Przejął klacz od Menduma i poklepał ją po nosie.

– Jeju, panie Mendum, ta biedna szkapa wygląda, co by miała się zara rozpląnąć.

– Zrób jej porządny masaż, Joshua – polecił Henry Mendum.
– Sam się kąpałem dopiero co w zeszłym tygodniu, ale w tym gorącu czuję, że nie zaszkodzi mi kolejna kąpiel. Chodź teraz ze mną.

Spod siodła wyciągnął laskę zwieńczoną srebrną gałką i pokuśtykał przed Francisem i Beatrice w dół długiego trawiastego zbocza, postępując przy każdym kroku i potykając się od czasu do czasu. Dotarli do ogrodzonego pastwiska u stóp wzgórza. Było upstrzone stokrotkami i tak bardzo zielone, że wydawało się nieomal nierealne. Farmer otworzył bramę i wszyscy przeszli dalej. Po lewej stronie pastwiska stało dwóch pasterzy i młoda dziewczyna z zadartym nosem. Z początku ten obrazek wyglądał idyllicznie, ale gdy się zbliżyli, dostrzegli brunatne krowy leżące w zagłębieniach w wysokiej trawie dookoła nich, a nad każdym unosiła się chmura much.

– Jak one, Matthew?! – zawołał Mendum.

Matthew był siwy i opalony, ze zmarszczkami wokół oczu, o twarzy jak wysuszona ircha.

– Nic gorzej, psze pana. Ale też i nie lepiej.

– Poprosiłem wielebnego Scarleta i jego żonę, aby im się przyjrżeli.

Dwóch pasterzy z szacunkiem skłoniło się, a perkatonosa dziewczyna uniosła rąbek spódnicy i dygnęła.

Francis rozejrzał się po leżących na boku dyszących

krowach.

– Miłosierne niebiososa – powiedział. – To jak jedna z plag egipskich. – Jedna lub dwie krowy próbowały podnieść łby, wywracając oczami, ale wkrótce spuściły je z powrotem.

– Plagi w Egipcie, wielebny, zesłał Bóg – odezwał się Henry Mendum. – Poczekaj, aż pokażę ci, co ja mam. Wtedy będziesz mógł się zastanawiać, kto zesłał tę plagę.

Beatrice uklękła na trawie obok najbliższej krowy i ujęła ją za żuchwę, otwierając mordę, aż wysunął się język. Jak powiedział wcześniej Mendum, nie było na nim ani fragmentów zbitego lustra, ani żadnych śladów po cięciach, żeby połykały własną krew. Lecz krowa także nie wymiotowała, ani nie miała piany na pysku, co by sugerowało którąś z powszechnych chorób bydła.

– Niech Bóg ma cię w opiece, biedne stworzenie – wyszeptała Beatrice, kładąc delikatnie rękę na łopatce krowy. – Niech Bóg ma cię w opiece i cię uzdrowi.

– Chodźcie ze mną, a zobaczycie dowód na wizytę diabła – powiedział Henry Mendum.

Rozdział 13

Wspięli się w stronę odległego narożnika łąki, gdzie trawa była znacznie niższa i plamy gołej, szarej skały wystawały ponad kępy. Pięć krów leżało na boku w kręgu, stykając się mordą z ogonem następnej. Trzy z nich trzęsły się i jęczały niczym chore staruchy, próbowały jeszcze unieść łby, ale dwie z nich wyglądały na bliskie śmierci, bo ich oczy już zachodziły mgłą.

– Proszę – powiedział Mendum, wskazując laską na ziemię obok nich. Beatrice spojrzała i zobaczyła skomplikowany wzór odcisniętych kopyt, jakby krowy tańczyły w tym miejscu. Lecz ślady te nie były odcisnięte w trawie, tylko wypalone. Czarnobrazowe odciski w źdźbłach trawy mogły sugerować, że krowy wykonały coś w rodzaju diabelskiego tańca z płonącymi kopytami.

Francis przykucnął i ostrożnie dotknął palcami jednego ze znaków.

– Ała! – wykrzyknął natychmiast i gwałtownie wytarł palce w trawę. Uniósł rękę i Beatrice zobaczyła, że opuszki zrobiły mu się czerwone i natychmiast pokryły pęcherzami.

– Ojczy, nic ci nie jest? – zapytał Henry z troską w głosie.

– Nie, nic. To nic takiego – odparł Francis, potrząsając dłonią. – Ale jak twoje krowy mogły zostawić takie ślady? Nie widzę oparzeń na ich kopytach ani niczego żrącego, w co mogły wdepnąć.

– To dlatego, że tych śladów nie zrobiły moje krowy – stwierdził Henry Mendum z naciskiem. – One tylko wyglądają

na odciski krowich kopyt, ale te krowy mają większe kopyta i znacznie szerzej rozstawione.

Beatrice pochyliła się i podniosła jeden ze spalonych mleczy. Powąchała go. Miał mdławy, zgniły odór, ale w jej nozdrzach i głęboko w gardle pozostawił drażniący posmak, niczym esencja z goździków. Przypominał jej coś, ale w tej chwili nie pamiętała, co to takiego.

– Jak pachnie? – spytał Henry. – Czuć go piekłem?

– Nie jestem pewna – odparła Beatrice. – Ale znam skądś ten zapach.

– Musi śmierdzieć piekłem, bo te odciski zrobił koziół, i to wielki. Powiem więcej, to koziół, co chodzi na dwóch nogach, a nie na czterech. Widzicie, jak te odciski są blisko siebie, i nie ma różnicy między przednimi kopytami a tylnymi.

Odwrócił się do Francisa.

– Jak powiedziałem, ojcze, nie chciałbym być oskarżony o zwidy, ale odciski wyglądają na zrobione przez człowieka, który nie miał stóp, tylko kopyta, jak koziół.

– Chcesz powiedzieć przez szatana – uściślił Francis.

Henry Mendum machnął laską w kierunku śladów, jakby chciał powiedzieć: „A co innego mogłoby to być?”.

Wielebny rozejrzał się po polu.

– A nie mógł to być koziół? Kozy mogą przekazywać choroby bydłu, prawda?

– Nie tak gwałtownie – odpowiedział farmer. – Te krowy zachorowały w ciągu zaledwie kilku godzin. A jeżeli to koziół, i sam był tak chory, żeby zarazić bydło, to gdzie teraz jest? Na pewno leżałby tu razem z resztą stada.

Beatrice powoli obeszła krąg krów. Według niej wszystko to wyglądało, jakby celowo zaciągnięto je i ułożono w taki kształt, chociaż trawa była tu zbyt krótka, żeby mieć pewność. Może ten krąg miał jakieś mistyczne znaczenie. Pięć krów miało przedstawiać cztery żywioły plus siłę ludzkiego ducha? Lub pięć ran Chrystusa? Albo pięć boków szatańskiego pentagramu?

Francis podszedł i położył rękę na ramieniu żony.

– Beo, to bardzo poważna sprawa – powiedział. – Nasze

świnie, oczywiście, mogły zostać zabite przez człowieka, zgadzam się z tobą. Mogła to być jakaś czarownica przysłana bezpośrednio przez szatana albo jakaś źle nam życząca osoba, próbująca wezwać go poprzez ten czyn. Ale patrz, w jakim strasznym stanie są te krowy, i do tego te ślady...

– Naprawdę myślisz, że diabeł stawiał się tu... osobiście?

– A jakie może być inne wytłumaczenie?

– Nie wiem, Francisie. Na razie żadne nie przychodzi mi do głowy. Jednak musimy być ostrożni, zanim zaczniemy oskarżać czarownice. Sam mówiłeś, że to, co stało się w Salem, wzięło się z hysterii, i te wszystkie biedne kobiety zostały powieszane, chociaż były niewinne. Nie chcemy, żeby takie szaleństwo opętało Sutton.

Podszedł do nich Henry Mendum, zmięta chusteczką osuszając spoconą twarz.

– No i? – zagadnął. – Co można zrobić? Jeżeli te biedne stworzenia nie wyzdrowieją, będzie mnie to kosztowało setki funtów. A jeżeli szatan powróci i przeniesie tę chorobę na całe moje bydło?

– Będę się za ciebie modlił, Henry – obiecał Francis. – I poproszę Boga, aby okazał miłosierdzie. Nie wiem, co uczyniliśmy, aby zasłużyć na to, by diabeł pojawił się między nami, ale w niedzielę, kiedy będziemy się wspólnie modlić, musimy poprosić Pana o wybaczenie.

– To wszystko? Nie ma innego sposobu? Może byśmy spryskali pola wodą święconą lub czymś takim, żeby szatan nie mógł przejść przez naszą własność?

Francis pokręcił głową.

– A gdybyśmy wplekli w ogrodzenie gałązki jarzębiny? – nalegał Henry Mendum. – To może go odstraszyć. Albo przygotować butelki czarownic?

– Henry, zacznijmy od modlitwy i zobaczymy, czy nas ochroni. Nie spieszę się z użyciem czarów przeciw czarom, obojętnie jak zbożny jest cel. Używając ich, przyznajemy, że w nie wierzymy, a jeśli to okażemy, damy szatanowi i jego sługom jeszcze większą moc, aby nas krzywdzić.

– Jak mamy nie wierzyć w czary, skoro wszystkie wasze świnie są martwe, a moje krowy umierają na naszych oczach?

Beatrice zostawiła ich i powoli podeszła do ogrodzenia na samym skraju pola, gdzie znajdował się szeroki i płaski pas granitowej skały wychodzącej z ziemi. Ślady wyglądające na kozie wiodły w poprzek po skale, z prawej strony na lewą, a potem znikwały w wyższej trawie i chwastach po drugiej stronie ogrodzenia. Zastanowiło ją to, że ogrodzenie było zdecydowanie zbyt wysokie, aby przeskoczyła przez nie koza. Przynajmniej żadna koza, którą widziała do tej pory. Beatrice nie była wysoka, ale nawet kiedy stała na palcach, górna krawędź znajdowała się na tej samej wysokości, co jej uniesiony podbródek.

Odwróciła się, aby sprawdzić, czy Francis i Henry na nią patrzą. Kiedy zobaczyła, że obaj są odwróceny do niej plecami, sięgnęła do sukni i wyciągnęła z kieszeni białą, płócienną chusteczkę, rozłożyła ją i położyła płasko na skale, przykrywając jeden z odcisków. Wtedy stąpnęła na nią, przyciskając mocno butem, żeby jak najwięcej smolistej substancji zostało na płótnie.

Starając się, żeby Francis nie zauważył, co robi, podniosła chusteczkę i złożyła ją, żeby nie było widać żadnego śladu. Następnie ukryła ją w kieszeni razem z kluczami, nitką do guzika i wstążką oraz małą czerwoną książeczką z modlitwami.

Wróciła do mężczyzn i razem wspięli się po wzgórzu ku domowi.

– Mogę was czymś poczęstować? – zaproponował Henry.

Beatrice z chęcią napiłaby się zimnej źródlanej wody, ale Francis odmówił.

– Nie, dziękuję, Henry. Oboje mamy wiele roboty, a jak tylko odwiedzę panią Jenkins, pójdę do kaplicy i będę się modlił za ciebie.

– Dziękuję, wielebny. Modlitwy będą mi potrzebne. Kto wie, co jeszcze knuje szatan.



Gdy Francis i Beatrice zbliżali się do domu, zdziwili się, widząc stojącą przed nim czarną czterokołową kaleszę. Czarny, składany dach miała postawiony niczym olbrzymi wdowi czepiec, więc nie można było dojrzeć, kto jest w środku, ale zaprzężone były do niej dwa konie, jeden kary, drugi siwy; trzymał je młodzian ubrany w kurtkę myśliwską i czarne bryczesy, a do tego czarny trójgraniasty kapelusz.

Gdy zajechali przed wozownię, ów młodzian uniósł kapelusz i schylił głowę.

– Spodziewałeś się gościa? – spytała Beatrice, gdy Francis pomagał jej wysiąść z dwukółki.

– Ależ skąd, moja droga. Mam zbyt wiele zajęć na dzisiaj.

Podszedł do młodzieńca trzymającego konie. Wówczas mały Noe wybiegł z domu, a tuż zanim Mary.

– Noe, Noe! – wołała dziewczyna. – Wracaj i daj sobie wytrzeć buzię!

– Mama! – Chłopczyk podniósł rączki. Miał tylko siedemnaście miesięcy i nadal niepewnie chodził, a kiedy podbiegał do Beatrice, przewrócił się i uderzył głową w ziemię. Zaczął płakać, chociaż miał grubą czapkę na głowie, więc Beatrice podniosła go, utuliła i ucałowała.

– No, już, głuptasie! – uspokajała go. – Nic sobie tak naprawdę nie zrobiłeś, prawda?

Noe miał kręcone kasztanowe włosy i twarz w kształcie serca, i wszyscy widzieli, że to syn Beatrice, ale oczy miał ciemne i rozmarzone jak jego ojciec. Czasami, kiedy leżał w kołysce i patrzył na nią, minę miał tak poważną i rozumną, że nie mogła uwierzyć, że to tylko mały szkrab.

– Dzień dobry! – Francis witał się z młodym mężczyzną. – Któż to nas odwiedza, jeśli wolno mi zapytać?

Młodzian nie odpowiedział, ale gestykulował zawzięcie oburącz, jakby zaatakowała go osa. Miał twarz pokrytą piegami koloru cynamonu i intensywnie czerwone usta. Były też

wilgotne, ponieważ oblizywał je raz za razem, choć nadal nie wypowiedział ani słowa.

– Nie umiesz mówić? – spytał go Francis.

Chłopak pokiwał zawzięcie głową, kapelusz niemal spadł mu przy tym na ziemię. Potem odwrócił się do powozu i wydobył z siebie głośny wrzask, przypominający bardziej okrzyk puszczyka niż głos istoty ludzkiej. Francis zrobił krok do tyłu, unosząc rękę w stronę Beatrice, jakby chciał ją ostrzec, by trzymała się z dala.

Wtedy jednak z ostrym skrzypieniem czarny dach powozu złożył się, i z tylnego siedzenia powstał mężczyzna. Miał na sobie szary płócienny surdut oraz kamizelkę i bryczesy tego samego koloru, a chociaż nie wyglądał na więcej niż trzydzieści pięć lat, nosił siwą perukę. Wysiadł z kaleszy i podszedł do Francisca, wyciągając obie ręce, jakby witał długo niewidzianego przyjaciela.

– Wielebny Francis Scarlet, jak mi nie mam? – Głos miał wyraźny i dźwięczny, niczym u aktora, z brytyjskim akcentem świadczącym o wysokiej kulturze.

– Tak jest – odparł Francis. – Lecz ja nie mogę zrewanżować się równie miłym powitaniem.

Mężczyzna zbliżył się i uściśnął dłoń Francisca.

– Słyszałem wiele o ojcu. Pańska reputacja sięga daleko poza Sutton. A to pańska śliczna żona, Beatrice? I synek?

Rozluźnił uścisk i podszedł do Beatrice. Uśmiechnął się do niej ciepło i pobłażliwie, a potem zwrócił się do Noego:

– Płakałeś, mój mały żołnierzu! Tak nie wolno! – Wyciągnął pęk kluczy z kieszeni kamizelki i potrząsał nimi przed Noem, mówiąc: – No! Co o tym myślisz?

Noe wtulił twarz w szyję Beatrice.

– Wstydzę się obcych, przepraszam pana.

Nie mogła przestać myśleć, że kimkolwiek był ów obcy, był niezwykle przystojny. Choć nie dorównywał wzrostem Francisowi, stał prosto i był mocno zbudowany. Czoło miał szerokie, nos prosty, mocną, wyrazistą szczękę. Miał też coś w oczach, coś, co ją frapowało – cień figlarności, której

brakowało bogobojnym, ciężko pracującym mężczyznom z Sutton i z okolicznych gospodarstw.

Mężczyzna odwrócił się do Francisa i znowu wyciągnął dłoń.

– Jonathan Shooks, drogi wielebny. Chyba można mnie uznać za swego rodzaju doktora. A to mój lojalny asystent, Samuel. Jak już odkryliście, biedny Samuel nie może mówić. Jednakże czego zabrakło mu w gadatliwości, nadrabia gorliwością i sprytem. Prawda, Samuelu?

Samuel znowu skinął głową i wydał z siebie kolejny ptasi odgłos.

– Wobec tego, w czym mogę być panu pomocny... panie Shooks... Czy tak? – spytał Francis. – Zdaje się, że pan mnie zna. Mogę jedynie wnioskować, że przybył pan z czymś konkretnym.

– Cóż, jak powiedziałem, jestem swego rodzaju doktorem.

– Mamy już w Sutton medyka, doktora Merrydew. Zaspokaja wszelkie nasze zdrowotne potrzeby.

Jonathan Shooks nadal się uśmiechał, jakby ta rozmowa go bawiła.

– Inaczej mówiąc, wielebny ojcze, ja jestem lekarzem, i podczas lat praktyki leczyłem zarówno mężczyzn, jak i kobiety, oraz, jak to bez wątpienia określacie, wszelką żywinę. Jednak przede wszystkim, jestem doktorem medycyny naturalnej, ziołowych i rytualnych remediów, a co najważniejsze, leków duchowych.

– Nadal nie rozumiem, czym mogę panu służyć – rzekł Francis. – Czego pan oczekuje ode mnie?

– Niczego, wielebny. Wręcz przeciwnie. Chodzi o to, co ja mogę zaoferować ojcu i waszej społeczności.

Francis nic nie odpowiedział. Mary wytarła Noemu buzię muślinową ściereczką i wzięła go od Beatrice, poprawiając mu ubranko. Chłopiec przestał płakać i z łezkami przyklejonymi do rzesz wpatrywał się w Jonathana Shooksa.

– Ależ ojcze wielebny – ciągnął Shooks. – Słyszałem, że na miasteczko i niektóre z okolicznych farm padł cień. Ten sam zdradliwy cień padł na kilka osad w Massachusetts i Maine

i sprowadził wiele cierpienia. Żywina zdycha, zaraza niszczy uprawy. Działwa choruje.

– Hm, cóż, jestem tego świadom – odparł Francis. – Lecz Sutton to pobożna parafia i jestem pewien, że sami dopilnujemy naszego zbawienia. Pan nigdy wcześniej nas nie opuścił. I nie opuści także teraz.

Jonathan Shooks wzruszył ramionami i nadal się uśmiechał.

– Z pewnością, z pewnością. A cóż takiego sprowadziło mnie tu dzisiaj? Mogę oczyścić Sutton z wszystkich tych szkodliwych wpływów, czy to diabelskich, szatańskich, czy chorobowych. Tym się zajmuję, wielebny ojcze. To mój zawód. Mówiąc wprost, przeprowadzę egzorcyzmy na waszej osadzie i znowu ozdowieje.

Rozdział 14

Francis zaprosił ich do salonu. Jonathan Shooks, zanim usiadł, obszedł powoli pokój, przyglądając się bacznie haftom na ścianach i rzeźbie Jezusa wyrzucającego lichwiarzy ze świątyni, a potem swojemu odbiciu w zwierciadle nad kominkiem. Szkło było nieco wadliwe, więc zniekształciło mu twarz.

– Napije się pan herbaty? – zaproponowała Beatrice. – A może trochę cydru?

Shooks otrzepał rękawy i poprawił fular, a potem odwrócił się do Beatrice i posłał jej rozbrajający uśmiech.

– Poproszę herbatę, o ile nie sprawi to zbyt wiele kłopotu. A jeśli dziewczyna będzie tak miła i zanieś trochę wody Samuelowi, to będę wdzięczny.

– Ależ zapraszamy go do nas – odparła Beatrice.

– Samuel niezbyt dobrze czuje się w towarzystwie, żałuję. Jest wystarczająco zadowolony, zajmując się końmi. Dziękuję.

Beatrice wprowadziła Mary do kuchni. Gdy dziewczyna nalewała wody do czajnika i stawiała go na kuchni, Beatrice ustawiła na tacy filiżanki oraz talerze i wyjęła ze spiżarni słodkie bułeczki i keks. Noe wspiął się na krzesło, aby ją obserwować, a ona przekroiła bułeczkę na pół i podała mu. Zazwyczaj nie wolno mu było jeść niczego między posiłkami, ale z jakiegoś powodu Beatrice dzisiaj szczególnie chciała go otoczyć opieką. Coś w tym obcym ją niepokoiło, nawet bardziej niż rozmowa o „zdradliwym cieniu”.

Mary ogrzała porcelanowy imbryk i nałożyła łyżeczką herbatę. Kiedy dziewczyna stała odwrócona plecami, Beatrice wydobyła z kieszeni złożoną chusteczkę z odbitym śladem kopyta. Wepchnęła ją do szuflady sosnowego kredensu po lewej stronie, za tacą ze sztucami. Gdy wieczorem położy Noego, będzie miała więcej czasu, by się jej przyjrzeć, jeszcze zanim Francis wróci ze spotkania parafialnego. Wcześniej niczego nie chowała przed mężem, ale nie chciała, aby pomyślał, że kwestionuje jego przekonania. Jeżeli wierzy się bez jakichkolwiek wątpliwości w istnienie Boga, to jednocześnie wierzy się w istnienie diabła.

Kiedy wróciła do salonu, Jonathan Shooks właśnie mówił:

– Tak, wielebny... Pierwotnie prowadziłem handel morski dla firmy z Londynu i z tego to powodu dużo podróżowałem po świecie. Najpierw odwiedziłem Indie i Arabię, a potem pokonałem Atlantyk i dotarłem do Nowej Granady, Gwatemali i Portoryko. W każdej z podróży przyznawałem się do naturalnego zainteresowania kapłanami i szamanami wszelkiej maści i kultur. I tak stopniowo uświadamiałem sobie, jakie jest moje prawdziwe powołanie.

Beatrice postawiła tacę na stoliku pomocniczym. Kiedy nalewała herbaty, uświadomiła sobie, że gdy Jonathan Shooks rozmawia z Francisem, cały czas przygląda się jej. Podawała mu filiżankę, a potem talerz.

– Mam słodkie bułeczki albo keks, panie Shooks. Albo zwykłą babkę piaskową, jeśli pan woli.

– Pani Scartlet, z radością poproszę o kawałek keksu.

Dlaczego on się tak do mnie uśmiecha? – zastanawiała się Bea. Co jest takiego zabawnego w herbacie i cieście? A może bawi go coś we mnie?

– Oczywiście, jest wiele wierzeń – przyznał Francis. – Istnieje jednak tylko jeden prawdziwy Bóg i to On będzie naszym zbawieniem.

– Jest też tylko jeden prawdziwy diabeł – dodał Jonathan Shooks. – Naszym problemem w Nowej Anglii jest to, że on nie

zawsze pojawia się pod znajomą postacią, więc o wiele trudniej jest nam go rozpoznać.

– Obawiam się, że nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– To jest Nowy Świat, wielebny, gdzie diabeł niekoniecznie reaguje na imię szatan, i może objawiać się na sposoby nieznane pastorom takim jak pan. Tutaj szatan ma nieskończenie wiele twarzy i nieskończenie wiele imion, i trzeba wielu różnych procedur, aby go zidentyfikować, wielu bardzo różnych zaklęć, aby odesłać go tam, skąd przyszedł.

– Według mnie nie ma znaczenia, jak się nazywa ani jaką przybiera formę. Zło pozostaje złem, obojętnie jak je nazwać. Bóg go pozna, nawet jeżeli mnie się to nie uda.

Jonathan Shooks upił łyk herbaty i odstawił filiżankę.

– Drogi ojciec, dlaczego Kościół ma taką różnorodność modlitw? Każda odpowiada naszym potrzebom na dany dzień, ponieważ Pan Bóg nie wie, jakie niedole nas spotkają, chyba że mu powiemy. Ale jak mamy to zrobić, skoro sami nie wiemy, czym są owe zgubne rzeczy?

– Nadal pana nie rozumiem – odparł Francis. – Jeżeli świnię w tajemniczy sposób umierają, a bydło pada... Jeżeli gniją jabłka na drzewach, a dzieci bez powodu zapadają na choroby... To dla mnie jest robota szatana, obojętnie jakim imieniem siebie nazywa.

– Ale skąd wielebny wie na pewno? – nalegał Shooks. – A jeżeli szatan pojawi się pod postacią skrzeczącego ptaka drapieżnego, którego każdy wrzask przynosi śmierć tym, co go usłyszą? Albo bezgłowego drwala z drzwiami w piersi, które otwierają się i zamykają z odgłosem ścinanego siekierą drzewa? Lub pod postacią zbudowaną z rozbitych luster... Luster, które migoczą w lesie w środku nocy? Czy to są wszystkie objawienia szatana? Czy może są to jeszcze inne demoniczne duchy, zupełnie niezbliżone do szatana? Duchy z innych piekieł, o których ty, pastorze, możesz nic nie wiedzieć?

Francis z niepokojem zerknął na żonę. Bea widziała, jak bardzo nie podoba mu się Jonathan Shooks i wszystko, o czym mówi. Francis nienawdził, kiedy atakowano jego wiarę,

i chociaż wierzył w diabła, nie miał czasu na ludowe opowieści o skrzatach, zjawach albo wilkołakach. Lecz Jonathan Shooks wspomniał rozbite lustra i Bea wiedziała, że tylko z tego powodu jej mąż go wysłucha.

– Bóg stworzył wszystko na tej ziemi, panie Shooks, także te duchy, które wybrały drogę zła. Bez względu na to, jak bardzo nie znam różnych form, pod którymi może nam się objawiać diabeł, jestem pewien, że Bóg nas ochroni.

Jonathan Shooks wypił kolejny łyk herbaty.

– Skoro wielebny tak to rozumie, to podziwiam jego wiarę. Muszę jednak dodać, że gdyby ojciec natrafił na coś groźnego i zarazem niewyjaśnionego, chciałbym, aby bez wahania wielebny się ze mną skontaktował. Wiem z doświadczenia, że Pan Bóg może nam pomóc o wiele szybciej, jeżeli wie dokładnie, co nam grozi.

Beatrice zdawała sobie sprawę, że dla Francisa te słowa zakrawały już na bluźnierstwo. W jego mniemaniu Bóg był wszytkowiedzący, a jeżeli decydował się nie ratować nas przed chorobami, śmiercią czy wszelkimi innymi nieszczęściami, to musiał uznać, że na nie zasługujemy.

Jonathan Shooks ugryzł kawałek keksu i żuł go powoli, a Beatrice widziała w jego oczach, że wie, jak bardzo zirytował jej męża, i z jaką przyjemnością czekał, aż ten mu odpowie.

Francis odchrząknął, jakby sprawdzał, jaki ton głosu wybrać, zanim odpowiedział:

– Dziękuję za propozycję, panie Shooks. Spodziewam się jednak, że nie będę miał potrzeby wzywania pana, ale mimo to doceniam pańską troskę.



Francis i Beatrice stali w drzwiach, patrząc, jak Jonathan Shooks wsiada do swojej kaleszy. Samuel wydał z siebie wysoki wrzask, aby konie ruszyły, i potrząsnął lejcami. Powóz zatoczył półkole. Shooks podniósł z siedzenia szary trójgraniasty

kapelusz i uniósł na pożegnanie. Jak w każdym geście, który wykonał od początku, tak i w tym Beatrice widziała cień drwiny, jakby mówił: „Żegnajcie, o niewinni, nie macie pojęcia, jaka nadciąga burza”.

– Cóż – powiedziała, gdy wrócili do salonu. – Co o nim sądzisz?

– Nie mam pewności – odparł Francis. – Albo jest fanatykiem okłamującym samego siebie, albo to w istocie bardzo pokrętny człowiek. Może to niezycliwe, ale muszę przyznać, że nic mnie nie obchodzi.

– Cóż, chyba powiedział nam tylko połowę prawdy – dodała Beatrice. – Pan Shooks ma wiele do ukrycia. W każdym razie czuję, że nie widzieliśmy go po raz ostatni.

Mąż położył rękę na jej ramieniu i pocałował w czoło.

– Jak na kobietę masz niezwykłą wnikliwość, najdroższa. Muszę wyznać, że czasami mnie to niepokoi.

– Francisie, jestem twoją żoną – podkreśliła, spoglądając na niego. – Nie chcę cię nigdy wprowadzić w zaniepokojenie. Dbam wyłącznie o twoje szczęście i wygodę, twoją i Noego. Jestem tu po to, by ci służyć, jak każda dobra żona.

Francis wyciągnął z kieszeni zegarek.

– Wielkie nieba! Natychmiast muszę jechać! Mam tyle do zrobienia! Pani Jenkins mogła już trafić na łono Zbawiciela! I jeszcze muszę się spotkać z Richardem Moffattem w sprawie rachunków.

Gdy zakładał surduty, Beatrice weszła do kuchni i wzięła na ręce synka.

– Daj tacie buziaka i powiedz: „pa-pa”.

Francis pospiesznie pocałował Noego i wyszedł na dwór, wołając:

– Calebie! Calebie! Wyprowadź mi dwukólkę, bardzo proszę! Jak najszybciej!

Beatrice zaniósła synka do salonu i podeszła z nim do zwierciadła nad kominkiem.

– A co to? – spytała go, wskazując odbicie. – To mały kolega Noego? Pomachasz mu?

Onieśmielony chłopczyk położył główkę na ramieniu matki, ale kątem oka obserwował swój obraz. Beatrice sama wpatrywała się we własny wizerunek i długo czuła się tak, jakby patrzyła na kogoś obcego – kogoś o wiele młodszego od niej. Podczas gdy mężczyźni w Sutton, w swoich upudrowanych perukach i kamizelkach zapinanych pod samą szyję, zazwyczaj wyglądali na dużo starszych, niż w rzeczywistości byli, kobietom udawało się bez trudu zachować młody wygląd, nawet starszym matronom po czterdziestce. Także Beatrice nie musiała się starać. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat, chociaż miała już dwadzieścia siedem. Była delikatna, miała wąską talię, ale obfity biust, który ciasny gorset jeszcze bardziej uwydatniał. Kruczoczarne loki kontrastowały z intensywnie niebieskimi, niczym lazuryt, oczami. Nos miała krótki i zadarty, a usta wyglądały na lekko wydęte. Kiedy była mała, ojciec droczył się z nią, mówiąc, że wygląda jak cherubinek: śliczny cherubinek, ale nadaśany, bo Pan Bóg dał mu ciemne włosy zamiast złotych.

Gdy przyglądała się sobie, trudno jej było uwierzyć, że jest teraz żoną pastora i matką, panią własnego domu. Jednocześnie czuła, jak ogrania ją poczucie winy, że jest taka dumna z tego, co osiągnęła, i taka próżna z powodu swojego wyglądu. Miała nadzieję, że próżność w jakiś sposób nie przyczyniła się do padnięcia ich świń i choroby bydła Henry'ego Menduma. Pan pospiesznie karał tych, którzy mieli zbyt dobre mniemanie o sobie.

Potok jej myśli przerwał stukot powozu odjeżdżającego z Francisem. Musiała przestać śnić na jawie i wrócić do codziennych obowiązków. Jednak zanim wyszła z Noem z salonu, zerknęła raz jeszcze na swoje odbicie, nieomal ukradkiem, i nie mogła przestać myśleć o tym, co takiego Jonathan Shooks o niej sądził. Poruszył w niej pewne uczucia, których nigdy wcześniej nie doświadczała. Czy to był lęk, czy może pociąg, a może jakaś dziwna mieszanka obu?

Odwróciła się, ale ta drobna skaza w lustrze sprawiła, że wyglądała, jakby potajemnie uśmiechała się do siebie.



Wczesnym popołudniem Beatrice i Mary poszły do miasteczka. Zaczął wiać delikatny, ciepły wiaterek i drzewa wokół nich szeleściły i pochylały się, jakby im się kłaniały. Do osady był niecały kilometr, ale szły bardzo powoli, ponieważ Noe nalegał, aby przez całą drogę iść na własnych nóżkach, i co chwilę zatrzymywał się, żeby podnieść coś, co zwróciło jego uwagę, jak gałązka albo kamyk, a Beatrice lub Mary musiały mu to odbierać, zanim włożył to do buzi.

Po pewnym czasie Mary wzięła go na ręce, chociaż zaczął marudzić.

– Powinniśmy posadzić go na taczce – powiedziała. – Skoro wozimy ziemniaki, to dlaczego nie dzieci?

Dotarły do osady i weszły na pochyłe, zielone zbocze, na którym stała kaplica. Beatrice chciała się upewnić, czy trawa na cmentarzu została ścięta, czy kamienną ścieżkę wypielono oraz czy zamieciono podłogę przed niedzielnymi nabożeństwami. Noe nadal popłakiwał, więc weszła do środka sama. Wnętrze kaplicy było bardzo proste, bez żadnych witraży w oknach, ornamentów czy obrazów Jezusa. Ławy były tak proste jak zagrody dla bydła, a wysoka ambona naga i nieozdobiona. Mimo to salę wypełniało słońce i panowała w niej całkowita cisza, a Beatrice stanęła nieruchomo z zamkniętymi oczyma, szepcząc modlitwę: „Umiłowany Panie, proszę, wybacz nam nasze harde myśli, które pojawiły się w naszych głowach, i chroń nas przed złem. Amen”.

Wyszła na zewnątrz. Mary postawiła Noego na ziemi, więc dreptał pośród nagrobków, ciągnąc za sobą szelki. Najnowszy kamień upamiętniał niedawny pochówek Mercy Quilter. Beatrice dobrze ją знаła i lubiła. Mercy zmarła w kwietniu w trakcie trudnego porodu siódmego dziecka. Jej nagrobek oznajmiał, że „Była znana z modlitwy, posłuszeństwa, gorliwości, rozwagi, szczerości, pokory, potulności, cierpliwości,

wytrwałości, wiary i poświęcenia”. Beatrice pamiętała ją bardziej za zgryźliwy humor, ale to nie wyglądałoby dobrze na kamieniu nagrobnym.

– Chodź, Noe, mały łobuzie! – zawołała syna. – Muszę iść do pani Holyoke, a ty będziesz mógł pobawić się z małą Elizą.

Zeszli zielonym zboczem w dół do domu państwa Holyoke’ów, który był jednym z większych w Sutton, z dwoma wysokimi kominami i wspartym na filarach gankiem. W odległym krańcu zielonej łąki trzech małych chłopców wspinało się na działo, relikwiot wojny między Francuzami a Indianami, i Noe zatrzymał się, aby zazdrośnie ich obserwować. W końcu Mary znowu musiała wziąć go na ręce i nieść.

Już prawie dotarli na drugi koniec łąki, kiedy w drzwiach jednego z domów obok domostwa Holyoke’ów pojawiła się pulchna, młoda kobieta. Pobiegnęła w ich stronę ścieżką, zagarnawszy spódnice jedną ręką, a drugą przytrzymując czepek na głowie. Beatrice rozpoznała Jane Saltonstall, żonę szewca Andrew.

Gdy Jane dobiegła do nich, zatrzymała się, przyciskając dłoń do piersi, aby odzyskać oddech.

– Jane... Co się stało? – spytała Beatrice.

– Biegnę po lekarza – wydyszała Jane. – Chociaż twój mąż również może być potrzebny.

– Dlaczego? Co się stało?

– Bliźniaki Judith Buckley, Apphia i Tristram, strasznie zachorowały. Ale nad ich kołyskami jest znak. Krzyż odwrócony do góry nogami. Wygląda, jakby sam diabeł go zostawił.

– Jane, sprowadź doktora Merrydew, jak najszybciej. Mary... Natychmiast zabierz Noego do domu. Jeżeli jest tu choroba, nie chcę, aby się zaraził.

– A co pani zrobi? – spytała Mary.

– Jestem żoną pastora – odparła Beatrice. – Jeżeli szatan naprawdę się pojawił, sama go muszę zobaczyć.

Poszła szybko wzdłuż białego drewnianego płotu, aż dotarła do domu Buckleyów. Frontowe drzwi były otwarte, a w środku,

w wąskim korytarzu, tłoczyło się kilka kobiet, wszystkie dobrze znane Beatrice.

– Pani Scarlet, padła na nas klątwa – powitała ją pani Rust, szczupła kobieta po pięćdziesiątce, która zawsze powtarzała Beatrice, że wierzy w czarownice. – Ktoś w tym mieście zgrzeszył i my wszyscy musimy za to zapłacić.

Pani Butler przywołała żonę pastora do pokoju na tyłach domu. Było tu parno i ciemno i Beatrice wyczuła chorobę, gdy tylko weszła do środka. Po lewej stronie stało jedno duże łóżko przykryte patchworkową kołdrą, na którym sypiali Judith i Nicholas Buckleyowie. Pod przeciwległą ścianą stały dwa wiklinowe łóżeczka, a w nich osobno leżały bliźnięta. Judith Buckley i jedna z jej kuzynek pochylały się nad nimi, a policzki Judith połykiwały od łez.

Na białej tynkowanej ścianie nad łóżeczkami namazano wielki czarny krzyż – odwrócony do góry nogami i długi na ponad pół metra.

– Och, pani Scarlet... – mówiła Judith, szlochając. – Och, spójrz na nie, na moje maleństwa!

Obydwoje dzieci były nagie, przykryte tylko bawełnianą pieluchą. Beatrice przypomniała sobie, że urodziły się pod koniec lutego, więc kilka dni temu skończyły pół roku, chociaż wydawały się małe jak na swój wiek. Oczy miały zamknięte, były blade i całe spocone, jakby śnił im się koszmar.

– Dzisiaj rano dzieciom nic nie dolegało – oznajmiła Judith. – Były pogodne, śmiały się, jadły bez problemu. O jedenastej położyłam je spać, ale trzy godziny później jeszcze się nie obudziły, a kiedy przyszłam sprawdzić, dlaczego tak długo śpią, zobaczyłam, że zwymiotowały mleko i zabrudziły pieluchy. I było to.

Wskazała odwrócony krzyż.

Beatrice podeszła do ściany i przyjrzała się z bliska znakowi, chociaż go nie dotykała. Najwyraźniej namalowany był tą samą smolistą substancją, którą odcisnięto kopyta na pastwisku Henry’ego Menduma, a kiedy bardziej się zbliżyła i pociągnęła nosem, wychwyciła tę samą drażniącą woń goździków. Jeżeli

diabeł wszedł do tego pokoju, aby wpędzić w chorobę bliźnięta, to był to ten sam diabeł, który zaraził krowy Menduma.

– Nie widziałaś nikogo przy domu albo na łące? – zapytała, zwracając się do Judith. – Słyszałaś coś?

Judith pokręciła głową.

– Piekłam, a potem cerowałam ubrania. Poproś wielebnego Scarleta, proszę, aby przyszedł się za nie pomodlić. Gdyby umarły, nie zniosłabym tego. Wtedy dla mnie też tylko śmierć.

Beatrice spojrzała na Apphię i Tristrama.

– Spróbuj dawać im po trochu wody, Judith. Mało i często. Doktor Merrydew będzie wiedział, skąd ta gorączka, i da im lekarstwo, pewnie napar z nagietków. Ale woda pomoże już teraz.

– Nie umrą, prawda?

Beatrice znowu spojrzała na krzyż. Nie do końca rozumiała dlaczego, ale on bardziej ją niepokoił niż każdy zły omen do tej pory.

– Nie, Judith. Przestań, nie. Ale mam przeczucie, że ktoś się z nami bawi, nie wiem tylko jeszcze kto i dlaczego.

– To szatan – odezwała się pani Rust w drzwiach. – Ktoś w tej osadzie wezwał diabła, żeby się na nas zemścić, a ja wiem, kto to jest.

– Nie ma pani na to dowodów, pani Rust – zaproponowała Judith cichym, pełnym przerażenia głosem, prawie jakby martwiła się, że ktoś może ją podsłuchać.

– A jakich więcej mi trzeba dowodów? – odparła pani Rust. – Ona ma taki sam ostry język dla każdego i nie ma tygodnia, żeby kogoś fałszywie nie oskarżała. Dopiero co parę dni temu powiedziała Rogerowi Parminterowi, że spotka się z nim w piekle, a to tylko dlatego, że jego psy pogoniły za jej psami. A jaką truciznę warzy w swojej kuchni, Bóg jedyny wie.

– Mówisz o wdowie Belknap – domyśliła się Beatrice.

Judith gwałtownie zamachała obiema rękami, aby ją uciszyć.

– Tyle razy mi mówiła, że moje dzieci są nienaturalne, bo miały ataki po urodzeniu. Obydwoje, i oboje przestali oddychać.

– Co w nich jest takiego nienaturalnego? Oboje przeżyli, dzięki Bogu.

– Powiedziała, że na zdrowy rozum powinny umrzeć, ale Bóg na powrót tchnął w nie życie, aby pokazać, że to On, a nie szatan, decyduje, kto ma być ukarany.

Beatrice nie pytała, dlaczego szatan miałby uznać, że ma prawo odebrać życie nowo narodzonym bliźniętom. Chyba że były wcześniakami i zostały poczęte, gdy mąż Judith, Nicholas, był przez dwa miesiące w Bostonie w interesach. W każdym razie taka krążyła plotka. Nikt nie śmiał powiedzieć tego Judith prosto w twarz, gdyż Nicholasa powszechnie szanowano, podobnie jak Johna Starlinga, który równie dobrze mógł być ich ojcem.

– Cóż, pani Rust – powiedziała Beatrice – Jeżeli ma pani rację co do wdowy Belknap... Jeżeli to rzeczywiście ona wezwała szatana, aby ukarał nas za wszystkie grzechy, to mogę tylko się modlić, żeby Bóg miał nas w swojej opiece.

Jednocześnie jednak myślała: może wdowa Belknap nie musiała wzywać szatana. Może wdowa Belknap posiadała wystarczającą wiedzę o truciznach, aby wywołać chorobę i śmierć bez pomocy Władcy Much. W końcu w Nowej Anglii rosło wiele bardzo niebezpiecznych ziół – ziół, których nie znał jej ojciec, jak na przykład różne odmiany bielunia.

Nagle przypomniał się jej ojciec, i matka też, jak leżeli obok siebie w trumnach w Clerkenwell, w kościele Świętego Jakuba; poczuła ukłucie tęsknoty i żalu, które, jak jej się wydawało, już dawno pogrzebała, i niespodziewanie napłynęły jej do oczu łzy.

Rozdział 15

Francis musiał ją dostrzec, jak pospiesznie zmierzała ku domowi, a Mary tuż za nią, ponieważ wyszedł przed drzwi i podszedł do nich szybko.

– Beo, moja droga! – zawołał. – Co się stało?

– Musisz natychmiast przyjść! – powiedziała Beatrice, przyciskając dłoń do piersi, aby odzyskać oddech. – Chodzi o bliźnięta Buckleyów, Apphie i Tristrama! Są chore, niemal śmiertelnie, a ktoś narysował na ścianie sypialni odwrócony krzyż! Doktor Marrydew miał do nich przyjść, ale ciebie też potrzebują!

Mary niosła Noego całą drogę od miasteczka, potrząsając nim w ramionach. Postawiła go na ziemi, a dyszała tak mocno, że nie mogła wykrztusić słowa. Noe podbiegł do ojca i objął go rączkami za nogi.

– Tata, tata!

– Odwrócony krzyż? – powtórzył Francis, biorąc Beatrice za rękę i prowadząc ją przez resztę drogi do domu. – Wiedzą, kto to zrobił?

– Nie. Ale zrobiono to tą samą smolistą substancją co ślady kopyt na łące u Menduma. Nawet tak samo pachniała.

Francis najwyraźniej nie pomyślał, aby zapytać ją, skąd wie, że ślady kopyt akurat tak pachniały.

– Czy widziano kogoś obok domu, zanim dzieci zachorowały? – zapytał jedynie. – Czy ktoś groził Buckleyom?

– Nie. Ale niektóre z kobiet obwiniają wdowę Belknap. Mówią, że ostatnio była mściwa, bez konkretnego powodu. Hm,

sam zresztą mówiłeś, że słyszałeś, jak śpiewała do kozła. Pani Rust wierzy, że wzywała diabła.

– W takim razie muszę natychmiast się tym zająć – zdecydował Francis. – Mary... Możesz opiekować się Noem, dopóki nie wrócimy? Calebie! Calebie!

Caleb wyłonił się zza domu z dłońmi pełnymi chwastów, które wyrywał w ogrodzie.

– Tak, wielbny?

– Proszę, zaprząż Królewicza, jak najszybciej!

Po chwili Caleb wrócił, prowadząc konia. Zaprzągnął go do dwukółki i pastorstwo ruszyli w stronę osady. Beatrice odwróciła się i zobaczyła, jak Noe macha im na do widzenia.

– Dzieje się tu coś bardzo mrocznego! – zawołał Francis, przekrzykując terkotanie i skrzypienie bryczki i synkopowany tętent kopyt konia na stwardniałym od gorąca błocie. – Wdowa Belknap wcale nie musiała przyczynić się do choroby bliźniąt, ale jak mówiłem wcześniej, może być jednym z tych słabych ludzi, którymi manipuluje szatan, jak lalkarz marionetkami!

Beatrice nie odpowiedziała. Wierzyła w diabła tak samo jak w Boga i szanowała wiarę męża. Jednak zapach tych znaków przywiódł jej na myśl wspomnienie dawnych woni w laboratorium ojca – smoły węglowej, goździków, oleju z cywety i siarki. Trudno było jej nie zastanawiać się, czy przypadkiem nie przyłożył do tego ręki jakiś człowiek truciciel, a nie jego szatańska wysokość.

Mimo to nie odezwała się, ponieważ możliwe było, że modlitwy Francisa mogły uratować bliźnięta Buckleyów, a nie chciała, aby pomyślał, że w niego wątpi, bo tak nie było. Nie chciała też, by sam Pan Bóg uznał, że wątpi również w Niego.

Gdy objeżdżali łąkę, Beatrice ku swemu zdziwieniu zobaczyła kaleszę Jonathana Shooksa stojącą przed domem Buckleyów. Miała złożony dach, a dwa konie pasły się obok ścieżki. Samuel trzymał je za lejce, a gdy Francis i Beatrice podjechali bliżej niego, uniósł kapelusz i wykonał przed nimi zamaszysty, przesadny ukłon, jakby naśladował swego pana.

Kiedy wysiedli z dwukółki, chłopak wydał wysoki okrzyk

i wskazał na dom Buckleyów.

– Zdaje się, że pan Shooks jest w środku? – zagadnął Francis, a Samuel energicznie pokiwał głową.

Weszli. W korytarzu nadal tłoczyło się sześć lub siedem gospodyń; jednocześnie dygnęły, kiedy Francis przeciskał się między nimi.

– Miło widzieć waszą wielebność – przywitała Scarleta pani Rust. – Potrzeba nam dzisiaj posłańca od Boga, bez dwóch zdań.

W pokoju dziecinnym było ciepło i brakowało powietrza, pachniało chorobą i czymś jeszcze, jakby bardzo słodkim zapachem ekskrementów. Jonathan Shooks stał nad łóżeczkiem Apphii, przyciskając dłoń do jej czoła. Podniósł wzrok, kiedy Scarletowie weszli do pokoju, i ze smutkiem i powagą pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że mała jest nadzieja na uratowanie dzieci.

Doktor Merrydew siedział na łożu Buckleyów, grzebiąc w brązowej skórzanej torbie. Był tęgi, miał czerwoną twarz i rudobrunatną perukę, która zachodziła mu na policzki. Ubrany był w poplamioną jedzeniem kamizelę koloru musztardowego i pomarszczone białe pończochy.

– Och! Wielebny Scarlet! – odezwał się szorstkim, wysokim jak gwizdek głosem. – Cóż mamy począć z tym nieszczęściem?

Ruchem głowy wskazał odwrócony krzyż na ścianie nad łóżeczkami. Francis podszedł tam i przyglądał się chwilę, mrużąc oczy i unosząc dłoń ku niemu, ale go nie dotykając. Potem spojrzał na bliźnięta. Były blade jak kreda, a na buzi Tristrama zaschły bąbelki różowej piany.

– Mój Boże – wyszeptał. – Nie wyobrażam sobie, kto mógł tak źle życzyć tym małościom. Ktokolwiek to był, najwyraźniej próbuje zastraszyć nas wszystkich. Najpierw świnie, potem bydło, a teraz dzieci.

– Nie mogą oddychać, tak? – spytała Beatrice. – Co pan zalecił, doktorze? Potrzebują czegoś na oczyszczenie płuc.

– Szukam jakiejś dymnicy – odparł doktor Merrydew. – O, tak, jest... Wiedziałem, że mam. Możemy ją spalić tutaj

w pokoju dzieci. To powinno im pomóc z oddychaniem. Poza tym wygoni złe duchy, które mogą się tu jeszcze czaić.

Wyciągnął mały bawełniany woreczek i wysypał z niego garść suchych, drobnych ziół, które same już prawie wglądały jak dym.

– Pani Buckley, niech pani będzie tak dobra i przyniesie mi jakiś talerz, żebym mógł to spalić... czy zapaloną szczapkę. I niech pani każe dziewczce zetrzeć ze ściany ten świętokradczy symbol. Nie mam pojęcia, jaką smrodliwą mazią go namalowano, ale cuchnie jak ekskrementy samego diabła.

– Nie ma pan doktor miodunki?

– Pani Scarlet, te dzieci nie potrzebują miodunki. Po niej będzie im się tylko trudniej oddychało.

– Mój ojciec zawsze zalecał miodunkę osobom, które miały płyn w płucach.

– Z pewnością, moja droga. Ale miodunka nie ma duchowych właściwości, prawda, nie tak jak dymnica. To nie tylko choroba fizyczna, którą mamy wygnać z tego pokoju, ale duchowe szkody. Pani, jako żona pastora, powinna wiedzieć najlepiej.

Kiedy pani Buckley poszła do kuchni poszukać talerza, Beatrice odwróciła się do Jonathana Shooksa. Przyglądał się jej tak samo jak wtedy, kiedy pił z nimi herbatę na plebanii. Nie wiedziała, czy nie może od niej oderwać wzroku, bo jest taka powabna, czy też obserwuje ją bacznie, jakby jej obecność w jakiś sposób mu zagrażała.

– Cóż więc sprowadziło pana tu dzisiaj, panie Shooks? – zapytała. Śmiałość w jej głosie wywołała u niego uśmiech, ale nie odwrócił wzroku.

– Byłem w drodze do gospody w Penacook, pani Scarlet, gdzie tymczasowo mieszkam. Zauważyłem te dobre niewiasty najwyraźniej strapione, więc zatrzymałem się i zapytałem, czy mógłbym w jakiś sposób im pomóc. Ale one już wezwały lekarza, więc nie mnie było interweniować.

– A cóż takiego by pan zrobił, gdyby pozostawiono kwestię panu?

Znowu spojrzął na dzieci i wzruszył ramionami.

– Cóż, widziałem podobne symptomy wiele razy podczas podróży. Wysoka gorączka, kłopoty z oddychaniem. Jest kilka różnych lekarstw, w zależności od tego, jaki zły duch wywołał te objawy i dlaczego.

– Zatem, według pańskiego doświadczenia, jakież to zły duch wprowadził te dzieci w taki stan?

– Nie mnie podważać opinii doktora, pani Scarlet. I opinie pani wielbego męża.

Beatrice już miała powiedzieć Jonathanowi Shooksowi, że jeżeli ma jakiś pomysł, co zaraziło bliźnięta, i wie, jak je uzdrowić, to jego obowiązkiem jest to wyznaczyć. Lecz Francis zmarszczył brwi, patrząc na nią, jakby chciał powiedzieć, że nie pochwała takiej prowokacji z jej strony i że powinna zachować spokój. Nieomal wydawało się jej, że mąż jest zazdrosny.

W tym momencie pani Buckley przyniosła dużą miedzianą misę i zapaloną cienką świecę i podała je doktorowi. Sypialnię szybko wypełnił gryzący niebieski dym, od czego wszyscy, w tym dzieci, zaczęli kaszleć.

Tymczasem służąca pani Buckley, Meg, wróciła do pokoju z drewnianym skopkiem mydlin i szczotką i starła odwrócony krzyż ze ściany.

Jonathan Shooks został na swoim miejscu obok łóżeczka Apphii, nic nie mówiąc, chociaż Beatrice po jego minie widziała, że nie miał szacunku dla doktora i jego leczenia dymnicą.

– Wielbny Scarlet, będzie się ojciec modlił za te dzieci? – zapytał w końcu, odganiając dym dłonią.

– Oczywiście – odparł Francis. – Po to tu przyjechałem.

– Hm, mam wielką nadzieję, że ojciec wie, o co się modli. A raczej, przeciw czemu się modli. Ten poczciwy doktor najwyraźniej nie ma pojęcia, bo inaczej nie dławiliby nas ziołem, którego powszechnie używano w Starym Świecie do wypędzania demonów, takich jak Asmodeusz i Pazuzu, ale nie będzie miało absolutnie żadnego wpływu na duchy Nowego Świata.

Francis zerknął na Beatrice, ale ona nie spuszczała oczu z Jonathana Shooksa.

– Francisie, przybyłeś tu, aby modlić się za Apphie i Tristrama – powiedziała wyzywająco. – To wszystko. Nie ma znaczenia, co wywołało u nich chorobę. Najważniejsze, aby wyzdrowiały. Pan Bóg wysłucha.

Jonathan Shooks uniósł lekko brwi, ale nic nie powiedział.

– Proszę, wielebny – błagała pani Buckley. – Proszę, módl się za nie. Nie mogę patrzeć, jak tak cierpią.

Francis pochylił głowę, złożył dłonie i zamknął oczy.

– Dobry Boże, jakikolwiek nieczysty duch wstąpił w ciała naszych dzieci, Apphii i Tristrama, błagamy Cię, abys go oddalił i na nowo dzieciom zdrowie przywrócił. Pokornie też błagamy o obronę przed tymi, którzy chcą nas poniżyć i nakłonić do kwestionowania naszej wiary. Zachowaj nas w opiece, o Panie, i pomóż nam wytrwać. I broń nas od wszelkiego złego, amen.

– Amen – powtórzyli wszyscy w pomieszczeniu pełnym dymu, nawet Jonathan Shooks.

Doktor Merrydew zamknął skórzaną torbę.

– Powinniśmy zostawić teraz dzieci na dwie lub trzy godziny – powiedział. – Wczesnym wieczorem powinny okazać znaki ozdrowienia. Zajrzę tu znowu, zanim się ściemni.

Wszyscy podreptali do drzwi i wyszli na łąkę. Dym z ziół kłębił się w korytarzu za nimi, rozświetlany przez snopy światła sączące się przez liście dębów.

Pani Rust podeszła do Francisca.

– A co z wdową Belknap? – zagadnęła. – Nie zezwoli jej ojciec ujść bezkarnie, co? Pan Bóg jedyny wie, co ona jeszcze może zrobić.

– Nie mamy pewności, że to wdowa Belknap wywołała chorobę u bliźniąt – odparł Francis. – Mam poważne podejrzenia co do niej, to oczywiste, ale brak mi dowodu.

– Ha! – huknęła pani Rust. – Szkoda, że w osadzie nie ma stawu! Moglibyśmy wrzucić ją i zobaczyć, czy wypłynie! Taki dowód by starczył!

Podeszła do nich pani Buckley, nadal kaszłąc od dymu.

– Proszę, wielebny... Proszę, niech wdowa Belknap cofnie klątwę, jaką na nie rzuciła. Nie wiem, jak Nicholas to znieśie,

kiedy wróci z Durham, a bliźnięta umrą.

Beatrice spojrzała na Jonathana Shooksa. Stał teraz przy swojej kaleszy, jedną ręką trzymając złożonych dach, jakby szykował się, by wsiąść i odjechać, a jednak czekał i nasłuchiwał, co mówią.

– Wielebny! – zawołał, gdy Francis i Beatrice podchodzili do swojej dwukółki.

– Tak, panie Shooks? – odparł Francis, nie odwracając się.

– Jak mówiłem, mieszkam w gospodzie w Penacook. Więc, proszę nie wahać się i dać mi znać, gdyby była potrzeba.

Francis nie odpowiedział, ale wyciągnął rękę, aby pomóc Beatrice wspiąć się na siedzenie.

Rozdział 16

Pojechali do północno-wschodniego narożnika trawiastego placu w środku Sutton, do mniejszych rozsypujących się chałup, które należały do rzemieślników, małorolnych chłopów i biedoty. Koła wozów wyżłobiły w trawie głębokie koleiny.

Wokół roznosiła się ostra woń końskiego nawozu, ale wdowa Belknap mieszkała daleko od placu. Trójkątny ogródek przed jej domem zarosło wybujałe, kwitnące zielsko – krwawnik, wieczornik i przymiotno o kwiatach fioletowych, różowych i takich, które wyglądały jak olbrzymie białe stokrotki.

Sam dom był pięcioboczny i miał dziwne proporcje, dobudowaną kuchnię i mleczarnię na tyłach. Ściany zrobione były z pomalowanych na żółto desek, które po wielu mroźnych zimach i spiekocie lata spękały i wyblakły, natomiast framugi okien przegniły.

– Poczekaj tutaj – powiedział Francis do Beatrice i oddał jej lejce. Jednak kiedy szykował się, by wysiąść z dwukółki, frontowe drzwi otworzyły się i wdowa Belknap wyszła przed dom, unosząc dłoń, aby zasłonić oczy przed słońcem.

– Wielebny Scarlet! – zawołała przenikliwym głosem. – Odwiedza pastor swoją trzódkę? Czy wielebny przywiózł mi jakieś niespodziewane wieści od Wszechmogącego?

Była to wysoka kobieta, bardzo szczupła, i chociaż była wdową, nie miała jeszcze czterdziestu lat, a wyglądała nawet młodziej. Zmierzwiłone blond włosy przykrywał sztywny czepek z czarnego płótna, a szyję zdobiła czarna wstążka. Ubrana była w czarną długą suknię, do której przypięła kameę.

Beatrice uważała, że wdowa Belknap jest piękna w dziwny, niemal nieziemski sposób. Miała prosty, cienki nos, a z idealnie owalnej twarzy spoglądały duże zielone oczy, i Beatrice zawsze miała wrażenie, że nieustannie śledzi ją ten wścibski, koci wzrok.

Francis wysiadł z dwukółki i zdjął kapelusz.

– Dzień dobry, łaskawa pani. Zdrowie dobrodziejce dopisuje?

– Czego wielebny sobie życzy? Proszę nie mówić, że pastor proponuje mi lepsze miejsce podczas niedzielnych nabożeństw, z dala od wiercącej się dziatwy.

– Zapropnowałbym, gdybym tylko mógł, dobrodziejko, ale wie pani, jak jest tłoczno. Nie... Przyszedłem w sprawie bliźniąt Buckleyów, Apphii i Tristrama.

– Słyszałam, że niedomagają. A dlaczegoż to do mnie wielebny przychodzi? Pańska żona wie więcej ode mnie o leczniczych medykamentach.

– Nie przyszedłem szukać lekarstwa. Szczerze mówiąc, szukam osoby odpowiedzialnej za wywołanie u nich choroby.

Wdowa Belknap nie poruszyła się; nadal osłaniała dłonią oczy. Oblizła cienkie, różowe usta, jakby pomyślała o czymś, co ją zirytowało, ale musiała się opanować, aby zachować to dla siebie. Woń jej zarośniętego ogródka przywiodła na myśl Beatrice zielny ogród jej ojca, zwłaszcza że wśród kwiatów brzęczało tyle pszczół.

Prawie słyszała śpiew matki: „Żeniszku śliczny tysiąclistny, krwawnikiem wszystkim znany”.

– Kilku członków mego zgromadzenia doniosło mi, że ostatnio pani zachowanie, delikatnie mówiąc, nie było zbyt przyjazne – oznajmił Francis.

– Zachowanie kilku członków pańskiego zgromadzenia nie było zbyt przyjazne wobec mnie, wielebny ojcze, i wcale nie ujmuje tego delikatnie!

– Co dobrodziejka przez to rozumie?

– To znaczy, że plotkowali za moimi plecami, głównie oskarżając mnie za zaczepianie ich mężczyzn. Nazywają mnie czarownicą, a ich dzieci rzucają kamieniami w moje okna.

Harriet Mendum powiedziała, że powinno się mnie zamknąć albo w ogóle wygnąć z miasteczka, a Ruth Buckley rzuciła mi w twarz, że trzeba mnie wziąć pod pręgierz i publicznie wychłostać. Ale czy to moja wina, wielebny, że jestem bez męża, że jestem wdową, bo tak los sprawił? Czy tylko dlatego, że jestem samotna, nie mogę przyjaźnie rozmawiać z mężczyznami innych kobiet? Czy wolno mi tylko rozmawiać z moim kozłem?

– Czy dobrodziejka wie, jest różnica między przyjazną rozmową a flirtem?

– A wielebny sądzi, że tego nie wiem? Jednak to wszystko są głupie, mściwe kobiety, a ja myślałam, że mają dosyć do roboty, że pieką chleb, peklują wieprzowinę i przędą nici, nie marnując czasu na wymyślanie złośliwych plotek na temat niewinnej i życzliwej sąsiadki!

– Na pewno pamiętasz, pani, co Paweł napisał w liście do Efezjan – powiedział Francis.

– Nie, tak na poczekaniu, nie. Muszę przyznać, że nie pamiętam.

– Napisał: „Niech zniknie spośród was wszelka gorycz, uniesienie, gniew, wrzaskliwość, znieważenie, wraz z wszelką złością”.

– Hm, może wielebny powinien przypomnieć te słowa tym kumoszkom z Sutton – odparła wdowa Belknap.

Ruszyła ścieżką, pochylając się i wyrywając garść zielska. Podeszła do Królewicza i poklepała go po boku. Koń żuł wysoką trawę spomiędzy kolein, ale kiedy kobieta podsunęła mu zioła, uniósł łeb i zjadł jej z ręki.

– No, dobry konik – powiedziała. – To smakuje lepiej, co?

Beatrice obserwowała ją przez chwilę, gdy karmiła Królewicza ziołami. Wtedy się odezwała:

– Bliźnięta Buckleyów są bardzo chore, pani Belknap. W zasadzie wygląda, że są bliskie śmierci.

Wdowa Belknap spojrzała na nią swoimi zielonymi, kocimi oczami.

– Sugeruje pani, że wiem, od czego się rozchorowały?

– A wie pani? Jeżeli zna pani lekarstwo, może przydać się

dla własnej obrony. Bardzo boję się o pani bezpieczeństwo, gdyby umarły.

– Ludzie mogą sobie myśleć o mnie, co chcą, pani Scarlet. Nie muszę szukać wymówek ani tłumaczyć się z tego, jak żyję. Co zamierzacie? Wezwiecie konstabla Jewkesa, żeby mnie aresztował? Tylko że on zawsze jest wstawiony i nie potrafiłby wymyślić oskarżenia, które mógłby wnieść przeciwko mnie.

Przerwała na moment, a potem dodała:

– Powinniście oboje to zapamiętać. Tak samo niebezpiecznie jest wzywać imię szatana na daremno jak i kwestionować Boga.

– Co pani przez to rozumie? – spytał Francis. – Czy wezwie pani szatana, aby ukarał tych, którzy panią obmawiają? Wtedy rzeczywiście trzeba by było panią aresztować!

Kiedy to powiedział, w otwartych drzwiach domu wdowy pojawił się wymizerowany czarny ptak. Skakał ścieżką, wydając żalosne wrzaski. Wdowa Belknap wyciągnęła lewą rękę i ptak z trzepotem skrzydeł wzleciał i usiadł, przekrzywiając łebek. Królewicz parsknął i nerwowo cofnął się w bok, z dala od ptaka, który wcale nie bał się konia.

– To czarna papuga – wyjaśniła wdowa. – Nazywa się Urok i jest oswojona. Była towarzyszem morskich podróży mego świętej pamięci męża. Powiedział, że znalazł ją na jakiejś wyspie na Oceanie Indyjskim. Dostałam ją od niego w prezencie.

Francis czekał, aż wdowa odpowie na jego pytanie, ale ona tylko gruchała do papugi i głaskała ją po łebku.

– A czy pani wie, co to komunia diabła? – zapytał ostro.

– Słyszałam o tym. Czy to nie wtedy, kiedy szatan odbiera człowiekowi duszę za pomocą kawałka rozbitego lustra zamiast opłatka? Wpadasz w sidła własnego samouwielbienia.

– Czy ja i moja żona kiedykolwiek źle mówiliśmy o pani? Albo uczyniliśmy pani krzywdę?

Wdowa Belknap nie spojrzała na niego, ale odwróciła spojrzenie ku Beatrice i uśmiechnęła się. Ten jej całkowity spokój wystarczył, aby Beatrice poczuła się dziwnie bezbronna i niespokojna i zapragnęła zaraz stąd odjechać i wracać do domu.

– Och – odezwała się wdowa. – Mówi ojciec o waszych świniach.

Beatrice zauważyła, że Francis zaciska i otwiera pięści, jak zawsze, kiedy się denerwował. Jednak wytrzymał spojrzenie wdowy Belknap, unosząc zadziornie brodę.

Czarna papuga znowu zaskrzeczała. Wdowa posłała jej pocałunki, a potem powiedziała:

– Wielebny, czy zastanawiał się ojciec, dlaczego to was pierwszym dopadło nieszczęście, przed Henrym Mendumem i Buckleyami?

Francis zmarszczył brwi.

– Nie. Przyznaję, że nie myślałem o tym.

– Nie sądzi ojciec, że uczyniono to, aby pokazać, jak bardzo pastor jest bezsilny? Może jesteś posłańcem samego Boga, tutaj w Sutton, ale jeśli brakuje ojcu sił, aby ochronić własne świnie przed sztuczkami szatana, jak możemy spodziewać się, że obroni nas ojciec przed krzywdą?

– Nie ja was bronię, lecz Bóg – odparł Francis. – Jestem tylko człowiekiem, przyznaję, z wszystkimi ludzkimi przywarami. Ale kiedy Bóg uzna nas za wartych ochrony, wtedy jestem pewien, że kiedy będę się modlił do Niego, odpowie mi i nam tę ochronę zapewni.

– W takim razie, amen – powiedziała wdowa Belknap. Odwróciła się do nich plecami i odeszła do domu. W połowie ścieżki strząsnęła z ramienia papugę, jakby była nią zmęczona. Ptak zeskoczył z trzepotem skrzydeł i wrzaskiem pełnym urażenia.

– No i? – spytał Francis, gdy wsiadał z powrotem do dwukółki i sięgał po lejce. W tym momencie wdowa głośno zatrzasnęła drzwi swojego domu.

– Najwyraźniej żywi do nas urazę – odezwała się Beatrice.

– Może ma powody. Sama wiesz, jak złośliwe bywają kobiece plotki. Pamiętasz awanturę, kiedy pani Roper myślała, że Mercy Gardner ukradła jej szpilkę do włosów? To była tylko szpilka, ale ona oskarżała ją o wszelką niemoralność.

Mijali właśnie dom Buckleyów. Dym już nie buchał kłębam

przez drzwi, ale pani Rust nadal tam stała z założonymi rękami.

– Jak tam?! – zawołała. – Co ta czarownica ma do powiedzenia? Przyznała się do czarów?

– A jak się czują dzieci? – zapytał Francis, rozmyślnie ignorując jej pytanie.

– Ani gorzej, ani lepiej.

– Niech pani powie pani Buckley, że będę się za nie modlił nieustannie. Wrócę później zobaczyć, czy czują się lepiej. Dajmy lekarstwu doktora Merrydew szansę na zadziałanie, i dajmy też Panu Bogu trochę czasu, aby okazał im łaskę.



– Przyznaję, że jestem tym wszystkim głęboko poruszony, Beo – powiedział Francis w drodze na plebanie. – I równocześnie bardzo zmartwiony. A jeżeli wdowa Belknap ma rację? Jeżeli nasze świnie zostały zabite, aby pokazać całej społeczności, jaki jestem nieskuteczny? – Beatrice zauważyła, że nie użył słowa bezsilny.

Położyła dłoń na jego ręce.

– Francisie, kochany, jesteś zarówno silny, jak i dzielny – starała się go pocieszyć. – Już sam przyjazd do New Hampshire wymagał od ciebie wielkiej odwagi i wiary. Niech nie zniechęci cię jakaś kobieta o ostrym języku.

Francis wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę.

– Mam na dzisiaj zaplanowane ważne spotkanie z generałem Holyoke. Musimy omówić sprawę o cudzołóstwo przeciw Charlesowi i Marii Hubbard, zanim powołamy ławę przysięgłych. Już się spóźniłem ponad dziesięć minut, więc będziesz musiała mi wybaczyć, jak odwiozę cię do domu i natychmiast pojedę dalej.

– Jedź od razu – zaproponowała Beatrice. – Pójdę stąd pieszo.

– Nie, nie chcę o tym słyszeć – odrzekł Francis i potrząsnął lejcami, aby pogonić Królewicza. Koń jednak szedł coraz wolniej

i na trzydzieści metrów przed skretem na prowadząca do ich domu drogę do Bedford osunął się na bok między dyszlami dwukółki, jakby zawiodła go jedna z przednich nóg.

Przez moment Beatrice myślała, że może potknął się na kamieniu albo wpadł w jakąś dziurę, która powstała po dwóch miesiącach ciągłych ulewnych deszczów w marcu i kwietniu, a potem tygodniach gorącej i suchej pogody.

Francis znowu szarpnął lejcami.

– Dalej, stary! – zachęcał go. – Ruszaj, Królu! – Lecz Królewicz zrobił jeszcze trzy lub cztery kroki i osunął się na kolana, niemal przewracając dwukółkę na bok. Skończyło się na tym, że powóz sterczał w górze pod ostrym kątem. Francis wysiadł, pomógł wydostać się Beatrice i oboje podeszli zobaczyć, co się stało z koniem.

– Boże, oszczędź go! – wyszeptał Francis. – Ma atak!

Królewicz trząsał się i podrygiwał. Wywracał oczy. Beatrice widziała, jak przy każdej konwulsji jego mięśnie falują pod lśniąca skórą. Oddychał szybko i chrapliwie, a język zwisał mu z pyska. Zamiast typowego zdrowego różu był fioletowy.

– Co mogło mu się stać? – spytał Francis. – Był w takiej dobrej formie wczoraj, kiedy zabrałem go do Bedford; kłusował tak szybko, że musiałam ściągać lejce!

– Nie wiem, co to takiego – odpowiedziała Beatrice. – Ale odepnij mu uprząż, a ja pobiegnę po Jubalę i Caleba.

Teraz Królewicz drżał jeszcze bardziej. Beatrice tylko raz widziała konia podrygującego w taki sposób; była to ich klacz Sheba, kiedy została trafiona przez piorun podczas burzy i tańczyła pośrodku pola, a w jej grzywie trzaskały iskry. Gdy potem zbadali klacz, język miała ciemnoszary, co u koni jest oznaką szoku. Nie rozumiała, dlaczego Królewicz ma taki fioletowy język.

Położyła dłoń na końskim karku, próbując go uspokoić. Patrzył na nią wybałuszonymi ślepiami, zupełnie jakby błagał ją, aby zatrzymała te niekontrolowane spazmy.

– Cicho, Królewiczu – powiedziała. – Obiecuję, że pozwolę ci umrzeć.

To powiedziawszy, zebrała spódnicę i pospieszyła do domu, żeby wezwać Jubalą i Caleba.

Była w połowie drogi, kiedy poczuła nagły podmuch gorącego wiatru, a dęby rosnące po obu stronach podjazdu pochyliły się z takim samym szelestem jak jabłonie w sadzie tego dnia, gdy padły ich śwynie. Zwolniła, odwróciła głowę, i chociaż nie dostrzegła nikogo, dźwięk przywiódł wyobrażenie, jakby sam szatan biegł przez zarośla.



Francis, Jubal i Caleb wspólnie unieśli Królewicza i umieścili na wozie, którego zazwyczaj używali do transportu siana, ziemniaków albo desek. Zajęło im to prawie dziesięć minut, ponieważ Królewicz ważył przynajmniej pięćset kilogramów, a na dodatek wierzgał i drżał, ale w końcu udało im się położyć go na boku, a Jubal przywiązał go do wozu linami.

– Weźcie go do stodoły – polecił Francis. – I podajcie mu trochę wody.

Gdy Jubal i Caleb ciągnęli wóz podjazdem, Beatrice wzięła męża za rękę.

– Jeszcze więcej niedoli, kochany – powiedziała.

– Jak myślisz, skąd to się bierze? Czy wdowa Belknap rzuciła na nas klątwę?

– Nie wiem. Ale jestem pewna, że ktoś rozmyślnie wpędził Królewicza w chorobę, żeby pokazać nam, jak bardzo jesteśmy bezbronni.

Beatrice ufała Francisowi. Wiedziała, jaki potrafi być zdeterminowany i silny, ale uważała, że zbyt pochopnie obwinia szatana za to, co działo się w Sutton. Regularnie spotykała się z kobietami z osady i na własne oczy widziała, jacy zawistni czasami potrafią być mieszkańcy tej małej społeczności. Każdy dzień tutaj był nie tylko kolejną porcją ciężkiej, niekończącej się pracy, ale także walką o przetrwanie z suszą, śniegiem,

Indianami i wszelkimi niewytłumaczalnymi chorobami. Za najmniejszy przejaw niewłaściwego zachowania, czy to realny, czy wyimaginowany, za pomówienie, kradzież lub niestosowność obyczajową ludzie bez zastanowienia zarzucali sąsiadom złą wolę. Przypadek, który tego ranka Francis miał omawiać z generałem Holyoke, to zarzut o cudzołóstwo wobec Charlesa i Marii Hubbard. Choć byli mężem i żoną, ich pierwsze dziecko urodziło się zbyt szybko, by było poczęte w zalegalizowanym związku, a zatem czekała ich grzywna wysokości pięćdziesięciu szylingów, a do tego możliwe, że także chłosta.

– Powinienem posłać Caleba po Rodneya Bartletta – powiedział Francis. – On wie więcej o chorobach koni niż ktokolwiek w osadzie. Więcej od Andrew Pepperilla, w każdym razie.

– Pozwól, że wpierw zajrzę do ksiąg mego ojca – zasugerowała Beatrice. – Często wzywano go do chorych zwierząt, nie tylko do ludzi.

– Beo... księgi twego ojca to nie Biblia. Nam tutaj w Sutton dolega duchowa przypadłość. Nie możesz zdjąć szatańskiej klątwy mniszkiem lekarskim i łopianem.

– Francisie... Nie kwestionuję twojej wiary, najdroższy. Lecz Bóg tworzy lekarstwa w taki sam sposób, w jaki szatan tworzy choroby. Bóg nie może opiekować się każdym z nas z osobna, w każdej pojedynczej minucie każdego dnia.

– Nie wierzysz, że tak czyni?

– Nie... Jak może? Zamiast tego dał nam środki, abyśmy sami się leczyli. Wiem, że nie wierzysz w naukę o znakach... Że Pan Bóg nadał określonym roślinom wygląd podobny do organów, które mogą leczyć, takie jak wątrobowiec i krwiowiec. Ale w takim razie jak sądzisz, dlaczego niektóre rośliny tak skutecznie leczą choroby? Bóg je takimi stworzył i dał nam rozum, aby odkryć, co one potrafią.

Francis nadal wyglądał na niezdecydowanego, ale powiedział:

– Dobrze zatem. Tymczasem zobaczę, czy kowal powie nam,

dlaczego Królewicz jest w takim stanie.



Caleb przywiózł Rodneya Bartletta, kowala, który znał się też na leczeniu zwierząt. Był to wielki mężczyzna, mierzył blisko dwa metry, łysinę zarastały mu rzadkie, krótkie, siwe włosy, a twarz pokrywały guzy, jakby rzeźbiarz ulepił ją z gliny, a potem walnął w nią ze złością, bo okazała się tak brzydka. Jednak mimo podobieństwa do ogra, był najłagodniejszym mężczyzną w osadzie i zawsze mówił cicho i delikatnie, jakby przeproszał za jakiś występki, który mógł popełnić.

Wszedł do stodoły, gdzie Beatrice klęczała na słomie, głaszcząc Królewicza po szyi, a Francis stał tuż obok. Minęła prawie godzina od upadku konia, który teraz drżał spazmatycznie. Wymiotował kilkakrotnie zielonkawoszarym szlamem, a po tylnych nogach spływał mu strużkami rzadki, brązowy kał.

Beatrice szybko przewertowała notesy ojca, próbując znaleźć cokolwiek, co pisał o chorobach koni, ale notatki nie były uporządkowane, a jedyne lekarstwo, które udało jej się odnaleźć, to kompres z gorzkiej soli na ropień kopyt.

– Pani Scarlet – powitał ją Rodney Bartlett z szacunkiem i przykucnął obok, aż jego fartuch z garbowanej skóry zatrzeszczał. Położył obie dłonie na boku Królewicza, wyczuwając puls serca, a potem zajrzał mu w oczy i zbadał język. Królewicz jeszcze gwałtowniej drżał, gdy kowal go dotykał, jakby się bał.

– On umiera – stwierdził kowal. – Według mnie został otruty, ale nie powiem czym. Cokolwiek to było, załatwiło go całkowicie. Serce mu zwalnia, a płuca wypełniają złe płyny.

– Czy nic już nie możemy zrobić? – spytał Francis.

– Nie mam pojęcia co – odparł Rodney, wstając. – Zjadł dzisiaj coś nietypowego, poza obrokiem?

– Pasł się na łące w osadzie – przyznał Francis. – Poza tym wdowa Belknap podała mu garść jakiegoś zielska ze swojego ogrodu, ale to wszystko.

– Wiecie, jakie to zioła?

Beatrice pokręciła głową.

– Nic szkodliwego, o ile pamiętam. Przymiotno, krwawnik i sadziec. Sadziec ma właściwości lecznicze, prawda? To nie jest trucizna?

– Sądzę, że o wiele bardziej prawdopodobna jest klątwa – dodał Francis. – Ta kobieta chce zniszczyć tę osadę i wezwała diabła, by jej pomógł.

Rodney Bartlett skinął głową.

– Wdowa Belknap miała ostatnio ostry język, bez wątpienia. W zeszłym tygodniu zatrzymała się przed moją kuźnią, kiedy kułem podkowę, i zapytała mnie wprost, czy biję w dzwony piekielne.

W tej chwili koniem wstrząsnął okropny dreszcz i zwierzę wydało przeciągły, wysoki świst, niczym opadające miechy. Oczy zaszły mu mgłą i znieruchomiały.

– Och, mój biedny Królewiczu! – wyszeptała Beatrice, kładąc mu dłoń na łopatce.

Wstała, a wtedy zauważyła, że Noe stoi tuż przed stajnią, marszcząc buzię ze zdziwieniem. Natychmiast podbiegła do niego i złapała za rękę.

– Kochanie, chodźmy stąd.

Zaciągnęła Noego z powrotem do domu, niemal zmuszając go do biegu, chociaż ciągle odwracał głowę, próbując patrzeć za siebie. Wiedziała, że jest zbyt mały, aby zrozumieć śmierć, ale jednocześnie chciała, aby zapamiętał Królewicza biegającego po padoku w słońcu, a nie leżącego na boku w stajni, sztywnego, o pobielających oczach, oblepionego brudem.

– Le-wić! – powiedział Noe, bo tak wymawiał imię Królewicza.

– To nic takiego, kochanie. Pan Bóg powołał biednego Królewicza do nieba dla koników.

Dotarli już prawie na ganek, kiedy Beatrice zauważyła postać stojącą w odległym krańcu prowadzącego do ich domu

traktu, w cieniu dębów. Zwolniła i zatrzymała się, starając się rozpoznać, kto to taki. Postać była wysoka, więc prawdopodobnie był to mężczyzna, ale miał na sobie długi ciemnobrązowy płaszcz z kapturem, więc nie mogła mieć pewności.

W lewej ręce trzymał kij, przez co wyglądał jak pielgrzym albo nawet sama Śmierć, bo kto nosiłby taki szczelny płaszcz w skwarny dzień jak dzisiaj?

Noe pociągnął ją za rękę.

– Mama! Mama! – zawołał, ale Beatrice została na miejscu, wpatrując się w postać z rosnącym niepokojem. Miała ochotę do niej podejść i zapytać, kim jest i czego chce, ale jednocześnie pomyślała, że mądrzej będzie tego nie robić, zwłaszcza że miała przy sobie synka.

Postać stała w bezruchu. Twarz miała całkowicie zasłoniętą kapturem, więc Beatrice nie potrafiła powiedzieć, czy także na nią spogląda, czy nie.

– Ma-ma! – powtórzył Noe, ciągnąc ją za rękę z jeszcze większym uporem.

W tym momencie Francis i Rodney Bartlett wyszli ze stajni. Beatrice pomachała do męża, przywołując go.

Rozmawiał z kowalem i z początku jej nie usłyszał, więc zawołała ponownie.

– Francisie! – I wskazała w stronę postaci, którą przed chwilą zobaczyła. Pastor spojrzał w tym kierunku, ale nikogo już tam nie było, tylko suchy, wyżłobiony koleinami trakt i dęby połyskujące w słońcu.

– O co chodzi, kochana? – spytał Francis, gdy zbliżył się do niej.

– Ktoś tam stał. Właśnie tam, na końcu drogi, w płaszczu. Mężczyzna albo kobieta, nie potrafię powiedzieć.

– Ktokolwiek to był, teraz go tam nie ma. Pewnie był to druciarz, może włóczęga, i zastanawiał się, czy warto nas prosić o jałmużnę.

– Nie wiem. Przestraszył mnie. Zupełnie jakby Anioł Śmierci przybył, żeby zabrać ducha Królewicza.

– Konie nie mają duszy, Beo – łagodnie zaproponował Francis.
– Hm, możesz w to wierzyć, jeśli chcesz. Ale myślę, że Królewicz miał. Było z niego takie kochane i cudowne stworzenie.

Wszyscy weszli do domu, a Francis wezwał Mary, aby naląa im cydru i przyniosła talerz z herbatnikami.

– Ostatnio widuję w okolicy więcej żebraków niż zazwyczaj – powiedział Rodney. – Sporo jest też żeglarzy, ale handel tak słabo idzie, że nie mogą znaleźć statku, żeby się zaokrętować.

– Złe dni nastały – stwierdził Francis. – Wydaje się, że jesteśmy wystawiani na próbę. Jak Królewicz mógł tak po prostu przewrócić się i zemrzeć?

Beatrice nic nie odpowiedziała, ale symptomy Królewicza przekonały ją, że to, co działo się w Sutton, było rozmyślnym działaniem człowieka z krwi i kości, nawet jeżeli podpowiadał mu szatan. Jeżeli znajdzie czas wieczorem, znowu przewertuje notesy ojca i wróci do stajni, żeby poszukać dowodów na to, że Królewicz został otruty, a nie przeklęty.

Ściemniało się i brązowe nietoperze zaczęły wirować wokół dachu. Rodney Bartlett dopił reszkę cydru i wszyscy wyszli wraz z nim, aby popatrzeć, jak dosiada swojego wielkiego srokacza. Niebo przybrało kolor fioletu, a brzęczenie owadów stało się nieomal ogłuszające.

W momencie, w którym Rodney Bartlett zamierzał ruszyć, usłyszeli łoskot na końcu podjazdu. Zbliżał się czterokołowy powóz i Beatrice zobaczyła, że powozi nim drugi syn pani Cutler, Ambrose.

Zatrzymał się obok nich. Twarz miał czerwoną i pocił się tak mocno, że biała koszula przylgnęła mu do piersi.

– Wielebny! – wydyszał chłopak. – Buckleyowie proszą, aby wielebny przybył natychmiast! Ich dzieci są bliskie śmierci! Doktor Merrydew powiedział, że nie może ich uratować, i błagają ojca, aby modlił się do Boga o łaskę!

Rozdział 17

Kiedy weszli do sypialni Buckleyów, zastali tam też Nicholasa Buckleya. Ubranie nadal miał zakurzone, bo dopiero co przybył z Durham. Był niskim, ciemnowłosym, poważnym mężczyzną o zrosniętych brwiach i orlim nosie. Stał obok Judith, gdy ta delikatnie ocierała Apphii czoło muślinową chusteczką.

Bliźnięta oddychały płytko, gwałtownymi haustami łapiąc powietrze, jakby coś je zatykało. Od czasu do czasu jedno z nich przestawało oddychać i wszyscy w pokoju milkli, czekając z niepokojem, aż znowu zaczną. Pani Jenkins szlochała cicho w kuchni, wydając miauknięcia zupełnie jak kot proszący o mleko.

– Gdzie doktor Merrydew? – spytał Francis.

– Dobry doktor wyjechał dwadzieścia minut temu – odparł Nicholas Buckley. – Powiedział, że zrobił, co mógł, ale nie zna już innego lekarstwa, i spóźnił się na kolację. Dlatego posłaliśmy po ojca.

Francis spojrzał na dzieci.

– Dziękuję ci, Nicholasie, za wiarę we mnie, ale muszę wyznać, że moje modlitwy nie działają więcej niż dym doktora Merrdew.

– Proszę – błagała go Judith. – Nie zniosę ich straty. Proszę.

– Oczywiście, będę się za nie modlił – zapewnił ją Francis. – Muszę jednak powiedzieć, że utrata tych dwojga dzieci może być wolą Boga. Czasami bez żadnego wyraźnego powodu chce je mieć z powrotem w niebie zaraz po tym, jak je tu przysłał.

– Chce ojciec powiedzieć, że to kara dla mnie? – spytała Judith.

Francis pokręcił głową.

– Istnieje wiele powodów, dla których Pan Bóg powołuje dzieci przed ich czasem, pani Buckley, i nie jest nam dane poznać ich wszystkich.

Beatrice zerknęła na niego. Zważywszy, że Judith pytała go nie wprost, czy powinna obwiniać się za wydanie na świat Apphii i Tristrama w wyniku pozamałżeńskiego związku z Johnem Starlingiem, uznała, że te słowa są miłociwe i wybaczące. Znała wielu innych pastorów, którzy powiedzieliby Judith, że jest ladacnicą i zasługuje na utratę dwójki dzieci.

Francis stanął między łódeczkami bliźniaków i złożył dłonie.

– Dobry Boże – zaczął – zwracam się do Ciebie ponownie, abyś darował Apphii i Tristramowi dłuższe życie, aby mogły wypełnić swe obowiązki wobec Ciebie i przynieść radość Twoim sługom, Nicholasowi i Judith. Błagamy Ciebie w pokorze, abyś okazał współczucie i szczodrość i oszczędził im dzisiaj śmierci oraz jeszcze przez wiele kolejnych dni, które nadejdą. Amen.

Cofnął się. Nicholas i Judith razem powiedzieli „Amen” pod nosem, ale ich bolesne spojrzenia jasno pokazywały, że nie wierzyli w odpowiedź Boga. Po policzkach Judith spływały łzy; mocno przyciskała dłoń do ust, aby powstrzymać się przed głośnym szlochem.

Beatrice także poczuła dławienie w gardle. Żałowała, że nie spierała się bardziej z doktorem Merrydew i nie nalegała, aby dać dzieciom napar z miodunki, zamiast wypełniać sypialnię dymem z dymnicy, ale teraz było za późno. Nawet gdyby lekarz miał miodunkę, w co wątpiła, Apphia i Tristram byli zbyt bliscy śmierci, aby to im teraz pomogło. Potrzeba było przynajmniej godziny, by przygotować napar, a dzieci były zbyt chore, aby przeżuć listki, które były bardzo śliskie.

Francis zaczął recytować Psalm 103:

– „Błogosław, duszo moja, Pana i nie zapominaj o wszystkich Jego dobrodziejstwach! On odpuszcza wszystkie twoje winy, On leczy wszystkie twe niemoce, On życie twoje wybawia od zguby, On wieńczy cię łaską i zmiłowaniem”.

Wtedy Beatrice usłyszała głosy w sieni, gdzie nadal tłoczyło się sześć lub siedem gospodyń, a po chwili w drzwiach zjawił się Jonathan Shooks. Miał na sobie jasnoszary płócienny surdut i jasnoszarą perukę, niósł brązowy skórzany worek. Gdy wszedł, spojrzał na Beatrice i rzucił jej krótki, znaczący uśmiech, lecz potem natychmiast podszedł do łóżeczek.

– Pani Buckley, widzę, że stan dzieci bardzo się pogorszył.

Judith skinęła głową, zbyt zrozpaczona, aby cokolwiek powiedzieć.

– Panie Shooks! – odezwał się Francis. – To pan Buckley, panie Shooks... Ojciec dzieci. Nicholasie, to pan Shooks... – Przerwał i po chwili dodał: – Pan Shooks twierdzi, że posiada specjalny talent leczenia chorych. I jak miemam, dlatego właśnie wrócił tu dziś wieczór.

Jonathan Shooks wyciągnął rękę do Nicholasa Buckleya.

– Szczerze mi przykro, że przyszło mi poznać pana w tak przykrych okolicznościach, ale zapewniam, że przybywam z dobrymi intencjami.

– Czy uratuje pan nasze dzieci? – spytał Nicholas. Drżała mu dolna warga.

– Mogę jedynie próbować. Wielebny Scarlet wątpi w moje umiejętności, zdaje się. Ale powiem panu, co i jemu powiedziałem: otóż podróżowałem prawie po całym świecie i nauczyłem się, że diabeł objawia się pod najróżniejszymi postaciami, gdziekolwiek się nie udać. Aby pokonać diabła, drogi panie, trzeba wiedzieć, jaką postać przybrał. Diabeł w New Hampshire niepodobny jest do diabła znanego w Anglii, tak jak rośliny i zwierzęta tutaj są odmienne, a Indianie mówią językami, o których nie wiemy nic, i wyznają rytuały dla nas niepojęte.

– Chyba nie bardzo pana rozumiem – odparł Nicholas głosem zdławionym z emocji. – Proszę tylko, aby Apphia i Tristram nie umarli.

– Chciałbym zamienić z panem słowo na osobności – powiedział Jonathan Shooks. – Tymczasem, pani Buckley, gdyby mogła pani postawić na ogniu pełen czajnik.

– Co pan zamierza? – spytała Beatrice. Nie chciała powiedzieć, że dzieci są nie do uratowania, nie przy Buckleyach.

– Niczego nie gwarantuję, pani Scarlet – odparł Jonathan Shooks. Znowu rzucił jej rozbawione, konspiracyjne spojrzenie, zupełnie jakby kiedyś dzielili łóże i nikt inny o tym nie wiedział. – Jednak zrobię, co w mojej mocy, by odgonić to, co je opętało.

Wyszedł z pokoju. Nicholas Buckley na pocieszenie pocałował żonę w policzek i uścisnął jej dłoń, a potem wyszedł za nim.

Beatrice wróciła do łóżeczek. Dzieci oddychały teraz z jeszcze większym trudem, a mała Apphia miała bladozielone usta. Judith poszła do kuchni, aby nastawić czajnik. Kiedy wróciła, stanęła blisko Beatrice i spojrzała na swoje dzieci z nieskończonym smutkiem w oczach.

– Ten człowiek, ten Jonathan Shooks, kimkolwiek jest... Czy naprawdę może je uleczyć?

– Tego nie wiemy, Judith – odpowiedział Francis. – Ale jeśli może, to tylko za przyzwoleniem Pana Boga.

Beatrice nic nie powiedziała. Nie chciała niszczyć nadziei Judith, mówiąc, że nie wierzy, by jej dzieci można było uratować, ale nie chciała też wzbudzać w niej nadziei, mówiąc, że będzie inaczej.

Po dwóch lub trzech minutach Jonathan Shooks i Nicholas Buckley wrócili. Judith spojrzała na męża, jakby chciała go zapytać, o czym rozmawiali, ale Nicholas po prostu pokręcił głową, aby pokazać jej, że nie chce o tym mówić. Jonathan Shooks wydawał się bardzo spokojny i pewny siebie. Otworzył skórzany worek i wyciągnął sześć lub siedem sosnowych patyków zawiniętych w papier.

– Czy woda już wrze, pani Buckley? – zapytał. – Jeśli tak, to proszę przynieść mi dwie miseczki z wrzątkiem, jak najszybciej.

Kiedy Judith poszła do kuchni, on rozpakował zawinątko i Beatrice zobaczyła, że są to chińskie ogniste patyki, których jej ojciec czasami używał do zapalania fajki. Judith wróciła z dwiema białymi porcelanowymi miseczkami pełnymi parującej

wody; Jonathan Shooks ustawił je na taborecie o trzech nogach obok łóżeczek.

Skorzystał ze świeczki, aby zapalić patyczki jeden po drugim, aż strzeliły jasno, z trzaskiem, wypuszczając ostry, żółty dym.

– Oto ogień, którego boi się diabeł, diabeł z lasów – recytował, jakby przemawiał do siebie. – Oto dym, który dusi diabła, diabła na drzewie.

Kiedy każdy z patyczków spalił się do połowy, wrzucił je do miseczek z gorącą wodą, po trzy do każdej. Zgasły z sykiem, a wtedy Shooks zamieszał wodę palcem.

– Oto napój, którego diabeł nie przełknie. Stanie w mu gardle i będzie musiał uciekać w poszukiwaniu świeżej wody, a za nim jego śludzy. Przepadnij, diable. Przepadnij i nigdy nie wracaj!

I znowu zamieszał palcem wodę w miseczkach, ale tym razem posmakował jej, aby upewnić się, że ostygła.

– Pani Buckley – powiedział. – Proszę podnieść córkę i posadzić ją sobie na kolanach. Musi się napić tej wody, aby oczyścić płuca z diabelskiej zarazy.

Judith Buckley zrobiła to, o co ją poprosił, i wyjęła Apphię z łóżeczka. Dziewczynka miała bezwładne ręce i nogi, jak u lalki, a głowa poleciała jej do przodu; blond loki były spocone i pozlepiane. Jonathan Shooks ostrożnie ujął górną część jej ciała lewą dłonią, odchylając ją nieco do tyłu, i wlał w jej buzię wodę, łyk po łyku.

Beatrice wydało się, że minęła wieczność, zanim opróżnił miseczkę, ale pewnie trwało to krócej niż kwadrans. Apphia wypłuła jej trochę na koniec, ale Jonathan Shooks poklepał ją po plecach i dziewczynka wzięła kilka głębokich oddechów. W płucach nadal bulgotał jej płyn i nadal nie otwierała oczu, ale żyła.

Judith odłożyła ją do łóżeczka i podniosła Tristrama. Jonathan Shooks powtórzył procedurę z nim, cierpliwie podając mu po łyku wody, aż miseczka była pusta.

Kiedy skończył, spojrział na Beatrice, ale tym razem jego

mina była bardziej wyzywająca, kiedy mówił: „Teraz zobaczymy, przed kim diabeł ucieknie z podkulonym ogonem, pani Scarlet... Przed twoim świętym mężem, czy przede mną”.

– Co mamy robić? – spytał Nicholas.

Jonathan Shooks wstał.

– Nic więcej dzisiaj nie możemy zrobić ponad to, co zrobiliśmy, jedynie czekać, aż dzieci okażą oznaki wyzdrowienia. Wrócę z brzaskiem i podam im więcej wody z ognistych patyków, a potem znowu około południa. Ale wtedy już powinno im się znacząco poprawić.

– Będę się za nie modlił – wtrącił Francis. Beatrice podeszła do niego i stanęła obok, aby okazać wsparcie. Objął ją ramieniem i uśmiechnął się do niej, ale ona widziała, że jest zmartwiony. Jonathan Shooks przybył do domu Buckleyów ze swoimi zaklęciami i ognistymi patykami, i całkowicie podkopał autorytet Francisca na oczach jego parafian.



Shooks zostawił ich, wsiadł do swojej kaleszy, aby Samuel mógł odwieźć go w mrok, jedynie z latarnią rzucającą słabe i nierównomierne światło na drogę. Francis i Beatrice zostali jeszcze pół godziny, ale skoro bliźnięta oddychały łatwiej i przestały drżeć spazmatycznie, postanowili odejść i wrócić nazajutrz rano.

Gdy Beatrice podeszła do frontowych drzwi, Judith chwyciła ją za rękaw.

– Dziękuję tobie i wielebnemu Scarletowi za waszą dobroć – powiedziała. – Na pewno modły pastora pomogły tak samo jak remedium pana Shooksa.

– Hm, zobaczymy – odpowiedziała Beatrice i dodała: – Czy wiesz, o czym rozmawiał Shooks z twoim mężem, zanim zajął się leczeniem?

– Spytałam Nicholasa, ale nie chciał mi powiedzieć. Może powie, kiedy bliźnięta wydobrzeją. O ile wydobrzeją... Proszę,

Boże. Może pan Shooks ostrzegał go, aby nie żywił zbyt wielkiej nadziei.

– Beo! – zawołał Francis pośród ciemności. Ambrose Butler przyproceedził swój wóz, żeby odwieźć ich do domu.

– Już idę, Francisie! – odkrzyknęła Beatrice.

Nie miała nic więcej do powiedzenia Judith, chociaż spojrziała na nią, jak to umieją tylko kobiety, kiedy muszą wykazać się cierpliwością, ale wiedzą jednocześnie, że ostatecznie racja będzie po ich stronie.



– Jak Shooks spodziewa się wyleczyć te dzieci wyłącznie gorącą wodą i ognistymi patykami? – spytał Francis, odkładając gęsie pióro.

Po kolacji siedzieli w salonie. Beatrice kończyła haft, a Francis próbował pisać niedzielne kazanie. Temat brzmiał: „Jak prosić Boga o łaskę”, ale Beatrice zauważyła, że ze złością skreślił prawie wszystkie linijki, które napisał.

– Nie mam pojęcia, mój najdroższy – odparła. – Nawet nie wiem, czy wyzdrowieją. Równie dobrze mogły już oddać duszę, Boże uchronij.

– Wiem, że to nieżyczliwe tak mówić, ale naprawdę nie lubię tego człowieka – oznajmił Francis. – Jest taki zadowolony z siebie. Kiedy tylko wchodzi do pokoju, natychmiast czuję, jakbym miał dwanaście lat i zupełnie nie pojmowałem religii. Nie podoba mi się też, jak na ciebie patrzy.

– Nie powiem, że też tego nie zauważyłam.

– To nieobyczajne. Tylko tak to mogę opisać.

– Ależ, Francisie! Zdaje się, że jesteś zazdrosny!



Kilka minut po dziewiątej Francis oznajmił, że idzie na górę się położyć. Beatrice powiedziała mu, że musi przynieść z tyłu

domu pranie, o którym zapomniała Mary, ale niedługo do niego dołączy.

Na sznurku wisiało niewiele rzeczy, tylko dwie koszule i kilka pieluch Noego. Kiedy Beatrice zgarnęła je i wzięła pod pachę, poszła do stajni, gdzie nadal w sianie leżało na boku ciało Królewicza.

Wyglądał sztywno i dziwnie z nogami sterczącymi prosto, jak koń, którego jej ojciec zamieniłby w jedno ze zdrewniałych zwierząt. Brzuch jednak miał mocno opuchnięty i zaczął już pachnieć mdlawo i słodko. Bea uklękła i użyła jednej z pieluch Noego, żeby zebrać słomę pokrytą kałem spod jego ogona. Potem zrobiła to samo ze słomą z zaschniętymi zielonymi wymiocinami.

Podsuwając latarnię, rozchyliła chrapy i zajrzała koniowi do pyska. Pod językiem i między tylnymi zębami odkryła sześć lub siedem ciemnozielonych igieł, chociaż były tak mocno przeżute, że trudno było powiedzieć, co to takiego. Wydobyła je i także ukryła.

Spojrzała na Królewicza po raz ostatni. Francis kazał Jubalowi i Calebowi spalić go jutro na krańcu pola, żeby zniszczyć wszelkie ślady szatańskiej infekcji, tak samo jak to zrobili ze świniami. Wydawało się, że z dnia na dzień ich bezpieczne i szczęśliwe życie poszło z dymem, chociaż nie miała pojęcia, kto mógł im tak źle życzyć. Bała się poważnie, że ktoś z rodziny może być następny, albo Francis, albo ona, a może nawet mały Noe.

Wróciła pospiesznie przez ogród do domu. Musiała opanować się, aby nie podbiec, chociaż zewsząd otaczała ją nieprzenikniona czerń, którą wypełniały jęki i krzyki lelków.



Gdy świt zaczął rozjaśniać niebo za oknem, Francis odwrócił się do niej i wsunął dłoń pod cienką, płócienną koszulę. Nie spała już, tylko leżała nieruchomo, myśląc o Apphii

i Tristramie, i o tym, jak Królewicz przewrócił się między dyszlami ich dwukółki.

– Francisie... – odezwała się, ale on ujął jej lewą pierś i delikatnie obracał sutek między palcami, aż zrobił się sztywny.

– Francisie... – powtórzyła z większym naciskiem, kiedy podciągnął jej koszulę i próbował obrócić ją na plecy. Umysł miała zbyt zaprzątnięty pytaniami i niepewnością, aby myśleć o miłości.

– Potrzebuję cię, Beo – wyszeptał chrapliwie. Nie brzmiało to jak żądanie. Było to bardziej błaganie o pomoc.

– Francisie, proszę – powiedziała. Jednak, gdy położył się na niej, przestała mu się opierać, odwróciła się i rozchyliła uda, aby mógł klęknąć między nimi. W końcu był jej mężem, i skoro jej potrzebował, jak mogła mu się sprzeciwiać? Pokazywał jej jedynie, jak bardzo ją kocha.

Zamknęła oczy, gdy wszedł w nią. Wepchnął się, jak mógł najgłębiej, i pochylił, aby ją pocałować. Całował ją raz za razem, ale usta miał bardzo suche i szorstkie, a w oddechu czuć było cebulę, którą jadł poprzedniego wieczoru. Odwróciła głowę i zamknęła oczy, chociaż on nadal całował ją w szyję.

– Co zrobiłem, Beo? – Wpychał się w nią znowu i znowu, nadzwyczaj mocno i nadzwyczaj szybko, aż zaczął dyszeć. – Nie wiem, jak mógłbym żyć bez ciebie.

Pomimo jego wysiłków wyczuła, że zaczyna mięknać. Wyślizgnął się z niej i chociaż udało mu się wepchnąć w nią znowu, pomagając sobie palcami, było to nadaremne. Po dwóch lub trzech kolejnych pchnięciach zupełnie zwiotczał, więc zrezygnował. Zsunął się z niej i padł ciężko obok.

– Francisie – wyszeptała, głaszcząc zarost na jego brodzie. – Proszę, nie czuj się źle, kochany. Masz tyle zmartwień...

– To przez tego Shooksa – zżymał się. Sfrustrowany pociągnął za miękkiego członka, naciągając go ku górze, jakby chciał zgnieść go za to, że zawiódł.

– Nie przejmuj się nim, Francisie. Bawi go, gdy drwi z ludzi, wiesz przecież.

– To nie ma sensu, Beo! Ciągłe widzę jego twarz, nawet jak

zamknę oczy! To, jak śmieje się do mnie, z takim samozadowoleniem, jakby osobiście przyjaźnił się z Bogiem i gawędził z Nim na osobności... Kiedy ja mogę co najwyżej wzywać Go z sąsiedniego pokoju poprzez modlitwę i mieć tylko nadzieję, że mnie usłyszy.

Przerwał, aby zaczerpnąć tchu.

– Przez niego mam zupełnie niechrześcijańskie myśli – dodał o wiele ciszej.

– Powiedz mi o nich. Skoro to ma na ciebie taki wpływ, mam prawo wiedzieć, co to takiego.

Francis zagryzł wargę.

– W skrytości miałem nadzieję, że dzieci Buckleyów nie przeżyją, żeby okazało się przed całą osadą, że Jonathan Shooks to tylko szarlatan. Uwierzysz, że pozwoliłem, aby taka myśl zaświtała mi w głowie.

– Och, kochany. Nie powinieneś się nim tak przejmować! To człowiek bywały w świecie i dlatego taki jest śmiały. Ale ty jesteś tak samo silny jak on, i oddany swoim przekonaniom. Jeżeli on jest tylko chwalipięta, to Bóg w końcu go zdemaskuje.

– Nie wiem. Najbardziej niepokoi mnie w nim to, że może być o wiele sprawniejszy w obchodzeniu się z diabłem niż ja. On nie podkopał mojej wiary w Boga, Beo, ale wiarę w samego siebie.

Beatrice obciągnęła mu koszulę, aby go zasłonić, a potem naciągnęła na niego pościel, aż po szyję, i pocałowała go.

– Jest jeszcze bardzo wcześnie – powiedziała. – Weź mnie w ramiona i pośpijmy jeszcze trochę. Staraj się już nie myśleć o Shooksie. Uważasz, że jego pojawienie się podkopuje szacunek do ciebie, ale może on okaże się twoim sprzymierzeńcem, a nie wrogiem.



Beatrice spała jeszcze pół godziny. Trochę po piątej delikatnie oswobodziła się z ramion Francisa i wstała z łóżka. Teraz spał głęboko i cicho chrapał. Podeszła do okna

i rozsunała zasłony, które sama kiedyś wyhaftowała. Poranne słońce rzucało długie cienie na padok, gdzie jeszcze wczoraj pasł się Królewicz.

Zrobiło się jej smutno, ale ten nowy dzień dodał jej sił. Gdyby znalazła chwilę, miała do zbadania wysuszone pozostałości choroby Królewicza, jak również smoliste ślady z pola Menduma. Jej ojciec często analizował wymiociny, mocz i stolce swoich klientów, aby odkryć, czy to, co zjedli albo wypili, mogło przyczynić się do zachorowania, a ona była całkiem pewna, że może dokonać tego samego z zebranych dowodów.

Zdjęła czepek i puściła luźno ciemne włosy. Chwyciła koszulę nocną, by ją zdjąć, kiedy zobaczyła, że jeden z długich cieni na padoku odłączył się od reszty i popęztał po trawie.

Zauważyła teraz, że to wcale nie jest cień, ale postać w długim brązowym płaszczu, którą widziała wczoraj na końcu podjazdu. Postać zatrzymała się na moment, jakby wpatrywała się w jej okno. Potem, podpierając się kijem do odpychania płaskodennej łodzi, szybko odeszła i znikła pośród drzew. W tym momencie dobiegł ją wrzask ptaka.

Beatrice została przy oknie jeszcze chwilę, zastanawiając się, kim jest ta postać i czy jeszcze się pojawi. Odwróciła się i spojrzała na Francisa. Zastanawiała się, czy go obudzić, ale skoro ten ktoś odszedł, nie było sensu, a jemu sen się przyda.

Odwróciła się z powrotem do okna, ale teraz zobaczyła jedynie Mary, zbliżającą się traktem, w fartuchu i powiewającym żółtym czepku. Usłyszała Noego, gaworzącego w łódeczku, tak jak nieomal zawsze, kiedy otworzył rano oczka. Była pora, aby się ubrać, zejść na dół i zagnieść ciasto na dzisiejszy chleb.



Zanim zeszła do kuchni, Mary już wyjęła Noego z łódeczka, przebrała go i zaczęła karmić chlebem namoczonym w mleku.

Noe podskakiwał w dziecięcym krzeselku, a kiedy ją zobaczył, zawołał:

– Mama! – Aż mokry kawałek chleba wyleciał mu z buzi na koszulkę.

– Uważaj, Noe! – złązała go Beatrice. – Nie bądź takim brudaskiem! – Podeszła do kredensu po misę. Zazwyczaj śniadanie jadła o wiele później, około dziesiątej, gdy skończyła pieczenie i inne poranne prace, które trzeba było wykonać, jak cerowanie, szorowanie cynowych naczyń, zaprawianie gruszek, które razem z Mary zebrała w sadzie.

Na kredensie, obok mis, zobaczyła małą brązową paczkę, ciasno zawiązaną włochatym sznurem i zapieczętowaną kapkami zielonego wosku.

– Mary? – zapytała, podnosząc ją. – Skąd to przyszło?

Mary wytarła buzię Noemu i odwróciła się.

– Ach, to... Nie wiem, pani Scarlet. Znalazłam to na progu, kiedy przyszłam. Nie wiem, kto mógł to zostawić, ale jest na nim pani nazwisko.

Beatrice obróciła paczkę. Z jednej strony zamaszystym pismem było wykaligrafowane: „Beatrice Scarlet”. Już samo to było niezwykle, gdyż większość listów i paczek, jakie otrzymywała, była adresowana do Wielebnej Francisowej Scarlet, żony pastora. Potrząsnęła zawiniątkiem. Rozległo się głucho grzechotanie, ale nie miała pojęcia, co może być w środku, więc wyjęła z szuflady nóż i przecięła sznurek.

W brązowym papierze znajdował się prosty karton, a kiedy go otworzyła znalazła szklaną buteleczkę w kształcie łyzy, ze stożkową szklaną zatyczką.

Podniosła butelkę pod światło. Nie było na niej nalepki, ale w środku znajdował się bursztynowy płyn.

– Co to jest? – spytała Mary. – Wygląda na perfumy, prawda?

– Jest tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć – odparła Beatrice. Zatyczka była zamocowana cienką jedwabną nicią, jak trzcinyowy stroik do klarnetu. Przecięła ją i wyciągnęła korek.

– No i...? – dopytywała się Mary.

Beatrice ostrożnie zabierała się do powąchania zawartości. Wiedziała, że jest kilka trucizn, które mogą doprowadzić do nieprzytomności, a nawet śmierci, jeżeli się nimi zaciągnąć, na przykład wyciąg z rogu jelenia, a nawet kamfora, a jeśli paczkę na progu zostawił ktoś, kto źle jej życzył, musiała być bardzo ostrożna. Nie miała pojęcia, dlaczego ktoś miałby chcieć ją zatruć, ale z drugiej strony nie wiedziała, kto mógłby jej anonimowo sprezentować perfumy.

Powąchała je raz, a potem jeszcze raz. Flakon zdecydowanie zawierał perfumy, i to takie, których zapach rozpoznawała, bo były bardzo popularne wśród bogatszych kobiet w osadzie. Żona Henry’ego Menduma, Harriet, takich używała, i to bardzo obficie. Była to mocna mieszanka piżma, bursztynu i jaśminu, a nazywano ją „perfumami królowej Margot”, po królowej Francji, która jako pierwsza dobrała składniki. Beatrice nigdy sama nie kupowała sobie pachnideł, ale wiedziała, że te akurat są bardzo drogie i kosztują ponad dziesięć szylingów za flakon.

Podawała je Mary i pozwoliła jej też powąchać.

– Cudowne! – powiedziała Mary. – Ale kto je pani przyniósł?

Beatrice zamknęła buteleczkę i odłożyła ją do pudełka. Nie chciała, aby Francis wyczuł je, kiedy zejdzie na śniadanie, znała bowiem tylko jednego mężczyznę, który ostatnio spoglądał na nią zalotnie i który najwyraźniej miał dosyć pieniędzy, aby kupić jej perfumy, a był to Jonathan Shooks.

Domyślała się także, kim może być tajemnicza postać w brązowym płaszczu z kapturem. Słyszała ptasi skrzek, kiedy postać znikła wśród drzew, ale może to wcale nie był ptak. Może to niemy woźnica Jonathana Shooksa, Samuel.

Rozdział 18

Nastał kolejny gorący poranek, chociaż gęste, białe cumulusy zbierały się w gigantyczne kalafiory za drzewami na zachodzie od Sutton, a Beatrice słyszała dochodzący z oddali grzmot.

Była w ogrodzie i cięła szparagi, kiedy dobiegł ją odgłos wozu zajeżdżającego przed front. Po chwili zjawiała się Mary.

– Pani Scarlet, Ambrose Butler przyjechał! Mówi, że po wielebnego i panią, żeby was zabrać do miasteczka, do dzieci Buckleyów!

Beatrice zebrała szparagi w fartuch i pospieszyła do kuchennych drzwi.

– Ma o nich jakieś wieści? Ozdrowiały?

– O wiele im lepiej, tak rzecze.

Francis siedział już na brzegu łóżka i naciągał pończochy, kiedy Bea weszła na górę do sypialni.

– To dobre wieści, prawda? – spytała, zdejmując swoją nową błękitną koszulę nocną.

– Tak, dobre – odparł Francis. – Przynajmniej okazało się, że moje chorobliwe myśli o Jonathanie Shooksie nie wpłynęły źle na dzieci, dzięki Bogu.

Ambrose zawiózł ich do osady. Mały tłum zebrał się już przed domem Buckleyów, chociaż nigdzie nie było widać jeszcze czarnej kaleszy Shooksa. Francis pomógł Beatrice wysiąść z wozu i weszli do środka. Niektóre kobiety klaskały w dłonie, gdy zjawił się Francis, a dwie lub trzy dygnęły przed nim.

W sypialni Buckleyów zastali Judith trzymającą Apphię w ramionach, a Tristram nadal leżał w łóżeczku. Dzieci były rumiane, o zaczerwienionych policzkach, ale nie spały i wyglądały o wiele lepiej, nawet jeżeli były zdezorientowane widokiem tłoczących się dookoła ludzi.

Nicholas odszedł od łóżeczka Tristrama. Ujął dłonie Francisa i potrząsnął nimi, jakby nigdy nie chciał ich puścić. Oczy miał pełne łez.

– Pan Bóg wysłuchał cię, wielebny ojcze! Nie wiem, jak mam dziękować! Ojciec spojrz na nasze dzieci! Wypiły mleko, a Apphia ciągle coś gaworzy. Powiedziała: „Mama” i „Puc”. To nasz pies.

Beatrice wzięła Apphię na ręce. Była rozgrzana i spocona, i czuć od niej było wymiocinami, ale spojrzała na Beatrice i nieśmiało się do niej uśmiechnęła.

– Myślisz, że lekarstwo pana Shooksa w ogóle pomogło? – zapytała Nicholasa.

Ten pokręcił głową.

– A niby jak? Czy picie ognistych patyków z gorącą wodą może kogokolwiek wyleczyć? Ale w Biblii jest wiele dowodów, że ludzi leczy siła modlitwy. Wielebny, poza twoimi modlitwami, Judith i ja modliliśmy się prawie całą noc.

– Hm, cieszymy się, że Apphii i Tristramowi tak się poprawiło – odparł Francis. – Zmówię jeszcze jedną modlitwę za ich całkowite ozdrowienie.

Beatrice uśmiechnęła się i oddała córeczkę Judith. Jednak kiedy odwróciła się, aby wyjść, w drzwiach pojawił się Jonathan Shooks. Perukę miał zakurzona, a twarz wymizerowana, jakby właśnie powrócił z długiej i uciążliwej podróży. Rozejrzał się szybko po pokoju i natychmiast skupił wzrok na Beatrice.

– Pan Shooks! – odezwał się Nicholas. – Bardzo się cieszę, że pana widzę.

Beatrice pomyślała, że Nicholas wcale nie jest zadowolony z jego widoku. Mówił szybko i nerwowo, a jednocześnie nieustannie wykręcał sobie ręce.

– Jak się mają dzisiaj dzieci? – zagadnął Shooks. – Wydają

się o wiele bardziej ożywione.

– Tak, hm, o wiele lepiej, dziękuję – odparł Nicholas. – Wygląda na to, że Pan Bóg wysłuchał naszych prośb.

Jonathan Shooks podszedł do łóżeczka Tristrama. Położył dłoń na chwilę na jego czole i powiedział:

– Hmmm. – A potem podszedł do Judith przyłożył dłoń do czoła Apphii. – Dobrze. – Skinął głową. Sięgnął po swój brązowy skórzany worek i dodał: – Przyniosłem więcej chińskich ognistych patyków. Czy mogę prosić, aby wasza dziewczka zagotowała dla mnie wodę, pani Buckley?

– Jak powiedziałem, panie, dziękujemy za pańską troskę – wtrącił Nicholas.

– Ale? – odezwał się Shooks. Zastygł w trakcie otwierania torby. – Wyczuwam tu jakieś zastrzeżenia, miły panie.

– Rzeczywiście. Ja... My, moja żona i ja, to znaczy... Uważamy, że więcej tego medykamentu nie będzie trzeba.

Jonathan Shooks zmarszczył brwi.

– Waszym dzieciom poprawia się przecież. Nie ma co do tego wątpliwości. A przyczyną poprawy jest napar, który im podałem, stopniowo oczyszcza im płuca. Nadal jednak gorączkują, a i oddech mają ciężkawy. Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim w pełni wrócą do zdrowia.

– Uważa pan, że potrzeba im więcej porcji pańskiej wody z ognistych patyków, panie Shooks? – spytała Beatrice.

– Oczywiście. Sama pani widzi, jaki pozytywny skutek to dało. Ale one jeszcze nie wyzdrowiały i niemądrze byłoby przerywać teraz leczenie.

– Hm, co innego może pan powiedzieć w tych okolicznościach – odezwał się Nicholas.

– Słucham, panie Buckley? – odparł Jonathan Shooks. – Nie jestem całkowicie pewien, czy dobrze pana rozumiem. Dlaczego miałbym mówić taką rzecz, jeżeli nie byłaby to prawda?

Nicholas odwrócił się do Judith po wsparcie.

– Zastanawiałem się nad tym całą noc, kiedy nie modliłem się o wyzdrowienie bliźniąt. Chyba ktoś chce ze mnie zrobić

głupca, a ten tu pan Shooks wykorzystał chorobę naszych dzieci, aby mnie zwieść.

– Mój drogi panie, dlaczegoż miałbym pana zwodzić? – spytał Jonathan Shooks. – W jakim celu? Życie waszych dzieci... tych bliźniąt jest zagrożone. Ich przeżycie jest zdecydowanie bezcenne.

– Właśnie. Bezcenne. Dlatego wielbny Scarlet o nic mnie nie prosił, poza moją wiarą w Boga.

– Więc wierzy pan, że chcę go wystrychnąć na dudka? Czy tak?

Nicholas był tak podniecony, że nie mógł mówić, tylko zacisnął usta i zawzięcie kiwał głową. Judith położyła mu rękę na ramieniu.

– Nicholasiu? – powiedziała. – Ja też nie rozumiem. Nawet jeżeli to modlitwy zadziałały, a nie woda, jak pan Shooks może nas zwodzić?

– Woda po ognistych patykach naprawdę działa – oznajmił Jonathan Shooks. – Proszę mi wierzyć, pani Buckley, gdybym nie podał waszym dzieciom tego naparu, nie przeżyłyby nocy. Dzisiaj rano urządzilibyśmy dwa pogrzeby, a nie spierali się o zalety leczenia.

– A modlitwa wielbnego nie miała wpływu? – atakował go Nicholas.

– Nie mam nic przeciwko modlitwie – odparł Jonathan Shooks. – Modlitwa może być dobroczynna, kiedy człowiek czuje, że nie ma się do kogo zwrócić, a pańska dobra żona miała na kim się wesprzeć. Pan mógł się do mnie zwrócić i skorzystać z mojej szerszej wiedzy o nieznanym obliczu szatana i służących mu demonów, które mogą pojawić się w obcych krajach. I oczywiście o tym, jak te demony przegonić.

– I za co mam oddać panu osiem hektarów ziemi – dodał Nicholas.

– Co?! – zawołała Judith. – Jak to? Osiem hektarów to więcej niż połowa tego, co posiadamy!

Jonathan Shooks uniósł obie ręce, jakby się poddawał.

– Tak, pani Buckley. Rzeczywiście poprosiłem pani męża

o osiem hektarów ziemi. Demony, które wywołały chorobę u waszych dzieci, nie przyjęłyby mniej. Myślę, że powinniście uznać się za szczęściarzy, że nie zażądały wszystkich dni waszej pracy.

– To demony zażądały ziemi? – ostro spytał Francis.

– A dlaczego wielebnego to dziwi? – odparł pytaniem Shooks.

– Ojciec wielebny, przecież rozmawialiśmy o tym wcześniej. Szatan stara się przejąć władzę nad tym krajem, zanim uda się wam rozprzestrzenić religię chrześcijańską, a demony, które zaraziły te nieszczęsne dzieci, działały z jego polecenia. Prawdopodobnie wykorzystały jakąś zbląkaną owieczkę, jak sam pan powiedział.

– Tak... Wdowę Belknap – odezwała się pani Rust z korytarza.

– Coś podobnego wydarzyło się w wielu krajach w Europie – ciągnął Jonathan Shooks. – W Poznaniu w Polsce szatan był tak zdenerwowany liczbą wznoszonych kościołów, że posłał demony, aby podniosły górę i zrzuciły ją na rzekę Wartę, aby zatopić całe miasto. Na szczęście zaskoczyło je pianie koguta i góra wylądowała pośrodku lasu. Jest tam do dziś. Sam ją widziałem.

– Więc jak się one nazywają, te demony, i jak wyglądają? – nie odpuszczał Francis.

Jonathan Shooks przyłożył palec do ust.

– Wielebny, byłoby bardzo niemądre z mojej strony wypowiedzieć ich imiona. Nie tutaj, nie w obecności dzieci. Jeżeli demony usłyszą swe imiona, mogą pomyśleć, że są wzywane tu z powrotem, a konsekwencje tego mogłyby być fatalne. Obiecuję, że powiem później, na osobności, a także wytłumaczę, jak można je rozpoznać, gdy się je spotka. A proszę mi wierzyć, to nastąpi. Szatan jeszcze nie skończył z Sutton.

– Wierzę w szatana, panie Shooks – odparł Nicholas. – Ale także wierzę, że wykorzystał mnie pan w chwili wielkiej słabości. Co się stanie z moimi ośmioma hektarami, kiedy je

panu przekaże? Czy to demony będą ją uprawiać? Czy raczej pan? A może sprzeda je pan z zyskiem?

Jonathan Shooks uśmiechnął się do niego słabo, bez wesołości.

– Żałuję, ale to, co będzie się działo na tej ziemi, to już nie pański interes. Zrobiłem to, o co mnie pan błagał, czyli przywróciłem zdrowie dwojgu pańskich ukochanych dzieci, gdy stały nad otwartym grobem. Wyraźnie uprzedziłem pana, że osiem hektarów to moja cena za dokonanie tego i że nie mogę inaczej postąpić.

Tristram zaczął kaszleć i rzezić. Judith wyjęła go z łóżeczka i zawołała:

– Jane, proszę, wstaw wodę!

– Nie, Jane, nie! – zaproponował Nicholas. – Te dzieci nie potrzebują wody z wypalonymi patyczkami. Im potrzeba modlitwy.

Jonathan Shooks odwrócił się do Beatrice. Nigdy wcześniej u nikogo nie widziała tak przedziwnej miny. Nie wypowiedział ani słowa, ale wpatrywał się w nią intensywnie, ze zmrużonymi oczyma, jakby starał się przekazać myśli bezpośrednio do jej mózgu. Wydawało się jej, że wygląda na zaniepokojonego, ale jednocześnie bardzo sfrustrowanego. Czuła, że chce, aby to ona wyjaśniła Nicholasowi, że popełnia poważny błąd i że jeżeli nie zmieni zdania, jego bliźniętom grozi nagła śmierć. Dwa drogocenne życia, w imię czego? Kilku hektarów pola?

– Panie Shooks? – zagadnęła go. On patrzył na nią jeszcze przez chwilę, ale nadal nic nie mówił. Pokręcił nieznacznie głową, a potem się odwrócił.

Była głęboko zaskoczona. Dlaczego to niby Jonathan Shooks uważa, że to właśnie ona ze wszystkich tu zgromadzonych ma jakikolwiek wpływ na Nicholasa? Może w jakiś sposób odkrył, że zna się na medykamentach i wie, że ta „patyczkowa woda” faktycznie działa? Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej się z nią nie spotkała, i nie miała pojęcia, czy może być skuteczna, czy też nie. Nawet jeśli tak, i nawet gdyby była tego pewna, to nie byłoby jej łatwo powiedzieć Nicholasowi, że to nie modlitwy

Francisa uratowały jego dzieci. W każdym razie nie przy nim, nie przy mężu. Jego pewność siebie była już wystarczająco zachwiana za sprawą Jonathana Shooksa.

– Panie Buckley, jest pan niewzruszony? – spytał Shooks.

– Tak – odparł Nicholas.

– Cóż, delikatnie mówiąc, uważam, że jest pan głupcem. Szczerze mam nadzieję, że pana dzieci przeżyją bez dalszego leczenia. Oczywiście i tak przyjdę szukać rekompensaty, ponieważ to moje starania je uratowały.

– Może pan szukać, czego sobie tylko chce. Całe życie spędziłem, pracując na tej ziemi, i nie dam sobie jej odebrać sztuczkami.

Judith zaczęła znowu płakać... Szlochała boleśnie i głośno. Beatrice podeszła i przytuliła ją mocno.

– Ciii – szeptała. – Ciii.

– One umrą, prawda? – spytała Judith, łkając. – Moje biedne dzieciątka! Umrą!

– Cichutko – uspokajała ją Beatrice, a potem, kiedy wszyscy inni w domu rozmawiali głośno, szepnęła jej do ucha: – Przyjdę po południu z czymś, co pomoże Apphii i Tristramowi wyzdrowieć. Tylko nie mów Nicholasowi. Nie mów nikomu.

Zerknęła na Francisa, a mąż uśmiechnął się do niej niepewnie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Nie mów nawet Panu Bogu – wyszeptała.

Rozdział 19

Młody Ambrose Cutler ruszył swoim wozem, by odwiedzić Beatrice do domu, natomiast Francis został w osadzie, aby odwiedzić generała Holyoke i omówić zbliżające się sprawy sądowe.

Tego popołudnia Francis został zaproszony do stajni Henry'ego Menduma, aby wybrać sobie następcę Królewicza. Mendum, usłyszawszy o śmierci Królewicza, przysłał do wielebnego wiadomość, że, poza innymi końmi, ma silnego, gniadego trzylatka, który znakomicie nada się do zaprzężenia, i może go sprzedać za siedem, a nie za dziewięć funtów, choć tyle właśnie jest wart.

Jonathan Shooks wyszedł z domu Buckleyów, nie mówiąc ani słowa, i natychmiast razem z Samuelem odjechał kaleszą. Dlatego Beatrice nie miała okazji, aby zapytać go, czy to on przysłał jej flakon „perfum królowej Margot”. Nie bała się zadać tego pytania, chociaż nie wiedziała też, co mogłaby mu odpowiedzieć, gdyby potwierdził, że to właśnie był on. Czy ośmieliłaby się zapytać go, czego spodziewał się w zamian... Jeśli w ogóle czegokolwiek?

Gdy Ambrose wykręcił, aby jechać na plebanie, Beatrice zobaczyła, że wdowa Belknap opiera się o płot przed swoim domem, a czarna papuga przysiadła na słupku obok niej. Wdowa miała na sobie ceglastą suknię, czepek pod kolor i paliła glinianą fajkę.

– Ambrose, mógłbyś tu skręcić? – poprosiła młodzieńca Beatrice. – Chcę zamienić słowo z wdową Belknap.

Chłopak zawrócił i zatrzymał wóz przed domem wdowy. Pani Belknap wypuściła dym kącikiem ust.

– No, no! Dzień dobry, pani Scarlet! Zdaje się, że odwiedzała pani bliźnięta Buckleyów? Jak się miewają?

– Jak na razie, trochę lepiej – odparła Beatrice. – Nie tak jak nasz koń, który padł wczoraj niedługo po tym, jak zatrzymaliśmy się, aby z panią porozmawiać.

Wdowa Belknap znowu pociągnęła z fajki.

– Słyszałam o tym, tak. Bardzo pechowe.. – Zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Nie wini mnie pani za to, co? I ten pani święty mąż?

– Nie wiem, co przyczyniło się do śmierci konia, pani Belknap. W każdym razie, jeszcze tego nie wiem.

– Hm... Nie martwcie się, możecie mnie obwinać, ile chcecie! Wszyscy w Sutton winią mnie za wszelkie nieszczęścia, jakie na nich spadną, duże czy małe, więc już do tego przywykłam. W zasadzie, im bardziej sąsiedzi się mnie boją, tym mniej się do mnie wtrącają i zostawiają mnie w spokoju, co mi bardzo odpowiada.

– Proszę... Nie oskarżam pani o cokolwiek – odparła Beatrice. – Ale będę dociękać, dlaczego biedny Królewicz padł tak nagle, i jeżeli rzeczywiście znajdę dowody, że ktoś zabił go umyślnie, to zapewne znajdę też dowód na to, kto był za to odpowiedzialny.

– Och, naprawdę? – spytała wdowa. – Nie wiem, jak zamierza to pani zrobić, ale nic a nic się nie boję. Jak mówię, przywykłam, że mnie obwiniają. Mogę tylko powiedzieć, że każdy, kto mówi fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu swemu, niech lepiej się przygotuje na konsekwencje. Nie reaguję na plotki ludzi z miasteczka, ani panine, ani jej świętego męża. Odpowiadam tylko przed własnym sumieniem i siłami wyższymi.

– Ach, tak? A co to jest? Te siły wyższe?

– Cokolwiek sobie pani życzy. To pani jest żoną pastora, prawda? Nie czytała pani Pisma ostatnio?

– Biblia wymienia siły dobre, pani Belknap, ale jest też wiele

sił złych.

Wdowa nie odpowiedziała, tylko znowu zaciągnęła się fajką, chociaż ta już zgasła. Jeżeli to ona doprowadziła do nagłego zgonu Królewicza – czy to poprzez przez klątwę, czy truciznę, czy szatański urok – najwyraźniej nie miała zamiaru się do tego przyznać.

– Dziękuję. Ambrose, jedźmy – powiedziała Beatrice, ale gdy ruszyli, zauważyła masę różowych i fioletowych kwiatów przed gankiem domu wdowy Belknap. Nie zauważyła ich wcześniej, ponieważ rosły w głębokim cieniu.

– Proszę, stać! – zawołała i Ambrose zatrzymał konia. – To miódunka! Tam, pani Belknap, pod pani drzwiami! *Pulmonaria!*

Wdowa odwróciła się, aby spojrzeć na to, co wskazuje Beatrice.

– Och, tak, sama nazywam ją łaciatym psem, ale ma pani rację. Miódunka.

– Nie będzie przeszkadzać, jak wezmę kilka listków? – spytała Beatrice. – A już myślałam, że będę musiała jej szukać daleko w lesie.

– Proszę bardzo. A do czego one pani potrzebne?

– Chcę zaparzyć napar dla bliźniąt. Płuca mają zapchane płynem, a miódunka pomoże im w oddychaniu.

– Mam pomóc w ich leczeniu? Myślałam, że podejrzewacie, że to przeze mnie się rozchorowały.

– A rozchorowały się przez panią?

– Jest pani naprawdę bezczelna. Czy pani myśli, że przyznałabym się, gdybym to zrobiła? Moje życie nie jest szczęśliwe, ale nie pragnę go jeszcze stracić.

– Przepraszam, pani Scarlet – odezwał się Ambrose Butler – Ale nie mogę dłużej zwlekać. Robota na mnie czeka w domu.

– Więc? – spytała Beatrice.

Wdowa Belknap uśmiechnęła się.

– W porządku, jak pani chce, może pani zebrać parę listków. Albo niech pani weźmie, ile pani potrzeba.

Beatrice uniosła muślinowe halki i zeszła z wozu.

– Jeżeli to pani wywołała chorobę tych dzieci, Bóg uzna to za

dobry gest albo odkupienie.

Wdowa Belknap bacznie przyglądała się Beatrice swoimi zielonymi kocimi oczami i uśmiechnęła się upiornie.

– Pani Scarlet, wie pani, na czym polega jej problem? Taka ładna, młoda kobieta... Byłaś zbyt długo zameżna z bożym sługą.



Gdy tylko Beatrice wróciła do domu, poszła do kuchni po ciastka dla Ambrose'a w podziękowaniu za jego fatygę. Kiedy zawijała je w szmatkę, poprosiła Mary, aby naląła wody do miedzianego rondla i nastawiła na ogień

Mary podniosła jeden ze zwiędniętych cętkowanych listków, które Beatrice ułożyła na kuchennym stole, i ostrożnie go powąchała. Liście pachniały świeżym sokiem, jak żywokost albo ogórki.

– Chce pani z nich nagotować zupy?

– Naparu, Mary, żeby uratować dwa małe życia. Pokażę ci, jak sama możesz go zrobić, gdyby ktoś z twojej rodziny kiedyś zachorował na suchoty albo krup.

– Muszę powiesić pranie – powiedziała Mary. – Aha, chleb już prawie gotowy.

Tego ranka Beatrice wyjechała z domu z Francisem, zanim chleb wyrósł, ale gdy jej nie było, Mary uformowała go za nią i włożyła bochenki do pieca. Ugotowała też pranie i zamiotła podłogi, obrała i pokroiła całą beczkę pigw na dżem. Ponieważ zrobiła to wszystko, Beatrice miała trochę czasu, aby zbadać ślady choroby Królewicza i smolistą substancję, którą odcisnęto diabelskie kopyta.

Spodziewała się, że Francis późno wróci do domu, i czuła się trochę winna, że przeprowadza ten test w tajemnicy przed nim. Nie chciała, aby pomyślał, że ona także kwestionuje jego autorytet. Była jego żoną i kochała go; szanowała także jego absolutne oddanie Bogu. Kiedy klęczeli w nocy przed łóżem

i modlili się, często otwierała jedno oko, aby go obserwować, i pragnęła, by jej własna wiara płonęła tak jasno jak jego.

– Noe! – zawołała. – Idź na dwór i pobaw się, kochanie! Mary tam jest, wiesz pranie!

Chłopiec podreptał na słońce. Beatrice tymczasem poszła do stojącego na końcu korytarza kufra oprawionego w omszałą skórę i wydobyła zeń notesy ojca, a także butelkę czystego spirytusu i trzy szklane kolby, wszystkie zawinięte w szarą bibułę. W kuchni napełniła do połowy dwie kolby ciepłą wodą, a potem wepchnęła do nich pieluchy, którymi wytarła wymiociny i kał Królewicza. Do kolby z wymiocinami dodała ciemnozielonych igieł, które znalazła pod językiem i między zębami konia.

Do trzeciej wepchnęła płócienną chusteczkę ze śladem kopyta, a potem dołała tam pół kubka alkoholu. Domyślała się po silnym zapachu nafty, że odcisk kopyta to głównie smoła węglowa, chociaż była pewna, że wymieszano ją z innymi substancjami, a wiedziała, że smoła nie rozpuszcza się w wodzie. Jej ojciec robił mieszanekę alkoholu i smoły na leczenie chronicznych chorób skórnych, takich jak łuszczycyca albo róża.

Zamieszała zawartość każdej z trzech kolb trzonkiem drewnianej łyżki, a potem odczekała trochę, żeby zawartość gałganków się rozpuściła. W tym czasie wyglądała przez okno na Noego, który siedział obok Mary, gdy ta wieszała pranie, i bawił się klamerkami. Łączył je razem i rzucał daleko, jak tylko dał radę, w trawę.

Zrobiło jej się smutno z jego powodu i swojego także. Minęły ponad dwa lata, od kiedy zaszła w ciążę, chociaż modliła się o dziecko codziennie i regularnie przyjmowała napar z koniczyny łąkowej i serdecznika. Od narodzin Noego nie mogła zająć w ciążę po raz drugi, chociaż tak bardzo chciała dać mu braci i siostry. Większość kobiet z Sutton miało przynajmniej po pięcioro dzieci, a niektóre z nich siedmioro, ośmioro, a nawet więcej. Na przykład pani Knowlton miała jedenaścioro.

Beatrice wiedziała, że Francis pragnie mieć więcej dzieci. Za swój obowiązek uznawał dawanie przykładu parafianom i rozmnażanie się. Jednak zawsze był taktowny i wyrozumiały, a jeżeli był rozczarowany jej niezdolnością do poczęcia, starał się tego nie okazywać. Zapewniał ją wielokrotnie, że Noe to błogosławieństwo i że widocznie Bóg ma dla niej inną misję poza macierzyństwem.

Szybko powąchała kolbę z rozpuszczonymi wymiocinami. Polegała głównie na zmyśle powonienia, by stwierdzić, czy Królewicz został otruty. Ojciec zachęcał ją, by otwierała każdy słoik i butelkę ustawioną na półkach w jego aptece i wdychała ich zawartość, aż zidentyfikuje je z zamkniętymi oczami, tak jak on to potrafił.

Wymiociny w wodzie wyraźnie pachniały jak fasola tonka albo wanilia. Wiedziała, że tonka w nadmiarze może bardzo zaszkodzić, choć wiele gospodyń używa jej do ciast i innych wypieków. Rzekomo posiada też właściwości magiczne. Kiedy próbowała zająć w ciążę przed urodzeniem Noego, pani Rust powiedziała jej, że jak będzie trzymać w dłoni fasolkę tonka i wypowie życzenie, to ono się spełni, i zaledwie miesiąc później Beatrice była już w ciąży.

Wiedziała, że wdowa Belknap zna się na ziołach, truciznach i magicznych eliksirach. Może podała Królewiczowi garść fasolek razem z zielskiem, które zerwała w ogrodzie? Lecz Beatrice wątpiła, czy mogła dać mu dosyć, aby zatrzymać serce. Poza tym w płynie wyczuwała jeszcze jeden zapach, o wiele ostrzejszy od wanilii, przypominający koci mocz albo skórę.

Powąchała wodę z kałem i to pachniało podobnie, choć nie tak mocno.

Otworzyła notatki ojca i przewracała kartkę za kartką, aż trafiła na rozdział, który napisał o *Dolegliwościach końskich*. Pismo było drobne, ale równe, i w końcu Bea znalazła to, czego szukała.

Roślinność toksyczna dla koni i bydła

W. Handler poprosił mnie, abym przyjechał do Islington i zbadał jego srokata klacz, której dolegały palpacje serca i wymioty. Zanim dotarłem na jego posiadłość, było za późno i klacz padła. Jednakże przyczyna śmierci była oczywista. Ogrodnicy, przyciąwszy żywoplot z cisów, rzucili ścinki na pole, na którym trzymał klacz, a ona je zjadła. Woń wanilii była najwyraźniejsza w jej oddechu, a pysk miała jeszcze pełen igieł cisowych i jagód, a i jedne, i drugie są toksyczne dla koni. Mniej niż trzy kilogramy igieł cisu może zabić dorosłego konia w mniej niż pół kwadransa, a zimą nawet szybciej, ponieważ wtedy toksyny są silniejsze.

Ojciec namalował akwarelę igieł cisu, które zatrwały klacz pana Handlera, były nieomal identyczne jak te pokryte szlamem, zielone igły, które Beatrice znalazła w pysku Królewicza.

Teraz wiedziała, co mogło się przyczynić do jego śmierci, ale nadal była zdenerwowana. Miała nadzieję, że kiedy okryje, od czego padł, będzie potrafiła stwierdzić, czy ktoś go zatrul celowo, a jeśli tak, to kto. Lecz będzie musiała wrócić do osady, by sprawdzić, czy w ogrodzie wdowy Belknap rośnie cis, a nawet jeżeli tak, nie będzie miała wystarczającego dowodu, że to wdowa nakarmiła konia cisem.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Mary prawie już skończyła wieszać pranie, więc Beatrice zajęła się trzecią kolbą. Wyciągnęła płócienną chusteczkę i powąchała alkohol w butelce, który teraz, za sprawą rozpuszczonej smoły, przybrał kolor jasnopomarańczowy.

Zapach był bardzo złożony, ale kiedy Beatrice zamknęła oczy, mogła wyczuć w nim jeszcze inne nuty, poza smołą i goździkami. Była pewna, że jest w nim olej z gruczołów cywety, który wydawał odór jeszcze bardziej podobny do kociego moczu niż igły cisu. Była też siarka, która cuchnęła jak zgniłe jaja. Wyczuwało się także bardzo przesłodzony i mdły aromat, którego pochodzenie trudno jej było określić. Domyślała się, że to melasa. Musiał też być jakiś bardzo silny kwas – albo zasada – który sparzył Francisowi palce, gdy tego dotknął, ale nie miał zapachu.

Kiedy skończyła, wylała wszystkie trzy płyny i wypłukała flakony. Teraz woda w rondlu już prawie wrzała, więc szybko pokroiła liście miodunki i wrzuciła je do wody. Muszą się gotować jakąś godzinę, a potem przesączyć je i zabierze napar do Buckleyów.

Musiała dowiedzieć się więcej. Mieszanka smoły, której użyto do zrobienia odcisków kopyt i odwróconego krzyża, najwyraźniej miała wyglądać i pachnieć jak znaki szatana, i nie było wątpliwości, że symbole nią zrobione mocno przerażyły tych mieszkańców osady, którzy je zobaczyli. Jednak ostatecznie Beatrice nabrała przekonania, że Sutton grozi człowiek z krwi i kości, a nie sam diabeł czy inny demon. A nawet nie ktoś, kto działa w imieniu samego szatana.

Jeżeli tę kleistą miksturę rzeczywiście zostawiłby szatan, z pewnością byłaby to złowroga substancja uzyskana z jego własnych demonicznych gruczołów, i Beatrice wątpiła, czy udałoby się jej określić, z czego powstała. Było też mało prawdopodobne, żeby mogła to być mieszanka smoły, piżma cywety, siarki i rafinowanego cukru z buraków, czyli składników, które można było kupić w dowolnym sklepie spożywczym lub aptece.



Gdy odstawiła kolby i wyprała pieluchy, spędziła trochę czasu, wertując notatki ojca w poszukiwaniu wpisu o chińskich ognistych patykach i informacji, czy rzeczywiście można ich użyć na zator płuc.

Nadal czytała, co jej ojciec napisał o czyścucu, o tym, jak pomaga na krótki oddech, szczególnie wymieszany z miodem, kiedy usłyszała, że do plebanii bardzo szybko zbliża się lekki wóz. Rozległ się tupot nóg, a potem ktoś zastukał nerwowo kołatką do otwartych drzwi.

– Wielebny Francisie! Wielebny Francisie! Musi ojciec przyjść szybko! Piekielny ogień, wielebny! Piekielny ogień!

Rozdział 20

Beatrice natychmiast zamknęła notes i wybiegła na korytarz. Wydawało się jej, że rozpoznaje ten głos młodego mężczyzny, chociaż przez panikę zrobił się szorstki. To był Nathaniel, najmłodszy z pięciu synów George'a i Elizabeth Gilmanów. Gilmanowie byli właścicielami dużej farmy położonej na północny wschód od ziemi Henry'ego Menduma.

Nathaniel był szerokim w barach, dobrze odkarmionym dziesięcioletkiem, o okrągłej, piegowatej twarzy, z blond czupryną i niebieskimi oczami. Najwyraźniej oderwał się właśnie od pracy w polu, ponieważ miał na głowie kapelusz o szerokim rondzie, podwinięte rękawy koszuli, a pończochy i kolana płóciennych bryczesów poplamione rdzawą, piaszczystą ziemią.

– Gdzie wielebny Scarlet? – zapytał. – Muszę go przywieźć!

– Uspokój się, Nathanielu! – poleciła mu Beatrice. – Wielebnego nie ma tu w teraz, pojechał do Henry'ego Menduma po nowego konia.

– To muszę pojechać go znaleźć! Ojciec kazał mi przywieźć go do domu za wszelką cenę.

– Ale co się stało? O co chodzi? Czy mogę w czymś pomóc?

– To diabeł, pani Scarlet! Teraz przyszedł na naszą farmę! Trzech z naszych niewolników nie żyje, a jeden jest umierający! Spalił ich żywcem piekielnym ogniem!

– Dobry Boże, to straszne, co mówisz! Ale skąd wiesz, że to był diabeł?

– Przez krzyż, którym naznaczył drzwi obory, obrócony krzyż!

– Czy jest namalowany... Ten krzyż, taką jakby smołą?

Chłopak pokiwał gwałtownie głową, jakby chciał, żeby mu odpadła.

– Matka mówi, że nie ma co do tego wątpliwości. To taki sam krzyż, jaki znaleźli w domu Buckleyów.

– W takim razie jadę z tobą! – postanowiła Beatrice. – Tylko powiem Mary, żeby uważała na Noego.

– Ale ojciec mówił, że muszę sprowadzić pastora!

– Rozumiem, Nathanielu! Ale wiem o tym, co się dzieje tyle samo co sam wielebny, jeśli nie więcej. Najpierw zawieź mnie na waszą farmę, a potem jedź do pana Menduma, aby poszukać mego męża.

Powiedziała Mary, że znowu wyjeżdża, i szybko pocałowała Noego. Potem sięgnęła po płócienną chustę i wyszła, a Nathaniel czekał na nią na dwukółce zaprzęzonej w wymizerowanego deresza. Pomógł jej wdrapać się na siedzisko i potoczyli się czym prędzej w kierunku miasteczka.

– Kiedy to się stało? – spytała Beatrice.

– Pożar? Niecałą godzinę temu. Byłem na pięciokątnym polu, jak usłyszałem wołanie ojca. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem dym buchający ze stodoły i biegnącego tam ojca, a potem moich braci i część robotników. Zanim tam dobiegliśmy, było już za późno. Nic nie można było zrobić, aby ich uratować. Jeden niewolnik, imieniem Quamino, nadal żył, ale był mocno poparzony. Prince, Cumby i Isum... Już wszyscy nie żyli.

– Zanim to się stało, widziałeś jakichś obcych w pobliżu stodoły?

Nathaniel pokręcił głową.

– Pracowałem ciężko, pani Scarlet, pochylony, sadziłem ziemniaki. Gdyby sam Archanioł Gabriel przeleciał mi nad głową, nie zauważyłbym go.



Farma Gilmanów leżała w łagodnej dolinie, z klonami od północnego zachodu i płytką rzeką meandrującą środkiem. Dom i przyległe zabudowania położone były w połowie zbocza w północno-wschodnim narożniku, gdzie teren zaczynał się wznosić ku posiadłości Menduma.

Gdy podskakując, mknęli wąską kamienistą dróżką, Beatrice widziała mglisty, szary dym nadal uchodzący przez otwarte drzwi stodoły. Poza czarnymi smugami sadzy nad bocznymi oknami, wyglądającymi niczym diabelskie brwi, budynek nie wydawał się mocno zniszczony.

Zajechali na podwórze, gdzie George i Elizabeth Gilmanowie zebrali się wraz z resztą synów, większością robotników i niewolników. Wśród nich były trzy Murzynki, z których jedna zawodziła niemiłosiernie i uderzała się pięściami, oraz czwórka czy piątka Murzyniątek. Pozostałe dwie czarnoskóre kobiety stały w milczeniu, ale obie wyglądały na przerażone i dezorientowane, a po policzkach spływały im łzy.

– Co, nie ma wielebnego? – spytał George Gilman, wychodząc naprzód, by pomóc Beatrice wysiąść z wozu. – Witamy panią uprzejmie, pani Scarlet, ale potrzebny nam jest pilnie mąż pani, a nie wy.

W przeciwieństwie do swoich synów, George Gilman był drobnym, żylastym człowiekiem o orlim nosie i gęstych, siwych włosach. Nigdy nie przestawał się ruszać, a jego ciągła i ciężka praca zaowocowała dobrobytem. Przypominał Beatrice jedną z tych nakręcanych figurek, które nieustannie biegają od lewej do prawej, i myślała, że i on ma gdzieś w plecach sterczący kluczyk.

– Nathanielu – powiedziała. – Bądź tak dobry i pojedź na farmę Mendumów, znajdziesz tam wielebnego.

George Gilman machnął ręką na syna, aby dać mu znać, że ma jechać, a potem zwrócił się do Beatrice:

– Czy Nathaniel powiedział, co się tu stało?

Beatrice skinęła głową. Odór spalonego, mokrego siana sprawił, że oczy zaszyły jej łzami, ale cieszyła się, że jest na tyle silny, aby zamaskować smród spalonego ludzkiego ciała.

– Powiedział, że spłonęli wasi niewolnicy. A na ścianie namalowano odwrócony krzyż. Taki sam krzyż był namalowany na ścianie w pokoju dziecięcym u Buckleyów, kiedy zachorowały.

– Słyszeliśmy o tym, oczywiście – odezwała się Elizabeth Gilman. Była tak samo drobna i miała takie same ostre rysy jak jej mąż, i Beatrice wydawało się nieomal niemożliwe, że wydała na świat takich wielkich synów. – Diabeł chodzi między nami, bez wątpienia. Albo sam diabeł, albo jeden z jego uczniów, nie wymieniając nazwisk.

– Pani Scarlet, pierwsze były wasze świnie – powiedział George Gilman, odliczając na palcach. – Potem krowy Henry’ego. Potem dzieci Buckleyów. Teraz nasi niewolnicy. Ale słyszeliśmy, że modlitwy wielebnego uratowały życie tym biednym dzieciom.

– Tak – odparła Beatrice. – Z pewnością jego modlitwy pomagają w ozdrowieniu, ale...

– A cóż jeszcze innego? To potęga modlitwy. Jest zbyt późno, aby ratować naszych nieszczęsnych niewolników. Jednak mam nadzieję, że wielebny da radę wezwać Boga, by chronił resztę mojej rodziny, nasz inwentarz, i wszystkich pozostałych niewolników. Gdybym stracił ich więcej, będzie mnie to bardzo drogo kosztować. Dwieście funtów każdy, minimum. A nawet więcej, jak mają zdrowe zęby.

– Jak spłonęli pańscy niewolnicy? – spytała Beatrice. – Nathaniel powiedział mi, że jeden z nich ocalał. Czy może mówić?

– Quamino? Nie, zajmują się nim, ale nadal jest nieprzytomny. Nie wiadomo, czy przeżyje. Pokażę pani tych, którzy zginęli. Jeszcze ich nie odcięliśmy. Myślałem, że wielebny koniecznie powinien ich zobaczyć na miejscu, tak jak to było.

– George! – obruszyła się Elizabeth Gilman. – Chyba pani

Scarlet nie będzie ci wdzięczna za ten widok. Nabawi się od tego koszmarów.

– Hm, tak, oczywiście, masz rację, moja droga. Pani Scarlet... Może pójdzie pani z Elizabeth do domu, napijcie się herbaty, a my poczekamy na pastora?

Beatrice została na miejscu.

– Jeśli pan pozwoli, bardzo chciałabym zobaczyć tych martwych niewolników.

– Ostrzegam... Nie jest to miły widok. Elizabeth nie myli się co do tego. Nawet nie powinienem był proponować.

– Dziękuję za ostrzeżenie, ale zdaje się, że wspominałam już o tym, że mój ojciec był aptekarzem w Londynie. Widziałam przeróżne choroby i okaleczenia, jakie tylko można sobie wyobrazić, i wiele takich, których nie chcielibyście sobie wyobrażać, w tym naprawdę straszne oparzenia. Dużo trzeba, aby żołądek mi nie wytrzymał, wierzcie.

– Cóż... Dobrze, ale jeśli wielebny Scarlet zgromi mnie za to, pani będzie musiała mu sama wytłumaczyć, że przyparła mnie do muru.

– Proszę mi zaufać, że nie będzie miał o to pretensji. Mój mąż szanuje moją siłę tak samo, jak ja podziwiam jego.

George Gilman w towarzystwie swoich dwóch kędzierzawych synów, Adama i Augustusa, zaprowadził Beatrice do stodoły. Siano teraz tylko się tliło, ale jego woń była tak silna, że Beatrice wydobyła chusteczkę z kieszeni, aby zasłonić nos i usta.

– Posłałem też po konstabla Jewkesa, nie widać go jeszcze – rzucił przez ramię George. – Chyba wszyscy domyślamy się, dlaczego.

Beatrice nie odpowiedziała. Wiedziała, że Jewkes jest prawdopodobnie pijany, choć było dopiero wczesne popołudnie, ale nie chciała powiedzieć niczego niezyczliwego.

Gilman zatrzymał się pośrodku stodoły. Beł siana ułożone były pionowo z trzech stron, chociaż osmalone były głównie te po lewej, niemal aż po dach. Nadal tliły się złowrogo, chociaż Gilmanowie musieli wylać na nie dziesiątki wiader wody,

ponieważ były przemoczone. Porzucone wiadra wciąż leżały na klepisku.

George Gilman dotknął ramienia Beatrice i wskazał w górę. Uniosła wzrok i bezpośrednio nad sobą zobaczyła trzech spalonych niewolników. Zwisali z krokwi na linach, na wysokości mniej więcej ośmiu metrów. Wszyscy trzej mieli ramiona rozpostarte szeroko, jakby lecieli, a aby utrzymać je w takiej pozycji, przywiązano je do trzonków od grabi.

Wszyscy byli nadzy, ale byli tak mocno zwęgleni, że skóra zwisła im w strzępach, więc wyglądało to, jakby mieli na sobie czarne łachmany. Spod spalonej skóry wylaniało się szkarłatne, surowe mięso. Nogi mieli podciągnięte pod siebie, zgięte w kolanach, ale Beatrice wiedziała, że to naturalny efekt skurczu mięśni i ścięgien podczas spalania. Raz już widziała ofiary pożaru na barce z węglem na Tamizie, i tamci też przykucali w takiej małej pozycji.

Usta niewolników były szeroko rozwarte, odsłaniając brązowożółte zęby i zwisające spopielałe języki. Oczy także mieli otwarte, ale źrenice im pobieleły od wysokiej temperatury.

George Gilman wskazał wypalony ślad w kształcie gwiazdy na klepisku.

– Quamino nie został powieszony jak tych trzech. Klęczał tu z rękami złożonymi razem, jakby się modlił, chociaż był cały związany liną, żeby nie mógł się ruszyć. Też się palił, ale oczywiście udało się nam oblać go wodą, bo był na ziemi, w zasięgu. Tamta trójka... Nie miała najmniejszej szansy.

Znowu podniósł wzrok.

– Chyba pani rozumie, dlaczego chciałem, aby wielebny zobaczył tych biedaków, zanim przyniosę drabiny i ich odetnę. Na pewno zostali tak powiązani celowo. To jawny akt bluźnierstwa, z całą pewnością. I dlatego wierzę, że dokonał tego diabeł albo jeden z jego uczniów.

Beatrice wpatrywała się w trzy czarne postacie z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Wygląda jak ukrzyżowanie, prawda? Jezus i dwóch łotrów na krzyżach, a jeden uczeń klęczy i modli się przed nimi.

– Otóż to! – potwierdził Gilman. – Tak to właśnie widzę. Wierzę, że diabeł rozmyślnie tego dokonał, aby zadrwić z naszego Zbawcy w momencie Jego Zbawienia!

Był tak poruszony, że energicznie gestykulował, chodząc w kółko i nieustannie ściągając i zakładając perukę. Należał do najbardziej zagorzałych członków parafii w Sutton i często pomagał Francisowi organizować grupy modlitewne oraz grupy studiujące Biblię, jak również co niedzielę czytał psalmy.

– Biedni niewolnicy – powiedziała Beatrice. – Musieli przejść prawdziwą gehennę!

– Tak, w istocie, zapewne! Ale diabeł zrobił coś więcej niż tylko spalił czterech niewinnych niewolników. Podpalił wszystko, co ma znaczenie dla naszej wiary! Pani Scarlet, chyba nie ma co do tego dwóch zdań! Ten drań próbuje zaszczyć bogobojny lud Sutton, być może nawet zupełnie wygnać z New Hampshire, a w najlepszym razie próbuje zmusić nas, abyśmy wyparli się naszej wiary.

– Nathaniel wspomniał o odwróconym krzyżu.

– Ach, tak, krzyż! Jakbyśmy potrzebowali więcej dowodów! – Podeszedł do przeciwległej ściany stodoły, gdzie były drzwi. Na surowej sosnowej desce, namazany gęstą smołą, znajdował się odwrócony krzyż, jak ten w domu Buckleyów, ale o wiele większy, wysoki prawie na metr.

Beatrice podeszła bliżej i powąchała go. Pachniał tak samo jak odciski diabelskich kopyt, goździkami, smołą i cywetą, siarką oraz melasą. Jeżeli istniała jakaś różnica, to więcej było w tym siarki.

– Widzi dobrodziejka? – spytał George Gilman. – Oto dowód, że mamy do czynienia z diabłem.

Beatrice spojrzała w górę na trzy spalone ciała, obracające się powoli między krokwiemi z na wpół zgiętymi kolanami i rozpostartymi ramionami. Nie, pomyślała, nie mamy tu do czynienia z diabłem. Szkoda czasu Francisa na przeprowadzanie tu egzorcyzmu.

To sprawa kogoś o wiele bardziej pomysłowego niż diabeł, a także o wiele groźniejszego. Diabeł to zło z definicji, natomiast

ta osoba zło wybrała sama.



Francis przybył po około trzech kwadransach. Zanim Nathaniel Gilman dotarł na farmę Menduma, wielebny zdążył wyjechać stamtąd na koniu do Rodneya Bartletta, aby go podkuł nowymi podkowami.

Beatrice siedziała w parnym salonie z Elizabeth Gilman. Dostała herbatę, ale wypila tylko dwa lub trzy łyki. Robiła się niespokojna, ponieważ jej napar z miodunki będzie zaraz gotowy, a ona musi go zawieźć do Buckleyów. Mogła mieć tylko nadzieję, że bliźniętom nadal będzie się poprawiać, obojętnie czy uratował je specyfik z ognistych patyków Jonathana Shooksa, czy modlitwy Francisca, czy jedno i drugie.

Gdy tylko zjawił się Francis, George Gilman zaprowadził go do stodoły, aby zobaczyć spalone ciała niewolników zawieszane pod dachem. Spędzili tam prawie kwadrans, podczas gdy Beatrice i Elizabeth czekały na nich w milczeniu, a herbata im stygła. Kiedy Francis wszedł do salonu, wyglądał na zaszokowanego i zdezorientowanego; natychmiast podszedł do Beatrice i wziął ją za rękę.

– Widziałaś je? – spytał. – Nie powinnaś, moja droga. To zbyt przerażające.

– Nic mi nie jest, Francisie, naprawdę – odparła Beatrice. – Widziałam gorsze rzeczy w Londynie, jeszcze w dzieciństwie.

– Dobry Boże! Trudno sobie wyobrazić cokolwiek gorszego od tych trzech biedaków!

Francis odwrócił się do gospodarza.

– George, czy ktoś ci groził albo stawiał żądania? – zapytał. – Nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek chciałby cię tak zastraszyć?

– Czy nie wystarczy, że ktoś wydrwił moją wiarę? – odpowiedział pytaniem George. – Moja wiara to wszystko, co mam! Poślubiłem Elizabeth i założyłem rodzinę ze względu na

wiare! Mój dobrobyt świadczy o mojej wierze! Z każdym zaczerpniętym oddechem służę Bogu, a co diabeł mi dzisiaj uczynił? Próbował spalić na popiół moją wiare!

Wysoki zegar szafkowy w korytarzu wybił czwartą.

– Muszę wracać do domu, Francisie – odezwała się Beatrice.
– Gdyby Nathaniel był tak dobry i podwiózł mnie... Zostajesz tu czy jedziesz ze mną?

– Zostanę tu jeszcze chwilę – odparł Francis. – Pomogę George’owi ściągnąć ciała i przygotować je do pochówku. Może byli to tylko niewolnicy, ale mimo wszystko to stworzenia boże i zasługują na moją modlitwę.

Elizabeth ujęła dłonie żony wielebneho.

– Dziękuję, że przyjechałaś, Beatrice. Przykro mi, że z powodu takich strasznych wydarzeń.

Beatrice owinęła ramiona szalem i wyszła. Wdrapywała się na wóz Nathaniela, kiedy młody Augustus Gilman wyłonił się zza domu.

– Ojczy? Quamino... W tej chwili wyzionął ducha.

Zawróciła.

– Chciałbym go zobaczyć, jeśli mogę.

– Beo... myślisz, że to mądre? – zaproponował Francis. – Czyż nie widziałaś już dosyć okropieństw jak na jeden dzień?

– Francisie, jeżeli mam ci pomóc w walce z tym złem, cokolwiek to jest, to muszę spojrzeć mu w twarz.

Jej mąż nic nie odpowiedział, spojrzał jedynie na George’a Gilmana, a ten wzruszył ramionami i powiedział:

– Prowadź, Augustusie.

Chłopak poprowadził ich wokół domu, przez brukowany dziedziniec, do stajni. Stał tam rząd chat z ogródkami, gdzie mieszkało dziewięciu niewolników Gilmana z żonami i dziećmi. Większość z nich zgromadziło się przed chatą na krańcu szeregu, szlochając i zawodząc.

Młoda kobieta w czarnej chuście na głowie i jednolitej szarej sukience z bawełny stała w otwartych drzwiach chaty, z trojgiem małych, kurczowo ją trzymających, dzieci. Nie płakała, ale Beatrice nigdy nie widziała kogoś tak samotnego.

– To Sally, żona Quamina – powiedział Augustus. – On jest w środku.

Chata składała się tylko z jednej izby, w której znajdowały się trzy drewniane krzesła, stół i szerokie łóżko pod oknem. Quamino leżał na nim, przykryty prześcieradłem poznaczonym krwią. Twarz miał nabrzmiąłą, pokrytą żółtawymi pęcherzami, a włosy spalone na kruchy biały popiół.

Beatrice podeszła do łóżka. W pomieszczeniu było nieznośnie gorąco, a woń zwietrzałego cynamonu i potu była wszechogarniająca. Kiedy jednak pochyliła się nad łóżkiem i wciągnęła głęboko powietrze przez nos, wychwyciła kilka innych woni... Żywicę sosnową, naftę, a także siarkę.

– Odejdź, Beo, natychmiast! – zawołał Francis od drzwi.

– Tylko chwila – odpowiedziała Beatrice. Odsunęła prześcieradło tak, by móc spojrzeć na pierś Murzyna. Górna część pokryta była pękającymi żółtymi pęcherzami, podobnie jak twarz, ale niżej ciało było miejscami wypalone tak głęboko, że aż widać było żebra. Wokół pach dostrzegła białą skorupę – ślad po wiązaniu – która wyglądała jak sól. Oblizła koniuszek palca, dotknęła skorupy i niemal natychmiast poczuła, jak intensywnie parzy, jakby przyłożyła palec do rozgrzanego żelazka. Pospiesznie wytarła palec w chustę. Było to wapno niegaszone. Niewolnicy zostali rozebrani do naga, związani, a potem obficie oblepieni mieszaniną żywicy sosnowej, wapna i nafty, chyba jeszcze z dodatkiem saletry.

Diabeł tego nie zrobił, chyba że był chemikiem. Był to ogień grecki albo bizantyjski. Jej ojciec raz wymieszał te składniki, aby spalić gniazdo szerszeni, które było zbyt wysoko, żeby je strącić tyczką.

Beatrice na powrót przykryła prześcieradłem ciało Quamina i wyszła na słońce. Przed chatami chodziły kury, a gdzieś dalej czekał pies.

– No i? – spytał Francis. – Dowiedziałaś się czegoś? Masz pomysł, kto mógł ich zabić?

Beatrice zwróciła się do wdowy po Quaminie, Sally. Chociaż była matką trójki dzieci, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia

jeden lub dwadzieścia dwa lata. Spuściła wzrok, gdy Beatrice na nią spojrzała, żeby nie wyszło na to, że nie okazuje szacunku.

Beatrice położyła dłoń na ramieniu Murzynki, aby ją pocieszyć.

– Przykro mi. Wiem, że robiłaś wszystko, aby go ocalić, ale nic nie mogłaś poradzić. Spalił go ogień, którego nie można ugasić nawet wodą.

Nie była pewna, czy Sally ją rozumiała, ale na jej słowa skinęła głową, choć nadal nie unosiła wzroku.

Francis zmarszczył czoło.

– Beo? – spytał. – Co chcesz powiedzieć? Jaki to ogień, którego woda nie ugasi?

– Ogień piekielny, wielebny – wtrącił George Gilman, zanim Beatrice zdążyła odpowiedzieć. – Ogień, który diabeł podtrzymuje przez całą wieczność, aby karać grzeszników i przerażać bogobojnych.

– Więc szatan to uczynił? – spytał Francis.

– W pewnym sensie, tak – odpowiedziała Beatrice. Nie chciała sprzeciwić się Gilmanowi prosto w twarz ani sprawiać wrażenia, że Francis ma żonę, która podważa jego zdanie.



Beatrice wspięła się na wóz, by wrócić z Nathanielem do domu. Zanim dotarli do rzeźbionego drewnianego łuku nad wjazdem na farmę Gilmanów, zobaczyła Jonathana Shooksa podjeżdżającego od strony Penacook swoją kaleszą. Słyszała, jak zawołał do Samuela, aby zwolnił, a gdy ich pojazdy zrównały się, uniósł przed nią kapelusz.

– Pani Scarlet! – powitał ją. – To dziwne tu panią widzieć!

– Powinnam powiedzieć to samo, panie Shooks.

– Hm, otrzymałem wiadomość, że coś niefortunnego się tu wydarzyło, więc przyjechałem zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc.

– Jeżeli można opisać spalenie żywcem czterech niewolników pana Gilmana jako „niefortunne”... to tak, zdarzyło się tu coś niefortunnego. Mój mąż już tu jest, aby modlić się za ich dusze.

– Och, to dobrze. Wszyscy wiemy, jak skuteczne są modlitwy pani męża.

– Panie Shooks, to nie czas ani miejsce na sarkazm.

– Proszę... Dla wiary męża pani żywie jedynie podziw, nic innego. Czy istnieje podejrzenie, kto może być odpowiedzialny za tę okropność?

– Myślałam, że to pan jest ekspertem w kwestii demonów Nowego Świata.

Jonathan Shooks wziął głęboki oddech, jakby chciał odpowiedzieć, a może oskarżyć ją o sarkazm, ale skinął jedynie głową i uśmiechnął się, jakby mówił: *touché*, a potem zastukał laską w bok kalesszy. Samuel wydał z siebie swój nieziemski wrzask i Jonathan Shooks odjechał z łoskotem.



Beatrice wróciła na plebanię, odsączyła przez gazę bladozielony napar z miodunki, a potem przelała go do glinianej butelki i zakorkowała ją.

Napisała list do Judith Buckley, wyjaśniając, że powinna dawać każdemu z bliźniąt po dwie łyżki naparu z miodunki raz na trzy godziny, a ona zajdzie do osady jutro, aby sprawdzić, jak zdrowieją. Podała butelkę Mary, żeby zabrała do Buckleyów w drodze do domu.

– I, Mary, proszę, nie upuść butelki! Wiesz, jaka z ciebie potrafi być niezdara!

– Oczywiście, pani Scarlet. Nie upuszczę.

Gdy Beatrice odwróciła się, by wejść do domu, zauważyła wysoką postać w brązowym płaszczu z kapturem na samym końcu podjazdu, w najciemniejszym cieniu pod drzewami. Zawołała Mary, ale dziewczyna była zbyt daleko, aby ją

usłyszeć. Już chciała za nią pobiec, ale wtedy usłyszała, jak Noe przewraca się w kuchni i zanosi płaczem.

Wróciła więc do domu, aby go podnieść, i przyniosła na ganek. Teraz jednak Mary była już na końcu traktu, a postać znikła.

Rozdział 21

Było już prawie ciemno, gdy Francis wrócił do domu na nowym wierzchowcu, Urielu. Imię dostał po uzdrawiającym archaniele, jednym z zaledwie czterech, którzy mogli stać w obecności Boga. Beatrice wyszła z latarnią, aby mu oświetlić drogę do padoku.

– No, będzie z niego silny koń do bryczki – stwierdził Francis, klepiąc Uriela po błyszczącym, kasztanowordzawym boku. – To bardzo szczodre ze strony Henry’ego, że sprzedał go nam po takiej rozsądnej cenie. Okazuje się, że są jeszcze na świecie dobrzy ludzie.

– Jak było Henry’ego? – spytała Beatrice, gdy wracali do domu.

– Hm... Wszystkie sztuki wyzdrowiały, tak mówi. Nawet te najcięższe przypadki, te bliskie śmierci.

– Więc jednak twoje modlitwy podziałały. To dowód przeciwko tym, którzy twierdzą, że straciłeś kontakt z Bogiem.

Beatrice zdmuchnęła latarnię, a potem przeszli przez ganek oświetlony czterema kinkietami zawieszonymi na ścianach.

– Jesteś głodny? – spytała. – Po tym, co dzisiaj widziałam, odszedł mi apetyt, ale ty powinieneś zjeść.

Francis pokręcił głową.

– Nie mógłbym, Beo. Ciągłe myślę, przez jakie męczarnie musieli przejść ci biedni ludzie. George jest taki religijny, a jednak najwyraźniej nie przychodzi mu do głowy, że niewolnicy mogą odczuwać ból tak samo jak my wszyscy. Martwi się bardziej o ich wartość niż dusze. – Zawahał się,

a potem dodał: – Poza tym coś jeszcze bardzo mnie zaniepokoiło.

Beatrice wzięła go za rękę, ale on odwrócił głowę, jakby wstydził się samego siebie.

– Co takiego, Francisie? Powiedz.

– Henry Mendum. Powiedział mi, że jego dewony wyzdrowiały, ale dopiero po wizycie Jonathana Shooksa. Najwyraźniej Shooks podał krowom jakiś eliksir i odmówił nad nimi zaklęcia, a po paru godzinach zaczęły wracać do zdrowia. Jednak ty i ja widzieliśmy na własne oczy, jak bardzo były chore, prawda? Mało znam się na hodowli zwierząt, Beo, ale dawałem im niewielką szansę na przeżycie.

– Francisie, nie możesz pozwolić, aby Jonathan Shooks tak bardzo cię niepokoił! Nie denerwujesz się, gdy doktor Merrydew leczy kogoś z gorączki, prawda? Albo jak Rodney Bartlett wyleczy konia z tężyczki pastwiskowej?

– Oczywiście, że nie, ponieważ przez nich nie mam poczucia, że moje modlitwy są całkowicie nieskuteczne, tak jak to czuję przy Shooksie. Oni uważają moje modlitwy za duchowy dodatek do praktycznej pracy... A nie za niepotrzebną rzecz ze Starego Świata.

– Francisie, Bóg nie jest niepotrzebną rzeczą ze Starego Świata. Bóg jest potrzebny na całym świecie!

– Ty to wiesz i ja to wiem. Lecz teraz, kiedy Jonathan Shooks uzdrowił dzieci Buckleyów i bydło Henry’ego, zapewne coraz więcej ludzi z osady zacznie wątpić w moją zdolność obrony ich i zwrócą się do niego. „Wielebny Scarlet nie wie nic o demonach, które dręczą Sutton”. „Wielebny Scarlet nawet nie potrafił powstrzymać ich przed zabiciem jego własnych świń ani konia, który padł w drodze, tuż przed jego domem”.

– Och, Francisie, ludzie z Sutton znają cię i bardzo kochają. Nie mówiliby tak o tobie.

Pokręcił głową z żalem.

– Beo, ludzie, kiedy ich rodziny i dobytek są zagrożone, zwrócą się do kogokolwiek.



Nazajutrz bardzo wcześnie rano Mary wpadła do domu, gdy Francis i Beatrice jeszcze byli w łóżku, i zawołała, stojąc na schodach:

– Pani Scarlet! Pani Scarlet! Nie śpi pani?

Beatrice wstała, odrzucając kołdrę, a Francis tylko uniósł głowę z poduszki, mrużąc oczy. Włosy sterczały mu na głowie jak grzebień koguta.

– Co się stało? – wymamrotał. – Co jest?

Zbiegła na dół bosą, tylko w koszuli nocnej. Mary stała w korytarzu, zagryzając wargę ze zdenerwowania.

– Co się stało, Mary? – Beatrice modliła się, aby to nie było takie okropieństwo jak u Gilmanów.

– Mały Tristram Buckleyów, pani Scarlet... Wygląda, jakby Jezus miał go zaraz zabrać!

– Jedźmy tam natychmiast! Daj nam chwilę, żeby się ubrać i zaprząć dwukólkę. Wielebny Scarlet przyprowadził wczoraj nowego konia.

– Widziałam go na padoku. Mogę go zaprząć, jak państwo będziecie się odziewać.

– Jak się czuje Apphia? Nic jej nie jest?

– Nie, nie. Tylko Tristramowi się pogorszyło. Pani Buckley traci zmysły.

– Zajmiesz się Noem, jak pojedziemy, dobrze?

– A pewnie, pani Scarlet. Oddam za niego życie.

Kiedy wróciła na górę, Francis był już prawie ubrany, szybko więc włożyła halki i poprosiła go, aby zawiązał jej gorset, ponieważ Noe właśnie się zbudził i zaczął płakać, a Mary poszła się nim zająć.

– Nie jest dosyć ciasno! – powiedziała do męża, gdy grzebał się z tasiemkami.

– Dobry Boże, Beo, nie chcę z ciebie życia wydusić!

Pospieszyli na dwór. Mary już zaprzęła Uriela i przywiązała go do płotu przy wyjeździe. Koń był niespokojny. Chociaż tego

ranka było ciepło, zbierało się na burzę, niebo poszarzało, a wężowe jęzory błyskawic na horyzoncie uderzały w kierunku Bedford.

Francis cmoknął i Uriel ruszył kłusem z wysoko podniesionym łbem. Nawet jeżeli Henry Mendum zdenerwował Francisa, zwracając się do Shooksa o pomoc w leczeniu bydła, to sprzedał mu bardzo eleganckiego młodego gniadosza.

Kiedy przybyli do osady, przed drzwiami Buckleyów stała kolka gospodyń. Była już prawie szósta i każda z kobiet w miasteczku miała swoje poranne obowiązki – pieczenie, pranie, szorowanie podłóg, przygotowywanie śniadania dla rodziny. Francis i Beatrice weszli do domu, a w momencie, gdy przekroczyli próg, usłyszeli okropny, bolesny, rozdzierający serce płacz.

Był on tak przeraźliwy i tak udręczony, że Beatrice wpierw pomyślała, że to Judith, ale kiedy weszła do pokoju dzieci, zobaczyła Nicholasa stojącego obok łóżeczka syna, przyciskającego go do piersi. Twarz wykrzywił mu ból, usta miał wygięte w podkowę, a łzy toczyły się mu po policzkach. Kiedy otworzył oczy i ujrzał Beatrice i Francisa, zdołał tylko wykrztusić:

– Dlaczego, Boże, dlaczego? Dlaczego zabrałeś to biedne, niewinne dziecko, które nie wyrządziło nikomu żadnej krzywdy?

Beatrice podeszła do Judith, która trzymała Appię. Dziewczynka też szlochała, nadal rżąc i walcząc o oddech. Judith nic prawie nie widziała przez łzy, zaciskała usta i milczała.

– Dałaś im miódunki? – spytała Beatrice łagodnie.

Kobieta skinęła głową.

– Oboje wypili i z początku obojgu się poprawiło. – Musiała zamilknąć na chwilę, żeby opanować emocje, ale zaraz dodała: – O północy dałam im więcej i nadal wydawały się zdrowe. Jednak kiedy zajrzałam do nich rano, Tristram z trudem chwytął powietrze. Kilka razy w ogóle przestał oddychać, ale po chwili zaczynał. Próbowałam dać mu więcej miódunki, nie mógł

jednak przelykać. Wtedy zobaczyłam Mary przechodzącą obok i poprosiłam ją, aby cię wezwała.

Nicholas położył Tristrama delikatnie na materacyku z końskiego włosia, który był wilgotny od potu i poplamiony moczem. Beatrice pochyliła się nad nim i poszukała puls, ale nic nie wyczuła. Uniosła mu powieki, jedną po drugiej, ale błękitne oczka chłopca spoglądały jedynie ku niebiosom. Na koniec, żeby mieć pewność, poprosiła Judith o lusterko. Przyłożyła je do twarzy Tristrama, ale nie zaparowało.

Nicholas stał tuż obok z zaciśniętymi pięściami; był jednocześnie nieszczęśliwy i wściekły.

– Ta czarownica! – wycedził, a nozdrza mu falowały. – Dopilnuję, aby spłonęła na stosie, na miły Bóg!

– Nicholasie! – skarcił go Francis. – To sprawa dla sądu, a nie kwestia zemsty. Poza tym jakie masz dowody, że to wdowa Belknap za to odpowiada?

– A kto inny? Kto inny potrafi wywołać taką chorobę u dziecka, żeby umarło, nawet bez wchodzenia do jego pokoju? Kto inny jest tak mściwy i nieustannie nam grozi?

– Nicholasie, jeżeli chcesz wnieść oskarżenie przeciw wdowie Belknap, powinieneś posłać po konstabla Jewkesa.

– Tego pijusa? Pewnie jeszcze leży w łóżku albo pod stołem, albo w rowie, gdziekolwiek padł wczorajszej w nocy. Nie... Sam będę mówił za siebie. Chcę usłyszeć z jej ust, dlaczego żywi do nas taką nienawiść, że odebrała życie naszemu ukochanemu synowi.

– Powinieneś uważać, Nicholasie – odezwała się Beatrice. – Nie mam wcale pewności, czy masz rację, że to rzeczywiście wdowa Belknap rzuciła klątwę na Tristrama, ale powinieneś uważać, aby nie uczynić sobie z niej wroga.

– Nie boję się jej czarów – odparł Nicholas. – Pójdę i wygarnę jej to w tej chwili!

Francis chwycił go za rękaw, ale Nicholas wyrwał się i przedarł przez tłum gospodyń cisnących się w korytarzu. Teraz zebrano się o wiele więcej kobiet; gromadziły się w domu i na łące pośrodku osady. Beatrice ruszyła za Nicholasem i w

tej samej chwili zauważyła, że przybył Jonathan Shooks i właśnie wysiadał z kalessy. Dzisiaj miał na sobie surdut w o wiele głębszych odcieniach szarości, jakby był wycięty z burzowego nieba nad ich głowami. Kiedy zobaczył Beatrice, uśmiechnął się do niej, jak zwykle z uznaniem, częściowo z zachwytem i częściowo z drwiną.

Nicholas kroczył ku odległemu narożnikowi łąki, do domu wdowy Belknap. Zanim jednak tam dotarł, rozpoczęła się ulewa, a wielkie, ciężkie krople szeleściły w ziołach i kwiatach ogródka wdowy.

Beatrice szła tuż za nim, kiedy energicznie wmaszerował na ganek. Zaraz za nią podążali Francis i pani Rust, a także Jonathan Shooks i William Rolfe, szewc, który akurat przechodził obok i najwyraźniej zaciekawilo go, o co chodzi w tym zamieszaniu.

Na pomalowanych na zielono drzwiach wisiała wielka mosiężna kołatka w kształcie wilczej głowy z obnażonymi kłami. Zanim zdążyli zastukać, drzwi otworzyły się i zjawiała się w ich wdowa Belknap odziana w tę samą ceglastą suknię, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Jej czarna papuga, Urok, także wyszła za nią.

– O co chodzi? – zapytała, spoglądając po ich twarzach. – Czy wszyscy przyszlście do mnie z sąsiedzka wizyta? Jeśli tak, to bardzo żałuję, ale skończyły mi się ciasteczka.

– Przyszedłem w sprawie mojego syna, Tristrama, czarownico! – rzucił Nicholas drżącym ze złości głosem. – Przyszedłem zapytać, dlaczego odebrałaś mu życie. Jeżeli chciałaś zemścić się na nas, z jakiegokolwiek powodu, dlaczego nie poprosiłaś o pieniądze albo inną rekompensatę, albo nawet mogłaś odebrać życie mnie... Ale nie dziecku, przed którym było jeszcze tyle lat?

Zapadła długa cisza, podczas której wdowa Belknap wpatrywała się w Nicholasa bez zmrużenia oka. On zaczął powtarzać swoje oskarżenie, ale wtedy przerwała mu:

– Słyszę, o co mnie pan oskarża. Jednak nie miałam w tym żadnego udziału. Jak mogłam odebrać życie pańskiego dziecka,

kiedy byłam we własnym domu cały dzień wczoraj i całą noc? I po co miałabym to czynić? Według mnie ma pan dosyć kłopotów z własną żoną bez oskarżania mnie o złe występki!

– Nie zwiedzisz mnie, czarownico! – wykrzyknął Nicholas. – Wszyscy w osadzie wiedzą, że nie musisz wychodzić ze swej kryjówki, żeby szerzyć intrygi! Możesz posłać tego piekielnego ptaka albo kota, albo po prostu zjawę, która niewidzialna lata po ciemku, z oddechem, który zadusi każdego, kto ci się nie spodobał.

Wdowa Belknap zmierzyła go swoimi intensywnie zielonymi oczami od stóp do głów, jakby chciała zdecydować, jakiego rozmiaru trumny potrzebuje.

– Jak śmiesz podchodzić pod moje drzwi i tak mnie znieważać? – odpowiedziała, starając się zachować spokój i opanowanie. – Jak śmiesz?!

– Bo jest tylko jedna osoba w miasteczku, która chciałaby zadać naszej rodzinie taką krzywdę, i jest tylko jedna osoba, która jest do tego zdolna!

– Ty durniu! – wycodziła wdowa. – Naprawdę uważasz, że mogłam tak się zadrećzać tą głupią plotką o twojej żonie i jej kółku robótek ręcznych, że posunęłabym się do zabicia twojego dziecka? Dlaczego miałabym ryzykować własne życie dla takiej błahej mściwości? Myślisz, że chcę zawisnąć? Albo spłonąć? Albo utopić się w stawie?

– To kto wywołał chorobę moich dzieci? – atakował ją Nicholas. – Kto inny namalowałby odwrócony krzyż w ich pokoju, siarką i syropem z melasy? Mój syn został zamordowany przez adwokata diabła, a w Sutton jest tylko jedna taka osoba, a mianowicie ty, wdowo Belknap!

Wdowa Belknap zmrużyła oczy i wycelowała długi palec prosto w jego twarz.

– Jeżeli jeszcze raz tak mnie nazwiesz, Nicholasie Buckleyu, rozgotowane ciało odpadnie od twych kości i zamienisz się w rosół! Odejdź więc i pomyśl o tym, kiedy będziesz grzebał swego syna!

– Wdowo Belknap... – zabrał głos Francis, wychodząc

naprzód. – Jestem pewien, że to nic innego jak zwykle nieporozumienie. Pan Buckley właśnie stracił dziecko i to całkiem naturalne, że jest wzburzony. Zawrzyjcie pokój między sobą. Pamiętajcie, co powiedział święty Piotr? „Na koniec zaś bądźcie wszyscy jednomyślni, współczujący, pełni braterskiej miłości, miłosierni, pokorni!”.

– Ta wiedźma zabiła mojego syna! – zawołał Nicholas. – Obiecuję, że spłoniesz na stosie!

– Nie prędzej, niż z ciebie zrobi się gulasz, Nicholasiu Buckleyu! – odparła wdowa. – A teraz wynocha z mojej ziemi, wszyscy, zanim wezwę konstabla, żeby aresztował was za wtargnięcie!

Jonathan Shooks wystąpił do przodu i położył dłoń na ramieniu Nicholasa.

– Chodź, mój drogi przyjacielu. Igrasz z ogniem, zadając się z tą kobietą, uwierz mi.

Nicholas odepchnął jego rękę.

– A pan co, panie Shooks? Czyż nie igrałem z ogniem, kiedy zaprosiłem pana do leczenia moich dzieci? Z jednej strony mam tę zbrodniczą jędzę, a z drugiej pana, pana chińskie patyki ogniste i układy z demonami. Nie wiem, co gorsze!

– Postawiłem sprawę jasno, że wyleczę pańskie dzieci – upierał się Jonathan Shooks, używając głosu jeszcze niższego i twardszego. – Jednak tylko za pewną cenę.

– Tak... Osiem hektarów, więcej niż połowę mojej ziemi! Ta ziemia to moje życie, panie Shooks!

– Tak jest – odparł Jonathan Shooks, kiwając głową ze zrozumieniem. – I rozumiem teraz, że to więcej, niż był pan w stanie poświęcić. Niestety, widzi pan, do czego ta odmowa doprowadziła. Gdyby pan przekazał mi tę ziemię, porozumiałbym się z pełnomocnikami diabła, i pański synek Tristram nadal by dzisiaj żył.

– Pan chyba nie rozumie, o co mnie prosi? – zwrócił się do niego Nicholas. – Prosił mnie pan o układanie się z samym diabłem! Diabłem... Ucieleśnieniem wszelkiego zła! W obliczu

wszystkiego, w co wierzyłem! Prosił mnie pan, abym wybierał między rodziną a moim Bogiem!

– Drogi panie, w naszym życiu prędzej czy później musimy zawrzeć układ z diabłem. W świecie pełnym moralnych zagadek to jedyny pewny sposób, w który możemy zapewnić sobie przetrwanie.

Nicholas był zdezorientowany i ciężko oddychał, jakby przebiegł jakiś duży dystans.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Przypuśćmy, że zmienię teraz zdanie, powiem „tak” i zawrę taką umowę? Przypuśćmy, że oddam te osiem hektarów? Co powstrzyma tych sługusów szatana przed powrotem i żądaniem ode mnie jeszcze więcej i więcej ziemi, aż nic mi nie zostanie?

Jonathan Shooks skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na niego z miną, której Beatrice nie potrafiła zinterpretować. Zupełnie jakby dorosły patrzył z politowaniem na dziecko, które nie przestawało się niezdarnie zachowywać, ale jednocześnie w tym spojrzeniu widać było, że czara jego cierpliwości ma granice i wystarczy jedna kropla, żeby ją przekroczyć.

– Będzie mi musiał pan zaufać – zwrócił się do Buckleya. – Jedyna gwarancja, jakiej mogę udzielić, to moje słowo.

– A co z szatanem? Nie wątpię, że mogę zaufać pańskiemu słowu, ale jeżeli układa się pan ze sługą szatana, jak bardzo mogę ufać jego słowu? Wszak szatan to kłamca z natury!

– Panie Buckley... Ostrzegałem, co się stanie, jeżeli nie przystanie pan na umowę, i niestety, to się spełniło. Nadal ma pan szansę uratować Apphie, swoją żonę, resztę rodziny i służbę. Czas jednak biegnie i zaraz się skończy. Klepsydra opróżnia się szybko, nawet teraz, kiedy rozmawiamy.

– Panie Shooks... – wtrącił się Francis. – Czy to wdowa Belknap spowodowała chorobę bliźniąt? Jeśli tak, powinniśmy po prostu ją aresztować i sądzić za zbrodnię.

Jonathan Shooks spoglądał przez moment na wybrukowaną kamieniami drogę, jakby próbował wezwać wszelkie rezerwy cierpliwości.

– Mój drogi wielebny, musi ojciec zrozumieć, że to, co dzieje

się tutaj, w Sutton, jest o wiele bardziej złożone. Nie jest to tylko przypadek mściwej niewiasty, która posiada zdolność rzućania złośliwych czarów.

– W takim razie, kim ona jest? I jaka jest w tym jej rola, jeśli w ogóle?

– Podejrzewam, że najlepiej będzie ją określić jako współnika krainy cieni... Pośrednika, którego Hiszpanie nazywają *intermediaro*. Udowodnienie tego dla satysfakcji sądu, jednakże... nawet najbardziej przesądnej ławie... Nie, to zdecydowanie będzie niemożliwe. Dni Salem już dawno minęły.

Kiedy Shooks to powiedział, Nicholas obrócił się bez słowa na pięcie i ruszył z powrotem do swojego domu. Shooks nie próbował nawet podążać za nim. Zamiast tego westchnął i dodał:

– Wielka szkoda. Wielka, wielka szkoda! Ten człek sam siebie oszukał.

Beatrice nie wiedziała, co rzec. Nie ufała jego motywom – żądanie ośmiu hektarów od Nicholasa Buckleya? – ale jednocześnie nie ufała też wdowie Belknap. Kiedy Nicholas oskarżał wdowę o zamordowanie Tristrama, Beatrice uważnie przyglądała się różnym roślinom i krzewom w jej kwitnącym ogrodzie. Zauważyła kilka leczniczych ziół, takich jak kokoryczka, która usuwała sińce „wywołane rozmyślnie przez kobiety, gdy potknęły się i wpadły na hoże pięści mężów”.

Był też świetlik, wrotycz i nagietek, z których wszystkie służyły leczeniu przeróżnych schorzeń, od kolki po robaki. Jednak prawie w środku ogrodu rósł ciemny cis. Tak gęstego Beatrice jeszcze nigdy nie widziała.

Rozdział 22

Znajdowali się dopiero w połowie drogi do domu, kiedy dokładnie nad ich głowami rozległ się ogłuszający grzmot pioruna i drzewa dookoła zaczęły kiwać się i kołysać, jakby chciały wyrwać się z ziemi i uciec. Uriel parsknął kilkakrotnie, ale Francisowi udało się go uspokoić i utrzymać w prostym biegu do przodu. Za każdym razem gdy tylko grzmiało, Królewicz gwałtownie skręcał w bok albo w ogóle zatrzymywał się, drżąc z przerażenia.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytała Beatrice, gdy Francis szukał schronienia. Deszcz zacinał teraz o wiele mocniej i Caleb wybiegł przed dom, aby wyprząc konia i zaprowadzić go na padok.

– Najwyraźniej nie boi się tych piorunów – zauważył Caleb, czule targając Uriela za grzywę. Był przemoczony, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Przynajmniej deszcz był ciepły.

– Może dlatego, że nadałem mu imię archaniola – odparł Francis. – W niebiesiech musi być dużo piorunów, szczególnie, gdy pan Bóg się gniewa.

– A ty, Francisie? – zagadnęła Beatrice, gdy weszła do domu i zdjęła czepek. – Gniewasz się?

– Oczywiście, że się gniewam! Ale to sprawiedliwy gniew, nie irytacja! Niewinne dziecko zmarło, a ja nie wiem, jak i dlaczego!

– Musimy się zastanowić nad tym spokojnie i logicznie – stwierdziła Beatrice.

– Jak możemy, kiedy w tym nie ma nic logicznego? Jonathan Shooks najwyraźniej sugeruje, że to szatan jest za to

odpowiedzialny, lub przynajmniej jakiś jego sługa, ale ja nie mogę dojść, czy śmierć Tristrama była naturalna, czy nadprzyrodzona, a może jedno i drugie. Nie potrafię powiedzieć, czy te dzieci po prostu nabawiły się jakiejś powszechnej dziecięcej choroby, jak biegunka po odstawieniu od piersi, czy też ktoś je zatrzał celowo, albo rozmyślnie przekazał im jakąś infekcję, albo czy rzeczywiście zawarto pakt z demonem, w co Jonathan Shooks chciałby, abyśmy uwierzyli. I znów, Shooks odniesie z tego korzyść, jakakolwiek byłaby przyczyna. Osiem hektarów, przynajmniej.

Beatrice przeszła do kuchni, gdzie Mary powoli mieszała kocioł pełen śmietany, mleka i wody, aby zrobić ser.

– Czy wielbny Scarlet powiedział, że Tristram odszedł? – spytała Mary.

Beatrice skinęła głową.

– To bardzo smutne. Apphii jest trochę lepiej, ale nadal boję się, że ją też możemy stracić.

– Czy to prawda, że wdowa Belknap rzuciła na nich czar? Wszyscy tak mówią.

– Nie, Mary, nie sądzę, że to czarna magia, choć możliwe, że wdowa Belknap była zamieszana w te wydarzenia. Powinniśmy jednak nie strześcić języków, dopóki nie mamy dowodów.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała Mary. Wróciła do mieszania gęstniejącego twarogu w tyglu, ale po chwili przerwała i spytała: – Czy można robić ser podczas burzy? Nie skwaśnieje, co?

– Nie, Mary. Nie skwaśnieje.

Beatrice zastanawiała się, czy już pora powiedzieć Francisowi o badaniach, jakie przeprowadziła z wymiocinami i kałem Królewicza oraz ze smolistymi odciskami kopyt z pola Menduma. Nie miała jeszcze jednoznacznych dowodów, kto może być odpowiedzialny za wszystkie niepokojące wydarzenia, które miały miejsce w Sutton w ciągu ostatnich kilku dni. Mimo to może uda jej się przekonać Francisowi, że to nie jemu zabrakło wiary. Żadne modlitwy nie powstrzymałyby osoby, która była w stanie pomalować czterech nagich niewolników żywicą,

wapnem i saletrą, a potem ich podpalić, zabić takie małe dziecko jak Tristram albo zatruć Królewicza igłami cisu.

Była prawie pewna, że to dzieło człowieka – mężczyzny albo kobiety – a nie demonów.

Zawiazywała fartuch, kiedy usłyszała wołanie męża:

– Beo! Beatrice! Chodź tu, najdroższa, jeśli możesz!

Przeszła na korytarz, a Francis przywołał ją z ganku.

– Tam – powiedział, chwytając ją za ramię i wskazując na koniec podjazdu. – Czy to tę postać widziałaś wcześniej? Mówiłaś, że miał brązowy płaszcz, tak? Z kapturem, i kij? Z początku go nie zauważyłem, ale wtedy spośród drzew zerwała się kuropatwa. Czy on patrzy w naszą stronę, czy nie? Trudno powiedzieć.

Beatrice spojrzała tam, gdzie wskazywał Francis, i poprzez deszcz dopatrzyła się postaci w brązowym kapturze, którą widziała wcześniej.

– Tak – powiedziała. – To chyba ta sama osoba.

– Sprawdzę to – zdecydował Francis. – Jeżeli to jakiś włóczęga, dam mu kilka pensów i coś do jedzenia. Ale jeżeli to łajdak, przegonię pod groźbą wezwania konstabla. Może miałaś rację. Może to Anioł Śmierci, tym razem szukający duszy małego Tristrama.

– Francisie, nie. Zostaw go. Przecież może być uzbrojony.

– Nie boję się śmierci, Beo, obojętnie, jak śmierć się objawia. Czy to pod postacią rabusia, żebraka, czy anioła.

– Francisie... Proszę... Nie idź – powtarzała Beatrice, ale on delikatnie, lecz stanowczo oderwał się od niej. Postawiwszy kołnierz, ruszył żwawo ścieżką. Beatrice ogłuszył grzmot, który przetoczył się po niebie, jakby ktoś turlał puste beczki po wybrukowanej ulicy, i deszcz lunął jeszcze mocniej.

– Halo! – zawołał Francis, machając. – Hej, ty tam! Kim jesteś? Czego chcesz?

Nie był jednak nawet w połowie drogi, kiedy postać cofnęła się w cień między drzewami i znikła. Przyspieszył więc kroku, doszedł w miejsce, gdzie stała, i rozejrzał się, ale nawet z daleka Beatrice widziała, że zupełnie stracił z oczu przybysza.

Kimże on może być, zastanawiała się, gdy Francis w ulewie wracał do domu. Jeżeli to ktoś, kto chciał ich skrzywdzić, z pewnością już by ich zaatakował. Jeżeli po prostu oczekiwał jałmużny, przecież mógł zbliżyć się i poprosić. Ale kto dał jej butelkę kosztownych perfum? Czy to on? Czy może perfumy zostawił jakiś nieznany wielbiciel, który był zbyt nieśmiały, by wręczyć je osobiście, a może ktoś, kogo znała nazbyt dobrze? Przelotnie pomyślała o spojrzeniach Jonathana Shooksa, które jej zawsze rzucał – sceptyczne i znaczące, ale także uwodzicielskie, jakby myślał: Mógłbym cię mieć, ślicznotko, gdybym tylko zechciał.

– Hm... Ktokolwiek to był, gdzieś wsiąkł – stwierdził Francis, wycierając fularem wodę z twarzy. – Mam jednak przeczucie, że możesz być bardzo bliska prawdy, kiedy nazwałaś go Aniołem Śmierci.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Myślę, że to nie jest rzeczywista osoba, ale zjawia... Cień, duch, nazwij to, jak chcesz. Przybył jako omen albo ostrzeżenie, jak zatrzymany zegar, obraz, który spada ze ściany bez konkretnego powodu albo nagle zrywające się stado wron. Może tym właśnie były te wszystkie straszne wydarzenia... Ostrzeżeniami, że ludzie w tej społeczności powinni zachowywać się bardziej bogobojnie, a nie koncentrować się na bogactwie i wygodach.

– Nadal uważam, że powinieneś powiedzieć o tym konstablowi – odparła Beatrice. – I mógłbyś też wspomnieć wśród parafian, aby mieli oczy otwarte. To mógł być omen, ale równie dobrze złodziej albo natręt.

Francis ujął jej obie dłonie i pocałował ją w czoło.

– Jesteś taka praktyczna, Beo, a ja bujam w obłokach! Tego ranka, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, gdy wracałem z niedzielnych modlitw, nieomal słyszałem w głowie głos, który mówił: To jest ta jedyna, ta kobieta, którą poślubisz, to ona ugruntuje twoją wiarę i wypełni twoje życie. To kobieta pomoże ci wypełnić cel, dla którego Pan Bóg zesłał cię na ziemię.

Beatrice też go ucałowała. Wyglądał tak szczupło,

przystojnie i szlachetnie z długimi, ciemnymi włosami ociekającymi wodą. Woń ciepłego deszczu wpadała przez otwarte drzwi, ale słońce zaczęło już przedzierać się przez chmury. Tak, Francis mógł być oderwany od życia, ale kochała go za to. Jego wiara sprawiała, że zawsze czuła się chroniona, jakby otaczała ich oboje, a także Noego, opalizującym płaszczem światła.

Francis przekonał ją, że niebo istnieje. Czasami wracała myślą do tej zamarznętej dziewczynki, którą razem z ojcem znalazła w poranek Bożego Narodzenia w zaułku przy Giltspur Street. Francis dał jej pewność, że jej dusza jest pod opieką.



Nazajutrz rano Beatrice pojechała do miasteczka sama. Chciała zobaczyć, czy Apphia czuje się lepiej, a dodatkowo Francis poprosił ją, aby porozmawiała z Buckleyami o pogrzebie Tistrama. Kiedy jednak weszła do domu Buckleyów, zastała Judith w łóżku w salonie, a obok trzy lub cztery sąsiadki. Była blada jak ściana, a jedna z kobiet zawzięcie ją wachlowała.

– Judith, co się stało? – spytała Beatrice. – Jesteś chora?

– Zemdlała z przemęczenia – powiedziała pani Rust. – Nicholas wyszedł zeszłej nocy, bo, jak powiedział, miał pilne interesy, i do tej pory nie wrócił. Judith boi się, że poszedł do wdowy Belknap.

– Czy ktoś był dzisiaj rano u pani Belknap, żeby spytać, czy go widziała?

– Nie, ale myśli pani, że nam powie, nawet gdyby go widziała? Szczególnie jeśli go widziała!

– A jak się czuje Apphia? Cokolwiek lepiej?

– Trochę. Zjadła kleik i jak na razie z niej nie wyleciał, mamy więc nadzieję. Chyba miódunka pomogła jej oczyścić płuca.

Beatrice przeszła korytarzem do pokoju dzieci. Apphia spała, oddychając przez usta, ale policzki miała zarumienione, wyglądała bardziej zdrowo niż wczoraj, i ubrana była w czystą,

białą flanelową sukieneczkę założoną na pieluszkę, po której widać było, że jeszcze nie jest zabrudzona.

Wróciwszy do salonu, Beatrice zapytała Judith, dokąd jej zdaniem poszedł Nicholas zeszłej nocy, z jakim to pilnym interesem.

Judith rzucała na boki oczami, zupełnie jakby śniło jej się coś na jawie.

– Nie wiem. Nie wiem. Powiedział tylko, że musi to załatwić. Raz i na zawsze. To musiał zrobić. Załatwić to.

– Myślisz, że mógł pójść do wdowy Belknap?

– Poprzysiągł mi, że odda ją w ręce sprawiedliwości. Był pewien, że to przez nią bliźnięta zachorowały.

– Cóż, poczekajmy jeszcze na niego. Jeśli nie wróci do południa, możemy zebrać ludzi, żeby poszli go szukać.

Judith wzięła Beatrice za rękę. Jej dłonie były zadziwiająco zimne, zważywszy, jak ciepło było w domu.

– On nie żyje, prawda? – powiedziała. – Wiem to. Czuję to w środku. W nocy czułam chłód, kiedy leżałam w łóżku, jakby Anioł Śmierci przeszedł pod oknem, i od tamtej chwili nie mogę się ogrzać.

Beatrice usiadła na łóżku obok niej.

– Jesteś wymęczona, Judith, to wszystko. Od wielu dni nęka cię straszny niepokój. I niewiele spałaś. Biedny Tristram zmarł dopiero wczoraj. Nie dziwota, że masz złe myśli. Ale Nicholas niedługo wróci, zobaczysz. Dba o ciebie tak bardzo, że nie pozwoli ci się martwić.

– Ale dokąd on poszedł i dlaczego to tak długo trwa?

– Judith... Nasi mężowie nie zawsze mówią nam o swoich sprawach, prawda? I nie możemy tego od nich oczekiwać.

– On nie żyje – powiedziała Judith, nadal obrzucając pokój niespokojnym wzrokiem. – Wiem, że nie żyje.



Gdy Beatrice wyszła na dwór, zobaczyła konstabla Jewkesa siedzącego na wielkim pręgowanym koniu. Pochylał się do przodu w siodle i ściszone, choć ożywionym głosem rozmawiał z Williamem Rolfe'em i Thomasem Woodmanem, krawcem, jakby przekazywał jakąś skandaliczną plotkę. Jednak gdy tylko ją zobaczył, wyprostował się, uniósł kapelusz i zawołał:

– Dzień dobry, dobrodziejko Scarlet, miłego dnia!

Beatrice podeszła do niego. Konstabl był bardzo wysoki i szczupły, o ramionach i nogach, które wyglądały, jakby były oderwane od ludzkiego ciała i po prostu wrzucone w brudną, białą koszulę i zapyłony, niebieski, pospiesznie zapięty płaszcz, zanim zdążyły ponownie odpaść... Miał wydatny nos i szpiczastą brodę, co nadawało mu wygląd krogulca, szczególnie że zawsze miał oczy nabiegłe krwią od alkoholu.

– Słyszałem, że odwiedziła dobrodziejka wczoraj Gilmanów – powiedział. – Bardzo szokujące, w istocie. Bardzo! Dziwię się, że wytrzymał pani żołądek.

Konstabl Jewkes miał silny walijski akcent, przez co Beatrice z trudem go rozumiała, zwłaszcza gdy był pijany.

– Czy zorientował się pan, kto to mógł zrobić? – spytała.

– Mam pewne poważne podejrzenia, pani Scarlet, ale jadę teraz, żeby porozmawiać ze służbą i niewolnikami Gilmanów. Chcę się dowiedzieć, czy ktoś z nich zauważył kogoś obcego w okolicach farmy, zanim spłonęli ci biedacy.

– Cóż, dobrze. Ale z całym szacunkiem, powinien pan uważać, zanim dojdzie do zbyt pochopnych wniosków. Zdaje się, że w Sutton dzieje się coś więcej, niż my wszyscy możemy się domyślać.

– Och, nigdy się nie spieszę, dobrodziejko, zna mnie pani dobrze! Działam w sposób powolny i wyważony. Jeżeli sąd nakaże kogoś powiesić, zmiażdżyć albo spalić na stosie, wtedy wolę upewnić się, że właśnie ta osoba faktycznie popełniła ów występki.

Z całą pewnością, pomyślała Beatrice. Pięć lat temu trzy młode siostry w Haverhill powieszono za zabicie ojca siekierą. Nie wszyscy w Sutton o tym wiedzieli, ale ich los został

przypieczętowany świadectwem konstabla Jewkesa, chociaż był tak pijany, że ledwo mógł stać. Później odkryto, że morderstwo popełnił Indianin, gdy ojciec dziewcząt zaskoczył go podczas kradzieży.

Konstabl obrócił się do Williama Rolfe'a i Thomasa Woodmana i powiedział:

– Cóż, panowie, muszę ruszać! Sprawiedliwość nie czeka na nikogo, szczególnie na mnie. – Uniósł kapelusz przed Beatrice i cmoknął, by zachęcić konia do ruszenia.

Ujechał jednak niespełna dwadzieścia metrów, gdy w górnej części trawiastego placu pojawił się kolejny jeździec. Cwałował szybko i osadził konia tuż przez Jewkesem.

Beatrice poznała, że to John O'Dwyer, młody Irlandczyk, który terminował u Nathaniela Rowlandsona, rolnika i leśnika, po przeciwległej stronie posiadłości Henry'ego Menduma. Był to przysadzisty chłopak o rudych włosach i piegach od pracy na słońcu, a czoło zraszał mu obficie pot.

– Wszędzie konstabla szukam! Mówili, że jest pan na farmie Goodhue'a, ale nie, tu pan jest!

Beatrice słyszała w jego głosie zdenerwowanie, więc podeszła w ich stronę.

– John O'Dwyer, czy tak? – spytała go. – Coś się stało?

Jewkes obrócił się w siodle i spojrzał na nią z miną, która oznaczała: „To ja tu zadaję pytania, pani Scarlet, nie pani, mimo że jest żoną pastora”.

– Chodzi o pstrągi w stawie pana Rowlandsona! – wyrzucił z siebie chłopak. – Wszystkie wypłynęły na powierzchnię! Całymi setkami!

– Zdechły? – spytał posterunkowy.

– Niektóre, ale tylko kilka. Większość ciągle oddycha, ale wyglądają, jakby spały.

– Do diaska, o czym opowiadasz, chłopcze? Ryby nie śpią. Nie mają powiek, więc jak mogą spać?

– Wydaje się, że te śpią. Można je wyjąć ręką prosto z wody, a one wcale nie walczą.

Jewkes wydobyl z kieszeni zegarek.

– No, chłopcze, muszę jechać do Gilmanów z powodu tych spalonych niewolników, co według mnie jest ważniejsze od śniętych ryb. Zajrzę do twojego pana, jak skończę.

– Panie konstablu, jest jeszcze coś, co pan Rowlandson kazał mi powtórzyć.

– Ach, tak, a cóż to takiego?

– Na drewnianym pomoście nad stawem są odciski. Hm, to ślady kopyt, w zasadzie, jakby je zrobił osioł albo koza.

– Kopyt? – spytała Beatrice. – John, możesz opisać te ślady?
– Konstabl znowu rzucił jej spojrzenie, które oznaczało: „Zostaw to mnie, jeśli łaska, pani Scarlet. Ja reprezentuję prawo w Sutton”.

– Nie wiem, proszę pani – odparł John O’Dryer. – Są brązowe i silnie pachną, kleją się, to wszystko. Pan Rowlandson powiedział, żeby ich nie dotykać, bo mógł je zrobić sam diabeł.

– Chyba muszę tam pójść i przyjrzeć się im – postanowiła Beatrice.

– Tylko niech pani ich nie dotyka, zanim się tam nie zjawię – przestrzegł Jewkes. – Diabeł może podchodzić pod waszą jurysdykcję, pani Scarlet, albo przynajmniej paninego męża, ale wszyscy inni winowajcy są pod moją.

Nerwowo strzelił batem konia po zadzie i ruszył na farmę Gilmanów. John O’Dwyer poczekał na Beatrice, która wróciła do dwukółki. A potem jechał obok niej, gdy opuściła osadę i skierowała się ku Rowlandsonom.

– Ile ci jeszcze zostało do końca terminu, John? – zapytała go, unosząc głos, aby ją usłyszał ponad łoskotem kół i trzeszczeniem skórzanej uprząży.

– Jeszcze dwa lata, siedem miesięcy i trzy dni – odpowiedział chłopak.

– Wygląda na to, że z twojej strony patrząc, to całkiem sporo.

– Pan Rowlandson spodziewa się, że jego pieniądze będą warte mojej pracy, psze pani, tyle tylko powiem.

Beatrice jechała drogą prowadzącą między płotami na farmę Rowlandsonów. Pola wokół domów, obór i przybudówek

pomalowanych na czerwono obsadzono głównie kukurydzą, która była wysoka, wąsata i już prawie gotowa do zbioru. Ciepły wiatr wiał ponad nią, więc po obu stronach drogi pola falowały złościście.

Beatrice jechała za Johnem O'Dwyerem skrajem pól, aż przeszły w karłowatą trawę i kamienie, a wtedy zobaczyła mieniący się przed nimi staw. Kiedy się zbliżyli, spostrzegła, że jest prawie tak szeroki jak jezioro, a dookoła niego znajduje się kilka mniejszych stawów. W odległym krańcu rósł las, złożony głównie z iglaków, żółtych brzoź i klonów cukrowych. Były tam też wysokie sosny, ale zarezerwowane dla marynarki Króla Jego Wysokości. Drzewa odbijały się na powierzchni wody, jakby rósł tam kolejny las, do góry nogami, pod ich stopami, z odwróconym niebem i chmurami.

Nad stawem znajdował się długi, drewniany pomost, do którego przywiązana była łódka. Przy niej stał Nathaniel Rowlandson z trzema parobkami. Był niskim, przysadzistym mężczyzną w kasztanowej, szorstkiej peruce, z twarzą skundlonego boston teriera i wyłupiastymi oczami. Kiedy się odwrócił, zauważył zbliżających się Beatrice i Johna, jedną ręką osłaniając oczy przed słońcem. Beatrice zatrzymała dwukółkę, a jeden z robotników podszedł i chwycił Uriela z uzdę.

– Pani Scarlet! – warknął Nathaniel Rowlandson, najwyraźniej zaskoczony jej widokiem, po czym dodał: – John... Gdzie konstabl?

– Musiał zająć się Gilmanami, psze pana, przez tych czterech niewolników, co to się spalili – wyjaśnił John. – Powiedział, że zaraz potem tu przyjedzie.

– Chciałbym wiedzieć, która sprawa jest bardziej nagląca – rzucił Nathaniel Rowlandson. – Niewolnicy Gilmana nie żyją i nic ich nie wskrzesi, a patrzcie na moje pstrągi! Jeszcze żyją, w większości, a kto wie, co im wyrządzono i ile jeszcze pożyją?

To rzekłszy, odwrócił się do Beatrice i skłonił się, mówiąc niezbyt chętnie:

– Witam dobrodziejkę. Ufam, że zdrowie sprzyja. Mogę spytać, co panią tu sprowadza?

– Wielebny Scarlet zajmuje się w tej chwili innymi sprawami – odparła Beatrice. – Przyjechałam tu w jego zastępstwie, aby zobaczyć, czy potrzeba posługi duszpasterza.

– Chce dobrodziejka powiedzieć, że przyjechała sprawdzić, czy to też dzieło szatana... Jak w przypadku waszych świń, krasul Menduma, bliźniąt Buckleyów i niewolników Gilmana?

– Cóż, tak, to też, prawdę mówiąc. W świetle tego, co się działo ostatnio, pastor oczywiście musi wiedzieć, czy pańskie ryby spotkało jakieś naturalne nieszczęście, czy ktoś je celowo zatrul.

– Och, oczywiście, ktoś je zatrul albo rzucił na nie klątwę, co bardziej prawdopodobne, a my wszyscy wiemy, co to za „ktoś!”. Im prędzej znajdziemy dowody przeciw tej wdowie, tym lepiej. Jakbyśmy już nie dosyć wiedzieli z tego, jak ona na nas patrzy i mówi o nas, jak rozmawia z tym diabelnym ptakiem i śpiewa kozłowi!

– A mogę spojrzeć na pańskie ryby? – spytała Beatrice. Zamilkła, a potem dodała: – Proszę.

– Nie mam pojęcia, co to ma niby dać – odrzekł Nathaniel Rowlandson i z niechęcią poprowadził ją na pomost. Na powierzchni unosiły się setki lśniących, brązowych pstrągów, nadal otwierając skrzela i słabo machając ogonami.

– Proszę, pokażę pani – powiedział Rowlandson i stękając z wysiłku, ukląkł na pomoście, aby sięgnąć do wody. Chwycił jednego pstrąga. Choć ryba słabowicie próbowała się wyrwać mu z ręki, to najwyraźniej nie miała siły, jakby była zatruta.

Beatrice wyciągnęła rękę.

– Mogę ją wziąć? – spytała.

– A w jakim celu? – zdziwił się pan Rowlandson. – Zapyta ją dobrodziejka, kto rzucił czar? Sam bym to zrobił, gdybym tylko umiał gadać po rybiemu.

Mimo tych słów położył śliskiego pstrąga na jej dłoniach. Teraz, całkowicie wyjęty z wody, jeszcze łapczywiej chwycił powietrze, ale z trudem wyginał ciało czy machał ogonem. Przypominał jej kielbie, które czasami leżały w mule na

brzegach Tamizy, oszołomione wybielaczami z londyńskich przybrzeżnych pralni.

Pstrąg, poza tym, że był słaby, miał srebrną łuskę i wydawał się zdrowy, więc domyślała się, że wpłynęła na niego jakaś substancja dodana do wody w stawie, a nie choroba. Mógł to być olejek z powoju, pomyślała, który jej ojciec sprzedawał wędkarzom, aby wabili i ogłupiali ryby, a także szczurołapom, aby zwabić gryzonie do worka, który potem wiązali i wrzucali do rzeki. A może to *Cocculus indicus*, azjatyckie pnącze, używane przez niemoralnych wędkarzy do ogłupiania ryb i przez pozbawionych skrupułów browarników, aby ich słabe piwo bardziej uderzało do głowy.

– I? – spytał Nathaniel Rowlandson. – Co pstrąg pani rzecze? Czy wypowiedział nazwisko Belknap?

Beatrice oddała mu rybę, a Nathaniel Rowlandson wrzucił ją z pluskiem do wody.

– Pstrąg okazał się całkiem pomocny, prawdę mówiąc – powiedziała. – Może mi pan pokazać ślady kopyt?

Rowlandson wydał policzki.

– Co do tego nie jestem pewien, pani Scarlet. Może lepiej poczekamy na pani męża i na konstabla? Jeżeli prawo zostało złamane, boskie albo ludzkie, są w końcu osoby wyznaczone, by zająć się tymi rzeczami.

– Zapewniam, że niczego nie dotknę – odparła Beatrice. – Tylko spojrzę, żeby porównać ze śladami na farmie Menduma.

– Cóż... W takim razie dobrze – zgodził się Rowlandson. Przeszedł około dziesięciu metrów dalej pomostem, zatrzymał się i wskazał deski pod stopami. – Zaczynają się tu i biegną aż do samego końca. Widzi pani? Cokolwiek je zrobiło... Czy to człowiek, czy zwierzę, albo może sam szatan... Zbiegają z pomostu wprost do wody. – Zawahał się chwilę, a potem dodał: – A może one w ogóle nie wchodzą do wody. Może to coś miało skrzydła i wzleciało w powietrze. Albo pobiegło po powierzchni na drugi brzeg i do lasu.

– A co według pana to coś zrobiło? – spytała Beatrice.

– Nie wiem, dobrodziejko. Tylko tego jestem pewien. Każda

z tych możliwości napawa mnie strachem, mówię pani. Wie pani, o czym myślę? Myślę, że gdybym przypadkiem był tu wtedy, to stanąłbym twarzą w twarz z szatanem. Aż cały drzę na tę myśl.

Beatrice spojrzała na odciski kopyt, które biegły od środka pomostu do jego końca. Uznała to za dziwne, że zaczynają się w połowie, jakby stworzenie, które je zostawiło, spadło z nieba, pobiegło do końca pomostu, a potem albo skoczyło do wody, albo wzleciało w powietrze. Jak mówił Rowlandson, jedyną alternatywą jest pójście po wodzie, jak Jezus, kiedy uratował uczniów na Jeziorze Tyberiadzkim. Ta myśl była nie tylko błuźniercza, ale też bardzo przerażająca.

Odciski kopyt najwyraźniej były zrobione tą samą lepką substancją co te na farmie Henry'ego Menduma oraz dwa odwrócone krzyże namazane na ścianach u Buckleyów i Gilmanów. Beatrice jednak zdziwiła się bardzo, biegły bowiem w idealnie prostej linii, a lewe i prawe odciski były całkowicie równoległe, przez cały odcinek aż do końca pomostu, w około metrowym rozstawie.

Miały kształt racic, jak u kozła, a jednak najwyraźniej zrobiła je istota dwunożna. Koza zostawiłaby odciski parami, z tylnymi kopytami nieco przed przednimi, a te odciski zostały zrobione osobno, jakby szedł człowiek.

Jeszcze ciekawsze było to, jak równo były odcisnięte. Jeżeli owa istota wzbilaby się w powietrze z końca pomostu, z pewnością odciski byłyby ustawione bliżej siebie, zanim zaczęła machać skrzydłami. Tak samo byłoby, gdyby skoczyła do wody... Lub na wodę, jeżeli potrafiła chodzić po powierzchni. Lustro wody znajdowało się przynajmniej pół metra poniżej pomostu i Beatrice nie wyobrażała sobie, aby ktoś po prostu zbiegł z pomostu, nie zmieniając tempa.

– I? – spytał Rowlandson. – Co pani widzi?

– Widzę wiele, dziękuję, panie Rowlandson.

– A mianowicie?

– Przepraszam, ale nie ma większego sensu mówić o tym teraz. Sama jeszcze nie przemyślałam wszystkiego do końca,

a jestem całkiem pewna, że pan też się nie połapie.

– Och, rozumiem. Dziękuję za komplement.

– Kiedy lepiej się zorientuję w tym, co mogło się wydarzyć, na pewno panu wyjaśnię, proszę się nie obawiać.

– Hm, dziękuję i za to, dobrodziejko, chociaż dziwię się mocno, że pastor pozwala swojej żonie na taką impertynencję.

Beatrice odwróciła się do niego.

– Żona może być stanowcza, miły panie, a nie od razu nieposłuszna. Czasami żona ma obowiązek wobec męża, aby wyrazić własne myśli.

Nathaniel Rowlandson stęknął ponownie, jakby rzeczywiście nie rozumiał, o co jej chodzi, a jeśli rozumiał, to wcale a wcale mu się to nie spodobało. Jego żona, Emily, była najcichszą kobietą w Sutton i często potrzebowała kokoryczki na siniaki.

– Wobec tego czy widziała pani dosyć? – spytał ją podejrzliwie. – Może teraz zanieś dobrodziejka słowo do pastora i zobaczy, co on o tym wszystkim myśli.

– Pójdę i powiem mu o tym niezwłocznie, panie Rowlandson.

– To dobrze. Jeżeli to sztuczki szatana, potrzebna mi będzie rada pastora, jak mam chronić mój dobytek przed dalszą grabieżą, prawda? Chyba że pani sama już wie lepiej.

– Nie chcę być nieuprzejma. Proszę tak nie myśleć.

– Hm! A to dobre.

Nathaniel Rowlandson tak niecierpliwie oczekiwał jej odjazdu, że trudno jej będzie zebrać próbki odcisków, jak to uczyniła na polu Menduma. Zrobiła krok w bok, tak że jej suknia zakryła jeden z odcisków, i dwa lub trzy razy nastąpiła na niego obcasem przez rąbek halki w nadziei, że część smolistej substancji przyklei się do materiału.

Następnie poszła za Rowlandsonem z powrotem po pomoście. Kiedy jednak dotarła do stopni na końcu, zauważyła, że wąski kanał wody między słupami a stromym trawiastym brzegiem jest wypełniony gęstą, białawą pianą. Przypomniała sobie ryby zatrute przez pralnie nad Tamizą, a tu była masa bąbli, które wyglądały jak mydliny.

– Idzie pani?! – zawołał Nathaniel Rowlandson. – Czeka mnie

dzisiaj wiele roboty!

– Tak, oczywiście – odparła Beatrice i podeszła szybko do swojej dwukółki. Weszła na siedzenie i ujęła lejce, ale zanim odjechała, Rowlandson chwycił uprząż i spojrzał na Beatrice, mrużąc oczy przed słońcem.

– Powiem jedno, pani Scarlet, gdyby pani była moją żoną, kilka pasów szybko wyleczyłoby panią z bezczelności.

Uśmiechnęła się do niego.

– Gdybym zdecydowała się zostać pana żoną, chyba zasłużyłabym na nie za własną głupotę.

Rozdział 23

Kiedy wróciła do domu, natychmiast pobiegła na górę i zdjęła halkę. Okazało się, że udało jej się odcisnąć niemal połowę śladu kopyta, który poplamiał na brązowo kremowe płótno. Powąchała je – pachniało dokładnie tak samo jak smolista substancja zebrana na pastwisku Henry’ego Menduma: smoła węglowa, piżmo cywety, siarka i coś słodkiego, jak melasa albo syrop klonowy.

Żałowała, że nie wzięła próbki gęstej, białej piany spod pomostu. Była tak podobna do mydlin, ale skąd się tam wzięła? Zastanawiała się, czy któraś ze służących Rowlandsonów nie wylała mydlin po praniu do stawu, ale to nie wydawało się prawdopodobne, skoro potok Talbot przepływał tak blisko domu. A nawet jeśli by wylała, to chyba samo mydło aż tak gwałtownie nie wprowadziłoby pstrągów w śpiączkę.

Włożyła czystą halkę i zawiązała tasiemki, a potem zeszła na dół. Była spóźniona z pracami domowymi, chociaż Mary już i tak dużo zrobiła. Czekają ją przynajmniej dwie godziny wyteżonej pracy: uszyć koszule i fulary dla Francisa, pocerować pończochy. Potem musiała wyprasować fartuszki i pościel, a także zrobić dżem śliwkowy, z czym już spóźniała się o tydzień. Miała fasolę i szparagi do zaprawienia w kamiennych słojach zalanych klarowanym masłem. Musiała wszystkie te prace skończyć dzisiaj, ponieważ jutro rano mieli z Francisem jechać do Londonderry kupić sześć świń. Ani się obejrzy, a przyjdzie jesień i będzie musiała zasolić i uwędzić bekon, a potem zmagazynować w beczkach na zimę.

Kiedy weszła do kuchni, zastała tam Caleba, który pił cydr z kubka. Był tak zgrzany, że koszula mu się lepiła do ciała i czuć go było potem.

– Przywiozłem z miasteczka wszystko, o co pani prosiła. Mąkę, ocet, świece i półtuszę wołową.

– Dziękuję. Masz jakieś wieści o Nicholasie Buckleyu?

– Nie, żadnych... Tylko że jeszcze nie wrócił do domu. Widziałem też panią Buckley. Jest niemal oszalała z rozpaczy. Powiedziała, że konstabl Jewkes chce wysłać ludzi, aby go poszukali, ale oni nawet nie wiedzą, skąd zacząć. Odwiedzili już wdowę Belknap, ona jednak twierdzi, że na oczy go nie widziała, ale pewno kłamie.

– A kto ostatni go widział?

– Kowal, pan Bartlett. Tak mi powiedziała pani Buckley. Wyprowadzał konia z kuźni po podkuciu i zobaczył pana Buckleya, jak wychodzi z domu i idzie szybko w stronę chaty wdowy Belknap. Pomachał do niego, ale pan Buckley nie zareagował. Jednak kowal nie widział, żeby podszedł do drzwi wdowy. Równie dobrze mógł minąć jej dom i pójść dalej.

– To naprawdę dziwne. Nicholas Buckley zazwyczaj był bardzo rozważny. Nie wyobrażam sobie, aby pozwolił, by Judith tak się martwiła z jego powodu.

– Nie wiem, psze pani. Dobrodziejka wie przecież, że ostatnio w Sutton dzieją się dziwne rzeczy. Może to kolejna z nich.

– Tak, możliwe – odparła Beatrice. – A przy okazji, jak się czuje mała Apphia?

– O wiele lepiej. Pani Buckley kazała jeszcze raz pani podziękować za odwal, jaki pani jej dała.

– Od-war, Calebie.

– Tak, psze pani. Jak pani sobie życzy.



Zanim młody John Jenkins odwiózł Francisa wieczorem do domu, zrobiło się ciemno i zbyt późno, by mógł jeszcze pojechać

na farmę Rowlandsona. Kiedy Beatrice wyszła na ganek, aby go przywitać, na wschodniej części nieba zobaczyła trzy spadające gwiazdy. Zastanowiła się, czy to omen.

Po południu ugotowała kurczaka z cebulą w śmietanie i podała w kuchni na dużych niebieskich misach. Francis przesiedział większość popołudnia z panią Jenkins, która żegnała się ze światem, a po powrocie do domu wydał się Beatrice wymizerowany i zrezygnowany. Położyła dłoń na jego ręce.

– Jak myślisz, co zaszkodziło tym rybom? – spytał ją słabym głosem, jakby tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć.

– Francis, nie jestem do końca pewna. Na powierzchni stawu była biała piana, jednak nie wiem, co ją mogło wywołać. Ale jednego jestem praktycznie pewna. Te odciski to jakaś sztuczka człowieka... nie zrobiło ich żadne nieziemskie stworzenie.

Francis nic nie powiedział, ale oderwał kawałek chleba i zamoczył go w sosie, czekając, aż Beatrice będzie mówić dalej.

– Ta substancja, którą je zrobiono, jest pochodzenia naturalnego. Zawiera piżmo cywety, które bierze się z gruczołów tych zwierząt. Na naszej ulicy w Londynie była perfumeria i tam używano tego do wyrobu perfum.

– Mów dalej.

– Sądząc po zapachu, odciski kopyt i dwa krzyże to mieszanka smoły węglowej, goździków, piżma cywety, siarki i prawdopodobnie melasy. Sądzę, że celowo to wymieszano tak, aby pachniało, jakby wzięło się z piekła.

– Ale... Beo... – zaproponował się Francis – Nawet jeżeli nie wydalili tego demon, czy mimo to nie mogło powstać w świecie cieni?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeżeli ty lub ja przejdziemy przez błoto, to zostawimy na podłodze błotniste ślady, prawda? Jeżeli demon stapał przez piekielne odmęty, zanim wszedł do naszego świata, to czy jego kopyta nie zostawią śladów po tym, co zalega w piekle? Pamiętaj, że kiedy szatana strącono z nieba, wpadł do jeziora płonącej siarki, a gdzie indziej miałyby znajdować się to jezioro,

jak nie w piekle? A jaki jest cel perfum, jeśli nie wzbudzanie pożądania?

– Francisie, te odciski były zbyt równo rozstawione, aby zostawiło je jakieś stworzenie. Każdy był w odległości równo metra, bez śladu jakiegokolwiek wahania.

– Tak, Beo, ale nie mówimy tu o koniu czy kozie. Mówimy o demonie, a kto wie, jak biega demon?

Beatrice znowu ujęła jego dłoń i ścisnęła.

– Dlaczego jesteś tak uparty w przypisywaniu wszystkich tych zdarzeń szatanowi? Czy nie jest o wiele bardziej prawdopodobne, że to ktoś z naszej społeczności dopuścił się tych kłowań?

– To musi być szatan, Beo, jego motywy bowiem są tak oczywiste! Chce wywłaszczyć nas z gospodarstw i ziemi, żebyśmy opuścili New Hampshire i zabrali z sobą naszą wiarę. Chce odzyskać te ziemie dla pogan. Ale z tym... z tym mogę walczyć modlitwą i z pomocą Boga.

– Przypuśćmy jednak, że to nie dzieło szatana. Przypuśćmy, że to zrobił ktoś z miasteczka?

– Dlaczego ktoś z naszej osady miałby popełnić takie straszne czyny? Czego mógłby chcieć? Już nawet zaczynam wątpić, że wdowa Belknap jest w to w jakikolwiek sposób wplątana. Z pewnością nie może czuć się tak urażona, żeby zamordować niemowlę i palić żywcem ludzi?

Beatrice nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy w życiu nie czuła się tak rozdarta. Była oddana Francisowi i bezwarunkowo wierzyła w Boga, ale nie mogła ignorować tego, co sama ujrzała na własne oczy. Jej ojciec zawsze mawiał: Bóg dał ci oczy, abyś obserwowała, i nos, abyś wąchała, i język, abyś smakowała. Zaufaj zmysłom, które ofiarował ci Bóg, bo zawsze powiedzą ci prawdę.



Beatrice przebrała się w koszulę nocną, weszła do pokoiku Noego, stanęła nad jego łóżeczkiem i patrzyła, jak śpi. Mój jedyny skarb, moje dziecko, pomyślała. Jeżeli krąży tu demon, to niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Nadal tam stała, gdy wszedł Francis i objął ją ramieniem, a potem pocałował w policzek.

– Jutro z rana pojedę do Nathaniela Rowlandsona – powiedział. – Jeżeli chcesz, zabiorę cię do miasteczka, żebyś odwiedziła Judith Buckley. Może mogłabyś pójść do domu modlitwy i sprawdzić, czy Peter Duston skończył stawiać ławę z tyłu?

– A co z kupnem nowych świń?

– Po tym wszystkim powinniśmy znaleźć czas na wyjazd do Londonberry. Jeśli nie, to pojedziemy w piątek. Muszę koniecznie zobaczyć, co się dzieje z rybami Nathaniela. Mam co do nich złe przeczucia. Jedyna nadzieja, że się mylę, ale wydaje mi się, że to rozmyślna drwina z nakarmienia pięciu tysięcy. Zamiast nakarmić pięć tysięcy ludzi, pięć tysięcy ryb umiera, a może już umarło.

– Francisie, nie daj się ponosić wyobraźni.

– Staram się, najdroższa, ale wszystko, co się tutaj dzieje, jest jakąś trawestacją wiary chrześcijańskiej. Świnie z komunią diabła, krowy Henry’ego ułożone w pentagram, i tych trzech niewolników wiszących, jakby zostali ukrzyżowani.



Było jeszcze ciemno, kiedy Beatrice obudziła się następnego ranka. Usiadła i zobaczyła, że Francis już wstał i ubiera się.

– Dobrze spałeś? – spytała go.

– Tak sobie – odparł. Słysząc było, że ma zapchany nos. – Niewiele, szczerze mówiąc. Prawie wcale. To wszystko jest tak niepokojące.

W kuchni Beatrice naląła im po kubku cydru i grubo posmarowała masłem bułeczki. Prawie wcale nie rozmawiali,

gdy jedli i pili, a Francis nieustannie bębnił palcami w stół.

Zanim skończyli śniadanie, zaczęło świtać i zjawiała się Mary, aby zaopiekować się Noem. Scarletowie wsiedli do dwukółki zaraz po szóstej i skierowali się w stronę osady. Trawa połyskiwała od rosy, ale było już ciepło i Beatrice czuła, że później zrobi się bardzo gorąco.

Francis zatrzymał się przed domem Buckleyów, aby zostawić żonę. W tym momencie z drzwi wyszła Judith z dywanikiem do wytrzepania.

– Dzień dobry, Judith! – zawołał do niej Francis. – Masz wieści o Nicholasie?

Kobieta pokręciła głową.

– Muszę jechać na farmę Rowlandsonów – powiedział. – Później tu zajadę i zobaczymy, co da się zrobić, żeby zebrać ludzi i go poszukać. Wiem, że posterunkowy rozmawiał z tobą o tym.

– Phi! – parsknęła Judith, zwracając się do Beatrice z nieskrywaną goryczą. – Jewkes potrafi jedynie znaleźć korek od gąsiora z winem.

Uriel szarpnął do przodu i Francis nieomal stracił równowagę. Wiejskie koryto z wodą było oddalone zaledwie o pięć metrów, a Uriel był spocony i pewnie chciało mu się pić. Francis pozwolił mu podejść do niego, ale gdy koń się tam znalazł, nagle uniósł łeb i parsknął.

– No, dalej! – zachęcał go pastor. – Jednak nie chcesz się napić?

Lecz koń nie tylko odwracał łeb, ale też zaczął się wycofywać od koryta, popychając dwukółkę, aż skreśliła i uderzyła kołami w wysuszone na skorupę błoto na skraju łąki.

– Uriel! Spokój, chłopie! Spokój! Co się z tobą dzieje?

Francis pociągnął za lejce, aby opanować rumaka, a potem podniósł się z siedzenia i spojrzał w stronę koryta, aby zobaczyć, co mogło tak bardzo zaniepokoić zwierzę.

– Coś tam jest – stwierdził.

– Co? – spytała Beatrice. – Co tam jest?

Uniosła rąbek sukni i podeszła do koryta. Było wykute

z miejscowego szorstkiego granitu, miało przynajmniej trzy metry długości i ponad metr szerokości, a na jednym jego końcu zamontowano pompę. Jeszcze zanim do niego doszła, zauważyła, że jest tam coś więcej niż tylko woda. Wyglądało, jakby ktoś nappełnił je patykami i szarymi szmatami.

Dopiero gdy się zbliżyła, zrozumiała, co leży w środku, ale nawet po dłuższej chwili nie była w stanie opanować szoku. Koryto było prawie pełne, ale nie wody. Wypełniał je bladożółty, pieniaący się płyn, z którego unosiły się piekące oczy opary. Zawartość koryta miała kolor cydru podczas fermentacji i wydawała taki sam syczący dźwięk, ale kiedy Beatrice zaciągnęła się gazem, zapiekł ją w zatoki i głęboko w gardle, aż zakaszła.

W końcu koryta unosiła się ludzka czaszka bez oczu i w większości bez ciała, poza kilkoma przypadkowymi kępkami długich kasztanowych włosów. Uśmiechała się, jakby właśnie usłyszała jakiś makabryczny żart. Obok niej sterczała koścista klatka piersiowa, odziana w przemoczone strzępy płóciennej koszuli. Poniżej Beatrice ujrzała zanurzone do połowy kości miednicy, niczym białe naczynie, w którym gotowały się wnętrzności ofiary, bulgoczące, blade jak owsianka. Dwie kości udowe były nadal połączone ścięgnami i resztkami mięśni z miednicą, chociaż golenie już nie były przytwierdzone do kolan. Z drugiego krańca koryta pod kątem prostym sterczały dwa buty rozpuszczone do połowy, każdy ozdobiony srebrną sprzączką.

– Beatrice! Beo?

Francis wysiadł z dwukółki. Jakiś chłopiec biegł przez łąkę, turlając obręcz, i wielebny przywołał go, aby przytrzymał Uriela za lejce. Potem podszedł do żony, stojącej przy końskim wodopoju.

– Wielkie nieba – wyszeptał, przyciskając dłoń do ust. – To człowiek, prawda? Człowiek!

– Nie stój zbyt blisko – przestrzegła go Beatrice, chwytając męża za rękaw i odciągając do tyłu. – To nie jest woda. Jestem

pewna, że to skoncentrowany wotriol. Jeżeli odetchniesz nim, może ci wypalić płuca, i nie da się tego uleczyć.

– On się rozpuścił – wymamrotał Francis. – Spójrz na niego, naprawdę się rozpuścił!

– Tak właśnie działa wotriol – potwierdziła Beatrice. Trudno jej było złapać oddech i głos jej się trząsał. – Patrz... Widzisz, jakie ma jasne sprzączki butów! Jubilerzy używają kwasu siarkowego do czyszczenia srebra.

Francis przyjrzał się sprzączkom.

– O, Boże! – wykrzyknął. – To buty Nicholasa. Rozpoznałbym je wszędzie. – Szybko obrócił się, żeby sprawdzić, czy Judith podchodzi. Rzeczywiście szła w ich stronę.

– Judith! – powiedział, stając przed nią i rozkładając szeroko ramiona. – Nie powinnaś tego oglądać.

– Dlaczego nie? – dopytywała się, próbując go obejść. – Co to takiego?

Beatrice też do niej podeszła.

– Myślmy, że to może być Nicholas.

– Co, utopił się? Utopił w korycie dla koni? Chcę go zobaczyć! Jak można się utopić w korycie?

– To gorsze od utopienia – dodała Beatrice. – Francis ma rację. Naprawdę nie powinnaś tego oglądać. Nie chcesz pamiętać tego przez resztę swych dni.

– Nie jestem dzieckiem! – ucięła Judith. Ominęła ich oboje i podeszła wprost do koryta.

Nastąpiła długa cisza, kiedy po prostu tam stała, z rękami zwieszonymi bezwładnie wzdłuż boków, i wpatrywała się w środek koryta. Potem, stopniowo, z cichym jęknięciem, jakby powietrze z niej uchodziło, osunęła się na kolana i pochyliła głowę. Beatrice podeszła do niej i położyła ręce na jej ramionach.

– Co mu się stało? – zapytała Judith. Opary kwasu drażniły gardło, więc jej głos był zachrypnięty. Odwróciła się, spojrzała na Beatrice i powtórzyła: – Co mu się stało?

– Judith... To zbyt okropne, aby opisać słowami.

– Powiedz mi! Co mu się stało?

Beatrice wzięła głęboki oddech.

– Wygląda na to, że ktoś wrzucił Nicholasa do skoncentrowanego wotriolu. To bardzo żrąca substancja i może rozpuścić prawie wszystko, co nie jest metalem.

– Żywcem? – dopytywała Judith. – Zrobili to, jak jeszcze żył?

– Tego nie sposób powiedzieć. Miejmy nadzieję, że nie.

Judith wyciągnęła rękę i Beatrice pomogła jej wstać. Nie patrzyła już na koryto, ale wskazała wyciągniętym drżącym palcem ku domowi wdowy Belknap.

– To ona, tak? Ona to zrobiła!

– Judith, nie wiemy, kto to zrobił, jeszcze nie!

– To ona! To musiała być ona! – Judith wydobywała z siebie chropowaty, pozbawiony tchu skowyt. – Kiedy Nicholas poszedł ją oskarżyć o zabicie naszego biednego Tristrama... Co mu powiedziała? Powiedziała, że zamieni go w rosół, tak? Ugotuje jego kości i zamieni w zupę! I to właśnie zrobiła, czarownica! Trzeba ją zaraz zamknąć! Trzeba ją spalić!

– Judith, musisz sama sobie zadać pytanie, jak kobieta w pojedynkę mogła tego dokonać.

– A kto mówi, że nie miała pomocy? Miała szatana do pomocy albo demona, albo jednego z jej znajomków! Kto wie, w co zamienia się po zmroku to jej czarne ptaszysko? Pewnie w czarnego jak cień człowieka! To czarownica! Umie rzucać złe czary!

– Zaprowadzę cię do domu – zdecydowała Beatrice. – Musisz usiąść i uspokoić się. Francis wezwie konstabla. Prawda, Francisie? I musimy znaleźć sposób, aby usunąć te szczątki.

Beatrice próbowała zachować spokój i opanowanie, ale kiedy spojrzała na ciało Nicholasa Buckleya rozpuszczające się w końskim korycie, ścisnęło ją w żołądku i do ust naszła jej żółć. Judith miała rację: ktokolwiek jest winny zabójstwa Nicholasa, szatan albo grzesznik, rzeczywiście zamienił go w rosół.

Kiedy poprowadziła Judith z powrotem do domu, obejmując ją ramieniem, usłyszała koła powozu. Spojrzała na wiejską łąkę i zobaczyła kaleszę Shooksa przejeżdżającą obok

z podniesionym dachem. Zmierzała w stronę Penacook, bo tam Jonathan Shooks mieszkał, ale ta sama droga prowadziła też na farmę Nathaniela Rowlandsona.

Rozdział 24

Przybył konstabl Jewkes. Mimo bardzo wczesnej pory mocno było czuć od niego winem, a kiedy zobaczył szczątki Nicholasa Buckleya w korycie, natychmiast zwymiotował na trawę.

Po jakimś czasie wszedł do salonu, gdzie Judith siedziała z Appią na kolanach, ale nawet wtedy pociągał nosem i wycierał usta fularem. Beatrice siedziała blisko Judith; obiecała zostać z nią, aby ją wspierać, jak długo będzie trzeba. Zakup nowych świń może poczekać do jutra albo nawet do pojutrze.

– Jakież bezbożne rzeczy spadły na paninego męża, pani Buckley? – wybełkotał konstabl. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego! Wygląda jak łódź rozbita przez sztorm, a nie człowiek!

– Panie konstablu, proszę o trochę współczucia – odezwała się Beatrice. – Pani Buckley go widziała.

– Ależ on jest w stanie ciekłym!

– Niestety, niech Bóg ma w opiece jego duszę. Ktoś wrzucił go do witriolu albo oblał go nim. Czy żył, kiedy do tego doszło, nigdy się nie dowiemy.

Jewkes przypomniał sobie, że nadal ma kapelusz na głowie, więc szybko go zdjął.

– Przepraszam – powiedział, wpychając go pod pachę. – Tak bardzo mnie zaskoczył stan pani męża, to wszystko. Współczuję pani bardzo.

Stał w drzwiach przez chwilę, lekko się kołysząc, a potem dodał:

– Zdaje się, że oskarżała pani wdowę Belknap o jego śmierć, a ja właśnie w tej sprawie przyjechałem.

– A kto inny mógł to zrobić? – odpowiedziała pytaniem Judith ze łzami w oczach, oskarżycielsko unosząc brodę. – Nikt inny w osadzie nie żywił urazy wobec Nicholasa, tylko ona. Powiedział mi, że groziła mu, że go ugotuje i zamieni w rosół. To dokładnie jej słowa, i to wypowiedziane przy świadkach. Z całą pewnością tylko ona ma wiedzę i środki, aby popełnić taki czyn. To czarownica, panie konstablu, i trzeba ją sądzić za czary, i skazać zgodnie z prawem.

– Bardzo dobrze, pani Buckley – odparł posterunkowy Jewkes. – Skoro pani złożyła formalne oskarżenie i są świadkowie jej gróźb, zatrzymam ją. Najwyższy czas, żeby areszt się przewietrzył.

Odwrócił się i niepewnym krokiem przeszedł korytarzem, potknął się o próg i ratując się przed upadkiem, chwycił się klamki.

Beatrice wstała.

– Chyba też lepiej pójde. Nie chcemy, żeby zrobiło się z tego przedstawienie.

– Naprawdę wierzysz, że to wdowa Belknap zabiła Nicholasa? – zapytała ją Judith.

– O tym zdecyduje sąd, moja droga. Ale rzeczywiście groziła mu, zgadzam się. Byłam przy tym i słyszałam.

Wyszła z domu Buckleyów i szybko podążyła za Jewkesem. Francis stał jeszcze przy korycie, a Rodney Bartlett pompował do zbiornika wodę, obwiązawszy sobie mocno nos i usta czerwoną chustą, żeby nie wdychać oparów. To Beatrice zasugerowała, aby rozcieńczyć witriol, żeby można było bezpiecznie wyciągnąć szczątki Nicholasa. Kwas i woda wylewały się bokami, ale niestety, razem z fragmentami ubrania i ludzkich tkanek.

Czterech lub pięciu mężczyzn zebrało się w pobliżu, w tym William Rolfe, szewc, i Peter Duston, stolarz, który przyszedł przez łąkę z domu modlitwy, nadal ubrany w długi skórzany fartuch. To on robił w Sutton trumny dla zmarłych i zazwyczaj miał dwie lub trzy gotowe, ale akurat dzisiaj rano nie miał żadnej w zapasie. W związku z tym Thomas Varney, tkacz,

przywiózł wozem gospodarczym dwie puste skrzynki po herbacie.

Beatrice szybko podeszła do Francisa i powiedziała mu, że idzie za konstabłem do domu wdowy Belknap.

– Dobrze, najdroższa. Będę miał na ciebie oko, ale muszę zostać tu z szacunku dla biednego Nicholasa. Nie będzie to ładny widok, jak go wyciągną.

Jewkes szedł tak powoli i niepewnie, że Beatrice szybko go dogoniła. Wtedy dołączyły do nich pani Rust i Georgina Varney, wysoka dziewczyna o włosach jak len, szerokich biodrach i ramionach niczym dwie blade szynki. Była najmłodszą córką Thomasa Varneya i pomagała pani Rust w porządkach i praniu. Pani Rust natomiast najwyraźniej zamierzała dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Podeszli pod drzwi domu wdowy Belknap i konstabl Jewkes zastukał trzy razy kołatką w kształcie wilczej głowy. Czekali, ale nikt nie otwierał, więc zastukał raz jeszcze, tym razem o wiele mocniej, i zawołał:

– Wdowo Belknap! Tu konstabl Jewkes! Otwieraj drzwi!

W domu panowała cisza, słychać było tylko grobowe beczenie kozła z boku domu.

– Wdowo Belknap! Słyszysz mnie? W imieniu gubernatora rozkazuję ci otworzyć drzwi!

Ponieważ jego działania nie przynosiły zamierzonych efektów, zwrócił się do Beatrice:

– Pani Scarlet, będę zmuszony wyważyć drzwi. Jak spowoduję zniszczenia, będzie pani świadczyć, że nie miałem wyboru?

Cofnął się o krok, starając się utrzymać równowagę, już chciał kopnąć drzwi, ale zanim cokolwiek zrobił, Beatrice nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi, a one bezgłośnie otworzyły się na oścież.

Weszli do salonu wdowy Belknap. Beatrice nigdy wcześniej nie był zapraszana do środka tego domu, ale nie tego spodziewała się po gnieździe czarownicy. W przeciwległym rogu pokoju stało łóżko z płóciennymi zasłonami haftowanymi w róże

i kapą z podobnym wzorem; był też mały kominek, a na nim dzban polnych kwiatów. Trzy sosnowe krzesła stały dookoła stołu, na którym pozostawiono talerz z dwiema kromkami chleba, jedną przełamana na pół, kawałek żółtego sera, przewrócony kubek, z którego na obrus wylało się mleko.

– Pani Belknap?! – zawołał posterunkowy. – Jest pani w domu?

Przeszedł do kuchni, która była bardzo mała, i prawie w całości wypełniał ją szeroki ceglany piec. Ogień zgasł, zostawiając szary popiół, chociaż piec nadal był lekko ciepły. Stał na nim żelazny garnek i Beatrice zerknęła do środka, aby zobaczyć, co takiego wdowa gotuje. Natychmiast tego pożałowała. Garnek był wypełniony grochem i fasolą, woda wygotowała się z niego całkowicie, za to na wierzchu leżało przemoczone ciało Uroka, należącej do wdowy czarnej papugi, z otwartym dziobem i zamkniętymi szarymi powiekami.

– Panie konstablu – przywołała Jewkesa. Zajrzał do garnka i najwyraźniej na widok papugi wytrzeźwiał. Pani Rust także zerknęła i zrobiła dziwną minę.

– Cóż, wdowy tutaj nie ma, prawda? – stwierdził Jewkes. – Ptaszek wyfrunął z gniazdka. Hm, nie ten ptak. Rozumie pani, o co chodzi.

– Wygląda na to, że została porwana – powiedziała Beatrice. – Kochała tego ptaka, nie zrobiłaby mu krzywdy. I dlaczego zostawiłaby niedojedzone śniadanie i nie wytarła mleka, gdy się rozlało? Wystarczy się rozejrzeć, a zaraz widać, jaka z niej jest porządna gospodyni.

– Po mojemu, gotowała tego ptaka na miksurę, żeby rzucić czar – wtrąciła się pani Rust. – Została porwana, też coś! A kto by ją chciał?

– To mogli być Indianie – odezwała się Georgina. – Moją kuzynkę Susan porwali Abenakowie, jak miała dwanaście lat, i już nigdy jej nie widzieliśmy.

– To możliwe, pewnie – odparł Jewkes. – Ale Indianie nie brali tu jeńców od dwóch albo trzech lat, co? A jeśli nawet by to byli Indianie, to dlaczego wzięli tylko ją?

– Zabiła Nicholasa Buckleya, a potem uciekła –
zawyrokowała pani Rust.

– I nie dokończyła śniadania? – powątpiewała Beatrice.

– To równie dobrze mogła być jej kolacja.

Konstabl rozejrzał się po kuchni i wzruszył ramionami.

– Niewiele więcej możemy zrobić, chyba tylko rozgłosić wśród ludzi, aby mieli oczy otwarte, gdyby się pojawiła. W zależności, kiedy wyszła, mogła się oddalić nawet na dziesięć kilometrów.

Wyszli na zewnątrz w momencie, kiedy Francis zbliżał się ścieżką.

– Gdzie ona jest? – spytał. – Nie aresztowaliście jej?

– Nie ma jej – odpowiedziała Beatrice. – Albo została porwana, albo uciekła.

– Hm, może to okaże się łaską. Jeżeli rzeczywiście była adwokatem diabła, jak podejrzewał Nicholas Buckley, może ujrzymy koniec tych wszystkich strasznych wydarzeń.

– Och, biedny Nicholas – powiedziała Beatrice. Widziała, że Rodney Bartlett przestał pompować i skopkiem wylewał rozcieńczony witriol z koryta. Thomas Varney i Peter Duston nieśli obwisły brezent; zarzucili go na wóz, a potem z chlupotem włali zawartość do skrzyń po herbacie.

– Oczywiście damy mu przyzwoitą trumnę – zadeklarował Francis. – Modliłem się za jego nieśmiertelną duszę, Beo, i to jest wszystko, co mogę teraz dla niego zrobić. Był bardzo dobrym człowiekiem, bogobojnym, uczciwym i pracowitym. Z pewnością nie zasłużył na taką straszną śmierć.

Podniósł głowę, aby zobaczyć, jak wysoko zawędrowało słońce.

– Teraz muszę iść się zobaczyć z Nathanielem Rowlandsonem. Wyprawę do Londonderry chyba będziemy musieli odłożyć do jutra.

Francis nigdy nie okazywał Beatrice czułości publicznie, ale w tym momencie zapragnęła, aby objął ją mocno i tak po prostu trzymał, mówiąc, że ją kocha i troszczy się o nią.

On mógł wierzyć, że do Sutton wróci normalność, teraz, gdy wdowa Belknap znikła, ale ona podejrzewała, że najgorsze

jeszcze przyjdzie.



Została z Judith Byckley, dopóki Francis nie wrócił z farmy Rowalndsonów.

– Widziałeś ryby? – spytała go, gdy wyruszyli do domu.

– Tak, widziałem – odparł Francis. – Ze dwadzieścia ich padło, ale nie więcej. Reszta wygląda całkiem żwawo.

– Naprawdę? Wczoraj wszystkie były jakby w transie. Nathaniel bez problemu schwycił jedną gołą ręką.

– Zapytałem go o to, ale niechętnie odpowiadał. W zasadzie muszę przyznać, że był wobec mnie dość obcesowy, jakby nie podobało mu się, że go odwiedzam.

– A to dlaczego? Okazałeś mu jedynie troskę.

– Nie wiem. Ale powiedział, że jest pewien, że jego rybom nie zaszkodziło nic diabelskiego, a tylko zwykłe glony. Mnożą się szybko w bardzo ciepłej wodzie.

Beatrice zmarszczyła brwi.

– Kiedy z nim rozmawiałam, był pewien, że staw zatrul mu demon, jeśli nawet nie sam szatan. W zasadzie to powiedział, że gdyby przyszedł nad staw wcześniej, to spotkałby się z szatanem twarzą w twarz. Pokazał ci ślady kopyt? Były prawie takie same jak te u Menduma, prawda?

– Powiedział, że pewnie się myliłaś.

– Myliłam się? Co przez to rozumiał?

– Nie widziałem żadnych śladów na pomoście, Beo, a Nathaniel zaprzeczył, że w ogóle jakieś były. Powiedział, że prawdopodobnie widziałaś ślady psich łap, bo jakiś pies pływał w stawie przed twoim przybyciem.

– Naprawdę nie widziałaś śladów kopyt?

– Żadnych. Ale w końcu sama mówiłaś, że były sztuczne.

– Mogły być sztuczne, Francisie, ale odcisnięto je na pomoście. Widziałam je na własne oczy. Wąchałam je. Stałam nad jednym i zabrudziłam halkę. Mogę ci pokazać.

- Może Nathaniel kazał je zeszkrobać.
- Ale dlaczego? Dlaczego tak bardzo upierał się, że to szatan wprowadził ryby w taki stan, a zaraz następnego dnia wszystkiemu zaprzecza?
- Beo, nieustannie kwestionujesz, że szatan jest wśród nas, więc czy nie ulżyło ci, że ryby Nathaniela zachorowały od glonów, a nie od czarów? Może w końcu moje modlitwy zostały wysłuchane i szatan postanowił nas zostawić. W końcu wdowa Belknap znikła. Może Jego Szatańska Wysokość zrozumiał, że nasza wiara tutaj w Sutton jest zbyt silna, i to będzie już koniec tych okropieństw.



Kiedy przyjechali do domu, Francis zdjął płaszcz i poszedł do salonu, aby skończyć kazanie na niedzielę i napisać listy o ostatnich wydarzeniach do dwóch znajomych pastorów z sąsiednich parafii. Beatrice znalazła Mary i Noego w ogródku za domem, gdzie dziewczyna wyrywała rzodkiewki, a maluch siedział obok niej, zjadając kawałek zapiekanki serowej prawą ręką i pozwalając, aby mrówki biegały mu po całej lewej.

Beatrice podniosła synka i zgarnęła okruszki wraz z mrówkami z jego fartuszka.

- Ale ty wyglądasz, głuptasku! Cały jesteś w mrówkach!
- Mary wstała i przeciągnęła się.
- Znowu widziałam tego człowieka, pani Scarlet, jak państwa nie było. Tego w brązowym płaszczu.
- Naprawdę? Gdzie?
- Szłam do kuchni, żeby przynieść Jubalowi i Calebowi picie, i zobaczyłam, jak spieszy podjazdem.
- Zawołałaś do niego?
- Nie. Był za daleko. A poza tym bałam się.
- Beatrice strzepnęła mrówkę z włosów Noego.
- Nic nie zginęło z domu, co?

– Nie wiem, czy wchodził do domu, ale nic nie zginęło, z tego, co widzę. Na półce w kuchni stygły ciastka, ale żadnego nie brakuje, więc nie szukał jedzenia.

– Hm, kto wie, czego on chce? – powiedziała Beatrice. – Modlę się tylko, żeby odszedł i zostawił nas w spokoju. Idę wstawić zapiekankę do pieca. Jak skończysz w ogródku, przyjdź do kuchni i pomóż mi z warzywami, dobrze?

Poszła z powrotem do domu i pomachała mężowi, który siedział w salonie i pisał. Jak skończy, powie mu, że Mary widziała postać w kapturze. Nie chciała mu teraz przeszkadzać, zwłaszcza że najwyraźniej nic nie zginęło. Zawsze wiele trudu kosztowało go napisanie kazania, pracował nad tym długo i nie lubił, kiedy mu przeszkadzano.

Poszła do sypialni. Kiedy wchodziła po schodach, poczuła silną, słodką woń, która wzmogła się jeszcze, gdy weszła na piętro. Wtedy ujrzała leżące na łóżku naręcze polnych kwiatów luźno związanych białą jedwabną wstążką. Słodką woń wydzielala fioletowa bergamotka, ale były też ciemnoniebieskie lobelie i gailardie, które wyglądały jak jaskrawoczerwone stokrotki.

Beatrice, oczarowana, powoli podeszła do łóżka. Z pewnością to nie Mary je zebrała. Ona włożyłaby je do wazonu i ustawiła w salonie. Może Francis poprosił Mary, aby to zrobiła, aby pokazać, jak bardzo kocha żonę, ale nie podejrzewała, żeby tak zrobił. Chociaż był niepoprawnym romantykiem i często mówił jej, jak bardzo ją wielbi, nigdy nie wymyśliłby czegoś takiego.

To prawda, że kwiaty leżały po jej stronie łóżka, ale nawet obcy wiedziałby, że to jej miejsce, ponieważ jej koszula leżała złożona na poduszce po tej właśnie stronie.

Przy bukiecie nie było żadnej kartki, niczego, co mogłoby wskazać, kto go zostawił. Jeżeli to nie była Mary, to ktoś musiał bardzo śmiało wejść do domu pod ich nieobecność. Włamywacze ryzykowali, że zostaną dźgnięci, pobici albo oparzeni wrzątkiem – tak pani Buckland potraktowała kiedyś wścibskich sąsiadów.

I znów Beatrice wspomniała Jonathana Shooksa i to, jak

przebiegle i znacząco na nią spoglądał. Sama się zdziwiła, że niemal pragnie, żeby to był on... Chociaż wiedziała, że nigdy nie zdradzi Francisca. Lecz z wszystkich mężczyzn, którzy mogli mieć skłonność i odwagę tego dokonać i nie bać się konsekwencji, Jonathan Shooks jako jedyny przychodził jej na myśl.

Wtedy Francis zawołał z dołu:

– Beo, kochanie! Ile jeszcze do obiadu?

– Tylko godzina, Francisie! Dzisiaj zapiekanka z wołowiny i rzepy, już jest prawie gotowa! Muszę jeszcze przygotować fasolkę i marchewkę!

Nastąpiła długa cisza na dole. Beatrice miała nadzieję, że Francis nie wychwycił cienia winy w jej głosie. Ale co ona ma począć z tymi kwiatami, jak ma wyjaśnić, skąd je wzięła? I dlaczego niby ma się czuć w związku z tym winna?

Rozdział 25

Następny dzień był szary, gorący i parny. Beatrice miała wrażenie, że nie ma czym oddychać. Z Sutton do Londonderry było ponad jedenaście kilometrów, ale ponieważ niektóre odcinki drogi zostały niedawno wyrównane i oczyszczone z kamieni, podróż zajęła im tylko dwie i pół godziny. Przez całą drogę słyszeli pomruki burzy za górami, spadło też na nich kilka kropli deszczu oraz orzechy leszczyny z drzew na poboczu.

Francis wydawał się zamyślony i mówił niewiele, poza tym, że pogrzeby Nicholasa i Tristrama Buckleyów odbędą się nazajutrz rano.

– A co z czterema niewolnikami Gilmanów?

– Zostaną pochowani przez rodziny na działce za ich chatami. Pojadę tam później i zmówię nad nimi modlitwy.

– I jeszcze nie ma dowodów, kto ich zabił?

– Nie. Żadnych. Generał Holyoke napisze do gubernatora, że ich śmierć została spowodowana przez „nadprzyrodzone, złośliwe działanie osób jeszcze nieznaną”... O ile to były osoby.

– Nie powiedział „czary”?

– Beatrice – skarcił ją Francis.

Przed kilkoma laty, kiedy generał Holyoke był sędzią pokoju, młoda dziewczyna z Sutton, niejaka Lucy Parminter, została skazana na śmierć za czary, z którego to zarzutu została oczyszczona w ostatniej chwili przed powieszeniem. Generał Holyoke – jest może szanowany w pewnych kręgach – ale wspólnie z konstabłem Jewkesem dokonał kilku żenujących i błędnych osądów.

Po jakimś czasie Beatrice się odezwała:

- Mary znowu widziała tę postać w kapturze.
- Ach, tak. – Francis najwyraźniej ignorował to, co mówi.
- To było wczoraj, kiedy byliśmy w miasteczku.
- Co robiła?
- Oddalała się od naszego domu, to wszystko.
- Czy coś zginęło albo zostało zniszczone?
- Nie, chyba nie. Mary nic takiego nie zauważyła.

Chciała już mu powiedzieć o polnych kwiatach, ale nagle zaczęło mocniej padać i Francis zatrzymał się, aby postawić budę. Kiedy wspiał się z powrotem na miejsce, Beatrice uznała, że sprzyjający moment minął. Jej mąż najwyraźniej miał głowę zaprzątniętą czymś innym, co było o wiele ważniejsze od tajemniczej wiązanki kwiatów. Pewnie chciałby tylko wiedzieć, dlaczego nie powiedziała mu od razu i nie pokazała mu ich natychmiast; a ona, jakby sobie nie ufając, nie wiedziała, dlaczego tego nie zrobiła. Nie powiedziała mu też o perfumach, a teraz było już na to za późno.

Z jakiegoś powodu, który trudno jej było pojąć, te sekrety były ekscytujące. Inni mężczyźni w osadzie zawsze traktowali ją z szacunkiem i poważaniem należnym żonie pastora, ale teraz jakiś nieznajomy okazywał zainteresowanie nią jako atrakcyjną kobietą.

Gdy jechali dalej, na drodze pojawiało się coraz więcej kolein i dziur, więc musieli zwolnić. Deszcz bębnił w budę, a Uriel potrząsał grzywą.

- Martwisz się czymś? – spytała.
- Nie. Wczoraj czułem, że wszystko da się rozwiązać, ale teraz nie mam już pewności.
- Dlaczego? Powiedz.
- Jak powiem, to uznasz mnie za nieudacznika.
- Ależ nie. Powiedz.

Czekała, ale Francis nie odpowiadał. Toczyli się dalej drogą i po chwili deszcz przestał padać, wyszło intensywnie gorące słońce, a gęsty las drzew orzechowych po obu stronach drogi zaczął parować.

– Francisie, co się stało? – nalegała.

Pokręcił tylko głową.

– Później – dodał. – Powiem ci później. Mamy świnię do kupienia.

Kupili trzy lochy i knura od tego samego rudowłosego szkocko-irlandzkiego hodowcy, który sprzedał im ostatnio pięć berkszyrów, i obiecał dostarczyć je nazajutrz. Przybił interes, spluwając w dłoń, zanim podał ją Francisowi.

Rozmawiali chwilę, ale Beatrice prawie nie rozumiała farmera z powodu akcentu, a na dodatek ledwo go słyszała pośród chrząkania świń.



Francis w drodze powrotnej do Sutton prawie nic nie mówił. Zaczęła już podejrzewać, że dowiedział się o perfumach i kwiatach i jest na nią zły. W końcu wyrzucił z siebie, że jest nieudacznikiem.

Jednak kiedy dotarli do domu, powiedział:

– Nie zajmuj się gotowaniem jedzenia dla mnie, Beo. Najpierw muszę z kimś porozmawiać.

Noe wybiegł na ganek i przywarł do sukni Beatrice, a ta podniosła go i pocałowała.

– Z kim, Francisie? Z kim musisz porozmawiać? Zaczynasz mnie niepokoić.

Sięgnął do surduta i wydobył złożony list.

– Dobrze, powiem ci – powiedział. – Otrzymałem to dzisiaj rano od Thomasa Nortona, prawnika. Przywiózł go jeden z jego synów.

Bea odstawiła Noego i Francis podał jej list. Rozłożyła go i przeczytała:

Szanowny Wielebny Francisie Scarlet, uznałem za swój obowiązek poinformować Wielebnego, że wolno urodzony Nathaniel Rowlandson zażądał ode mnie, abym w trybie pilnym przeniósł prawo własności czternastu

*hektarów jego ziemi na pana Jonathana Shooksa jako środek zaradczy przeciw dalszym grabieżom szatana i jego adwokatów. Zażądał stanowczo, abym nie informował Wielebnego o rzeczonyj sprawie, i z wielką niechęcią występuję jako posłaniec, ale skoro również pan George Gilman niemal równy wielkością areal przepisał na taki sam cel na pana Shooksa, wierzę, że panujący nam pastor powinien zostać poinformowany o tych transakcjach. Szczerze oddany,
Thomas Norton.*

Beatrice przeczytała list dwukrotnie i oddała go mężowi.

– Dlaczego nie pisałeś słowa aż do teraz? – spytała go.

– A jak myślisz? Dwóch moich najzamożniejszych parafian zwróciło się o pomoc do sił zła, aby... Po co? Do kogo? Nie do mnie... Ale do jakiegoś wędrownego szarlatana! Jakiegoś oszusta, który zjawiał się nie wiadomo skąd i mówi mi, że się nie znam na demonach w tym kraju i że nie mam siły, aby chronić własną parafię!

Francis był tak wzburzony, że zmiął list, a Noe patrzył na niego przestraszony, wyczekująco marszcząc buzię, z drżącą dolną wargą.

– George Gilman nic nie powiedział o przekazaniu ziemi Shooksowi, a Rowlandson tylko mi kłamał! Dlaczego obaj po prostu nie powiedzą mi w twarz, że nie wierzą w moje duszpasterstwo, że moje modlitwy najwyraźniej są na nic i że nie mogę nawet uratować własnych świń przed diabłem, a co dopiero Nicholasa Buckleya i niewolników Gilmana! – Przerwał, aby zaczerpnąć tchu, i dodał: – Nie wiem, dlaczego kłopotaliśmy się jazdą aż do Londonderry po nowe świnię. Jaki to miało sens? Diabeł pewnie je też zabije, żeby rzucić mi w twarz moją nieudolność!

– Francisie, Francisie – uspokajała go Beatrice. – Jeżeli Nathaniel Rowlandson i George Gilman są tacy głupi, to nie jest twoja wina!

– Oczywiście, że jest! Powinienem być dla nich tarczą i obrońcą! Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Henry Mendum też oddał połowę swoich ziem Shooksowi, nic mi nie mówiąc!

– Co więc zamierzasz?

– Mógłbym wysłać Shooksowi ostrzegający go dokument kościelny, ale bardzo wątpię, czy to by go zniechęciło. Nie... muszę go znaleźć i wygarnąć mu to osobiście prosto w oczy! To moja parafia, moi wierni, a on celowo ich zwodzi. To jest dla mnie tak samo poniżające, jakby odeszli z mojego kościoła i zaczęli chodzić do kościoła w Dover.

– Musisz uważać, Francisie. Proszę, kochany. Jonathan Schooks to człowiek, którego lepiej nie denerwować.

Francis chwycił ją za ramiona i popatrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było płomienne i posępne, a ona nigdy nie widziała w nim takiej determinacji.

– Nie jestem pewien, z kim walczę, Beo, z diabłem czy z człowiekiem, z demonem czy z oszustem. Wszystko, co wiem na pewno, to to, że przede mną stoi największe wyzwanie w karierze pastora... A może w całym życiu. W takiej czy innej postaci, szatan przybył do Sutton, a moim świętym obowiązkiem jest mu się przeciwstawić.

– Gdzie go znajdziesz?

– W pierwszej kolejności pojedę do osady i spytam, czy ktoś go widział. Jeśli nie, to udam się do gospody w Penacook i poczekam na jego powrót.

– Francisie, błagam cię, nie jedź tam. Tym się powinni zająć przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, nie ty.

– Jakże sądy mają się zajmować szatanem, Beo? A jakie prawo stoi ponad prawem boskim?

– Pokażę ci tę plamę na mojej halce zrobioną przez rzekomy odcisk diabelskiego kopyta! To nic innego jak mieszanina naturalnych substancji, Francisie! Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego! A Królewicz został zatruty igłami cisu, które mógł mu podać każdy, natomiast nasze świnię zginęły pewnie od arszeniku albo jakiejś trującej rośliny, na przykład belladony. A jeśli chodzi o ryby Nathaniela Rowlandsona, mógł zadziałać na nie wiotriol albo coś podobnego. To samo tyczy się bydła Menduma.

– Beo, nie rozumiesz! Nie mów mi, jak te okropieństwa zostały popełnione i za pomocą czego! Czego czarownice

używają w swoich naparach? Tych samych powszechnych ziół, które rosną w ich ogrodach! To sposób, w jaki je przygotowują, daje im moc! Tak jak my odmawiamy modlitwy i zwracamy się do Boga, aby dał nam siłę, one używają rytuałów i zaklęć, aby umocnić je szatan.

– Pokażę ci tę plamę.

– To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, muszę spotkać się z Shooksem i odzyskać władzę nad moją parafią. Jak mogę wygłosić w niedzielę kazanie, nakazując parafianom, by wielbili Pana Boga, skoro nawet mnie nie szanują?

– Francisie, ja ciebie szanuję. Wiesz o tym.

Pochylił się mocno i jego czoło dotknęło jej czoła, skoro i byli tak blisko, że Beatrice nie widziała wyraźnie jego twarzy.

– Wiem o tym, najdroższa. Lecz tym razem to za mało.



Francis wrócił do domu nieco po dziewiątej. Beatrice czekała na niego w oknie i z ulgą ujrzała, jak światła dwóch rozhuśtanych latarni wiszących na powozie zbliżają się po podjeździe. Kiedy wszedł do domu, był zakurzony, wyczerpany i spocony. Usiadł przy kuchennym stole, a ona podała mu kubek cydru, ale nie wypił go od razu.

– Nie znalazłeś go – powiedziała.

– Nie, nie znalazłem. Wszędzie, gdzie się udałem, on dopiero co wyjechał, ale nikt nie wiedział dokąd. To bardziej jak polowanie na ducha niż szukanie człowieka. Pojechałem także do gospody w Penacook. Najwyraźniej nadal tam mieszka, ale czekałem godzinę i nie pojawił się, więc wróciłem.

– Znajdziesz go jutro. Ktoś musiał mu powiedzieć, że go szukasz.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Jeżeli będzie wiedział, że go szukam, może zrobić wszystko, aby mnie unikać.

– Nie sędzę – odparła Beatrice. – Nie sędzę, żeby był takim człowiekiem.

Polne kwiaty, pomyślała, i perfumy.



Kiedy położyli się w łóżu tej nocy, Francis przytulił ją bardzo mocno, chociaż nie zrobił żadnego ruchu, aby się z nią kochać. Przez koszulę nocną czuła jego na wpół zeszywniały członek, ale wiedziała, że umysł przepelniają mu demony, czarownice i spaleni niewolnicy, szatan i Jonathan Shooks.

Po chwili pochylił się nad nią, aby zdmuchnąć świecę, ale zanim to zrobił, zapytał:

– Co to jest? – W palcach trzymał mały fioletowy płatek, jak skrzydełko, które odpadło wróżce. Powąchał go i dodał: – Pachnie bardzo słodko. Co to jest?

– Bergamotka – odparła Beatrice.

– A skąd się tu wzięła?

Beatrice uniosła brwi i nic nie odpowiedziała. Najbardziej nie chciała go okłamywać.

– Może to znak – powiedział Francis. – Znak od Boga co do słodkich rzeczy, które nas czekają.

Pochylił się nad nią raz jeszcze i zdmuchnął świeczkę. Beatrice leżała w ciemnościach i nigdy w życiu nie czuła się tak winna i zdezorientowana. Tej nocy nie świecił księżyc, a jej wydawało się, że wokół domu ukradkiem zmieniano scenografię i rano wszystko będzie inne, nieznanome, i nie będzie wiedziała, co dalej począć.



Co było do przewidzenia, Jonathan Shooks przejął inicjatywę. Następnego dnia Beatrice i Francis jedli na śniadanie leguminę z suszonymi śliwkami, kiedy usłyszeli, jak przed dom zajechał powóz, a potem rozległo się stukanie do frontowych drzwi. Do kuchni weszła Mary.

– Pan Shooks do wielebnego.

Francis rzucił Beatrice zaskoczone spojrzenie, a następnie wstał i wyszedł na korytarz. Beatrice miała ochotę zawołać: „Uważaj, Francisie!”, ale bała się, że Shooks może ją usłyszeć i zapytać, dlaczego to zrobiła.

Francis zaprowadził gościa do salonu. Beatrice zdjęła fartuszek i zostawiła śniadanie, aby pójść za nimi. Jonathan Shooks skłonił się i uśmiechnął, gdy weszła do pokoju. Miał na sobie szary płócienny surduty i bryczesy oraz buty ze srebrnymi sprzączkami, które przypomniały Beatrice sprzączki butów Nicholasa Buckleya.

– Łaskawa pani Scarlet, dzień dobry! – powitał ją Shooks. – Właśnie pytałem wielebnego, dlaczego tak bardzo mnie wczoraj poszukiwał.

– Otrzymałem informacje, szanowny panie – zaczął spiętym głosem Francis – że zarówno George Gilman, jak i Nathaniel Rowlandson przekazali panu znaczne części swoich posiadłości.

– Tak jest w istocie – potwierdził Jonathan Shooks, kiwając głową, jakby Francis powiedział coś bardzo rozsądnego. – I wielebny oczywiście wie, dlaczego tak uczynili.

– Pańskie demony zażądały tego? – zarzucił mu Francis.

– Szczególnie jeden demon. To opłata za ochronę przez szatana.

– To jest wymuszenie, panie Shooks.

– Rozumiem, wielebny, ale kiedy człowiek ma wybór między ruiną i możliwą śmiercią a darowaniem części ziemi, jak wielebny sądzi, co wybierze? Proszę mi pozwolić przypomnieć sobie, że gdyby nie ja, ani Gilman, ani Rowlandson nawet nie mieliby możliwości takiego wyboru. Demony zniszczyłyby ich dobytek i byłiby zmuszeni całkowicie opuścić swoje posiadłości albo w jakiś groteskowy sposób by ich zamordowały.

– Więc kim jest ten demon? Albo czym? – spytała Beatrice. – Czy to mężczyzna, kobieta, czy dwunożna bestia z rogami i kopytami? Czy ma imię?

Jonathan Shooks uśmiechnął się i dotknął ust koniuszkiem palca.

– Powiedziałem wcześniej, pani Scarlet, że nie mogę wyjawić

jego imienia. Jeżeli je wypowiem, przywołam go i szatan naprawdę dokona przerażającej zemsty.

– Czy nie mógłbym pójść z panem, gdy następnym razem spotkasz się pan z demonem, i porozmawiać z nim?

– Jeżeli wielebny pójdzie ze mną, wówczas odkryje pastor jego tożsamość i, jak mówię, uwolnią się siły nieczyste. Gdy ojciec pozna jego tożsamość, wasze powołanie, wielebny, zobowiąże ojca do próby wygnania go, a to tylko doprowadzi do katastrofy. Jakiegokolwiek dokonamy wyboru... czy postanowimy zignorować demona, czy zawrzeć z nim jakiś układ... konsekwencje będą niemiłe, opowiadam się wobec tego za mniejszym złem.

Cały czas, gdy Jonathan Shooks mówił, nie spuszczał wzroku z Beatrice i chociaż głos miał poważny, najwyraźniej lekko się uśmiechał.

Francis energicznie pokręcił głową.

– Nie mogę pozwolić, aby to trwało, panie Shooks. Sutton to moja parafia i dopóki pozostaje pod moim zarządem, nie będę układać się z szatanem ani z jego przedstawicielami.

Jonathan Shooks nadal nie odrywał oczu od Beatrice.

– Czy chciałby wielebny skazać więcej swoich parafian na śmierć w takich męczarniach jak Nicholasa Buckleya? To chciałby wielebny zrobić? Ponieważ tak z pewnością by się stało, zapewniam ojca. Parafia stałaby się parafią męczenników, tylko przez brak umiejętności dostosowania się ojca.

– Panie Shooks... Nalegam, aby zwrócił pan przekazaną panu ziemię, każdą działkę. Nalegam także, aby pan zaprzestał układania się z demonem lub też opuścił na dobre moją parafię. Powierzę tę kwestię najwyższym władzom kościelnym, jeśli będę musiał, oraz sądom.

Jonathan Shooks nie odpowiedział natychmiast, ale odwrócił głowę i marszcząc czoło, wyjrzał przez okno, jakby zauważył kogoś szybko przechodzącego. Beatrice też spojrzała, ale nikogo nie zobaczyła.

Po chwili odwrócił się z powrotem do Francisa.

– Nie, wielbny Scarlet – powiedział. – Nie ustąpię. Jeżeli członkowie pańskiego zgromadzenia decydują, że w ich najlepszym interesie leży przekazanie ziem, których żąda demon, wobec tego nie może ojciec nic zrobić, aby ich powstrzymać. Sami widzieli, co ten demon może im zrobić, jeżeli odmówią.

– Czy tym demonem jest wdowa Belknap? – dopytywał Francis. – A może jakiś chorobliwy duch, który ją opętał?

– Mówiłem już, wielbny. Nie podam żadnego imienia.

– Wobec tego ostrzegalem. Zaniosę tę sprawę, dokąd będę musiał. Przedstawię ją gubernatorowi Wentworthowi, jeśli będzie trzeba.

Jonathan Shooks wzruszył ramionami.

– Proszę czynić, co nakazuje ojcu sumienie. Mogę tylko powiedzieć, że potrafię rozpoznać demony, które pojawiają się w tym kraju w imieniu szatana, czy są to czarnoksiężnicy, czarownice, czy wendigo, nawet jeżeli ojciec tego nie potrafi. Ponieważ uważam, że jedyny sposób, by uratować życie niewinnych ludzi, to robić interesy z demonami, będę takie interesy prowadził. – To powiedziawszy, skłonił się Beatrice i dodał: – Miłego dnia obojgu wam życzę. Mam nadzieję, że kiedy spotkamy się znowu, będzie to w bardziej przyjacielskich okolicznościach.

– Mówię poważnie, panie Shooks – nie ustępował Francis. – Nie pozwolę, by dalej dochodziło do tych wymuszeń. Również panu życzę miłego dnia!

Beatrice odprowadziła gościa do drzwi. Na zewnątrz, w słońcu, Samuel czekał przy kaleszy i pomachał, kiedy ją zobaczył.

– Znadto nie przepadam za polnymi kwiatami, panie Shooks – powiedziała Beatrice, gdy Shooks wkładał kapelusz.

Spojrzał na nią, unosząc jedną brew.

– Nie, droga pani?

– Niektóre lubię. Ale zależy, kto mi je wręcza.

– Przypuszczam, że to dotyczyłoby prawie każdego podarunku – odparł.

Co on ma na myśli? Czyżby pytał, czy spodobały mi się perfumy?

– Tak – powiedziała. – Obojętnie, co to takiego.

Zapadła między nimi długa cisza, jakby oboje chcieli zrobić coś, ale się bali.

– Pani mąż to dobry i prostoliniyjny człowiek, pani Scarlet – odezwał się Shooks. – Proszę spróbować odwieść go od zrobienia czegoś nierozsądnego. Tu, w Sutton, działają siły, które bardzo mało mają zrozumienia dla jego prawości.

– Wielebny Scarlet uczestniczy dzisiaj w dwóch pogrzebach, panie Shooks... Nicholasa Buckleya i jego synka, Tristrama. Sądzę, że jest świadom działania tych sił i tego, co mogą uczynić... Tak jak i ja.

– Och, tak. Słyszałem, że jest z pani amatorka aptekarstwa.

– Uczył mnie mój ojciec, panie Shooks, w Londynie. Ja znajduję różnicę między miksturą z piekła, a tą z New Hampshire.

Jonathan Shooks nie przestawał się uśmiechać.

– Jest pani bardzo piękną, młodą kobietą, droga pani. Proszę uważać i nie próbować nakłaniać męża do niczego. Tragicznie byłoby widzieć panią owdowiałą tak młodo.

To powiedziawszy, wspiał się do kalessy przy skrzypieniu skórzanych sprężyn, a Samuel wrzasnął wściekle po swojemu i strzelił z bata. Beatrice stała i obserwowała, jak odjeżdżają. Nieomal pragnęła, aby z cienia wyłoniła się postać w brązowym płaszczu, co by udowodniło ponad wszelką wątpliwość, że nie jest to ani on, ani Samuel.

Nadal stała w drzwiach, kiedy Francis wybiegł z domu. Policzki miał zaczerwienione i szarpał swój kremowy surdut.

– Calebie! – krzyczał. – Calebie!

Caleb przybiegł zza domu, niosąc grabie.

– Tak, wielebny? Przepraszam, że tak długo piekę tę grządkę buraków. Ziemia twarda jak skała!

– Nieważne. Proszę, zaprzęgaj Uriela, szybko!

– Francisie, dokąd jedziesz? – spytała Beatrice. – Musisz szybko wracać... Pogrzeby zaczynają się o jedenastej!

– Jadę za Shooksem. Będę go śledził.

– Francisie... nie!

– Nie powstrzymasz mnie, Beo. Będę go śledził, aż sam ujrzę tego demona i stanę z nim twarzą w twarz! Nie oddam mojego autorytetu jakiejś pełzającej kreaturze z piekła, nawet jeżeli Shooks jest gotów jej ulec!

– Francisie, nie rozumiesz? To nie jest żaden demon!

Caleb przyprowadził Uriela z padoku i zaprzęgał go do dwukółki.

– Co? – zareagował Francis. – Jak możesz mówić coś takiego, Beo? Jak zwyczajny śmiertelnik mógł powiesić niewolników u Gilmana tak wysoko jak na Kalwarii, a potem ich podpalić? Albo rozpuścić Nicholasa Buckleya na rosół? Albo sprawić, że padły nasze świnie bez śladu choroby, jak w Biblii? Albo otumanić ryby Rowlandsona?

– Wierzę, że każde z tych zdarzeń ma wyjaśnienie, Francisie... Każde z nich... Nawet jeżeli jeszcze nie rozumiemy, co to takiego. To chciałam ci powiedzieć. Bardzo nie chciałam ci się sprzeciwiać, najdroższy, ani kwestionować twojej wiary, a kilkakrotnie sama byłam gotowa przysięgać, że to musi być wina diabła. Ale jestem przekonana, że tak nie jest. Pewna jestem, że możemy położyć kres tym strasznym intrygom innymi metodami, poza modlitwą.

Francis spojrział na trakt. Powóz Jonathana Shooksa zniknął teraz z widoku i nawet pył z jego kół już opadł.

– Skoro twierdzisz, że nie ma demona, Beo, to z tego wynika, że nie ma też szatana.

– Niekoniecznie. Szatan może wstąpić w ludzkie serca, nie musi wysyłać demonów, aby wykonywały pracę za niego.

– Nie, Beo. Nadal pozostajesz pod wpływem tego, czego nauczył cię ojciec. Nie wszystko na tym świecie można wytłumaczyć naukowo, ani nawet nie powinno się tego robić. Jeśli wszystko może wytłumaczyć nauka, to skąd się biorą cuda? Łazarz nie powstałby z martwych ani woda w Kanie nie zamieniłaby się w wino. Nie rozumiesz? To, co się działo, to nie

tylko empiryczny dowód na istnienie szatana, to empiryczny dowód na istnienie Boga.

Beatrice nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć. Zawsze myślała, że jego wiara jest olśniewająca, niekwestionowana i bez skazy. Czy rzeczywiście potrzebował dowodów na istnienie Boga?

Caleb skończył zaprzęgać Uriela.

– Dobrze, moja droga – powiedział Francis, muszę jechać, bo go zgubię. Wrócę, jak tylko będę mógł.

– Francisie... – zaczęła, ale wtedy zrozumiała, że nic go nie powstrzyma przed ściganiem Shooksa. Było to mu potrzebne, aby udowodnić swoje męstwo, oraz jako dowód na jego wiarę w Boga.

Rozdział 26

Za kwadrans jedenasta Francis jeszcze nie wrócił do domu, więc Beatrice zabrała Noego i Mary i poszli razem do osady. Obie kobiety ubrały się na czarno, a Noemu założyły ciemnoszary fartuszek.

Beatrice desperacko pragnęła, by Francis zdecydował się najpierw pojechać do miasteczka, aby się upewnić, że kościół został należycie przygotowany na pogrzeby. Jednak gdy tylko dotarła na plac, zobaczyła, że chociaż duży tłum żałobników zebrał się przed frontowymi drzwiami, Francisa nigdzie nie było widać, ani Uriela, ani też ich dwukółki.

– Pani Scarlet! – zawołał generał Holyoke, idąc przez łąkę. Był to niski, tęgi mężczyzna o siwych wąsach sterczących jak druty, rumianych policzkach i czarnej przepasce na lewym oku.
– Nie ma z panią pastora? Większość ludzi przybyła przed czasem, ale teraz jesteśmy ponad dziesięć minut spóźnieni.

Było już dobrze po jedenastej. Parafianie zaczęli wchodzić do domu modlitwy i zajmować miejsca, mężczyźni w przednich rzędach, a kobiety i dzieci z tyłu, chociaż Peter Duston podniósł ławki dla kobiet, aby miały lepszy widok. Jedyny wyjątek stanowiła Judith Buckley, która siedziała obok dwóch trumien z wiązu ustawionych pośrodku nawy. Twarz miała zakrytą czarnym welonem.

W kościele było gorąco, brakowało powietrza i dusił zapach zapleśniałych ubrań i spoconych ludzi. Jedynym rozlegającym

się tam dźwiękiem były niskie nabożne szepty, szuranie dziecięcych stóp i szelest wachlarzy.

Obie trumny były zamknięte ze względu na upał. Peter Duston martwił się, że jeżeli będzie dłużej czekał z przykręceniem wieka małej trumienki Tristrama, jego ciało tak spuchnie, że w ogóle nie będzie mógł zamknąć trumny.

– Francis wyjechał załatwiać sprawy przed czterema godzinami – mówiła na zewnątrz Beatrice. – I od tamtej pory go nie widziałam. Martwię się, że mogło go spotkać coś złego.

– Czy powiedział pani, dokąd jedzie?

– Sam tego nie wiedział.

– Przepraszam – przerwał jej generał. – Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem dobrodziejkę. Wyjechał załatwić sprawę, ale nie wiedział dokąd?

– Jechał za Jonathanem Shooksem. Wspominał panu o Shooksie, prawda?

– Tak... Tak, wspominał. Niejeden raz mówił mi, że podejrzewa Shooksa o oszustwa, chociaż nie miał na to dowodów. Czy dlatego za nim jechał?

Beatrice skinęła głową.

– Bardzo się o niego martwię, generale – dodała. – Jonathan Shooks zawsze był wobec mnie nad wyraz uprzejmy, ale boję się, że to człowiek, z którym lepiej nie zaczynać.

Generał Holyoke wyciągnął z kieszonki zegarek.

– Damy wielebnemu jeszcze dziesięć minut, proszę pani, ale jeżeli do tej pory się nie zjawi, będziemy musieli zacząć pochówek bez niego. Musimy mieć wzgląd na panią Buckley i oddać ziemi jej męża i synka. Na pewno pan Lynch zna słowa nabożeństwa pogrzebowego na pamięć.

Benjamin Lynch był zakrystianem Francisa i często prowadził modły, gdy wielebny wyjeżdżał z posługą duchowną albo zmogła go choroba. Zdecydowanie był najstarszym mężczyzną w Sutton, dobiegał siedemdziesiątki, a Beatrice widziała, jak jego siwe włosy sterczą niczym dmuchawiec po przeciwległej stronie cmentarza.

– Oczywiście – odparła. – Lecz jeśli nie zjawi się do końca

pogrzebu, chyba powinniśmy wysłać ludzi na poszukiwania.

– Niech dobrodziejka się nie martwi – powiedział generał, poklepując ją po ramieniu. – Na pewno nic złego mu się nie stało. Może urwało mu się koło u wozu, nic bardziej poważnego, a może zgubił drogę.

– Gdyby urwało się koło, wyprzągłby konia i przyjechał na oklep.

– Nigdy nie wiadomo, może koń okulał.

Beatrice rozglądała się, aby sprawdzić, czy w tłumie nie ma Shooksa, ale nie było go widać. Spostrzegła natomiast Henry’ego Menduma, ubranego na czarno. W czarnym trójgraniastym kapeluszu wyglądał posępnie, ale sprawiał też wrażenie trochę znudzonego. Za to jego żona Harriet zadzierała nosa jak zawsze i miała na sobie obszerny czarny kaptur z jedwabiu, który świadczył o jej pozycji w tej społeczności. Kobieta niższego stanu ryzykowałaby grzywnę za założenie takiego kaptura.

– Chodźmy, proszę pani, wejdźmy do środka – powiedział do Beatrice generał. – Zgryzoty na dobre pani nie wyjdą, Na pewno Francis miał poważny powód, aby się spóźnić, jestem pewien, że wróci, zanim się pani obejrzy.



Jednak Francis nie wrócił. Benjamin Lynch musiał poprowadzić nabożeństwo pogrzebowe w jego zastępstwie. Czytał z pulpitu wysokim, skrzekliwym głosem, niczym wrona kracząca na pobliskim drzewie. Beatrice wydawało się, że to czytanie trwa godzinami, przeplatane cytatami psalmów. „O, Panie, mój kres pozwól mi poznać i jaka jest miara dni moich”.

Zakończył wersami bardziej podnoszącymi na duchu:

Nieutuleni w żalu i sromocie

Składacie w grobie jedyne dziecię

Oddalcie ból, bo w świętej ziemi

On leży z Jezusem pośród świętymi.

Później, gdy trumny Nathaniela i Tistrama zostały złożone w grobach, Beatrice rozglądała się, osłaniając oczy dłonią, ale nadal nigdzie nie widziała Francisa. Przeszła do domu Buckleyów, aby złożyć kondolencje Judith i upewnić się, że zdrowie Apphii się poprawia, ale nie została na przepalance i herbatnikach. Musiała natychmiast wracać do domu, na wypadek gdyby Francis został ranny i w jakiś sposób udało mu się wrócić na plebanie.

Spiesząc drogą, trzymając skraj czarnej sukni w jednej dłoni, aby łatwiej jej było iść, nie mogła przestać wyobrażać sobie przeróżnych przerażających scen. Francis zalany krwią. Francis przywieziony do domu nieprzytomny na tylnym siedzeniu powozu, z rozbitą czaszką. Francis pobity przez rabusiów, jego martwe, pozbawione zmysłów ciało porzucone na ganku.

Zaczęła nawet myśleć, że może nic mu nie jest, że Jonathan Shooks rzeczywiście spotykał się z demonem, i że kiedy Francis za nim pojechał, demon został zdemaskowany i rozpuścił się jak Nathaniel.

Może przez cały czas postępowała zbyt pragmatycznie i nie pozwalała sobie na zaakceptowanie faktu, że świat jest pełen cudów i duchów, dobrych i złych.

– Ma-ma! – zawołał Noe, próbując dotrzymać jej kroku, ale ona tylko przyspieszyła.



Kiedy dotarła do domu, Francisa nadal nie było. Doszedł ją kwik zza domu, więc obeszła dom i zobaczyła, że hodowca trzody z Londonderry dostarczył ich świnie. Caleb już nappełnił im koryto wodą i nakarmił je otrębami i łodygami kapusty.

– Bekon przyjechał, psze pani! – zawołał do niej.

Beatrice podeszła do kojca.

– Dziękuję, Calebie – powiedziała. – Dziękuję. – I zaczęła go wypytywać: – Wielebny Scarlet nie wrócił do domu, tak? – Ale zanim zdołała skończyć zdanie, ścisnęło ją w gardle i zaczęła szlochać. Oczy zaszyły jej łzami i machała dłonią, bo po prostu nie mogła mówić.

Caleb upuścił wiadro z otrębami i wyszedł do niej.

– Pani Scarlet! Pani Scarlet! Co się stało?

– Wielebny Scarlet... – zdołała wykrztusić z siebie Beatrice, rozmazując palcami łzy na policzkach. – Nie ma go od rana. Nie przyjechał na pogrzeb Buckleyów, aby odprawić nabożeństwo. Nie miałam od niego żadnej wiadomości.

– A wielebny powiedział pani, dokąd jedzie?

Beatrice pokręciła głową.

– Powiedział tylko, że jedzie za panem Shooksem, żeby odkryć, jakie to interesy prowadzi. Przestrzegałam go, aby tego nie robił, ale się uparł, i teraz nie wiem, gdzie jest.

– Hm, lepiej chodźmy go poszukać – zdecydował Caleb. – Zawołałam Jubalą... Jest nad potokiem, ścina krzaki razem z dwoma chłopakami od pana Barraclougha. Oni też mogą iść szukać.

– Dziękuję, Calebie. Martwię się, że mogło mu się coś stać i potrzebuje pomocy.

– Widziała pani, w którą stronę się skierował?

– W lewo, do osady, ale nie mam pojęcia, gdzie potem. Jonathan Shooks mieszka w gospodzie w Penacook, więc mogli pojechać w tamtą stronę, ale on jest nieuchwytny. Jak duch, tak powiedział mój mąż.



Jubal i Caleb wraz z dwoma chłopakami od Barracloughów wyruszyli na poszukiwania Francisa. Obaj Barracloughowie przyjechali na plebanie na jednym koniu, więc teraz powiedzieli, że najpierw wrócą do domu i osiodłają jeszcze jednego, żeby mogli prowadzić poszukiwania jeszcze dalej.

Spróbują także namówić do pomocy tylu ludzi w osadzie, ilu się da. Francis był lubiany w Sutton i nikt w jego parafii nie chciałby, aby stała mu się krzywda.

Beatrice została w domu. Wiedziała, że na niewiele im się przyda, drepcząc po lesie w żałobnej sukni. Lepiej, żeby została tu, aby mogła powitać Francisa, kiedy wróci, i zająć się wszelkimi ranami, które mógł odnieść. Nie potrafiła wyrzucić z głowy tej myśli, że jest mocno ranny, prawie jakby próbował się z nią porozumieć telepatycznie.

Minęło popołudnie i nadal nie było żadnych wieści. Słońce zaczęło zachodzić za drzewa. Beatrice sama nakarmiła i umyła Noego, chociaż została z nimi Mary; ułożyła go w łóżeczku i zaśpiewała kołysankę.

Dobry Boże, niech Francis będzie bezpieczny, pomyślała. Nie pozwól, aby Noe został bez ojca.

Noe płakał, kiedy wychodziła z pokoju, ale wiedziała, że wkrótce zaśnie. Zeszła więc na dół i wtedy usłyszała na zewnątrz konie i powóz. Natychmiast otworzyła drzwi, aby sprawdzić, kto to taki.

– Dzięki Bogu – powiedziała, ponieważ była to ich dwukółka ciągnięta przez Uriela. Kiedy jednak wyszła na ganek, zobaczyła, że powozi ją czarnoskóry stajenny od Menduma, a sam Henry jedzie obok, nadal w czarnym kapeluszu i żałobnym surducie.

– Pani Scarlet – powitał ją, unosząc kapelusz. Zsiadł z konia i oddał lejce stajennemu.

– Co się stało? – zapytała. – Gdzie Francis? Co się z nim stało? Znaleźliście go? Jest ranny?

– Żałuję, ale jeszcze go nie znaleźliśmy – odpowiedział Henry Mendum. – Niecałą godzinę temu Bobbin zjawił się w mojej stajni, ciągnąc pusty wóz. Nie wiem, gdzie jest pani mąż, ale najwyraźniej w jakimś momencie porzucił dwukółkę, więc Bobbin sam wrócił do domu.

Beatrice położyła dłoń na końskiej szyi.

– Uriel, tak go nazywamy... Po archaniele. Wie pan może, jak daleko zajechał albo skąd mógł wrócić?

– W szprychach miał tawułę, która zwróciła moją uwagę, bo rośnie głównie nad rzekami i jeziorami, nie za blisko drogi. Szczególnie wokół stawu Johnsona, a to dobre dziesięć kilometrów stąd.

– Może pan wysłać kilku swoich ludzi nad ten staw, żeby zobaczyć, czy nie ma tam gdzieś mojego męża? Tak się martwię, że mogło mu się stać coś poważnego i nie może iść.

Henry Mendum spojrział ku wysokim sosnom za sadem. Słońce zaszło już za nie, a w wieczornym powietrzu krążyły nietoperze.

– Żałuję, ale teraz już jest za późno. Niedługo zrobi się tak ciemno, że sami nie będziemy wiedzieć, czy mamy oczy otwarte, czy nie. Ale obiecuję, że z pierwszym brzaskiem zwołam wszystkich dostępnych ludzi.

– Dziękuję. Rozumiem i doceniam. I dziękuję też za sprowadzenie Uriela.

– Całym sercem jestem z panią – odparł Henry Mendum. – Jak tylko będę miał jakieś wieści, dam znać. Życzę dobrego wieczoru.

To powiedziawszy, dźwignął się na siodło, zawrócił swojego kasztana i pokłusował podjazdem, a stajenny pobiegł za nim.

Mary wyszła i pomogła Beatrice wyprząc Uriela. Zaprowadziła go na padok i otworzyła bramę.

– No, już, Urielu. Dobry koń. Żebyś ty tylko umiał mówić.



Mary została na noc w pokoju Noego, żeby bladym świtem Beatrice mogła zaprząć Uriela i przygotować się do wyjazdu nad staw Johnsona. Wiedziała, że wszelkie poszukiwania Francisa będą prawdopodobnie bezowocne, ale była zbyt poruszona, żeby siedzieć beczynn timer w domu, nieustannie wychodząc i wyglądając na podjazd, aby sprawdzić, czy ktoś jedzie, albo nasłuchując końskich kopyt lub kół powozu.

Mało co spała w nocy, a jeśli już, budził ją deszcz spływający po oknie, który z początku wzięła za czyjś bardzo cichy szept wprost do jej ucha.

Mary nalegała, aby zawinąć jej w chustę mały bochenek chleba i dać kamienną butelkę soku jabłkowego, ale Beatrice nie czuła się ani głodna, ani spragniona. Kiedy kierowała Urielem w stronę osady, widziała po chmurach, że dzisiaj pogoda będzie bardziej burzowa i będzie też chłodniej.

Wokół trawiastego placu w miasteczku nie było nikogo, chociaż, gdy przejeżdżała obok, słyszała dźwięki dochodzące z kuźni Rodneya Bartletta. Ponieważ w nocy padało, od trawy czuć było mocno końskim nawozem.

Przejechała obok domu wdowy Belknap, ale nie wyglądało na to, żeby właścicielka wróciła. Zasłony były zaciągnięte do połowy, a koza znikła. Albo przegryzła powróż i uciekła, albo zaopiekował się nią któryś z sąsiadów.

Droga nad staw Johnsona biegła niałe dziesięć kilometrów na północ, prawie równoległe do rzeki Merrimack. Potem skręcała ostro na północny wschód, gdzie las robił się gęstszy, a ziemia bardziej skalista. W końcu schodziła znowu ku północy, ostro w dół, aż przechodziła przez gęsto zalesioną dolinę z dużym, ciemnym stawem pośrodku, tak czarnym i lśniącym jak tafla lustra.

To był właśnie staw Johnsona, i jak powiedział Henry Mendum, jego brzegi gęsto porastała puszysta fioletowa tawuła, wyglądająca jak krzewy, których jej ojciec używał do czyszczenia butelek. Beatrice zatrzymała wóz nad wodą, aby Uriel mógł odpocząć i się napić. Las dookoła był ciemny, chłodny i pachnący, a od czasu do czasu ciszę przerywał powtarzający się gwizd kowalików. Beatrice wypila trochę soku jabłkowego, odchyliła głowę do tyłu i powoli zamknęła oczy.

Prawie zasnęła na chwilę, kiedy usłyszała trzask, jakby ktoś stąpał po gałązkach, i otworzyła oczy, nerwowo odwracając głowę. Wciągnęła powietrze zaskoczona, ponieważ skradała się do niej brązowa postać i była oddalona zaledwie o dziesięć metrów.

Chociaż była ubrana na brązowo, nie wyglądała tak samo jak postać w brązowej szacie, którą widywała w okolicach plebanii. Głowę miała zakrytą tak, że nie było widać twarzy, ale to, co ją otulało było kocem, nie płaszczem.

– Kim jesteś? – spytała Beatrice, starając się przemawiać twardo. – Czego chcesz? Nie mam pieniędzy!

Postać podeszła do dwukółki i zastygła w bezruchu. Beatrice wpatrywała się w nią, a serce tłukło jej się o żebra... Tak mocno, że myślała, że słyszy je też ta postać.

Zagwizdał kolejny kowalik i w tym momencie postać poruszyła lewą ręką, aż koc opadł na ziemię. Beatrice podskoczyła na siedzeniu, zaskoczona. Była to wdowa Belknap, całkowicie naga, chuda jak szkielet, z nogami jak kije od miotły, o bladej skórze poza trójkątem opalenizny na klatce piersiowej od noszenia głęboko wyciętej sukni. Jej splecione blond włosy, najeżone gałązkami, liśćmi i rzepami, zwisały do kościstych ramion. Piersi miała płaskie i obwisłe, o sutkach ciemnych jak rodzynki, a całe jej ciało pokryte było zadrapaniami.

Spojrzała na Beatrice szmaragdowymi oczami, chociaż najwyraźniej nie potrafiła się na niej skoncentrować, i lekko bujała się z boku na bok, mimo że nie było wiatru.

– Wdowo Belknap – powiedziała Beatrice. – Co się z panią stało? Co pani robi w lesie? Gdzie pani ubranie? Ktoś panią chłostał? Wygląda na to, że tak!

– Jak mnie nazwałaś? – zapytała wdowa niewyraźnym głosem.

– Pani jest wdową Belknap.

– Nie jestem nikim takim. Mam na imię... Mam na imię Bernice.

– Dobrze, jesteś Bernice. Ale co tutaj robisz i gdzie twoje ubranie? Nie możesz wędrować tutaj nago. Ja szukam mojego męża, Francisa. Wielebnego Scarleta. Widziałaś go?

– Szukam zemsty. Szykuje się, by szerzyć spustoszenie!

– Zemstę na kim? I za co?

Wdowa Belknap uniosła jeden palec, a potem rozejrzała się,

jakby podejrzewając, że ktoś może ją podsłuchiwać.

– Zemstę za ich wszystkie pomówienia, za wszystko. Zemstę za ich hipokryzję, szczególnie tego brązowego.

– Jakiego brązowego? O kim mówisz?

– Och, wydaje się taki prawy. Taki bez winy. Ale są diabły i diabły. Przynajmniej szatan nie udaje, czego chce, nie tak jak ten diabeł.

– Ale kto to jest, wdowo Belknap... To znaczy Bernice? – indagowała Beatrice.

Wdowa Belknap zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała, o czym ona do niej mówi. Pochyliła się i podniosła z ziemi koc, po czym założyła go na ramiona. Splunęła zdecydowanie, a ślina zawisała jej na sterzącym podbródku.

– Kto to jest, Bernice? – powtórzyła Bea.

– Jeszcze nie skończyłam – odparła wdowa. – Wszyscy ucierpią, przysięgam! Wszyscy ucierpią! Mężczyźni, kobiety, dzieci, bydło i świnię! Plagi egipskie to nic w porównaniu do tego, co spotka tę parafię!

– Ale nadal nie rozumiem dlaczego – powtarzała Beatrice. – Jeżeli ludzie z tej osady cię zniesławiali, zawsze możesz postawić ich przed sądem i żądać odszkodowania. Nie pamiętasz sprawy pani Sanderson, kiedy Abigaile Belling nazwała ją „Żydówką” i „kuternogą”? Dostała za to pięć szylingów.

– Sanderson? Ha! Nie zasłużyła na to. Nigdy nie ulitowała się nad biednymi. Ale nie chcę pieniędzy, pani Scarlet. Chodzi o wyrównanie rachunków! Nazwijcie mnie zdziłą, a będę zdziłą, to dla was zemsta. Nazywacie mnie czarownicą? Wlecę do was kominem w nocy i zaduszę wam dzieci!

– Ale kim jest ten brązowy? I co zrobił, że tak poważnie cię obraził?

Wdowa Belknap uniosła lewą rękę, tak że koc w połowie zakrył jej twarz, i puściła do niej oko. A następnie zaczęła się śmiać... Wysoko, histerycznie, aż Beatrice ścierpła skórę.

Potem uniosła koc wysoko nad głowę i tańczyła w kółko, nadal się śmiejąc. W końcu, nie mówiąc nic więcej, odeszła,

tańcząc nad brzegiem stawu, przedzierając się przez tawułę, aż włochate fioletowe kwiaty rozsypywały się na wszystkie strony. Beatrice nie mogła nic zrobić, tylko siedzieć i patrzeć, jak wdowa znika między drzewami. Nadal dobiegał do niej jej śpiew, ale kobiety nie było już widać.

Beatrice chciała jeszcze raz zapytać wdowę Belknap, czy widziała Francisa, albo przynajmniej, czy może ma pojęcie, co się z nim stało, ale teraz było już za późno.

Bardzo zaniepokoiły ją słowa wdowy o „brązowym”. Czy mówiła o postaci w brązowym płaszczu, która nawiedzała plebanię? Czy pragnęła zemsty na nim, bo wyrządził jej krzywdę albo ją zniesławił? Kto zadał jej te rany na piersiach? Nawet jeżeli był to ten „brązowy”, który przyniósł Beatrice perfumy i kwiaty, czy to możliwe, że stwarzał zagrożenie?

Beatrice przywiązała Uriela do drzewa i obeszła staw dookoła, co zajęło jej prawie dwie godziny. Zabrała ze sobą laskę z mosiężną rączką i użyła jej do rozcierania krzewów i zielska, na wypadek gdyby Francis leżał pod nimi, niewidoczny dla oczu.

W końcu jednak, zmęczona, zapłakana i podrapana przez wrzośce, musiała się poddać i przyznać, że go tam nie ma. Może Jubal i Caleb albo któryś z chłopaków od Barracloughów będą mieli większe szczęście. Wsiadła do dwukółki i skierowała się w stronę Sutton.

Rozdział 27

Wracała do osady, ale kiedy miała do domu jeszcze blisko dwa kilometry, zobaczyła wysoki słup dymu unoszący się ponad drzewami. Był zbyt czarny i gęsty, aby mógł pochodzić ze zwykłego ogniska, poza tym nie unosił się z centralnego placu w miasteczku, a więc, jego źródłem nie mógł być komin z kuźni Bartletta. Strzeliła z bata, by przymusić Uriela do szybszego kłusa; koń spróbował, chociaż był już zbyt zmęczony drogą do stawu Johnsona i z powrotem.

Kiedy wjechała do osady, zobaczyła, że to dom Buckleyów płonie żywym ogniem, wyrzucając kłęby dymu. Wielkie pomarańczowe płomienie tańczyły w oknach salonu i frontowych drzwiach, a cała konstrukcja domu już się zajęła.

Tłum trzydziestu lub czterdziestu mieszkańców zgromadził się tam, a przynajmniej dziesięcioro z nich utworzyło łańcuch, aby podawać wiadra wody od pompy przy korycie dla koni. Ogień był tak wściekły, że te starania nie przynosiły żadnego skutku, a prawie każda zawartość wiadra po prostu eksplodowała obłokiem pary, gdy tylko chluśnięto ją w ogień.

Beatrice wysiadła z dwukółki i szybko przywiązała Uriela do najbliższego płotu. Podbiegła do Thomasa Varneya.

– Mój Boże, panie Varney! – zawołała. – Jak to się stało? Czy Judith jest bezpieczna? A Apphia?

Varney miał twarz czerwoną i spoconą, a na czole rozmazaną sadzę.

– Obie nadal są w środku! Razem z Williamem Rolfe'em chcieliśmy tam wejść i uratować je, ale to jak próbować wejść w bramy piekła!

Podano mu kolejne wiadro, zamachnął się i wylał jego zawartość w okno salonu, ale rozległ się tylko trzask i syk, a potem wzniósł się obłok pary.

W tej samej chwili na piętrze, dokładnie nad salonem, otworzyło się okno i wydobył się z niego gęsty czarny dym wraz z deszczem iskier. Pojawiła się w nim Judith Buckley z Apphią w ramionach. Twarz miała poczerniałą od dymu i Beatrice widziała, że grzbiety jej dłoni są spalone na szkarłat. Apphia płakała, zawodząc wysoko.

– O, Boże, pomóż nam! – krzyknęła Judith. – O, Boże, płoniemy!

Beatrice zwróciła się do Thomasa Varneya:

– Drabiny! Ma ktoś drabiny?

Thomas Varney odwrócił się i wskazał w stronę domu zebrań. Już Peter Duston i jego czeladnik John biegli, niosąc długą drabinę.

Beatrice podniosła wzrok do okna na piętrze.

– O, Boże, ratuj nas! – krzyczała Judith, ale w tym momencie tuż za nią buchnęły płomienie, od których zajęły się jej halki. Zaraz po tym zapłonęła od stóp do głów, nadal krzycząc, a koszulka Apphii też zajęła się od ognia. Apphia wrzasnęła i szamotała się w rękach matki, gdy płomienie otaczały je obie.

Beatrice zrobiła kilka kroków do przodu, ale Thomas Varney złapał ją za ramię. Nie można było nic uczynić, aby je uratować. Peter Duston dobiegł z drabiną, chwytając powietrze, ale spóźnił się o sekundy.

– O, Boże – wymamrotał, przyciskając dłoń do ust.

Kiedy wszyscy patrzyli w bezradnym przerażeniu, Judith wyrzuciła Apphię przez okno. Dziewczynka już płonęła, więc wyglądało, jakby Judith cisnęła płonąca kukłę, a nie prawdziwe dziecko. Beatrice wydało się, że czas spowolnił i upadek Apphii trwał wieczność. Kręciła koziółki, machając rączkami

i nóżkami, a płomienie cicho strzelały, gdy spadała na ziemię. Uderzyła w trawę przed domem z głuchym tąpnięciem i dwaj mężczyźni podbiegli, aby połączyć ją wodą z wiader.

Apphia leżała na plecach, drgając przez moment, a potem znieruchomiała. Beatrice spojrzała w okno, ale Judith już zniknęła, a płomienie pożądliwie wysuwały smocze jęzory.

Beatrice uklękła obok Apphii, lecz dziewczynka najwyraźniej nie żyła. Włosy miała spalone kępkami, twarz pokryta pęcherzami, a koszulka zamieniła się w zwęglone łachmany.

– Moje biedactwo – wyszeptała Beatrice.

– Teraz jest u Jezusa – powiedział Thomas Varney. Beatrice nie odwróciła się, ale poznała po jego głosie, że płacze.

Wstała.

– Skąd ten pożar? Czy ktoś wie?

Meg, dziewczka służebna Judith, szlochała.

– Pani Buckley posłała mnie do mleczarni po mleko, a kiedy wróciłam, dom już się palił. Nie mam pojęcia dlaczego. Ogień był tylko na kuchni, a ona nigdy nie sprawiała kłopotów.

Teraz ogień ogarnął cały dom i wewnątrz zapadło się z głośnym hukiem. Piętro runęło do salonu, a razem z nim krosno, które Judith trzymała na górze, natomiast schody przewróciły się na bok. Ogień był tak intensywny, że w kwadrans cały dom zamienił się w poczerniały szkielet, z którego buchał czarny dławiący dym.

Można było tylko stać i patrzeć, jak ogień się wypala. Pani Rust przyniosła szary koc, aby zakryć Apphię, a dwaj mężczyźni przenieśli ciało na małą taczkę i odwieźli do domu pani Rust.

Gdy drewniane szczątki jeszcze się tliły, Beatrice podeszła do Petera Dustona. Twarz miał pozbawioną koloru i był tak zdenerwowany, że ledwo mógł wydobyć głos.

– Pobiegłem po drabinę jak najszybciej – mówił, szlochając. – Jak najszybciej, przysięgam.

– Wiem, Peterze, ale ja nigdy nie widziałam, żeby dom płonął tak szybko.

– Podejrzewam, że został umyślnie podpalony. Jak inaczej mógł spłonąć w takim czasie?

– Nie wiem, kto chciałby spalić dom Judith. Według mnie i tak ostatnio spotkało ją mnóstwo nieszczęść.

Mimo to nie mogła powstrzymać się przed myślą: Ciekawe, czy to sprawka wdowy Belknap. Nie było jej tu, gdy pożar się zaczął, ale z drugiej strony wcale nie musiała tu być. Przypomniała sobie, jak ojciec pokazywał jej, jak podpalić bawełniane gałgany przez samo zamoczenie w nadmanganianie potasu, a potem polanie rozcieńczonym olejem. Szmaty nie zawsze zapalały się od razu, więc ojciec pamiętał, aby je wyrzucić przed wyjściem z laboratorium, gdyby miały później zająć się ogniem. Może wdowa Belknap też wiedziała, jak to się robi, albo miała własny sposób wzniesienia pożaru.

– Wcześniej widziałem tego człowieka z czarno-siwymi końmi przed domem pani Buckley – odezwał się Peter Duston, wycierając oczy i nos.

– Jonathana Shooksa?

– Nie wiem, jak on się nazywa, ale ma czarną kaleszę i kretyna za woźnicę.

– Tak, Jonathan Shooks. O której to było?

– Wcześniej, mogło to być o siódmej.

– Hm. – Beatrice spojrzała na tłący się szkielet domu Buckleyów. Kilka małych ognisk nadal paliło się wewnątrz i wciąż było zbyt gorąco, aby wydobyć ciało Judith, cokolwiek z niego zostało. – Zrobisz dla nich trumny? Dla Judith i Apphii?

– Oczywiście, i nie policzę za nie. Przyniosłem drabinę, jak mogłem najszybciej, przysięgam.

– Z całą pewnością, Peterze. To nie twoja wina, ale wygląda na to, że czekają nas jeszcze dwa pogrzeby.

– Och... Tak mi przykro, proszę pani – powtarzał Peter Duston, biorąc się w garść. – Chciałem panią zapytać. Czy są jakieś wieści o pastorze?

– Nie, jeszcze nie. Sama poszłam go szukać dzisiaj rano, ale nigdzie nie ma ani śladu.

– Przykro mi. Naprawdę. Módlmy się do Boga, aby pani mąż wrócił bezpiecznie. Zdaje się, że cała osada jest teraz przeklęta.

Przeklęta! Ale cośmy zrobili, że to nas dotknęło, nie mam pojęcia.



Beatrice została w miasteczku aż do późnego popołudnia i wykonywała swoje obowiązki żony pastora. Wszystkie kobiety i dzieci, które widziały, jak Judith i Apphia spłonęły, były w szoku, a ona je pocieszała i przyniosła Biblię z kościoła, by odczytać im modlitwy, chociaż sama była równie zaszokowana, a głos jej się trząsał, kiedy cytowała Hioba: „Potem me szczątki skórą odzieję i ciałem swym Boga zobaczę. To właśnie ja Go zobaczę”.

Beatrice stała na skraju placu i patrzyła, jak trzech mężczyzn podnosi z popiołu zwęglone ciało Judith, z rękami i nogami zgiętymi jak u nakręcanej małpki.

Gdy to obserwowała, podjechał na swoim wielkim, parskającym, sapiącym i rzucającym łbem koniu konstabl Jewkes. Zsiadł z konia i podszedł do niej.

– Na miłość boską, pani Scarlet, co tu się wydarzyło? Zobaczyłem dym aż z Allen’s Corners.

– Na co to wygląda, panie konstablu? Dom Buckleyów spłonął, a Judith i jej córeczka Apphia nie żyją.

– Na miłość boską! Pani wybaczy moje wzburzenie.

Jewkes wszedł w pogorzeliisko, wysoko unosząc kolana, aż dotarł do ciała Judith. Pochylił się i przyjrzał się mu z bliska, a potem ostrożnie wrócił do Beatrice.

– Jak powstał ogień? Czy rozmyślnie? Ktoś wie?

Beatrice pokręciła głową.

– To mógł być wypadek, chociaż żadne świece nie były zapalone, bo już był dzień, a młoda Meg powiedziała mi, że palenisko w kuchni nie stwarzało zagrożenia.

– Nie mogę aresztować nikogo za podpalenie, jeżeli nie jestem pewien, że to rzeczywiście podpalenie.

– Nawet gdyby pan wiedział na pewno, że to podpalenie, nadal nie mógłby pan aresztować nikogo, dopóki nie miałby pan pewności, kim jest podpalacz.

– Powiem coś dobrodziejce, dla ślepego konia kiwnięcie łbem jest tak samo dobre jak mrugnięcie okiem. Znam wszystkich w promieniu trzydziestu kilometrów i wiem, do jakich podłości są zdolni, więc pani nie musi mi mówić, co mam robić, z całym szacunkiem.

Przerwał i niespodziewanie kichnął, ponieważ dym podrażnił mu nos.

– Powiem jeszcze jedno. Od brzasku dzisiaj rano szukam męża pani, pastora, i dlatego mnie nie było, żeby zająć się tą po... po... pożogą. Ale szczęście mi nie dopisało. Pojechałem aż do Musquash i do Litchfield Bridge, więc pani nie może mnie oskarżyć o miganie się od obowiązków.

Beatrice nie wiedziała, co powiedzieć. Stała i patrzyła, jak spalone ciało Judith jest wynoszone z domu, i wydawało się absurdalne, że słońce świeci tak ciepło, niebo jest tak niebieskie i ptaki śpiewają tak radośnie.

– Pani Scarlet, dobrze się pani czuje? – zagadnął konstabl Jewkes.

– Niezupełnie – odparła Beatrice.

– Czy mogę coś dla pani zrobić? Oczywiście poza znalezieniem pastora?

– Nie... Nie, dziękuję, ale miło, że pan pyta. Gdyby miał pan jakieś wiadomości, będę w domu.

– Przepraszam dobrodziejkę – powiedział. – Nie chciałem...

Lecz Beatrice pokręciła głową i uniosła obie ręce, aby pokazać mu, że to nie ma znaczenia. Wszyscy w osadzie byli zmartwieni, bezradni i przerażeni. Nawet Thomas Varney jej powiedział:

– Czuję, jakby Bóg nas opuścił. Naprawdę.



Popołudnie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Zazwyczaj spędzała je na gotowaniu i robieniu przetworów, ale tego dnia miała sporo cerowania. Usiadła w salonie i zaczęła zszywać jedną z koszul Francisa, w której podarł się rękaw, choć sama nie wiedziała, czy ta praca ma sens – czy on jeszcze ją kiedykolwiek założy. Musiała przerwać na chwilę, z robótką na kolanach uniosła głowę, z trudem starając się przełknąć gulę w gardle.

W końcu zrobiło się ciemno, a kiedy położyła Noego spać, sama poszła do łóżka. Wzięła z sobą notatki ojca i przewertowała je, aby sprawdzić, czy znajdzie jakiś odnośnik do chemikaliów, które mogą wzniecić ogień. Niestety ojciec nie robił swoich notatek w żadnym konkretnym porządku, co było okropnie frustrujące. Nie prowadził także żadnego indeksu, więc za każdym razem, kiedy chciała sprawdzić jakiś eksperyment, który mógł przeprowadzić, albo jakieś odkrycie, którego mógł dokonać, musiała przejrzeć każdy z notesów, kartka po kartce.

Teraz jednak, skoro nie miała dla kogo gotować ani z kim rozmawiać, mogła na to wykorzystać całą noc.



Prawie po godzinie, kiedy świeczka przy łóżku zaczęła migotać i przygasać, natrafiła na odnośnik do *Mikstury spontanicznie ogień wzniecającej*.

Wpierw rozpuścić w wodzie kryształki nadmanganianu potasu, wedle opisu niemieckiego alchemika Johanna Rudolfa Glaubera z 1659 roku (a zawartego w jego Opera Chymica). Namocz bawełniane gałgany w fioletowym roztworze nadmanganianu, a kiedy nasiąkną, polej resztkami olejku po wyrobie świec. Prawie zawsze da to natychmiastowy zapłon, chociaż należy uważać, jeżeli do tego nie dojdzie; pozbadź się szmat starannie, gdyż mogą zająć się później samoczynnie, gdy nikt nie będzie ich pilnował.

Pamiętała ten eksperyment, ale innych wzmianek o chemikaliach do wzniecania ognia nie mogła znaleźć, chociaż było też ostrzeżenie dotyczące szmat zabrudzonych olejem, które mogą same wybuchnąć przy gorącej pogodzie.

Świeca zaczęła migotać, kiedy uwagę Beatrice zwrócił inny wpis.

Obłąd i iluzje wywołane piołunem

Olejek piołunu ekstrahowany jest z ziola Artemisia absinthium, a ja zalecam go w formie rozpuszczonej na kilka problemów trawiennych, jak również na tasiemca. Podejrzewam także, że niektóre z moich klientek zakupiły go, aby pozbyć się niechcianego płodu. Jednak w dużych dawkach jest wysoce toksyczny i może wywołać obłąd albo iluzje, którym towarzyszą konwulsje, czasami pod postacią obłąkańczego tańca.

To wszystko, co Clement Bannister zapisał na temat olejku z piołunu, ale Beatrice pomyślała o wdowie Belknap tańczącej w lasach wokół stawu Johnsona.

Skończyła czytać, gdy zgasła świeczka. Z początku położyła notes po stronie łóżka, gdzie powinien leżeć Francis, ale potem pochyliła się i zrzuciła go na podłogę, na wypadek, gdyby miała zapeszyć, że on nie wróci tej nocy.

Przez pierwsze kilka godzin noc wydawała się ciemniejsza i bardziej parna niż kiedykolwiek, ale zaraz po północy wszedł księżyc i świecił poprzez gałęzie sosen, a sypialnię wypełniło zimne, nieludzkie światło. W każdym razie Beatrice nie mogła spać. Obojętnie czy miała oczy otwarte, czy zamknięte, nie potrafiła zamazać w głowie obrazów Judith Buckley wzywającej pomocy w oknie na piętrze i Apphii w płomieniach, spadającej na ziemię.

Położyła się na plecach i mocno zacisnęła pięści i usta, aż ogarnął ją fizyczny ból z żalu po wszystkim, co się wydarzyło.



Minęły trzy kolejne dni i nadal nie było ani śladu Francisa. Generał Holyoke rozesłał umyślonych do wszystkich sąsiadujących osad, a jednocześnie zorganizował poszukiwania, zwołując ponad pięćdziesięciu okolicznych mężczyzn i chłopców. Przeszukali cały przyległy teren na pięć kilometrów we wszystkie strony, ale nie natrafili na ślad pastora. W lasach na południowym wschodzie od Sutton natknęli się na tymczasowe obozowisko, w którym dopiero co płonęło ognisko i najwyraźniej ktoś tam spał, ale ktokolwiek to był, musiał ruszyć dalej.

W każdym razie Francis nie obozowałby w lesie, chyba że stracił rozum i zapomniał, kim jest i gdzie mieszka.

Beatrice prowadziła plebanie i posługę kapłańską, jak umiała najlepiej. Pomogła Benjaminowi Lynchowi zorganizować pogrzeb Judith Buckley i Apphii i w środowy poranek pochowano je na cmentarzu obok Nicholasa i Tristrama. Tym razem przemowa Benjamina była krótka i poruszająca. Powiedział zgromadzonym, że rodzina Buckleyów jest teraz „razem z Jezusem”. Później Beatrice wraz z panią Rust i panią Bridges zorganizowały w domu modlitwy stypę z winem i ciastem.

Większość styp stawała się po kilku godzinach dość ożywiona, nawet radosna. W końcu śmierć była dość powszechna i z pewnością spotka wszystkich, a niektórym kobietom, zmarłym w ciągu ostatnich kilku lat, było o wiele lepiej w niebie niż w ramionach ich mężów. Lecz, wyłączając kilkoro młodszych dzieci biegających dookoła, dla wszystkich zebranych ta stypa była przygnębiająca i nieliczne głosy unosiły się ponad szept. Kiedy żałobnicy podzielili się wspomnieniami o Judith i Nicholasie Buckleyach, rozmawiali tylko o dziwnych i przerażających wydarzeniach, które ostatnio miały miejsce wokół Sutton, i o tym, jak bardzo bali się tego, co jeszcze może się wydarzyć.

– Nie byłabym zaskoczona szarańczą – oświadczyła pani Goodhue, poważna i spięta. – Trzeba tylko czytać Biblię. –

Jakby chciała zasugerować, że nikt inny nie czyta jej tak pilnie jak ona.

Po pogrzebach Beatrice zajęła się ponownie obowiązkami domowymi – pieczeniem, sprzątaniami, karmieniem świń i pracą w warzywniaku – ale z każdym mijającym dniem jej prace wydawały się coraz bardziej bezcelowe. Rankiem trzeciego dnia, kiedy obudziła się po kolejnej niespokojnej nocy, przyszło jej na myśl, że może już nigdy więcej nie zobaczyć Francisa i nie dowie się, co się z nim stało. Nie była pewna, czy to zniesie. Nawet nie będzie grobu, którym mogłaby się zaopiekować.

Z jakiegoś powodu tchnęło ją, aby otworzyć szufladę w drewnianym kredensie i wyciągnąć flakon perfum. Wyciągnęła korek i powąchała je, a potem nałożyła odrobinę na oba nadgarstki, a także na szyję za uszami. Naprawdę nie rozumiała, dlaczego to zrobiła, ale może miało to związek z próbą przywołania Francisa do domu albo z poczuciem się znowu kobietą. Jakiś mężczyzna chciał ją uszczęśliwić, podarowując flakon perfum, więc ktoś o nią dbał, nawet jeżeli był anonimowy, i nie była zupełnie sama na tym świecie.

Mary zjawiała się pięć po szóstej, ale nie przyszła pieszo, jak zazwyczaj. Przywiózł ją Peter Duston, stolarz, wozem, którym transportował długą tarcicę. Miał na sobie duży kapelusz z obwisłym rondem i skórzaną kamizelę i wyglądał zdecydowanie ponuro.

– Dzień dobry, panie Duston – powitała go Beatrice, wychodząc na ganek z Noem na rękach. – Co pana sprowadza? Coś się stało?

Mary podeszła do niej z wyciągniętymi rękami.

– Pani Scarlet, wezmę Noego.

– Co się stało? – zapytała Beatrice, jeszcze mocniej przytrzymując syna. – O co chodzi? Proszę mi powiedzieć! Chodzi o mojego męża?

Peter Duston zdjął kapelusz, odsłaniając łysą, opaloną głowę.

– Przykro mi, pani Scarlet. Naprawdę. Tak, chodzi o wielebne.

- Czy nie żyje? Gdzie jest?
- Chyba musi pani sama zobaczyć. Nie można tego opisać słowami.
- Zajmę się Noem – dodała Mary, ciągle wyciągając ręce.
- Nie wierzę, że nie chce mi pan powiedzieć, co mu się stało!
- krzyknęła Beatrice zdławionym głosem. – Niech pan powie!
- Peter Duston wbił wzrok w ziemię, ale nie odezwał się ani słowem. Beatrice, uświadomiwszy sobie, że nic więcej od niego nie usłyszy, podała syna Mary i wróciła do domu po chustę.
- Jedźmy zatem – powiedziała. – Jestem gotowa na najgorsze.
- Peter Duston pomógł jej zająć miejsce, a potem zawrócił wóz i skierował go z powrotem do miasteczka.
- Nie żyje, prawda? – spytała Beatrice, gdy dojechali do końca podjazdu, chociaż sama nie wierzyła, że to mówi. Czy to ona, czy jakaś inna Beatrice, w jakimś śnie albo w innym życiu? – Tyle może mi pan powiedzieć, prawda? On na pewno nie żyje, bo inaczej wróciłby do domu.
- Mogę tylko pani pokazać – odparł Peter Duston. Po raz pierwszy zauważyła, że u lewej dłoni brakowało mu dwóch palców, wskazującego i środkowego. – Sama pani zobaczy.

Rozdział 28

Zielony plac w osadzie był już zatłoczony, gdy przybyli, ale panowała całkowita cisza. Gdy Peter Duston zawiózł Beatrice do domu modlitwy, tłum rozstał się i kilku mężczyzn zdjęło kapelusze. Beatrice wypełniało przerażenie, ponieważ nawet nie wyobrażała sobie, co takiego musiało wydarzyć się, aby cała osada zeszła się tutaj tak wcześnie rano, kiedy prawie wszyscy powinni pracować w swoich warsztatach, domach albo na gospodarstwie.

Peter Duston zatrzymał wóz około trzydziestu metrów od ogrodzenia kościoła. Pomógł Beatrice zsiąść. Wtedy podszedł do niej generał Holyoke. Ujął w obie ręce jej prawą dłoń i powiedział:

– Pani Scarlet. Droga Beatrice. Naprawdę mi przykro.

– Gdzie on jest? – spytała. – Co się stało? Pan Duston nie chciał powiedzieć.

– Debatowaliśmy wspólnie, czy go ściągnąć, zanim przyjedziesz – powiedział generał. – W końcu to była moja decyzja, aby go tam zostawić. Wierzę, że masz prawo, Beatrice, zobaczyć dokładnie, co mu wyrządzono, a wiem, że jesteś kobietą o znacznej sile i charakterze.

– Ściągnąć go? Co to ma znaczyć, generale, „ściągnąć go”?

– Możesz mnie winić, jeśli chcesz, moja droga. Jak powiedziałem, to była moja decyzja, a jeśli w jakiś sposób spotęgowałem twój ból, mogę jedynie prosić o przebaczenie.

Ujął Beatrice delikatnie za ramię i poprowadził ją na tył domu modlitwy. Kiedy dotarli do ogrodzenia, za którym znajdował się cmentarz, obrócił ją i wskazał ku górze, na dach.

Beatrice otworzyła i zamknęła usta, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Poczuła, jak słabną jej kolana, a głowę ogarnia ciemność, jednak twardo postanowiła nie zemdleć. Mimo to mocno trzymała się ramienia generała i zrobiła sześć lub siedem bardzo głębokich wdechów.

Osiem metrów nad nią, na skraju dachu, stał prosto Francis z rękami szeroko rozłożonymi, jakby miał zaraz skoczyć. Był całkowicie nagi i bielusieńki, poza twarzą i dłońmi, które były opalone, z krucyfiksem ciemnych włosów na wąskiej piersi. Głowę miał okoloną zwiędłymi czerwonymi różami, których cierniste łodygi otaczały ściśle jego skronie.

Beatrice spoglądała na niego, nie dowierzając. Kiedy się odezwała, miała wrażenie, że w głębi gardła zalega jej flegma.

– Czy on na pewno nie żyje? – spytała. – Jak może być martwy, skoro sam stoi, nic go nie podpira!

– Przykro mi – odpowiedział generał Holyoke. – Dwaj ludzie już tam weszli, i rzeczywiście jest martwy. Jest przywiązany w kostkach do dwóch kołków, które wbito w dach, a to według nich wystarczy do podparcia. Jego ciało jest twarde jak drewno, tak powiedzieli. W zasadzie to w dotyku zupełnie wydaje się, jakby został wyrzeźbiony z drewna, tylko że bezsprzecznie uformowany jest z ciała, i to nieomylnie pani mąż, wielbny Francis Scarlet.

Beatrice odwróciła się, by spojrzeć na niego.

– Z drewna? – powtórzyła. – Mówi pan, że w dotyku jest jak z drewna?

– Teraz wiemy na pewno, że to czary! – wtrąciła pani Rust, która stała w pobliżu. – Jeden człowiek zamieniony w zupę, a drugi w drewno! To czary, jak nic!

Beatrice znowu uniosła oczy. Francis nadal tam stał, w całkowitym bezruchu, z rozpostartymi ramionami. „Wszystko, co się wydarzyło, to trawestacja wiary chrześcijańskiej”, tak jej powiedział. A teraz stał tam z rozpostartymi ramionami, jakby witał swoją trzódkę albo został przybity do niewidzialnego krzyża.

Po jakimś czasie Beatrice odwróciła się. Nie mogła dłużej

znieść widoku nagiego ciała, obok którego leżała przez tak wiele nocy. Był jej kochankiem i jej mężem, jej najbliższym przyjacielem, a teraz ich intymność została obnażona przed całą osadą, aby wszyscy się gapili. Także ten – kimkolwiek był – kto odebrał mu życie.

– Teraz go ściągniemy – zdecydował generał Holyoke. – Proszę wierzyć, zrobię to z całym należnym szacunkiem. Przepraszam, jeżeli to wszystko spowodowało pani ból.

– Nie, nie, dobrze pan zrobił, że mogłam to zobaczyć. Chcę go obejrzeć, jak go zdejmiecie. Proszę jak najszybciej zawieźć go na plebanię.

Generał nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Trumna może stanowić problem. – Zamilkł, a potem sam rozłożył ramiona. – Jak to ująć? Nie jest giętki, a to coś więcej niż *rigor mortis*.

– To proszę go przykryć całunem albo prześcieradłem, jeżeli nie ma całunu. Później zdecydujemy co z trumną.

Generał Holyoke odprowadził ją przez plac do swojego domu. Większość zgromadzonych kłaniała się jej, a niektórzy wykrzykiwali kondolencje, ale nie mieli ochoty się rozejść. Naga postać ich kapłana miała zostać ściągnięta z dachu domu zebrań, jak Chrystus zdejmowany był z krzyża, a stanowiło to widok, którego nie chcieli stracić. Będą o tym opowiadać swoim wnukom jeszcze przez wiele lat.

– Wejdz na kieliszek sherry albo filiżankę herbaty – zaproponował generał. – Muszę przyznać, że wykazałaś się olbrzymim hartem ducha. Każę oczywiście potem cię odwiedzić.

Beatrice uśmiechnęła się słabo.

– Wejdem, oczywiście. Chyba muszę usiąść na chwilę.

Generał otworzył drzwi i Beatrice weszła na korytarz, gdzie z otwartymi ramionami witała ją Marjorie Holyoke.

Trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

– Moja droga, droga Beatrice – powiedziała Marjorie, zegar szafkowy w korytarzu zaczął wybijać godzinę siódmą, a Beatrice zemdląła i przewróciła się, uderzając czołem w podłogę.



Państwo Holyoke błagali ją, aby została. Chcieli nawet wysłać woźnicę, aby sprowadził Noego, gdyby sobie tego zażyczyła. Jednak ona chciała wrócić do domu, gdzie przewieziono już Francisa. Chciała być blisko niego, nawet jeżeli był martwy.

Gdy przyjechała na plebanię, drzwi do salonu, co niezwykle, zastała zamknięte. Nie otwierała ich, ale przeszła do kuchni, gdzie Mary podawała kolację Noemu. Chłopczyk wyciągał rączki, zginając paluszki, jakby zagarniał ją do siebie, i powtarzał:

– Mama! Mama!

Beatrice podniosła go, pocałowała i przytuliła. On zaś spojrzał na nią, a w jego jasnyniebieskich oczach malowało się pytanie, chociaż nie zrozumiałby, gdyby mu powiedziała, co się wydarzyło.

– Nie wiedzieli, co zrobić z wielebnym, kiedy go przywieźli – oznajmiła zapłakana Mary. – Nie mogli go wnieść na górę przez te sztywno wyciągnięte ręce, więc położyli go na podłodze w salonie.

– Tak myślałam – odparła Beatrice. – Gdybyś mogła nakarmić Noego za mnie i położyć go spać.

– Oczywiście, pani Scarlet. Zostanę znowu na noc z panią, jeśli mnie pani potrzebuje.

Beatrice pokręciła głową.

– Nie, Mary. Lepiej ci będzie, jak wrócisz do domu. Poza tym chyba chcę zostać sama przez chwilę. Muszę się pożegnać.

Posadziła Noego na krzeselku. Protestował, zawodząc:

– Mama! Opka! – Ale ona uśmiechnęła się smutno do niego.

– Cii, Noe. Wezmę cię, zanim pójdziesz spać.

Zdjęła chustę i powiesiła ją w korytarzu. Stała przez chwilę przed drzwiami do salonu, ze złożonymi dłońmi i zaciśniętymi ustami. Nie wiedziała, czy chce zobaczyć ciało Francisa,

szczególnie jeśli było twarde jak drewno. Po jakimś czasie jednak nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Gdy tylko znalazła się w salonie, bez wahania rozpoznała zapach. Olej lniany. Wiedziała już, co się stało z Francisem, nawet jeśli nie wiedziała, kto to mu zrobił ani dlaczego.

Leżał na dywanie między krzesłami, przykryty białym prześcieradłem. Ręce nadal miał rozpostarte, a lewa dłoń wystawała spod przykrycia. Beatrice zauważyła z przerażeniem, że pośrodku dłoni widniej głęboka dziura, stygmat, jak u Chrystusa przybitego do krzyża.

Zamknęła oczy na chwilę, zbierając siły. Dlatego zostałeś pastorem, Francisie, aby walczyć z siłami zła, i nawet jeżeli stałeś się męczennikiem w bitwie z szatanem, twoja ofiara nie pójdzie na marne, obiecuję, obiecuję ci i przysięgam, najdroższy – pomyślała.

Pochyliła się, chwyciła za brzeg prześcieradła i odkryła go. Francis spoglądał na nią niewidzącym wzrokiem. Oczy miał otwarte, ale białe jak ugotowane jajka. Włosy przylegały mu płasko do głowy, a na czole miał zadrapania od korony z róż, chociaż nie było widać krwi.

W prawej dłoni także była dziura po gwoździu, a kiedy uniosła prześcieradło z jego stóp, zobaczyła, że ma stygmaty na obu podbiciach. To zdecydowanie wyglądało na dzieło szatana albo któregoś z jego demonów, ale właśnie na to miało wyglądać.

Beatrice długo spoglądała na męża. Za życia przez cały czas wyglądał poważnie, nawet kiedy był bardzo szczęśliwy, ale teraz był bardziej melancholijny niż poważny, jakby pogodził się z tym, że jego życie dobiegło końca, ale był także smutny, że jeszcze zostało tyle dni, których już nigdy nie zobaczy.

Ściągnęła prześcieradło nieco niżej, aż do pasa. Musiała zebrać w sobie całą odwagę, aby pochylić się i dotknąć jego piersi, a kiedy to zrobiła, wówczas tylko kichnęła. General Holyoke miał rację: chociaż jego skóra była nadal cielistego koloru, ciało stało się twarde jak dąb.

Powoli pogłaskała go po piersi. Nawet włosy na klatce miał

sztynne, kruszyły się pod jej dotykiem. Postukała w mostek i rozległ się dźwięk, jakby była to pusta drewniana beczka.

Uklękła obok niego i zbliżyła twarz do jego twarzy. Wciągnęła powietrze. Nie miała wątpliwości. Czuć go było mocno olejem lnianym. Jego ciało musiało zostać potraktowane w ten sam sposób jak szczur, którego przed wieloma laty ojciec zamienił w drewnianą zabawkę.

Słyszała go teraz, jak mówi, ostrząc nóż do mięsa przed świątecznym obiadem: „Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie możliwe zachować ukochane osoby po ich śmierci dokładnie takimi, jakimi były za życia?”.

Wstała. Nie wiedziała, czy to zbieg okoliczności, że ciało Francisa zostało w taki sposób utwardzone, czy ktoś jakimś cudem odkrył, co zrobił jej ojciec, i tym samym z niej zadrwił. Lecz bez względu na powód, zupełnie nie miała pojęcia dlaczego.

Jednak jednej rzeczy była pewna. Ktokolwiek to uczynił, nie był ani czarownicą, ani demonem. Przekonało ją o tym stwardniałe ciało Francisa. Czarownica albo demon wykorzystaliby do tego magię, jakieś zaklęcie, a nie długie dni gotowania w oleju.

Była także przekonana, że wszystkie straszliwe wydarzenia, które miały miejsce w Sutton i w okolicy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, zostały wywołane przez tę samą okrutną osobę, ale była ona nie tylko okrutna. Posiadała szeroką wiedzę na temat pierwiastków i związków chemicznych oraz tego, do jakich niezwykłych reakcji te związki mogą doprowadzić. Posiadała też wszechstronną wiedzę o trujących ziołach i innych roślinach, a może też o ich antidotach. Pstraży Nathaniela Rowlandsona wyzdrowiały nieomal cudem, podobnie jak było Henry’ego Menduma.

Wdowa Belknap niewątpliwie знаła się na toksycznych ziołach i prawdopodobnie była zaznajomiona z chemią. Lecz jak bez pomocy mogła związać i podpalić niewolników George’a Gilmana, a także podciągnąć ich na krokwie stodoły, i jak

mogła wnieść Francisa na dach domu modlitwy i zamocować go tam?

Jonathan Shooks twierdził, że układa się z demonem, i tego demona obwiniął o wszelkie nieszczęścia, w tym śmierć Nicholasa Buckleya. Lecz skoro nie było żadnego demona, skoro szatan nie był w to zamieszany, obojętnie pod jaką postacią, odpowiadać za to musi jedynie Jonathan Shooks.

Przypomniała sobie te chińskie patyki ogniste, które gasił w wodzie i podawał ją bliźniętom. Bez wątpienia ów napar pomógł im ozdrowieć, chociaż Beatrice nie rozumiała w jaki sposób. Okazało się jednak, że Jonathan Shooks znał się na chemii.

– Och, Francisie – wyszeptała. Myślała o tym, jak w niedzielne poranki wpatrywał się w nią w Birmingham, kiedy wracała z kościoła, i jak odepchnął kuzyna Jeremy'ego, kiedy ten ją zaatakował. Przypomniała sobie ich noc poślubną i podróż przez Atlantyk, kiedy przez wiele dni cierpiała na chorobę morską.

Przypomniała sobie dzień przyjazdu do Sutton, gdy wjechali na porośnięty trawą plac w centrum osady. Słońce świeciło poprzez chmury i dzień to robił się jaśniejszy, to znowu pochmurny, jasny i pochmurny, a ona myślała, że znaleźli się w raju.

Przykryła Francisa prześcieradłem. Będzie musiała zajrzeć jutro do Petera Dustona i poprosić go, aby zrobił trumnę. Będzie też musiała poprosić go, aby odciął Francisowi ręce.

Wyszła z salonu i zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała, żeby mały Noe wszedł tam i znalazł ojca na podłodze. Nie tylko widok męża, ale także woń oleju lnianego przyprawiała ją o mdłości.

Podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Było już prawie ciemno, a owady śpiewały głośniej i bardziej intensywnie niż kiedykolwiek. Gdy tak stała, wydało jej się, że dostrzegła jakiś ruch na końcu podjazdu. Wyteżyła wzrok, a wtedy z cienia wyszła postać w brązowym płaszczu i z kijem w ręku i stanęła na trakcie.

Może jesteś Aniołem Śmierci, pomyślała. Jeśli tak, to

zdecydowanie wiesz, kiedy złożyć nam wizytę.

– Ty! – zawołała, chociaż głos miała słaby z napięcia i zmęczenia. – Ty! Kim jesteś? Czego chcesz?

Postać nie odpowiedziała. Beatrice nie wiedziała, czy powinna się jej bać, czy nie. Po dłuższej chwili postać odwróciła się, weszła w mrok i znikła.

Beatrice wróciła do domu, uklękła obok łóżka i pomodliła się za Francisa. Miała nadzieję, że jest w niebie, że obcuje z Jezusem i że jest szczęśliwy. Tak, najbardziej chciała, aby był szczęśliwy.

Wiedziała, że nie pochwaliliby jej za dokonanie zemsty na jego mordercy. „Do mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę – mówi Pan”. Jednak była przekonana, że Pan Bóg powinien wiedzieć, kogo ukarać, a potem wymierzyć sprawiedliwość z największą surowością.



Nazajutrz zaprzęła dwukółkę i pojechała do osady. Poranek był ciepły, ale dziwnie mglisty, więc Beatrice czuła się, jakby cały czas znajdowała się w jakimś upiornym śnie. Najpierw zajechała do Rodneya Bartletta, ponieważ zajmował się tak wieloma końmi, że zapewne zużywał więcej oleju lnianego w osadzie niż ktokolwiek inny. Olej lniany uspokajał konie i nadawał połysk ich sierści i grzywom, a także przynosił ulgę od gzów, szczególnie o tej porze roku, gdy w powietrzu roiło się od owadów.

– Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się wczoraj stało, proszę pani – powiedział kowal. – Całe Sutton jest w żałobie i współczuje pani.

– Dziękuję panu, to miłe z pana strony – odparła Beatrice. Rozejrzała się po mrocznej i zadymionej kuźni. Piec właśnie rozpalono, a w przybudówce uwiązano pięć lub sześć koni, które zaczynały się niepokoić, jakby wiedziały, że wkrótce czeka

je podkuwanie. – Czy ktoś kupował ostatnio od pana olej lniany?

– Słucham? – Rodney Bartlett zmarszczył czoło, jakby zadała mu pytanie w obcym języku.

– Olej lniany. Szukam kogoś, kto mógł zakupić całkiem sporą ilość oleju lnianego... Możliwe, że przed jakimś tygodniem. Co do daty, to nie jestem pewna. Albo może zabrał bez pańskiej wiedzy.

Rodney Bartlett powoli pokręcił głową.

– Sam nikomu nie sprzedawałem. I o ile mi wiadomo, nie zginęła żadna ilość. Może pani zapytać Matthew Blacketta. On używa oleju do konserwacji strzelb. Albo Jamesa Fullera, też go używa, przy wyrobie mebli. No, ale ja zaopatruję się u Roberta Nortona, w Billington's Corners.

– Roberta Nortona, tego wytwórcy farb?

– Właśnie. Wymieniamy się. On mi przywozi ponad sto pięćdziesiąt litrów oleju dla moich koni, a ja mu daję tyle samo końskich sików do wyrobu farb.

– Robi farby z...?

– Z końskich siuszków, jak nic. Z bieli ołowianej i końskich sików. W każdym razie z tego wychodzi zielona, to na pewno. Bóg wie, czego używa do brązu.

– Dobrze. Dziękuję i do widzenia – pożegnała się Beatrice.



Pojechała do Billington Corner's, które według Caleba było podrzędnym rozdrożem na wygwizdowie, a nie miasteczkiem. Jednak właśnie tutaj Robert Norton wraz z bratem Ablem prowadzili swój sklep z farbami, w którym zaopatrywała się większość hrabstwa. Ich fabryka mieściła się w wielkiej szarej stodole nieopodal drogi do Bedford, a przed nią stało kilkanaście wozów i stosy drewnianych beczek, jak również niezliczone szklane butle w koszach z wikliny.

Poranek robił się coraz cieplejszy, a z otwartych drzwi sklepu wydobywał się ostry zapach oleju lnianego oraz cierpka, metaliczna woń barwników. Beatrice przywiązała Uriela do metalowego pierścienia na ścianie budynku i weszła do środka. Kilkoro młodych mężczyzn i dziewcząt w długich fartuchach mieliło i przesiewało ziemię albo zdrapywało metaliczne płatki z wysokich glinianych słoików.

Zastała Abła Nortona siedzącego przy biurku w małym kantorku po lewej stronie i wypełniającego księgi. Był niskim, tęgim mężczyzną, jak postać z wierszyka dla dzieci. Czubek głowy miał łysy, ale reszta włosów sięgała mu prawie do ramion i była właściwie biała. Na nosie miał okulary, które zdjął, gdy Beatrice weszła.

– Pani Scarlet! – powitał ją i wstał, aby ująć jej dłoń. – Co panią tutaj sprowadza? Zamierza pani pomalować plebanię? Mam nową brązową mieszankę, która właśnie przyплыnęła z Europy, bardzo modna, jeśli można tak rzec, ale dyskretna i jednocześnie podnosząca na duchu. Doskonale pasuje do domu pastora!

– Najwyraźniej te wieści do pana nie dotarły – odparła Beatrice. Chociaż Nortonowie należeli do ich parafii, rzadko przyjeżdżali do osady poza niedzielą, na nabożeństwo. Opowiedziała mu, jak Francis został zamordowany i zamieniony w drewno, po czym wystawiony na widok na dachu kościoła, a Norton słuchał w milczeniu zaszokowany, zagryzając wargę.

– Nie wiem, co powiedzieć, z całego serca składam kondolencje. To naprawdę straszna wiadomość! Ale... Chyba nie przyjechała pani tylko z tą wiadomością?

– Nie, panie Norton, w rzeczy samej. Chciałam zapytać, czy przypadkiem nie sprzedał pan dużej ilości oleju lnianego w ciągu ostatnich kilku dni. To byłaby niezwykle duża ilość.

Abel Norton spojrział na nią dziwnie i z powrotem założył okulary na nos.

– Olej lniany? W dużej ilości, mówi pani? Niezwykle duża ilość?

– Tak, właśnie.

– Rzecz w tym, że moje interesy zawsze są ściśle tajne. Muszę je tak prowadzić z wielu powodów, ale głównie dlatego, że moi klienci nie byliby zadowoleni, gdybym wyjawiał ich finansowe sprawy obcym.

– Sprzedał pan jednak, prawda?

Przedsiębiorca skinął głową nieomal niezauważalnie, jakby obawiał się, że ktoś może go zobaczyć lub podsłuchać.

– Proszę pana bardzo, musi mi pan powiedzieć komu.

– Pani Scarlet, naprawdę nie jestem pewien... Cóż, szczerze mówiąc, naprawdę nie wiem, jakie mogą być tego konsekwencje.

– To kwestia życia lub śmierci, panie Norton. Nie potrafię tego ująć prościej.

Abel Norton rozejrzał się, a nawet przechylił się nieco na bok, aby móc się schylić nad ramieniem Beatrice. Wtedy odezwał się ściszym głosem:

– Nie było mnie w biurze, kiedy pani się zjawiała. Przypadkiem zostawiłem na biurku rachunek, który opiewał na niezwykłą ilość oleju lnianego. Jeżeli przypadkiem go pani zauważyła, to stało się to zdecydowanie bez mojej wiedzy czy zezwolenia.

To powiedziawszy, usiadł i otworzył szufladę biurka po lewej stronie. Wyciągnął rachunek sprzedaży i położył go na księdze rachunkowej. Potem odwrócił głowę i wyjrzał przez małe okno znajdujące się wysoko ponad biurkiem, jakby nagle zafascynowały go formacje chmur na niebie.

Beatrice podeszła i podniosła rachunek. Dotyczył blisko tysiąca litrów oleju lnianego najlepszej jakości, które miały być dostarczone na farmę Rutgera niedaleko Penacook. Cena wynosiła pięć pensów za dziesięć litrów, co razem dawało dwa funty i osiem pensów, z kosztami transportu w wysokości czterech pensów.

Rachunek był wystawiony na „Sz.P. J. Shooksa”.

– Dziękuję, panie Norton – powiedziała Beatrice. Ręka jej się trzęsła, gdy odkładała rachunek na księgę. – Dowiedziałam się

wszystkiego, czego potrzebowałam. Był mi pan bardzo pomocny.

Abel Norton złożył rachunek i schował do szuflady biurka.

– Jeszcze raz wyrazy współczucia, pani Scarlet.

A gdy Beatrice wychodziła z biura, dodał:

– Czy to on jest odpowiedzialny za to, co stało się z pani mężem? Ten cały Shooks? Uznałem go za dziwaka, muszę przyznać, i tego jego woźnicę.

– Jestem tego całkowicie pewna. Ale w każdym razie bez wątpienia jest w to wplątany.

– Ale na co może się przydać taka ilość oleju lnianego?

– Do czego przede wszystkim służy olej lniany, panie Norton? Czego pan dodaje do farby i do kitu?

– Och, dobry Boże... Nie chce pani powiedzieć... Dobry Boże, i ja mu to dostarczyłem! Och, moja wina, naprawdę! Gdybym nie miał takich sztywnych kolan, ukląkłbym i błagał panią o wybaczenie!

Rozdział 29

W pierwszej kolejności Betrice wróciła do domu, aby mieć pewność, że Noe został nakarmiony i przewinięty, a Mary zajmowała się wszystkimi innymi obowiązkami. Gdy pomogła jej złożyć pościel, usiadła w kuchni z talerzem zimnej pieczonej wieprzowiny, chlebem i marynowanymi ogórkami. Żuła jedzenie powoli i z namysłem, często popijając cydrem, aby łatwiej jej się przelykało, chociaż nie miała apetytu, a mięso wydawało się bez smaku. Ogarnęła ją taka żalność, że aż bolał ją żołądek, ale była pełna determinacji i wiedziała, że potrzebuje sił i wytrzymałości, aby dokonać tego, co musi zrobić. Uriel też potrzebował odpoczynku, wody i jedzenia.

Salon był zamknięty i nie otwierała go. Dla niej drewniany człowiek leżący na podłodze pod prześcieradłem był tylko repliką Francisa, a nie samym Francisem. Jej mąż nie umarł, był czuły i kochający i nadal żył w jej sercu.

Peter Duston miał odwiedzić ją później, aby dokonać pomiarów przed zrobieniem trumny, a ona jeszcze nie rozmawiała z Benjaminem Lynchem na temat pogrzebu.

Tuż po drugiej pojechała z powrotem przez osadę i skierowała się w stronę Penacook. Najpierw pojechała na farmę Rutgera, która leżała dwa kilometry na wschód od Penacook. Beatrice wiedziała, że farma od ponad roku stoi pusta. James Rutger zmarł na leptospirozę w marcu zeszłego roku, a w krótkim czasie z życiem pożegnała się także wdowa po nim, Jessica, i od jej śmierci o gospodarstwo spierało się

w sądach siedmiu synów; trzech pochodziło z pierwszego małżeństwa Jamesa Rutgera z Heleną, która zmarła przy porodzie.

Kiedy Beatrice dojechała na miejsce, zobaczyła pola zarośnięte chwastami sięgającymi niemal do pasa, a sady zaśmiecone gnijącymi brązowymi jabłkami. Budynki się rozpadały, obłaziła z nich szara farba, okna były powybijane. Podjechała bliżej, a wtedy ciemna chmura zasłoniła słońce, przez co farma wyglądała na jeszcze bardziej zaniedbaną.

Za głównym budynkiem stały dwie duże stodoły, chociaż ta bliższa chyliła się na bok, jakby miała zaraz runąć. Beatrice wysiadała z dwukółki i podeszła przyjrzeć się zabudowaniom. Było oczywiste, że od miesiący nikt nie wchodził do tej bliższej stodoły, ponieważ drzwi opadły na zardzewiałych zawiasach, a fioletowo kwitnący rdest rósł gęsto przed nimi.

Jednak teren przed wrotami drugiej stodoły został oczyszczony z chwastów i dwa półkoliste ślady na ziemi, tam, gdzie wrota się otwierały, pokazywały, że niedawno były używane. Beatrice, dysząc z wysiłku, z wielki trudem uchyliła o kilkanaście centymetrów lewe skrzydło, akurat tyle, by móc się wcisnąć.

Ta stodoła była niegdyś magazynem paszy. Beł siana nadal leżały ułożone wysoko pod przeciwległą ścianą, sięgając niemal pod sam dach, a po prawej stronie w piramidę ułożono czterdzieści lub pięćdziesiąt worków z owsem. Większość z nich przeżarły już szczury i myszy, a ziarno wysypało się na klepisko. W stodole silnie czuć było pleśń, na wpół przegniłe siano, gnijący owies i szczurze odchody – ale również olej lniany.

Pośrodku stodoły stał wielki, okrągły miedziany kocioł do warzenia sera, o średnicy prawie metra osiemdziesięciu centymetrów. Gdy tylko Beatrice go zauważyła, chmury musiały odsłonić słońce, ponieważ nagle oświetliły go snopy światła wpadające przez otwory w dachu, jakby stodoła stała się kościołem, a tygiel przerażającą chrzcielnicą.

Beatrice widziała już wcześniej takie kotły w Haverhill, gdzie

na farmie mlecznej w Saltonstall wytwarzano żółty ser. Dookoła tego tutaj leżało kilkanaście rozrzuconych pustych gąsiorów. Kiedy podeszła do kotła, zobaczyła, że niemal po brzegi wypełniony jest bursztynowym olejem.

Wiedziała, że każdy gąsior zawierał prawie siedemdziesiąt litrów, więc kocioł musiał pomieścić przynajmniej dziewięćset kilkadziesiąt litrów, co by się zgadzało z rachunkiem Abła Nortona. Olej błyszczał w słońcu, ale jego powierzchnia była gęsto pokryta pyłem i kuleczkami tłuszczu, a także upstrzona setkami martwych much.

Istniał tylko jeden powód, dla którego ktoś wlewałby do tygla taką ilość oleju lnianego. Beatrice stała obok krawędzi i w odrętwieniu przyglądała się, starając wyobrazić sobie, co tu się stało. Widziała to tylko jak dwuwymiarowe średniowieczne malowidło, na którym nagi Francis jest zanurzany w oleju niczym święty męczennik. Miała nadzieję, że już nie żył, gdy go w to wkładano.

Zastanawiało ją jednak, dlaczego tygiel nadal był pełen. Jak Jonathan Shooks mógł być tak beztroski i go zostawić? Czy nie przyszło mu do głowy, że ona może dobrze wiedzieć, w jaki sposób potraktowano Francisa, i szukać źródła pochodzenia oleju? A może zrobił to celowo, aby z niej zadrwić i pokazać, że w ogóle się jej nie obawia?

Mógł z łatwością wybić szpunt w tyglu i pozwolić wyciec dowodom albo podpalić stodołę, co także zniszczyłoby je na dobre.

Beatrice powoli krążyła po pomieszczeniu, odsuwając nogą siano i owies, starając się znaleźć jakieś potwierdzenie, że Francisa tutaj sprowadzono. Podniosła zabrudzony fular z brązowymi plamami, które mogły powstać od krwi, ale nie była pewna, czy należał do niego, więc go odrzuciła.

Zanim wyszła na zewnątrz, zatrzymała się przy drzwiach i spojrzała na tygiel. Sama miała ochotę spalić ten budynek, ale wiedziała, że będzie to jedynie bezsensowny akt zemsty, a to powinna pozostawić Bogu. Poza tym teraz miała coś znacznie ważniejszego do zrobienia.



Gdy tylko zobaczyła gospodę w Penacook, była pewna, że Jonathan Shooks nadal tam jest. Jego kalesza stała przy stajniach, a kiedy zbliżyła się do niej, zobaczyła Samuela w długim skórzanym fartuchu, jak oporządzał siwka.

Gospoda była pomalowana na biało, miała dwa skrzydła z rdzawymi okiennicami i otaczały ją ciemnozielone dęby. Stała nad starorzeczem, w którego powierzchni się odbijała, chociaż odbicie było pofalowane i rozbite na białe fragmenty przez pływające nury.

Samuel odwrócił głowę, kiedy Beatrice podjechała dwukółką. Został jednak na miejscu, z ręką wspartą o bok konia. Zatrzymała się przed gospodą i przywiązała Uriela, a woźnica nawet nie próbował podejść do niej i się przywitać. Spojrzała na niego, wchodząc po stopniach na werandę, ale nie zareagował, jakby czekał na to, co ma się wydarzyć.

W holu podeszła do niej z uśmiechem mała kobieta o orlim nosie, w białym czepku z falbanką i bladożółtej sukni.

– Dzień dobry pani – powitała ją. – Czym mogę służyć? Szuka pani kwatery?

Gospoda była jasna i słoneczna, w holu stały wysokie wazony z chryzantemami, a w oknach wisiały żółte zasłony haftowane w ptaki i motyle. Beatrice wyczuwała zapach ciepłych herbatników i pasty do podłóg z pszczelim woskiem. Gdzieś z tyłu gospody dochodził dziewczęcy głos, śpiewający *The Raggle-Taggle Gypsies-O!* Niespodziewanie coś zakłuło ją w sercu, ponieważ jej matka śpiewała to, gdy Beatrice była mała.

– Szukam państwa gościa, pana Jonathana Shooksa.

– Przebywa w jadalni, proszę pani, spożywa obiad. Kogo wolno mi zaanonsować?

– Nie trzeba. Sama się przedstawię, dziękuję. Tędy do jadalni?

– Cóż, tak, ale nie wiem, czy pan Shooks życzy sobie, aby mu teraz przeszkadzano.

– Przeszkadzano? – powtórzyła Beatrice. Cóż za słowo, pomyślała, dla człowieka, który może być winien morderstwa mojego męża i zamienienia go w drewnianą statuetkę. – Proszę się nie martwić, „przeszkadzać” to za delikatne słowo, zamierzam uczynić znacznie więcej.

– Proszę... – odezwała się kobieta, gdy Beatrice ruszyła dalej.
– Nie mogę pozwolić, aby weszła pani bez zapowiedzi! To niestosowne!

– Jestem żoną wielbnego Francisa Scarleta z Sutton – oznajmiła Beatrice. – I mam pilną sprawę do pana Shooksa. Natury kościelnej. Więc jeśli pani pozwoli...

– Dobrze – odparła kobieta, najwyraźniej jeszcze bardziej sfrustrowana. – Gdyby zechciała pani za mną pójść.

Zaprowadziła Beatrice do dużej jadalni z trzema okrągłymi stołami przykrytymi długimi lnianymi obrusami. Dwóch młodych mężczyzn, wyglądających na wędrownych kupców, siedziało po lewej stronie, śmiejąc się nad talerzami z potrawką z kurczaka. Obaj zamilkli, gdy Beatrice weszła, i odprowadzili ją wzrokiem, poszturchując się nawzajem.

W odległym narożniku, obok okna, które wychodziło na ogród, siedział Jonathan Shooks. Słońce oświetlające go od tyłu sprawiało, że wyglądał dziwnie niewyraźnie. Przed nim stał talerz ragout ze świńskich uszu z purée z dyni, a kiedy Beatrice podchodziła do niego, właśnie zamierzał unieść do ust kieliszek białego wina. Gdy tylko ją ujrzał, odstawił go, nie wypiwszy ani kropli.

Wstał, przeszedł przez jadalnię i skłonił się jej. Miał na sobie szary płócienny surdut i siwą perukę, która przydawała mu lat, choć dzisiaj też wyglądał na zmęczonego, a pod oczami miał sine cienie.

Nie wyciągnął ręki. Po minie Beatrice najwyraźniej sądził, że nie przyjęłaby jej.

– No, no, pani Scarlet – powiedział. Głos miał głęboki i delikatny, ale także niewyraźny jak jego wygląd, a jej nazwisko

wypowiedział nieomal jak pytanie.

– Od wczoraj wdowa Scarlet, szanowny panie.

– Tak, oczywiście. Moje najgłębsze wyrazy współczucia. Jeżeli jest coś, co mógłbym zrobić, aby złagodzić pani żal, proszę nie wahać się...

– Czy mogę się do pana przysiąść? – spytała. – Zdaje się, że mamy sprawę do omówienia.

– Ależ oczywiście. Pani Pitcher... Mogłaby pani podać nam jeszcze jeden kieliszek?

– Nie ma potrzeby – dodała Beatrice. – Nie będę piła wina.

Jonathan Shooks obszedł stół i wysunął dla niej krzesło, a potem sam usiadł. Pani Pitcher stała przez chwilę niezdecydowana, a potem powiedziała:

– Czy mam schować pański obiad od pieca, panie Shooks, żeby nie ostygł?

– Proszę się nie kłopotać – odparł Jonathan Shooks, nie spuszczać oczu z Beatrice i spoglądając na nią drwiąco, niby nabożnie, jak zawsze, co miało sugerować: „Mógłbym cię mieć, moja pani, w każdej chwili, gdybym tylko chciał”. – Obawiam się, że kiedy pani Scarlet i ja skończymy rozmawiać, zupełnie stracę apetyt.

Beatrice zastanawiała się, dlaczego użył słowa „zupełnie”, dopóki nie spojrzała na jego talerz i nie zauważyła, że jedno ze świńskich uszu w pomarańczowym sosie nadal pokrywa szczecina.

– Nie będę owijała w bawełnę, panie Shooks – zaczęła Beatrice. – Wiem, że jest pan odpowiedzialny za śmierć mojego męża.

Wypowiedziała to z takim spokojem, na jaki tylko ją było stać, starając się mówić cicho, aby ci dwaj wędrowni kupcy jej nie usłyszeli.

Jonathan Shooks spoglądał na nią długo, nic nie mówiąc. Wtedy podniósł kieliszek wina i zaczął nim kręcić. Krzywe odbicie wina migotało na jego ustach, więc wyglądał, jakby na zmianę raz się uśmiechał, a raz poważniał.

– To bardzo obciążające oskarżenie, pani Scarlet.

Oskarżenie, które mogłoby zaprowadzić mnie na szubienicę.

Zwróciła uwagę, że nie powiedział: „Dlaczego tak pani sądzi?” albo: „Czy ma pani dowody?”. Nie powiedział nawet: „To wierutne kłamstwo, jak pani śmie?”.

– Mój mąż został zanurzony w kadzi z olejem lnianym, panie Shooks, co w efekcie doprowadziło do stwardnienia jego ciała, aż stało się jak drewno. Przed tygodniem zakupił pan w sklepie z farbami Abła Nortona tysiąc litrów oleju lnianego, które kazał pan dostarczyć na farmę Rutgera, a następnie wlał go pan do kotła do warzenia sera. Kocioł ma metr osiemdziesiąt średnicy, co wystarczy, aby zmieścić ciało mężczyzny z rozpostartymi ramionami.

Jonathan Shooks przestał obracać kieliszkiem i oparł się w krzesło.

– Jest pani bardzo inteligentną i sprytną młodą kobietą, pani Scarlet. Zważywszy, że straciła pani męża zaledwie wczoraj, zdecydowanie podziwiam pani upór w zgłębianiu tej kwestii. Większość kobiet zawodziłaby niepokieszona i roztrzęsiona jak galareta.

– Proszę mi wierzyć, cierpię ból tak wielki, że nawet nie potrafię go opisać. Ale znajdę sprawiedliwość za śmierć mojego męża i dowiem się, dlaczego musiał umrzeć w taki sposób, a wtedy położę kres tej udawanej szarlatanerii.

– Udawanej szarlatanerii? Zatem nie wierzy pani, że Sutton prześladowuje jakiś posłaniec szatana?

– Tak, panie Shooks, wierzę, ale nie wierzę, że tym posłańcem jest jakaś czarownica czy czarnoksiężnik albo indiański duch z lasu. Każde nieszczęście, które nawiedza Sutton od momentu, gdy zabito nasze świnie w „diabelskiej komunii”, może być przypisane chemii lub botanice. Niektórych z tych wydarzeń, przyznaję, jeszcze sama nie potrafię wytłumaczyć, ale na pewno niedługo mi się uda. Wierzę natomiast, panie Shooks, że tym posłańcem szatana jest nikt inny, tylko pan.

– Proszę, proszę, córka aptekarza – odpowiedział Jonathan Shooks. – Bardzo dobrze panią wykształcił, ten pani ojciec,

prawda? Och... Proszę tak nie patrzeć! Oczywiście wiem, kim pani jest. Zanim przybyłem do Sutton, dobrze się postarałem, by dowiedzieć się wszystkiego o ważnych osobach w miasteczku... Kim byli, skąd przyjechali, jakie jest ich pochodzenie. Ich mocne i słabe strony. Jak bogaci są, jak biedni. Nie można należycie chronić ludzi, jeśli się nie zna ich dokładnie. Pani zmarły i opłakiwany mąż był tego świadom.

– Chronić, panie Shooks, czy zwodzić? Uważam, że jest pan nikim innym, tylko zdolnym oszustem... Szarlatanem, który wykorzystuje chemię, aby przestraszyć przesądnych i bogobożnych ludzi tak bardzo, by pomyśleli, że zagraża im diabeł. Uważam, że mój mąż pojechał za panem i zdemaskował go, a kiedy wyliczył panu w twarz pana oszustwa, zabił go pan.

– Rozumiem. A pani rzeczywiście w to wierzy?

– Tak, oczywiście. Jakież inne może być wytłumaczenie?

– A gdybym powiedział szanownej pani, że demon istnieje, i że wszystko, co powiedziałem od przyjazdu do Sutton, to prawda? Gdybym powiedział, że układałem się z wysłannikiem szatana i że nakłaniałem miejscową ludność do oddania części ziemi tylko po to, by ratować ich przed losem tak przerażającym, że nie potrafiłbym tego opisać?

Beatrice drżała, a pod stołem skręcała rogi chusty, jakby chciała ją wyjąć.

– Gdyby mi pan to powiedział... Gdyby mi pan to powiedział, wtedy i tak bym panu nie uwierzyła.

– A wierzy pani w szatana?

– Oczywiście. Ale po co szatanowi czyjaś ziemia?

– Chce wyrugować stąd chrześcijaństwo. Chce, aby tu znowu tańczyły demony. Szatan nigdy nie doprowadzał do zła dla zła samego w sobie, cokolwiek pani myśli. On zachęca ludzi do całkowitej swobody... Abyśmy myśleli, co chcemy, mówili, co chcemy, a jeżeli oburzy nas wygląd sąsiada, to żebyśmy wydłubali jego cholerne ślepie, a nie swoje własne. Jeśli czegoś chcesz, bierz to, mówi szatan, obojętnie, czy to ziemia, złoto, czy świnie albo ciało kobiety. Szatan jedynie chce mieć pewność, że tej dzikiej i dziewiczej ziemi nigdy nie zapełnią

kościelne śpiewy, przez które nie słyszymy własnych myśli, a powietrza nie zadławi biblijny dym, abyśmy się nie podusili.

– A pan się z nim zgadza?

Jonathan Shooks spojrział na nią bacznie, oddychając głośno przez nos, jakby właśnie wbiegł po schodach.

– Czy ja powiedziałem, że się z nim zgadzam? Powiedziałem jedynie, że działałem jako pośrednik, aby chronić lud Sutton przed losem o wiele gorszym od śmierci.

– Czy zabił pan mojego męża?

– Nie, nie zabiłem.

– Kto zatem to uczynił? Czy to ten pański demon?

– Nie.

– A więc po co kupił pan ten cały olej, jeżeli nie po to, by odwodnić ciało mego męża? Kto mu to zrobił? Czy to był pan?

– Nie.

– Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. W ani jedno. Jadę prosto do generała Holyoke i opowiem mu wszystko, co odkryłam o zakupie przez pana oleju i o tym, co pan z nim zrobił, a jak nie będzie pan aresztowany, osądzony i powieszony po tym, co mu powiem, to znaczy, że w New Hampshire nie ma sprawiedliwości ani praw ludzkich, a szatan i demony mogą je sobie zabrać i tańczyć na tej ziemi do końca świata.

Powiedziała to dość głośno i dwóch wędrownych handlarzy, którzy przygotowywali się do wyjścia z jadalni, zatrzymało się z otwartymi ze zdziwienia ustami, aby jej posłuchać. Odwróciła się i spojrzała na nich, a oni szybko rzucili:

– Przepraszamy, miłego dnia, proszę pani! – I niezdarnie wyszli.

Mimo zarzutów Beatrice Jonathan Shooks był całkowicie niewzruszony. Siedział rozparty na krześle i oglądał swoje paznokcie, a potem powiedział, nie podnosząc wzroku:

– Wystawia się pani na wielkie niebezpieczeństwo, pani Scarlet. Ten konkretny demon staje się bardzo niebezpieczny, jeżeli jest zagniewany.

– Nie boję się pańskiego demona, panie Shooks, ani nie boję się pana, szczególnie że według mnie demon i pan to jedna

osoba.

– W takim razie poprzysięgnę pani dwie rzeczy, i to na Pismo Święte. Pani Pitcher!

Kobieta o orlim nosie pojawiła się w drzwiach.

– Słucham, pana? Czy coś podać?

– Niech będzie pani tak dobra i przyniesie Biblię.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną, ale znikła i wróciła po chwili z wielką domową Biblią. Jonathan Shooks odsunął talerz ze świńskimi uszami na bok i położył Biblię tuż przed sobą.

– Dziękuję, pani Picher – burknął, jasno sugerując, że chciałby, aby zostawiła go samego z Beatrice. Kiedy wyszła, położył prawą rękę na Biblii i powiedział: – Po pierwsze, przysięgam na Boga wszechmogącego, że nie zamordowałem pani męża, wielbnego Francisa Scarleta. Po drugie, przysięgam, że nie podzegałem do niedawnych nieszczęść, które spadły na ludność Sutton.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w Beatrice, jakby chciał się upewnić, że dotarły do niej jego słowa.

– Po trzecie – dodał – przysięgam, że jeżeli pani spróbuje przeszkodzić w moich działaniach albo zgłosi to, co czynię, jakiemuś przedstawicielowi sił porządkowych lub władz, to poniesie pani konsekwencje, tak jak stało się z Buckleyami i pani świętej pamięci mężem. Tego demona nikt nie powstrzyma.

– Panie Shooks... – zaczęła Beatrice, ale Jonathan Shooks uniósł lewą dłoń, aby dać znać, że jeszcze nie skończył.

– Pani Scarlet, ponieważ pani mąż był pastorem Sutton, demon szczególnie nalegał, aby on też przekazał cześć swojej ziemi. Widzi pani jego rozumowanie? Jeżeli przedstawiciel Boga oficjalnie przekaze ofiarę szatanowi, aby zyskać pewność, że on sam i jego ukochani są wolni od krzywdy, to kto inny w osadzie odmówi podobnego czynu?

Beatrice poczuła, jakby język miała obłożony drobnym, suchym piaskiem. Zrobiłaby wszystko, byle się czegoś napić, ale nie zamierzała pić przy tym samym stole co Jonathan Shooks.

– Może pan przysięgać, że nie jest pan demonem, ale ja nie widzę między panem a nim żadnej różnicy, ponieważ ma pan serce tak samo czarne jak on.

– Czy pani nie rozumie, moja droga? Robię wszystko, co mogę, aby uratować panią przed jakąś szpecącą chorobą albo okropną śmiercią w ogniu, albo uderzeniem pioruna. Próbuję uratować pani życie, pani Scarlet!

– Mało dbam o własne życie teraz, kiedy mój ukochany mąż został mi zabrany. Pragnę jedynie, by zadość uczynić sprawiedliwości.

– Och, ależ miła pani! Oczywiście, że dba pani o własne życie! Co zrobiłby bez pani jej mały synek? Jest tak podobny do swojego ojca! Nie chce pani zobaczyć go, jak rośnie i staje się mężczyzną, jakim kiedyś był wielbny Scarlet?

Beatrice nie odpowiedziała... Ponieważ nie mogła wydobyć słowa. Jonathan Shooks pochylił się nad stołem i powiedział:

– Wiem, że plebania i jej ogrody należą do Kościoła, ale ma pani prawo własności do dalszych trzydziestu jeden hektarów, które je otaczają, prawda? I oczywiście ten cały areał po śmierci męża należy do pani. Wierzę, że demon ukontentuje się jedynie szesnastoma hektarami, o ile obejmą one połowę pani sadu i kawałek potoku.

– Stracił pan rozum, panie Shooks. Nie oddam panu ani piędzi ziemi. Nawet nie będę się nad tym zastanawiać.

Jonathan Shooks znowu wygodnie się rozsiadł na krześle.

– Odda pani. Nie mam co do tego wątpliwości.

– Czy to groźba?

– Oczywiście, że nie. Istnieje ogromna różnica między tym, co zagraża, a tym, co po prostu się stanie, obojętnie, co to ma być.

Beatrice wstała. Jonathan Shooks wstał także.

– Uważam, że na tym skończyliśmy, panie Shooks.

– Dobrze, ale mam nadzieję, że wkrótce panią zobaczę, żebyśmy mogli omówić przeniesienie tytułu własności. Proszę, aby nie trwało to zbyt długo.

– Może pan mieć nadzieję, dopóki nie szernieje panu twarz.

Uśmiechnął się, jakby to go rozbawiło, ale wtedy powiedział:

– Zanim pani pójdzie, pani Scarlet, proszę pamiętać, aby z nikim o tym nie rozmawiać. Nie chciałbym, aby przydarzyło się pani coś niemiłego.

– Ach, i tego pan też nie uważa za groźbę?

– Obawiam się, że to nie leży w mojej mocy. Staram się powiedzieć pani, że jestem tylko pośrednikiem. Jeżeli demon uzna, że pani się mu opiera, wówczas zrobi to, co uzna za stosowne, aby nakłonić panią do zmiany decyzji.

Beatrice spojrzała na niego, mrużąc oczy, a potem odwróciła się i wyszła z jadalni bez słowa. Kobieta o orlim nosie zawołała za nią, gdy schodziła po stopniach, ale ją zignorowała. Była rozzłoszczona i pomimo całej swojej śmiałości, by zmierzyć się twarzą w twarz z Shooksem, była zdezorientowana, a także bardzo przestraszona.

Rozdział 30

Kiedy wróciła do domu, zastała na podjeździe wóz Petera Dustona. Zatrzymała dwukółkę obok niego i wybuchła głośnym, długo wstrzymywanym szlochem. Jonathan Shooks wstrząsnął nią mocno, a na dodatek teraz będzie musiała wytłumaczyć Dustonowi, w jaki sposób ma pomieścić sztywne ciało Francisa w trumnie.

Jubał musiał usłyszeć, że nadjeżdża, ponieważ wyszedł zza domu i pomógł jej wysiąść. Szerokie rondo kapelusza skrywało jego zapijaczoną twarz, która dziś była ponura, a oczy miał pełne smutku. Na rękach miał tyle odcisków, że były niczym skórzane rękawiczki zmoczone deszczem, a potem wysuszone na słońcu.

– Stolarz tu jest, pani Scarlet.

– Tak, Jubalu. Wiem.

– Bardzo mi przykro. Wielebny Scarlet nigdy nikomu nie groził. Żył tak, jak prosił, by inni żyli. Zawsze był najlepszy i okazywał ludziom serce.

– Tak, Jubalu, masz rację.

Weszła do domu chwili, gdy Peter Duston wychodził z salonu. Miał już zamknąć za sobą drzwi, ale Beatrice powstrzymała go.

– Nie trzeba, panie Duston. Może pan zostawić otwarte. Skończył pan pomiary?

– Tak, proszę pani. Mam naprawdę dobre lipowe drewno na trumnę. Można na nim wyrzeźbić ozdoby, gdyby pani chciała.

- Nie, dziękuję. Wielebny życzyłby sobie prosta.
- Tak, jak pani każe.

Beatrice weszła do salonu. Lipa na twoją trumnę, kochany. Co za ironia, to właśnie drewno. Cierpiałeś na migreny, szczególnie kiedy pracowałeś zbyt długo nad kazaniami przy świecy, a wtedy ja przyrządzałam ci napar z kwiatów lipy.

– Jego ręce... – dodał Peter Duston, który nadal stał tuż za nią. – Myślałem o innym sposobie, proszę mi wierzyć, żeby na przykład zanurzyć go w wodnym roztworze syropu klonowego. Mówiąc szczerze jednak, nie mamy szczególnego wyboru, jak tylko... Wie pani.

Beatrice obróciła się, a Peter Duston wykonywał gest cięcia w powietrzu.

– Dobrze – powiedziała. – Niech pan to zrobi, jak przywiezie gotową trumnę. Ile czasu to panu zajmie?

- Zacznę pracę dzisiaj. Dostanie ją pani na piątek rano.
- Dziękuję.

Wyszła z salonu, nie podniósłszy prześcieradła, by spojrzeć na ciało Francisa. Widziała już w życiu wiele ciał: spuchniętych na brzegu rzeki albo skulonych w drzwiach, cuchnących dżinem albo leżących w trumnach w salonach domów, o skórze jak wosk i ściągniętych ustach. Kiedy patrzyła na te ciała, nigdy nie myślała, że ludzie, którymi kiedyś byli, jeszcze w nich są. Ci ludzie odeszli, po cichu zamykając za sobą drzwi, tak jak ona teraz.



Spędziła w kuchni prawie dwie godziny, pisząc listy do rodziny i przyjaciół Francisa w Anglii, a także do jego kolegów pastorów w sąsiednich parafiach. Każdy list zaczynał się słowami: „Z ciężkim sercem”. I opowiadał krótko, że Francis stracił życie za sprawą osoby lub osób nieznanymi.

Nie prosiła nikogo o pomoc. W głębi duszy była pewna, że potrafi dojść, jak Francis został zamordowany i kto jest za to

odpowiedzialny. Może to trochę potrwać, ale miała większą wiedzę na temat mikstur i roślin niż ktokolwiek, kogo знаła, z możliwym wyjątkiem wdowy Belknap, a z tego, co wiedziała, wdowa w jakiś sposób była zaplątana w śmierć Francisa. Może to ona była demonem, który według Jonathana Shooksa był odpowiedzialny za sianie spustoszenia albo była opętana przez demona lub nawet samego szatana.

Pomimo przekonania, że istnieje logiczne wyjaśnienie wszystkiego, co się wydarzyło, uważała, że byłoby nienaukowo zupełnie wykluczyć możliwość, że zaangażowana w to była jakaś siła nadprzyrodzona.

Właśnie skończyła list do Geoffreya i Lawinii Scarletów, rodziców Francisa, kiedy usłyszała, jak w łóżeczku na piętrze płacze Noe. Mary była na zewnątrz i wieszała pranie, więc Beatrice odłożyła gęsie pióro i poszła sprawdzić, co mu się stało. Mary położyła go niecałe pół godziny temu, a zazwyczaj spał przynajmniej dwie godziny.

Kiedy weszła do sypialni, Noe stał w łóżeczku, rozgrzany i zapłakany. Policzki miał zaczerwienione, więc domyśliła się, że znowu zaczął ząbkować. Otworzyła szufladę w komodzie obok łóżeczka i wyciągnęła gryzak z bursztynu na ząbkowanie. Kiedy go ssał, bursztyn delikatnie łagodził ból dziąseł.

Podniosła go i przytulała przez chwilę, ale kiedy próbowała go położyć, znowu się rozpłakał.

– No, to chodź – powiedziała. – Chodź na dół i pomóż mamie skończyć pisanie listów. Może chciałbyś soku jabłkowego? Soczek zawsze pomaga na te paskudne ząbki, co?

Zniosła go na dół, ale wtedy zauważyła, że frontowe drzwi są otwarte szeroko. Mary musiała wejść po coś do domu i zapomniała je zamknąć. Beatrice przeszła korytarzem, ale kiedy dotarła do otwartych drzwi, zatrzymała się zaszokowana. Na zewnątrz stała postać w brązowym płaszczu, zaledwie trzydzieści lub czterdzieści metrów od domu. Stała pośrodku podjazdu, w bezruchu, z twarzą skrytą pod kapturem, trzymając kij.

Beatrice miała ochotę zawołać do niego i zapytać, co tu robi,

ale Noe jeszcze się mazał, a ona nie chciała go niepokoić krzykiem. Stała w drzwiach przez chwilę, przyglądając się postaci, a ona prawdopodobnie przyglądała się jej. Kiedy Francis leżał sztywno na podłodze w salonie, postać była bardziej niż kiedykolwiek podobna do Anioła Śmierci.

Beatrice powoli i z namysłem zamknęła frontowe drzwi, aby pokazać tej postaci, że się nie boi, chociaż serce trzepotało jej w piersi jak ptak zamknięty w klatce. Poszła do kuchni i posadziła Noego w wysokim krzeselku. Dobry Boże, pomyślała, proszę, pomóż mi to przetrwać. Proszę, daj mi siłę. Czy nie ma sposobu, abyś mógł cofnąć czas, jak młynek modlitewny, aby nigdy do tego wszystkiego nie doszło?

Podeszła do szafy i wyjęła słoje z sokiem jabłkowym. Postawiła miskę na stole, aby nabrać go trochę, ale wtedy zobaczyła, że na pisanych przez nią listach znalazła się czysta kartka papieru, a jej pióro leży obok. Kropla atramentu spadła z zaostrego końca i poplamiała sosnowy blat.

Na papierze napisane były słowa: „Twój smutek mnie smuci, ale też daje mi nadzieję. Zważaj na tych, którzy zdają się być jak przyjaciele. Zawsze trzeba zapłacić cenę”.

Beatrice podniosła kartkę. Atrament był nadal mokry, więc rozmazała go opuszkami kciuka. Spojrzała ku frontowym drzwiom i zrozumiała, że postać w płaszczu musiała szybko i po cichu wejść do domu, gdy ona była na górze u Noego, i napisać te słowa, zanim zeszła na dół.

Co to miało znaczyć? Dlaczego jej smutek go smucił, „ale też daje mi nadzieję”. Nadzieję na co? Kim byli „przyjaciele”, na których miała „zważać”? I jaką cenę zawsze trzeba zapłacić?

Odłożyła list i stała, wpatrując się w kartkę, jakby za sprawą magii miało się na niej pojawić więcej słów, by wszystko wyjaśnić. Może jednak powinna poszukać pomocy. Może generał Holyoke zrozumiałby to. Najwyraźniej było to przyjacielskie ostrzeżenie, a jednocześnie brakowało jej pewności. W tych słowach kryła się też groźba. „Zawsze trzeba zapłacić cenę”. Innymi słowy, płacić, bo inaczej...

Jednak bardziej niż cokolwiek Beatrice chciała wiedzieć,

kim on był i dlaczego myszkował w lesie dookoła plebanii. Nie miała czasu na zastanawianie się, ponieważ Noe wypluł bursztynowy gryzak i płakał, bo chciał więcej soku.



Minęły kolejne cztery dni. Piątego dnia pochowano Francisa na cmentarzu za domem modlitwy. Przez cały dzień padało równo i spokojnie i było chłodno jak na tę porę roku. W powietrzu czuło się mijający czas, a lato już prawie się skończyło. Niektóre drzewa zaczynały zmieniać kolor na rdzawy lub czerwony.

Po pogrzebie urządzono stypę w domu zebrań, ponieważ gości było tak wielu, że nie pomieściliby się na plebanii. Niektórzy z kościelnych dygnitarzy przyjechali aż z Salem, a inni z Essen i Ipswich.

Beatrice stała w drzwiach, gdy goście zaczęli wychodzić na deszcz, a ona dziękowała im za obecność. Mały Noe stał cierpliwie obok niej w długiej czarnej koszulce, którą sama mu uszyła, i z czarną wstążką przypiętą do czapki. Przez cały czas kiwał głową z boku na bok, jakby to było wahadło i śpiewał pod nosem ulubioną dziecięcą piosenkę: *Wlazł kotek na płotek*.

George Gilman podszedł do Beatrice, głośno odchrząkując.

– Proszę pani, bardzo mi będzie brakowało pani męża. Był z niego szlachetny człowiek. Najszlachetniejszy, jakiego znałem. A także bardzo odważny. Wierzę, że wygoniłby diabła z Sutton, gdyby tylko przeżył. Wtedy nikt z nas nie musiałby tak wiele poświęcać.

– Wiem, że Nathaniel Rowlandson przekazał ponad czternaście hektarów Jonathanowi Shooksowi, a i pan prawie tyle samo.

George Gilman wyglądał na zaskoczonego.

– Przepraszam – dodała Beatrice. – Przekazał nam to w zaufaniu Thomas Norton. Poważnie zatroskał się ostatnimi wydarzeniami.

– Cóż, nie miał prawa nadużywać naszego zaufania, ale zdaje się, że usprawiedliwia go troska... Szczególnie, że Nathaniel Rowlandson i ja nie byliśmy jedynymi. Nie jestem pewien, ile przekazał mu Robert Axtell, ale wiem, że obejmuje to dwie trzecie jego sosnowego lasu. Do tego dochodzi James Moody znad Jeziora Skrzypka i William Tucker z Billingshurst, i pewnie jeszcze inni.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– O, tak. Zanim szatan się nasyci, razem stracimy rychło dwieście hektarów na rzecz Shooksa, może nawet więcej.

– Czy nie mogliście mu odmówić?

– Pani mówi poważnie? Niech pani spojrzy, co stało się z Nicholasem Buckleyem, odmówił mu raptem ośmiu hektarów! I rozpuścił się! Zamienił w zupe! A, jak rozumiem, Shooks odwiedził Judith Buckley dzień po pogrzebie jej męża i zażądał tego samego co od Nicholasa. Pokazała mu drzwi, i jakie były tego konsekwencje? – Pokręcił głową i dodał: – Nie mam pojęcia, na kogo przejdzie majątek Buckleyów, o ile w ogóle zapisali go w testamencie, ale gdybym był tą osobą, skwapliwie przystałbym na życzenia pana Shooksa!

– Dziękuję, panie Gilman – powiedziała Beatrice. – Nie miałam pojęcia, ilu farmerów było w to zaangażowanych. Był pan niezwykle pomocny.

– Żaden z nas nie miał wyboru – odparł George Gilman, zaciskając szczęki, aż mięśnie wyszły mu na policzkach. – Albo przepiszemy część naszych ziem, albo czeka nas perspektywa śmierci naszego bydła, czy zarazy upraw... Lub, co najgorsze, nasze żony i dzieci spłoną żywcem albo zawisną jak... jak...

Był tak zdenerwowany i zawstydzony, że nie mógł znaleźć słów, ale Beatrice przyszło na myśl jedynie tych trzech zwęglonych niewolników powoli obracających się na linach.

George Gilman odszedł do swojej żony i razem wyszli z domu zebrani, zostawiając Beatrice tak poruszoną, że ledwo mogła mówić, kiedy podszedł do niej Henry Mendum.

– Moje najszczerze wyrazy współczucia, pani Scarlet – powiedział, ujmując jej dłoń. Beatrice wydało się, że ma twarz

bardziej czerwoną niż kiedykolwiek, i bardziej przekrwioną, jakby lada moment miała wybuchnąć. Żona stała za nim w tym samym czarnym, jedwabnym czepku, który założyła na pogrzeb Buckleyów; starała się nie robić wyniosłej miny.

– Dziękuję, panie Mendum – powiedziała Beatrice, biorąc głęboki oddech. – To bardzo uprzejme z pana strony.

– Niech pani wie, że ja i Harriet zrobimy dla pani wszystko, jeżeli czegoś będzie pani potrzebna. Proszę tylko powiedzieć.

– Dziękuję.

– Hm, może to nieco przedwczesne, ale oczywiście w odpowiednim czasie będzie musiał być wyznaczony nowy pastor, a wówczas Kościół będzie zmuszony poprosić panią o opuszczenie plebanii i znalezienie sobie nowego mieszkania.

– Nie oburzam się, panie Mendum. Jestem tego świadoma.

– Rozumiem, że ma pani prawo własności do części ziemi za plebanią i, jak mniemam, rozważa pani budowę na niej nowego domu, kiedy przyjdzie pora. Tymczasem, jeżeli ma pani jakiegokolwiek kłopoty ze znalezieniem nowego miejsca, aby... Hm, znaleźć wytchnienie, to pani i synek są mile widziani u nas, tak długo, jak będzie trzeba.

– To bardzo uprzejme ze państwa strony, dziękuję.

– Zagościło pośród nas wielkie zło – powiedział Henry Mendum, a policzki zafalowały mu dramatycznie. – Wielkie, wielkie zło! Jednak sądzę, że pani drogi mąż wierzył, że nasza wiara jest wystarczająco silna, aby przeprowadzić nas przez tę udrękę, i wkrótce wszystko znowu się ułoży. Gdy oddamy szatanowi to, czego żąda, na pewno zostawi nas w spokoju, i wszystkim nam będzie się szczęścić, jak wcześniej.

– Mam nadzieję, panie Mendum. Mam szczerą nadzieję.



Kiedy wrócili do domu, Mary zaproponowała Beatrice, aby odpoczęła przez resztę dnia. Gdyby chciała posiedzieć na ganku i wrócić pamięcią do swojego życia z Francisem i modlić się za

jego duszę, to Mary przyniesie jej filiżankę herbaty i zaopiekuje się Noem.

Beatrice odmówiła. Nie chciała siedzieć sama w to ponure i deszczowe popołudnie i użalać się nad sobą. Chciała zająć się wszystkimi pracami, które miała do skończenia, a w ich trakcie przemyślałaby to, czego dowiedziała się dzisiaj o Jonathanie Shooksie i jego demonie żądającym ziemi. Była mocno poruszona, że zabrał tyle hektarów. Dla ludzi z Sutton ziemia była wszystkim. Nie tylko ich karmiła, ale stanowiła o ich statusie, a także była spuścizną, którą przekażą dzieciom i wnukom. Co ważniejsze, to właśnie osiedlenie się w New Hampshire i możliwość zakupu ziemi pozwoliły im żyć według własnych surowych przekonań religijnych. Jednakże teraz byli zastraszeni przez Jonathana Shooksa i oddawali swoją ziemię szatanowi.

Beatrice przebrała się w prostą, szarą koszulę i fartuch, po czym wyszła do warzywnika. Nadal siąpił deszcz, chociaż niebo zaczynało się przejaśniać i od czasu do czasu zza chmur wylaniało się anemiczne słońce. Zaczęła gracką wykopywać pietruszkę i wrzucać ją do koszyka.

Wykopała tylko osiem lub dziewięć korzeni, kiedy wstała, zamknęła oczy i nie czuła nic poza deszczem na twarzy. Nie mogła uwierzyć, że gdyby teraz zawołała: „Francis!”, on nie odpowiedziałby, ani teraz, ani nigdy. Powoli osunęła się na kolana w błoto, otwierając i zamykając usta w niemym wyciu wyrażającym czyste cierpienie, a łzy zalewały jej twarz, mieszając się z deszczem.



Nazajutrz dzień był ciepły i słoneczny, więc rano Beatrice upiekła chleb, nakarmiła świnię i wyszorowała garnki. Po południu odwiedziły ją pani Rust i pani Mayhew i wypiły razem herbatę na ganku. Trochę rozmawiały o Jonathanie Shooksie, tragicznej śmierci Buckleyów, a potem o Francisie, ale kiedy

zaczęły rozmawiać o jej mężu, Beatrice nie mogła wydusić ani słowa, głos wiązał jej w gardle. Zmieniły temat na młodą panią Woodward, którą rodzice namówili do zamążpójścia za bogatego rybaka, starszego od niej o jedenaście lat, ale którą widziano w towarzystwie o wiele młodszego mężczyzny, gdy jej mąż przebywał na morzu. To również mogłaby być sprawa dla sądu.

Tej nocy Beatrice leżała znowu sama w łóżku i nie mogła zasnąć. Powtarzała szeptem „Francis” i sięgała na jego miejsce, ale nie było tam nikogo.



– Noe! – zawołała. Wiedziała, gdzie się ukrywa: za drzwiami do spiżarni, ale udawała, że nie może go znaleźć. – Noe! Gdzie jesteś! Pójdę do osady bez ciebie!

Noe wyskoczył z komórki ze śmiechem. Beatrice wzięła go na ręce i zaniósła do salonu, żeby założyć mu fartuszek. Zamierzała zabrać go do pani Willowby, aby pobawił się z jej dwoma synkami, a ona będzie miała czas iść po sprawunki. Zawiazywała mu sznurowadła, kiedy usłyszała końskie kopyta i zgrzyt kół na podjeździe. Wiedziała, kto to, jeszcze zanim wyrzała przez okno.

Otworzyła drzwi, a Jonathan Shooks stał już na ganku z kapeluszem w ręku. Pod pachami jego jasnoszarego surdutu widać było ciemne półkole potu.

– Dzień dobry, wdowo Scarlet – powiedział i skłonił się przed nią.

Nie odpowiadała, więc przechylił głowę na bok, jakby chciał powiedzieć: Dlaczego się pani nie odzywa? Czy czymś panią obrażę?

– Proszę mi wybaczyć niezapowiedzianą wizytę. Zazwyczaj zostawiłbym wizytówkę. Ale to pilna kwestia, obawiam się.

– Nie mam panu nic do powiedzenia – odparła Beatrice.

– Wobec tego naraża się pani na znaczne ryzyko, pani Scarlet, jak już powiedziałem. Demon, z którym mam do

czynienia, nie powstrzyma się przed niczym, aby zdobyć to, czego pożąda. I, jak sama pani doświadczyła, jest przerażająco pomysłowy w swych metodach perswazji.

– Proszę natychmiast opuścić moją ziemię, i nie życzę sobie, aby pan jeszcze kiedyś postawił tu nogę.

– Oczywiście, doskonale rozumiem pani animozję w stosunku do mojej osoby. Ale proszę nie obwiniać posłańca za wieści. Muszę wiedzieć na pewno, że jest pani gotowa przekazać swoje ziemie, o których rozmawialiśmy w gospodzie w Penacook. To wszystko. Gdy tylko przystanie pani na to, natychmiast odjadę i zostawię panią spokoju, i więcej nie będzie musiała mnie pani oglądać.

– Nie – odparła Beatrice. – Nie oddam nawet jednego centymetra kwadratowego ziemi. A teraz, czy łaskawie pan się oddali?

Jonathan Shooks westchnął i pokręcił głową.

– Nie rozumie pani, jak bardzo poważny błąd pani popełnia? Proszę zadać sobie pytanie, co jest ważniejsze, życie czy ziemia?

– Więc jeśli nie zgodzę się oddać mojej ziemi, zabije mnie pan? To pan chce powiedzieć?

– Szanowna dobrodziejko, z mojej przyczyny nie spadnie pani ani jeden włos z głowy.

– Ale uczyni to pański demon?

– Pani świętej pamięci mąż był człowiekiem Kościoła. Powinna pani wiedzieć lepiej od innych, do czego jest zdolna większość demonów.

– Wiem także, do czego są zdolni ludzie przebrani za demony. Spotkałam niejednego w swoim czasie jako żona pastora. Pijacy, złodzieje, zwyrodnialcy znęcający się nad kobietami.

– Oj tam, zaraz. Każdej żonie potrzeba lania od czasu do czasu. Inaczej jakże nieposłuszne mogą się stać! Wie pani, co mówią o kobietach, osłach i drzewach orzechowych.

– Precz! – krzyknęła Beatrice.

Jonathan Shooks uśmiechał się do niej, ale teraz uśmiech znikł mu z twarzy, jakby już nigdy nie miał się na niej pojawić.

– Wdowo Scarlet, nigdy bym nie śmiał pani skrzywdzić, nie skrzywdziłem także choćby jednej duszy w Sutton, odkąd tu jestem. Sama pani była świadkiem mojej przysięgi na Biblię. Lecz przestrzegam panią teraz, że jeżeli odmówi pani przekazania mi tej ziemi, wówczas poniesie pani konsekwencje, to pewne jak słońce na niebie.

– Precz! – powtórzyła Beatrice dobitnie.

– Czy jest pani tego pewna? Daję pani ostatnią szansę.

Beatrice nic nie powiedziała tym razem, skrzyżowała ręce na piersi i czekała.

– No dobrze – rzucił Jonathan Shooks. – Jednak wielce mnie to zasmuciło, że taka pani uparta.

Wrócił do kalesszy i powiedział coś Samuelowi, a ten skinął głową i wydał dziwny dźwięk. Beatrice zamknęła drzwi, ale wtedy oparła się o nie plecami, ciężko dysząc.

Noe pojawił się w drzwiach kuchni i zmarszczył czoło.

– Mama? Mama?

Rozdział 31

Tej nocy zaraz po wschodzie księżycy Beatrice otworzyła oczy i natychmiast się rozbudziła.

Księżyc świecił tak mocno, że było widno prawie jak za dnia, tylko nic w sypialni nie miało kolorów. Beatrice odwróciła się na bok i Francis z medalionu wiszącego koło łóżka uśmiechał się do niej, jakby chciał powiedzieć: „Mądra z ciebie dziewczyna, Beatrice”.

Ciągle zadawała sobie pytanie, co szatan zrobi z tą całą ziemią, którą wyłudził od farmerów w Sutton. Zapytała o to wprost Jonathana Shooksa, ale jego odpowiedzi nie były ani drwiące, ani nieprawdopodobne. „Szatan chce, aby jego demony mogły znowu na niej tańczyć. Szatan nie chce, aby powietrze w tej dziewiczej ziemi wypełniały modlitwy i biblijny pył”.

To wszystko nonsens, pomyślała, leżąc w księżycowym blasku. Na pewno. Demon albo człowiek, ktokolwiek przejął tę ziemię, nie zamierzał dopuścić, aby znowu zdziczały. Były zbyt wartościowe i można było na nich dużo zarobić. Trzeba było lat znoјnej pracy, aby usunąć kamienie, drzewa i krzewy, w dodatku jeszcze je nawodnić, a potem obsiać. Mało tego, teraz przyszła już prawie pora żniw. Indiańska kukurydza, jęczmień i lucerna dojrzały i były gotowe do zbiorów, tak samo jak bataty, dynie i tykwy, a drzewa w sadach uginały się pod ciężarem orzechów włoskich, laskowych, jabłek i śliwek.

Czy stał za tym szatan, czy nie, widziała wyraźnie, że to, co się dzieje wokół Sutton, to kradzież na niewiarygodną skalę. Tutejsi mieszkańcy nie byli zamożni. Mieli niewiele złota czy

biżuterii, z których można ich okraść. Posiadali natomiast ziemię i wszystko to, co mogła ona wydać.

Jonathan Shooks wykorzystał zapał religijny, który sprowadził osadników do Sutton, by ich przestraszyć, aby oddali, co mieli najcenniejszego. Im więcej Beatrice o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że nie ma żadnego demona, że demonem jest po prostu Shooks. Przysięgał na Biblię, że to nie on, ale ile warte są jego przysięgi? Człowieka zdolnego do obrabowania całej osady i zabijania w okrutny sposób ludzi, którzy nie mogli lub nie chcieli mu oddać tego, czego żądał, krzywoprzysięstwo z pewnością nie przyprawi o nocne koszmary i strach przed karą bożą.

Usiadła. Musiała porozmawiać z wszystkimi farmerami i właścicielami ziemskimi, którzy przekazali swoją ziemię Jonathanowi Shooksowi, i dowiedzieć się dokładnie, o jakie tereny chodzi. Dokładna mapa mogła zdradzić jego plan i nadać tej kradzieży jakieś znaczenie. Kawałki materiału są tylko kawałkami, dopiero zszyte stają się halką.

Nieomal słyszała głos ojca: „Nic na tym bożym świecie nie zdarza się przypadkowo, Beo. Za wszystkim stoi logika i porządek, nawet jeżeli tego nie widzisz... A nawet, gdy widzisz, nie możesz zrozumieć”.

Przez resztę nocy nie mogła spać i gdy tylko wzeszło słońce, ubrała się i zeszła na dół. Jonathan Shooks przestraszył ją wczoraj groźbą cierpień. Tego ranka jednak czuła, że ma siłę, by mu się przeciwstawić.



Najpierw odwiedziła George'a Gilmana. Stał przed łagodnie opadającym polem z rękami w kieszeniach i patrzył, jak pięciu niewolników i jego dwóch synów ścina sierpami tymotkę i składa na wóz. Podeszła do niego. Zapach świeżo ściętej trawy sprawił, że kichnęła. Na ten odgłos George Gilman się odwrócił.

– O, to pani – powiedział. – Chyba wiem, po co pani przyszła.

Zbliżyła się i stanęła obok niego. Poranek był gorący i cichy, zakłócany jedynie świstem sierpów i świergotem kosów. Kosy zawsze nadlatywały, kiedy zbierano plony.

– Muszę wiedzieć, które konkretnie ziemie oddał pan Jonathanowi Shooksowi – powiedziała.

– Jeśli już coś pani musi, to omijać tego człowieka szerokim łukiem.

– Jakże mogę? Kradnie ziemie parafian mego męża na lewo i prawo. Zabiera ich własność spod ich nóg. Mój mąż, niech spoczywa w spokoju, już nie może nic zrobić, aby go powstrzymać, ale ja mogę.

George Gilman wytarł rękawem pot z czoła.

– Zna mnie pani dobrze. Z zasady nigdy nikomu niczego nie oddaję, nie za nic. Ale ten Shooks jest inny. Może mnie pani nazwać tchórzem, ale nie zamierzam skończyć jako zupa z Gilmana w końskim korycie. Jest tchórzostwo i jest zdrowy rozsądek.

– Proszę tylko z grubsza określić, co mu pan oddał.

George Gilman pociągnął nosem, a potem wskazał odległy skraj pola tymotki.

– Widzi pani te sosny? Za nimi jest pole kukurydzy, i on je zabrał, a tam z boku jest poletko z dyniami, i je też zabrał, aż po linię graniczną na szczycie wzgórza. Widzi pani te białe dęby? Tam.

Beatrice spróbowała wyobrazić sobie mapę pól. Miały kształt topora o długim trzonku i wielkim, trójkątnym obuchu.

– Naprawdę nie mógł pan odmówić? – spytała. – Z pewnością pan i inni farmerzy moglibyście się zwołać i wytłumaczyć mu, że nie macie zamiaru mu nic oddawać. To tylko jeden człowiek, w końcu.

– Boję się, że to nie on. To ten demon, z którym się układa. A ów demon to sam adwokat szatana.

– A gdybyśmy założyli, że demona nie ma?

– To niech pani spróbuje to powiedzieć Prince’owi, Cumby’emy i Isumowi. Żaden człowiek nie mógłby podpalić ich i powiesić tak wysoko.

Beatrice nie spierała się z nim ani nie próbowała wyjaśniać, że muszą istnieć sposoby, aby powiesić niewolników tak wysoko na krokwiach i ich spalić. Dostała to, po co przyszła, a był to przybliżony kształt i wielkość ziemi, którą oddał Jonathanowi Shooksowi.



Wyjechała obok Jeziora Skrzypka, które leżało na północ i wschód od posiadłości Henry'ego Menduma. Samo jezioro leżało w głębokiej, zalesionej dolinie, którą wypełniały teraz żalosne piski dzięciołów, ale za doliną teren wznosił się wysoko, faliście, i tu właśnie James Moody zasiał kukurydzę, lucernę i wypasał bydło.

Kiedy Beatrice przybyła na jego farmę, znalazła go w jednym z budynków gospodarskich, gdzie naprawiał złamany pług. Zawsze gdy Beatrice widziała Jamesa Moody'ego, na jego obliczu gościł smutek. Był szczupłym, wysokim mężczyzną o pociągłej, smętnej twarzy i ostrym niczym kilof nosie. Kiedy ją zobaczył, wyszedł na podwórko, mrużąc jedno oko przed słońcem.

– Pani Scarlet! Dzień dobry!

Schwycił Uriela za uzdę i poprowadził go do ściany budynku, gdzie go uwiązał.

– Nie jest to wizyta towarzyska – oznajmiła Beatrice.

– W tych okolicznościach raczej nie wyobrażam sobie. I znów... Moje współczucie, moje i Abigail. Wielebny Scarlet był niezrównanym duchownym.

– Chciałabym panu zadać pytanie – wyjawiała Beatrice. – Muszę wiedzieć, ile ziemi oddał pan Jonathanowi Shooksowi.

James Moody odwrócił głowę, jakby zobaczył kogoś w oddali.

– Zdaję sobie sprawę, że pańska transakcja miała być poufna, ale ta sprawa dotyczy całego Sutton i zamierzam położyć jej kres.

James Moody odwrócił się, aby na nią spojrzeć. Powieki miał ciężkie jak zasłony, które zasłaniały oczy do połowy.

– Powinna pani stąpać ostrożnie, proszę mi wierzyć. Powiedziano mi, co spotka moją rodzinę, jeżeli odmówię Shooksowi ziemi, i nie chciałbym, aby taki los spotkało panią.

– Zatem Jonathan Shooks panu groził?

– Nie osobiście, nie. Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nic złego nas nie spotkało. Ale faktycznie powiedział, że szatan będzie bezwzględny, jeżeli nie oddam mu dwunastu hektarów moich niżej położonych pól.

– Czy powiedział, co rozumie przez „bezwzględny”?

– Moja cała rodzina miała zostać zebrana i usadzona w kręgu, wszyscy, dzieci też, tak powiedział. Nasze brzuchy miały zostać rozcięte, a wnętrzności złożone razem w stos przed naszymi oczami.

– Więc przepisał pan ziemię?

– Szatan zabił pani męża. Zamienił go w drewno czarami, mimo że był pastorem. To oczywiste, że Bóg nas nie może albo nie chce ochronić. Więc czy pani nie postąpiłaby tak samo?

Beatrice nie odpowiedziała na to pytanie, a jedynie poprosiła:

– Proszę mi pokazać, które pola mu pan podarował.

James Moody machnął ręką w kierunku południowym.

– Większość moich dolnych pól, w tamtą stronę – powiedział.

– Ucierpię na tym, mówię pani, ponieważ są dobrze nawodnione i dobre z nich pastwiska.

– Dziękuję, że pan mi to zdradził – rzekła Beatrice. – Przepraszam za wtrącanie się.

– Mam nadzieję, że pani nie zdradzi Shooksowi, że coś wyjawilem. Mocno nalegał, żeby nasze transakcje pozostały poufne. Lecz przyniosły mi wielkie strapienie, jak sobie pani może wyobrazić. Bolesne.

– Nikt się nie dowie, że tu byłam.

Wyjechała z farmy nad Jeziorem Skrzypka, a James Moody stał przed domem i odprowadzał ją wzrokiem. Odwróciła się,

kiedy dotarła do granic posiadłości, prawie kilometr dalej, a on nadal stał tam, jakby zapomniał się poruszyć.

Postanowiła wrócić do domu, zjeść coś, napić się i zacząć rysować mapę.



Wróciwszy na plebanię, weszła do kuchni, gdzie Mary kroїła dynie.

– Och, ale mi gorąco! – pożałowała się służąca. – Chyba zamienię się w kałużę smalca, zanim dzień minie!

Beatrice uśmiechnęła się do niej, chociaż nie sposób było nie pomyśleć o Nicholasie Buckleyu, szaroróżowej mazi rozpuszczonej w korycie.

– Wezmę sobie kawałek tej zapiekanki z kurczakiem – zdecydowała. – Masz ochotę? Znowu muszę wyjechać po południu, ale nie zajmie mi to długo.

Mary skończyła kroić i wrzuciła kawałki dyni do dużego miedzianego garnka, który napełniła wodą z pompy obok zlewu.

– Przyprawdę Noego, dobrze? Mogę pognieść mu trochę dyni z mlekiem. Zawsze mu smakuje.

Gdy Mary wyszła do ogrodu, Beatrice wyciągnęła zapiekankę ze spiżarni i ustawiła dwa talerze i miskę. Chociaż było dzisiaj tak ciepło, zdziwiła się, jak bardzo jest głodna. Czuła, że to poszukiwania prawdy na temat Jonathana Shooksa i jego demona dodawały jej apetytu.

Nalała też dwa kubki cydru i kubek mleka dla Noego.

Kiedy czekała, aż Mary przyprowadzi jej synka z ogrodu, podeszła do kredensu, wyjęła kartkę papieru i kawałek węgla drzewnego. Usiadła przy kuchennym stole i zaczęła szkicować obszary, które George Gilman i James Moody oddali Shooksowi.

Z dworu dochodziło wołanie Mary:

– Noe! Noe! Chodź na obiadek. Noe! Chodź tu!

Tego popołudnia zaplanowała odwiedzić jeszcze Nathaniela Rowlandsona. Prawdopodobnie będzie musiała odłożyć wizytę u Williama Tuckera aż do jutra, ponieważ Billingshurt leżało prawie siedem kilometrów stąd, a jazda tam i z powrotem zajmie jej pewnie cały ranek.

– Noe! Noe! Chodź tu, Noe! Gdzie się chowasz? Już pora na obiad, Noe! Chodź tu!

Minęła kolejna minuta, a Mary ciągle nawoływała, aż wróciła do kuchni sfrustrowana i jeszcze bardziej rozgrzana.

– Proszę pani, nie mogę go znaleźć! Wołam go i wołam. Zajrzałam wszędzie, gdzie przeważnie się ukrywa, jak na przykład w szopie z narzędziami.

Beatrice wstała i podążyła za Mary. Ogród był pusty i cichy, poza odgłosami rąbania drewna przez Jubala i Caleba nad potokiem. Wózek Noego leżał przewrócony na bok przy grządkach fasoli.

– Noe! – zawołała Beatrice jak najgłośniej. – Noe, gdzie jesteś?

Bez odpowiedzi.

– Noe, mama się pogniewa!

Nadal żadnej odpowiedzi.

Beatrice zaczęła odczuwać ból w piersiach i rodzącą się panikę. Zgarnęła spódnicę i pobiegła przez pole za ogród, aż dotarła do zbrocza prowadzącego nad potok. Widziała, jak Jubal stoi po kolana w wartkiej wodzie i ścina zwisające gałęzie.

– Jubalu! Widziałeś Noego?

Parobek pokręcił przecząco głową.

– Calebie! – krzyknął. – Widziałeś Noego?

Beatrice nie do końca wyraźnie słyszała, co odkrzyknął Caleb, ale Jubal znowu pokręcił głową.

– Niestety, nie widzieliśmy go.

Beatrice pobiegła z powrotem do domu tak szybko, jak mogła. Mary wychodziła zza domu.

– Z przodu też go nie ma! – powiedziała. – Nie wiem, gdzie mógł się podziać. Wyszedł ledwo pół godziny temu, tylko żeby się pobawić!

– Och, dobry Boże – wysapała Beatrice. – Dobry Boże, chroń mojego synka od wszelkiego złego!

– Myślałam, że nic mu nie grozi. Naprawdę! Nie widziałam go, ale słyszałam, jak śpiewa i jak bawi się wózkami.

– O, dobry Boże – powtarzała Beatrice, zamykając na chwilę oczy. Bardzo starała się nie myśleć o najgorszym, ale nie mogła się powstrzymać. „Nasze brzuchy zostaną rozcięte i wnętrzności złożone będą razem w stos przed naszymi oczami... dzieci i wszyscy”.



Przeszukali sad i pola, wszystkie pobliskie lasy, aż zaczęło się ściemniać. Caleb pojechał do miasteczka rozpytać, czy może ktoś widział Noego, ale na próżno.

Beatrice chciała pojechać do gospody w Penacook, aby dowiedzieć się, czy Jonathan Shooks wie, gdzie jest jej syn. Teraz jednak zrobiło się całkiem ciemno, a księżyc jeszcze nie wzeszedł. Stała w ogrodzie, trzymając wysoko latarnię i wołając bez ustanku, ale Noe nie odpowiadał. Wiedziała, że to nadaremne. Wiedziała, że nie może jej usłyszeć, bo jest za daleko albo nie żyje.

Proszę, bądź bardzo daleko, ale żyj, i niech ci nic nie dolega. Proszę. Proszę, żyj.

Nie spała w ogóle tej nocy, nawet się nie położyła. Mary zaproponowała, że zostanie z nią, ale Beatrice poleciła Calebowi, aby odwiózł ją do domu. Dziewczyna w niczym nie mogła pomóc, a była tak zdenerwowana, że nieomal wpadała w histerię, i potrzebowała snu.

Kilkakrotnie w ciągu nocy Beatrice wychodziła na dwór. Wielki wał chmur przesunął się po niebie z zachodu, zasłaniając księżyc, więc całą noc panowały ciemności. Mimo to stała w ogrodzie z latarnią, wzywając Noego, chociaż ledwo było ją słyszeć pośród brzęczenia chrząszczy.



W końcu szary świt zaczął rozświećlać niebo i Beatrice spryskała twarz zimną wodą, a potem rozpała ogień, aby zrobić sobie herbatę. Kubek z mlekiem, które nalala dla Noego na obiad, nadal stał na stole. Pływała w nim mucha, więc wylała je do zlewu.

Straciwszy Francisa, a teraz Noego, nieomal wierzyła, że Sutton opanował szatan. Co takiego właściwie uczyniła, że zasłużyła na taką karę, poza bezgraniczną miłością do męża i syna i absolutną wiarą w Boga?

Jubal i Caleb zjawili się zaraz po szóstej. Caleb wszedł, aby powiedzieć jej, że Mary ma gorączkę i, jeśli w ogóle przyjdzie, to później. Beatrice podejrzewała, że Mary nie spała, tak jak ona, i że po prostu jest zbyt zmęczona i zrozpaczona, aby przyjść do pracy.

Kiedy wypła herbatę, weszła do salonu, aby przed lustrem ułożyć sobie włosy. Były splątane i potargane, a wczoraj nie miała czasu, aby zawinąć papiloty. Miała twarz bladą jak ściana, ale wydawała się bardziej opanowana, niż faktycznie się czuła. W zasadzie to skaza w lustrze sprawiała, że jedna strona ust unosiła się w ledwo dostrzegalnym, sardonycznym uśmiechu. Może lustrem także zawładnął szatan. Może zawładnął wszystkimi zwierciadłami.

Upięła czarny żałobny czepek i poszła poprosić Caleba, aby zaprzął Uriela. Jednak kiedy otworzyła frontowe drzwi, zobaczyła zbliżającą się szybko kaleszę Jonathana Shooksa. Miała ochotę zatrzasnąć je mu przed nosem, ale została na miejscu, dopóki Samuel nie zajechał, zataczając łuk, i nie zatrzymał powozu.

Jonathan Shooks ubrany był dzisiaj na czarno. W czarny surdut i bryczesy tego samego koloru, chociaż kamizelę i pończochy miał szare.

Wszedł na ganek, trzymając kapelusz pod pachą, ale nadal nie odezwał się słowem, nawet się nie przywitał.

– Lepiej niech pan wejdzie – odezwała się Beatrice. Odwróciła się i przeszła korytarzem do salonu, a on za nią, zamknąwszy za sobą drzwi.

W salonie, przed lustrem, stali twarzą w twarz, spoglądając na siebie. Beatrice nieomal odczuwała, jak strzelają między nimi iskry, jakby byli szklanymi kulkami w laboratorium jej ojca.

– Mój syn Noe... Mój syn Noe zaginał – wydobyła z siebie, starając się zapanować nad emocjami.

– Wiem – odparł tym niskim, opanowanym głosem.

– Pan go zabrał?

– Tak.

Beatrice nie mogła uwierzyć, że to powiedział. Zaczęła szybciej oddychać, praktycznie dyszała z niepokoju.

– Pan go zabrał? Czy nic mu nie grozi? Nie skrzywdził go pan?

– Oczywiście, że nie. Jest zupełnie zdrow. I nakarmiony. Trochę płakał. Pytał o mamę, ale tego można było się spodziewać.

– Gdzie on jest? Jak pan mógł zrobić coś takiego? Żądam, aby odwiózł go pan do mnie natychmiast!

– Proszę się uspokoić, pani Scarlet. Jedyne powód, dla którego go zabrałem, to aby chronić was oboje.

– Aby nas chronić? Porwał pan mojego synka! Jak to miało nas ochronić?

– Bo tylko tak mogę nakłonić panią do zmiany decyzji i przekazania mi ziemi, o którą prosiłem.

– Co? O czym pan mówi? Czy nie powiedziałam wystarczająco jasno, że odmawiam przepisania gruntu?

– Rzeczywiście, mówiła pani, i dlatego zabrałem Noego, a zwrócę go tylko, kiedy podpisze pani akt przeniesienia własności.

– Pan... Pan jest potworem!

Jonathan Shooks wzruszył ramionami.

– Przyznaję, że prowadzę interesy z potworem, ale próbuję uratować panią i jej syna przed torturami lub śmiercią albo

jednym i drugim. Tylko ja mogę utrzymać tego demona z dala. Robi się z godziny na godzinę coraz bardziej niecierpliwy, aby wypełnić zadanie, jakie zlecił mu szatan. Porwanie pani syna to ostateczność, przyznaję, ale nie widziałem innego sposobu, by panią uratować. Pani Scarlet, ma pani zbyt piękną twarz i figurę, by spłonąć albo mieć wyprute flaki, albo skończyć w kąpielni w kwasie. Chce pani, by obcięto jej dłonie i stopy? Chce pani, by siłą nakarmić ją sercem pani dziecka, zanim jeszcze przestanie ono bić? Chce pani na własne oczy zobaczyć syna, jak płonie od stóp do głów? Ten demon czynił nie tylko takie rzeczy, ale nawet jeszcze gorsze. Jego złe intencje nie mają ograniczeń, proszę mi wierzyć.

– Nie ma żadnego demona.

– Zapewniam, że jest.

– Dobrze pan wie, że mój ojciec był aptekarzem i że przekazał mi wiele ze swych chemicznych umiejętności.

– Oczywiście. Sam należałem do Stowarzyszenia Aptekarzy. Pani ojciec mnie nie znał, oczywiście, i nigdy się nie spotkaliśmy, ale wiedziałem o nim wiele, jak większość aptekarzy. Wielkim zaskoczeniem było dla mnie zastać tu, w Sutton, jego córkę.

– Nie wierzę panu.

– Zapewniam, że to szczerą prawdą. Świat jest w końcu mały. Pani ojciec był dobrze znany po publikacji kilku artykułów, prawda? Bardzo niezwykłych, w większości... takich jak *Spontaniczny zapłon oleju i nadmanganianu potasu* i *Konserwowanie ciał organicznych poprzez dehydrację olejem lnianym*.

– Drwi pan ze mnie, panie Shooks. Mój mąż został zamordowany, a jego ciało poddane takiemu właśnie procesowi, a pan masz czelność o tym mówić.

– Nie drwię z pani. Dlaczegoż miałbym to robić? Byłem bardzo zdolnym, młodym aptekarzem, prawdę mówiąc. Pani oskarża mnie o szarlatanerię, ale zapewniam panią, że nie czynię tego i nigdy nie czyniłem.

– Pan jest szarlatanem i potworem. Nalegam, aby oddał mi

pan syna.

– Może mnie pani nazywać, jak tylko pani zechce. Lecz muszę pani powiedzieć, że byłem tak dobrym aptekarzem, że zatrudniło mnie londyńskie towarzystwo żeglugowe, abym podróżował po świecie i szukał nowych lekarstw pośród różnych kultur. Posłano mnie do Indii, do Chin, do Peru i Valdivii. Jako pierwszy przywiozłem do Londynu żeń-szeń, dzięki czemu w owym czasie bardzo się wzbogaciłem. Oczywiście lekarstwa w większości kultur są nierozzerwalnie związane z religią i przesadami. Jak inaczej mógłbym posiadać wiedzę o duchach, demonach oraz przedziwnych postaciach, pod jakimi szatan pojawia się w różnych krajach?

Beatrice powoli pokręciła głową.

– Skoro jest pan tak dobrze wykwalifikowanym aptekarzem, panie Shooks, to przekonał mnie pan aż nadto, że wszystkie te rzekome nadprzyrodzone zdarzenia, które przerażały mieszkańców Sutton, zostały sfabrykowane przez pana, i tylko pana. – Wzięła oddech i dodała: – Żądam powrotu syna. I to żądam natychmiastowo. A jak odkryję na jego ciele choćby jeden siniak, złe intencje tego demona okażą się niczym w porównaniu z tym, co osobiście panu zrobię.

– Pani Scarlet, to jest demon – odparł Jonathan Shooks. – Nawet teraz, kiedy rozmawiamy, ten demon trzyma pani syna, i jeżeli wrócę do niego bez pani zapewnienia o przekazaniu ziemi, to demon go zrani, i to mocno. Może go nie zabije. Może tylko odetnie mu ręce albo genitalia, albo go oślepi. Może zanurzy jego głowę we wrzółku. Naprawdę nie wiem. Ale wiem, że jeżeli będzie pani się upierać przy odmowie, to nigdy nie zobaczy pani syna takim, jakim był kiedyś.

Beatrice spojrzała na niego, mrużąc oczy, szukając w jego twarzy najmniejszego przejawu nieszczerości. Lecz on wytrzymał to spojrzenie, a poza tym jego głos był głęboki i miarowy, nieomal ciepły, jakby jej doradzał, a nie próbował przerazić.

Nadal nie potrafiła uwierzyć, że istnieje demon, ale wierzyła, że Jonathan Shooks nie odda jej Noego, jeśli nie przekaże mu

swojej ziemi.

Odwróciła głowę i spojrzała na siebie w lustrze.

– Dobrze, zatem. – Zobaczyła siebie wypowiadającą te słowa.
– Będę musiała pojechać do osady i omówić to z moim prawnikiem, panem Nortonem.

– Teraz wystarczy deklaracja. Później możemy omówić szczegółowo prawne aspekty, jak również szczegółową lokalizację ziemi do przekazania i jej granice.

– Dobrze. Jeżeli do południa pan wróci, będę miała przygotowany list.

– Nie może pani napisać go teraz?

– Muszę się dobrze nad tym zastanowić, panie Shooks. Życie mojego syna jest w niebezpieczeństwie, proszę pamiętać. Do kogo mam go zaadresować?

– Nie musi pani umieszczać nazwiska. To byłaby katastrofa, gdyby pani poznała imię demona. Proszę po prostu napisać, że jest pani gotowa przekazać te grunty mnie jako przedstawicielowi klienta, który pragnie zachować anonimowość.

Przerwał, a potem sam spojrzał na odbicie jej twarzy w lustrze.

– Podjęła pani mądrą decyzję – dodał. – Proszę mi wierzyć.

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać, dziękuję. Jak pan przyjedzie, przywiezie pan Noego?

– Cóż, zobaczymy. Jeżeli list będzie zadowalający, wówczas zapewniam, że mały Noe wróci w pani ramiona, zanim się pani obejrzy.

– Może pan o nim mówić „pani syn”. Wolałabym nie słyszeć jego imienia w pańskich ustach, dziękuję.

– Jak pani sobie życzy. Do usług.

Rozdział 32

Przez ponad dwadzieścia minut po wyjeździe Shooksa Beatrice siedziała w salonie i rozmyślała. Mogła za nim pojechać, aby spróbować odkryć miejsce, gdzie przetrzymuje Noego, ale byłoby prawie niemożliwe zrobić to tak, aby nie zorientował się, że za nim podąża, a gdyby nawet udało jej się znaleźć miejsce pobytu Noego, co by poczęła?

Francis pojechał za nim i chociaż nie był słabym mężczyzną, został pokonany i zabity.

Mogła wezwać konstabla Jewkesa. Przynajmniej miał broń, ale prawdopodobnie wciąż był pijany, a nawet jeśli zdążył wytrzeźwieć, to i tak był niezdarny i niekompetentny. Kiedy w grę wchodziło życie jej syna, nie mogła ryzykować, że wtargnie i da Shooksowi szansę zabicia lub zranienia go. Cokolwiek Jonathan Shooks jej przysiągł, nadal nie mogła uwierzyć, że istnieje jakiś demon, z którym prowadzi interesy.

Chyba że demon był kimś, kto uważał się za opętanego. Na myśl jej przyszła wdowa Belknap, gdy tańczyła nago w lesie i wygrażała całej ludności Sutton.

Przypuszczała, że mogłaby się zwrócić do parafian z Sutton, aby jej pomogli, do Rodneya Bartletta, Petera Dustona i Williama Rolfe'a, ale wszyscy oni mieli rodziny, a po tym, co się stało z Nicholasem Buckleyem i Francisem, nie powinna tego od nich oczekiwać. Mało tego, istniało ryzyko, że rzuca się na niego, i dadzą Shooksowi szansę, by uciekł i zabrał z sobą Noego albo straszliwie go skrzywdził.

Po chwili wstała i podeszła do kredensu w kuchni po materiały do pisania. Jednak zanim zaczęła pisać, z kufra w korytarzu wydobyla notesy ojca.



Kiedy Jonathan Shooks wrócił, zaprowadziła go do salonu i wręczyła mu list zwinięty w rulon, zawiązany sznurkiem oraz zapieczętowany szkarłatną woskową pieczęcią.

– To dla pańskiego klienta, kimkolwiek jest. Mam także kopię dla pana, identyczną w każdym detalu, więc może być pan pewien, że nie próbuję pana zwieść. Nawet nie śmiałybym, skoro jako zabezpieczenie przetrzymuje pan mojego syna.

Jonathan Shooks wziął zwinięty list i wepchnął go do wewnętrznej kieszeni surduta. Beatrice podała mu kopię, a on rozwinął ją i przeczytał uważnie, niedostrzegalnie poruszając ustami:

Ja, Beatrice Anna Scarlet, będąc wdową po wielbnym Francisie Keyesie Scarlecie, niniejszym oświadczam, że moją nieprzymuszoną i nieodwołalną wolą jest przekazać panu Jonathanowi Shooksowi, będącemu przedstawicielem osoby, której tożsamość za obopólną zgodą ma pozostać poufna, minimum dwanaście hektarów ziemi przyległej do plebanii w Sutton, którą odziedziczyłam po zmarłym mężu, a grunty te zawierają zarówno część sadu, jak i potok Sutton. Dokładny areal i szczegóły rzeczonych gruntów zostaną określone wspólną umową.

Kiedy Shooks skończył czytać, skinął głową.

– Bardzo dobrze, pani Scarlet. Sama powinna pani zostać prawnikiem. Wierzę, że mój klient będzie bardzo zadowolony.

– Gdybym nie była wdową po słudze bożym, panie Shooks, posłałabym pana do piekła.

– Wie pani, że podnieca mnie bardziej niż każda inna kobieta, jaką do tej pory spotkałem – wyznał Shooks.

– Co takiego?

Ostrożnie odłożył list na stolik obok i zrobił krok w jej stronę.

– Powiedziałem, że mnie pani podnieca. Poruszyła pani we mnie krew od pierwszej chwili, kiedy panią ujrzałem, a pani duch i determinacja wzburzyły ją jeszcze bardziej.

– Panie Shooks, lepiej będzie, jeżeli pan teraz odejdzie. Chcę, żeby mój syn wrócił jak najszybciej, i to wszystko.

– Obawiam się, że pragnę od pani jeszcze jednego podarunku, zanim odwiozę pani syna.

– Ma pan już moje przyrzeczenie dwunastu hektarów. Czego więcej pan chce?

Jonathan Shooks zrobił kolejny krok, aż znalazł się wystarczająco blisko, by jej dotknąć.

– Pragnę pani. Pragnę zaznać przyjemności, z której korzystał pani zmarły mąż, niech spoczywa w pokoju.

– Panie Shooks, muszę poprosić pana o wyjście. Proszę sprowadzić mego syna.

– Nie, dopóki nie da mi pani tego, czego pragnę. Jakiż jest lepszy sposób na dobicie targu? Wówczas pani szczerść byłaby niepodważalna.

– Owdowiałam zaledwie przed kilkoma dniami – odparła Beatrice. Serce waliło jej tak bardzo, że słyszała, jak krew szumi w uszach. – Nie może pan żądać tego ode mnie.

– Chce pani, aby syn wrócił cały i zdrowy?

– Oczywiście! Ale co pan sugeruje... To potworne!

Jonathan Shooks uśmiechnął się, unosząc jedną brew. Został na miejscu przez chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł z salonu bez słowa. Kiedy otworzył frontowe drzwi, Beatrice poczuła ulgę. On po prostu bawił się jej kosztem. Nagle usłyszała, jak woła:

– Samuel! Samuel, chodź tu!

Dobiegł ją jeden z koszmarnych okrzyków Samuela, a po chwili Shooks wrócił do salonu ze swoim upiornym sługą, którego czuć było koźmi i końskim mydłem.

– Co pan robi? – zapytała Beatrice. – Myślałam, że jedzie pan po mojego syna. Dałam już panu obietnicę na piśmie.

– Jak powiedziałem, pani Scarlet, musi pani udowodnić szczerą swoją słów czynkiem.

– Ani się waż mnie tknąć!

Jonathan Shooks uśmiechnął się i zaczął odwiązywać fular.

– Tak, wdowo Scarlet, szkarłatna wdowo, odważę się!

– Wynoś się pan z mojego domu, natychmiast! I zabierz pan stąd tego niemego głupka!

– Samuel! – powiedział Jonathan Shooks. – Bądź tak dobry i przytrzymaj mi to narowiste stworzenie.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła Beatrice. – Nie waż się tknąć mnie choćby palcem! Caleb! Jubal!

– Pani wie i ja wiem, że pani ludzie są nad potokiem i ścinają drzewo, a zatem nie mogą pani usłyszeć, obojętnie, jak głośno będzie pani ich wzywać.

Zdjął surdut i rzucił go na podłogę. Potem zaczął rozpinać bryczesy.

– Precz ode mnie! – krzyknęła Beatrice. A kiedy Samuel zrobił krok w jej stronę: – Ty też! Wsadzę cię do więzienia za takie groźby wobec mnie!

– Chcesz jeszcze zobaczyć swego najdroższego synka, co? Zatem to jest cena jego bezpiecznego powrotu. Samuel!

Niemowa schwycił Beatrice za prawy nadgarstek i przyciągnął ją do siebie tak mocno, że prawie potknęła się o dywan. Lewą ręką wymierzyła mu policzek, ale on był zbyt wielki i silny, więc bez trudu obrócił ją i przytrzymał obie ręce za plecami, podciągając je ku górze tak mocno, że czuła, że za chwilę wyrwie je ze stawów.

– Puszczaj! Puszczaj mnie! – krzyczała, ale Jonathan Shooks spoliczkował ją, najpierw z jednej strony, potem z drugiej.

– Uspokój się, kobieto – rzucił krótko. – Bo obetnę ci język i będziesz tak samo niema jak Samuel.

Beatrice walczyła, kopała, ale Samuel trzymał jej ramiona nieubłaganie mocno, i obojętnie, jak wściekle wierzgała nogami pod suknią, nie miało to żadnego znaczenia.

Nagle Samuel pchnął ją do przodu, najpierw na kolana, a potem płasko twarzą na dywan. Ukłękawszy obok niej,

odwrócił ją na plecy. Uniósł jej ręce ku górze, jedną po drugiej, nadal mocno trzymając za nadgarstki, tak aż znalazły się za jej głową. Było to koszmarnie bolesne; Beatrice krzyknęła:

– Nie! Dobry Boże, to boli!

– Ból i przyjemność są nierozłączne, moja piękna szkarłatna wdowo – powiedział Jonathan Shooks. – Z pewnością przeczytałaś wystarczająco z Biblii, aby o tym wiedzieć.

– Ty diable! – dyszała.

Jonathan Shooks zdjął buty ze srebrnymi sprzączkami, a potem zsunął pończochy. Następnie zdjął bryczesy, chociaż zostawił koszulę sięgającą mu do ud. W końcu zdjął siwą perukę. Włosy pod spodem miał ciemne, ale krótko ścięte i najeżone. Wtedy uklęknął między nogami Beatrice, kładąc oba kolana na jej sukni, aby powstrzymać ją przed gwałtownym wierzganiem. Pochylił się tak nisko, że jego twarz znalazła się zaledwie centymetry od jej twarzy, a ich nosy nieomal się stykały. Odwróciła głowę. W jego oddechu wyczuwała gorycz podobną do piołunu.

– Nie chcesz mnie pocałować? – spytał swoim niskim, przekonującym głosem. – Na pewno nie chcesz się kochać bez całowania.

Bea trzymała głowę odwróconą, a usta miała mocno zaciśnięte.

– Co za niechętna kochanica! – wycedził Jonathan Shooks, a Samuel zasyczał ze śmiechu, podciągając jej ręce wysoko, aż nie mogła powstrzymać się przed jękiem bólu. – Dla szatana grzechem kobiety jest nieposłuszeństwo w cudzołożeniu, wiedziałaś? Jak możesz nie oddać się chętnie mężczyźnie, który tak bardzo cię pożąda?

To mówiąc, schwycił oburącz dekolt jej bluzki i próbował ją rozerwać. Z początku szew trzymał mocno, ale wtedy on szarpnął z całej siły, a potem znowu, i czarne płótno rozdarło się i ukazały się białe piersi. Jonathan Shooks ujął od dołu każdą pierś, wyczuwając ich ciężar i napięcie, i drażnił palcami sutki, aż zeszywniały.

Beatrice znów odwróciła głowę, gdy ją pieścił, ale czuła, że

cały czas na nią patrzy, by wiedzieć, czy ją podnieca.

– „Jej kuszące piersi cieszą ich oczy – zacytował. – I lekko unoszą się na powitanie kochającej dłoni”.

Beatrice wiedziała, że w żaden sposób nie może go przed tym powstrzymać, więc zamknęła oczy i leżała zupełnie nieruchomo, mimo bólu ramion. Gdy Jonathan Shooks nadal masował jej piersi okrężnymi ruchami, starała się myśleć o Francisie i o tym, jak bardzo go kocha, i o Noem, aby zapomnieć, że tu jest i że leży rozciągnięta na podłodze w salonie, nie mogąc się uwolnić.

Shooks przesunął się nieco do przodu, zdejmując kolana z jej sukni. Znowu mogła kopać, ale uznała, że to go tylko podnieci jeszcze bardziej, więc pozostała w całkowitym bezruchu. Wtedy chwycił rąbki jej sukni i halek i przesunął do góry, centymetr za centymetrem, aż zmarszczyły się wokół jej talii.

Samuel krzyknął, a potem zaterkotał jak drewniana grzechotka, aż Beatrice zebrało się na mdłości. Do ust wezbrała jej żółć, którą musiała przełknąć. Nie zamierzała dać Shooksowi satysfakcji ze świadomości, że wywołał u niej wymioty.

Czuła, że głaszczę ją po łonie, raz za razem, otwartą dłonią. Chociaż robił to tak lekko i delikatnie, słyszała jak oddycha coraz szybciej. Wówczas poczuła, jak koniuszkami palców rozchyła jej wargi. Zadrżała, a wszystkie zakończenia nerwowe na całym ciele skurczyły się, jakby otworzyła drzwi wyjściowe nago w środku zimy.

– Taka mokra – powiedział Shooks nieco głośniejszym niż szeptem. – Udaje, że mnie nie chce, a jednak jej soki napływają wraz z pożądaniem.

O, dobry Boże, niech to się skończy, myślała Beatrice. O, dobry Boże, niech mnie nie skrzywdzi. Wybacz mi, Panie Boże ten grzech, bo nie mam wyboru.

Usłyszała cichy szelest, gdy Shooks podciągał koszulę, a potem poczuła, jak układa żołądź penisa między jej sromem. Wydawał się ogromny, jak u byka. Jak zdoła go w sobie pomieścić? Zamknęła oczy i znowu modliła się, żeby jej nie

skrzywdził. Czekala niemal przez minute, a potem on zaczął w nią wchodzić.

Czuła, jak jego penis wszedł na pięć lub siedem centymetrów, a potem wycofał się trochę, ponieważ była tak bardzo spięta, a jej pochwa ciasna. Przerwał, a potem znowu go wepchnął, i tym razem wszedł tak głęboko, że aż podskoczyła, czując, że niemal dochodzi jej do serca. Nadal miała mocno zamknięte oczy, ale to nie mogło zagłuszyć innych zmysłów. Nadal słyszała, jak Shooks dyszy i sapie, i czuła jeszcze jego szorstkie włosy łonowe trące o jej łono i jądra kiwające się między jej udami.

– Ochhhm – zajęczał. – Samuelu, nie ma nic lepszego nad to! Brać młodą kobietę w jej żałobnym stroju!

Utrzymywał równy, niestrudzony rytm i z każdym pchnięciem wsadzał penisa w nią, jak mógł najgłębiej, aż bolała ją kość łonowa.

Proszę, dobry Boże, niech to się skończy. Proszę, dobry Boże, niech to nie będę ja.

Zupełnie niespodziewanie Shooks się odezwał:

– Samuelu. – I całkowicie wyciągnął z niej członek.

Czyżby skończył? Czy dał spokój? Dlaczego przerwał?

Pozwoliła sobie otworzyć oczy na ułamek sekundy i zobaczyła, jak klęczy wyprostowany, trzymając sterczącego penisa w ręku, jakby to było grube czerwone berło. Palcem wskazującym drugiej ręki wykonywał ruch obrotowy w powietrzu.

– Samuelu, obróć ją.

– Nie! – krzyknęła i wściekle wierzgnęła. Ale Jonathan Shooks natychmiast chwycił ją za kostki, a Samuel mocniej ścisnął za nadgarstki. Razem obrócili ją, aż wcisnęli jej twarz w dywan. Poczula byczą żółć, której Mary używała do czyszczenia, aż zebrało się jej na wymioty.

– Pójdiesz za to do piekła – mimo wszystko udało się jej wyrzucić z siebie.

Samuel wydobył jeden ze swoich najbardziej przeraźliwych, wysokich wrzasków, od których cierpła skóra, a zakończył

bulgotem zgoła nieludzkim.

– Trzymaj ją mocno! – rzucił Shooks, a potem schwycił jej pośladki i rozsunął je jak mógł najszerzej. Parskał z wysiłku, gdy wciskał się w nią, ale Beatrice była świadoma jedynie potężnego bólu. Pochylił się do przodu tak, że niemal cały jego ciężar spoczywał na niej, i wszedł nią, jak mógł głęboko. Wbrew własnej woli Beatrice zaczęła szlochać. To tak bardzo bolało i było takie poniżające, i tak bardzo ją unieszczęśliwiało.

Oprawca oddychał ciężko w jej kark. Odsunął na bok długie, splecione włosy Beatrice i opuszkami palców sięgnął do jej policzków. Czuł, jak spływają po nich łzy, a potem jednym palcem przesunął po jej ustach, aż poczuła słony smak.

– Och, szkarłatna wdowo – powiedział, a wtedy poczuła, jak drży i trzęsie się raz za razem.



Po wszystkim wstał i ubrał się tak niespiesznie, jakby był u siebie w pokoju w gospodzie Penacook; podziwiał się w zwierciadle, gdy zakładał perukę i wiązał fular. Beatrice pozostała na podłodze, chociaż obciągnęła halki i suknię, aby się okryć.

Kiedy włożył buty, stanął nad nią i wyciągnął rękę.

– Pani Scarlet, pomóc pani wstać?

Beatrice nie chciała nawet na niego patrzeć. Wbiła wzrok w mahoniową nogę krzesła obok.

– Jak sobie chcesz – rzucił. – Ale dotrzymam słowa i zaraz odwiezę ci syna. Miło było prowadzić z panią interesy, a gdyby miała pani kiedyś ochotę na więcej przyjemności, musi pani tylko po mnie posłać.

Beatrice została na miejscu, nie odzywając się. W końcu Jonathan Shooks powiedział:

– Chodź, Samuelu. Już czas, abyśmy dali spokój tej młodej damie.

Wyszli z domu i Beatrice usłyszała, jak odjeżdżają. Kiedy już nie dobiegał do jej uszu turkot kół, sięgnęła po krzesło i z bólem dźwignęła się na kolana, a potem wstała. Chciało jej się płakać, ale powiedziała sobie, że teraz nie może. Łzy przyjdą później, w nocy, kiedy Noe będzie bezpieczny w domu. Poszła do kuchni i napompowała wody do miednicy. Potem, unosząc suknię i halki, umyła się, sycząc z bólu. Na halkach widać było krople krwi, więc będzie musiała się przebrać.

Powoli wpełzła na górę, czepiając się poręczy jak kobieta trzy razy od niej starsza. Ojciec nauczył ją, by nie nienawidziła bliźnich, chociaż codziennie miał do czynienia z ludźmi, którzy byli głupi, nieodpowiedzialni i prostacy. Aż do teraz nie uważała siebie za mściwą. Nie aż do tego stopnia. Nie tak mściwą, żeby patrzeć z radością na czyjaś chłostę, aż wyjdzie mu na wierzch kręgosłup od razów albo jak będą go wieszać.

Rozdział 33

Chociaż ręce nie przestawały jej drżeć, starannie zszyła dekolt czarnej żałobnej sukni rozdartej przez Shooksa. Kiedy ubrała się ponownie, wyniosła jedno z kuchennych krzeseł na ganek i usiadła tam, by czekać na Noego.

Słyszała, jak Jubal i Caleb rąbią drewno nad potokiem, ale teraz nie zniosłaby widoku kogokolwiek, a zwłaszcza mówienia o tym, co jej zrobiono. Po pierwszej fali obrzydzenia i żądz zemsty, poczuła się odrętwiała i zrobiło jej się zimno jak tej zamarznętej dziewczynce, którą razem z ojcem widzieli na klęczkach na progu tak dawno w Boże Narodzenie w Londynie.

Siedziała prawie dwie godziny, a wokół niej trwał dzień, nad nią zaś przetaczały się białe chmury. Słyszała świergot ptaków i szelest liści, ale mogła myśleć tylko o Noem.

Wreszcie na końcu podjazdu zobaczyła kaleszę Jonathana Shooksa. Pojazd zatrzymała się. Widziała, jak Samuel wyjmuje Noego i stawia go na ziemi. Kalesza odjechała, a chłopiec został sam.

Beatrice wstała, przewracając z łoskotem krzesło.

– Noe! – zawołała. – Noe! – Zebrała suknię w jedną rękę i pobiegła do niego, machając. – Noe! Mama jest tutaj, kochanie! Noe!

Chłopczyk też zaczął dreptać w jej stronę, podnosząc obie rączki i płacząc.

Dzieliło ich jeszcze pięćdziesiąt metrów, kiedy Beatrice zobaczyła, jak z cienia pod dębami ktoś wyszedł. Była to postać

w brązowym płaszczu, z kijem. Kierował się do Noego, jakby zamierzał go przechwycić, podpierając się kijem, aby iść szybciej.

– Nie! – krzyknęła Beatrice. – Nie dotykaj go! Zostaw go!

Pobiegła jeszcze szybciej, chociaż przez halki potykała się i prawie przewróciła. Lecz ten ktoś najwyraźniej ją usłyszał, ponieważ zatrzymał się i stał w bezruchu, a potem skłonił zakapturzoną głowę, odwrócił się i poszedł szybko z powrotem ku drzewom. Beatrice schwyciła synka w ramiona w momencie, gdy postać znikła.

– Mama. – Noe szlochał, wczepiając się w jej szyję. Miał brudną buzię, włosy i ubranko. Zaniosła go do domu, do kuchni, gdzie rozebrała go i delikatnie umyła, oglądając ostrożnie w poszukiwaniu obrażeń, ale niczego nie znalazła. Zaniosła go do sypialni i założyła mu czystą koszulkę, a potem go uczesała. Nadal nie chciał jej puścić, ale przestał już płakać i wreszcie pachniał czystością. Zaniosła go z powrotem do kuchni i posadziła w wysokim krzeselku. Zagrzała mu mleko. Był za mały, aby mógł opowiedzieć, co się stało i jak był traktowany, więc jedynie uśmiechała się do niego, całowała i zaśpiewała mu *Wlazł kotek na płotek*.



Krótko po trzeciej zjawiała się Mary. Twarz miała zarumienioną, a oczy zapuchnięte, ale upierała się, że jest zdrowa i może pracować.

– I tak muszę jechać do miasteczka – powiedziała Beatrice. – Może odwiozę cię do domu? Są tylko proste prace do zrobienia. Zaczęłam gotować te krowie kopyta na żelatynę, ale to może poczekać do jutra.

– Może zostanę i będę szyć? – spytała Mary. – Jak mnie pani odwiezie do domu, będę musiała zrobić pranie i wyszorować podłogi.

– Oczywiście, możesz zostać. Nie musisz szyć, jak nie czujesz się dobrze. Połóż się w pokoju z tyłu, jeśli masz ochotę się przespać.

Mary przyjrzała się uważnie Beatrice.

– Czy coś się pani stało? – spytała.

– Dlaczego pytasz?

– Ma pani siniak na policzku i... Proszę wybaczyć, jeżeli jestem bezczelna... Jest pani jakaś inna.

Beatrice nieświadomie uniosła rękę do lewego policzka, w który Jonathan Shooks uderzył ją mocniej niż w prawy.

– To nic. Kiedy wychodziłam, żeby nakarmić świnię, potknęłam się i upadłam na furtkę.

Mary nadal jej się przyglądała, jakby nie wierzyła w ani jedno jej słowo, ale nic nie powiedziała, tylko dygnęła lekko.

– Rozumiem. Przepraszam, że się ośmieliłam. Dziękuję. Dziękuję, że pozwoliła mi pani zostać. Pójdę po koszyk do robótek. Jedzie pani teraz do osady?

– Tak, i nie musisz pilnować Noego, bo zabieram go z sobą. Jest trochę roztrzęsiony dzisiaj i chyba chce być blisko mamy.

– Sama jest pani roztrzęsiona, prawda? – zauważyła Mary. – I to chyba nie tylko potknięcie. Jest pani naprawdę strapiona.

Beatrice spróbowała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Czowała, że się zaraz rozplacze, a w tym momencie zdecydowanie nie potrzebowała współczucia.

– Tak – odparła. – Nie mogę powiedzieć o tym teraz, ale obiecuję, że powiem później. Jesteś bardzo spostrzegawcza.

Mary nie odpowiedziała, ale znowu dygnęła i wyszła z pokoju. Dopiero wtedy Beatrice uświadomiła sobie, że pewnie nie wie, co znaczy „sposstrzegawcza” i mogła pomyśleć, że została złajana.

Wyjęła Noego z krzeselka.

– Chodź, mój mały mężczyzno – powiedziała. – Mamę czeka bardzo ważna wizyta. Teraz czas na nas, abyśmy zajęli się czarną magią.



W niedzielny poranek dom spotkań był wypełniony po brzegi. Biskup Coker przybył z Dover, aby odprawić specjalne nabożeństwo żałobne za Francisa, a także żeby przedstawić wielbnego Milesa Bennetta, który miał czasowo pełnić funkcję pastora w Sutton, dopóki nie zostanie przysłany z Anglii nowy duchowny.

Biskup Coker był tęgim mężczyzną, który majestatycznie przeszedł główną nawą niczym żaglowiec pod pełnymi żaglami i którego głos brzmiał niczym salwa armatnia.

Nie wiedział nic o kłopotach, jakie nawiedziły Sutton, głównie dlatego, że Francis nie chciał przyznać się przed swoimi przełożonymi, że nie potrafi poradzić sobie z Jonathanem Shooksem albo demonem, który występował jako adwokat diabła.

Do uszu wyższych urzędników kościelnych nie dotarły też żadne plotki, jak normalnie by się stało, gdyby istniały podejrzenia co do czarów w miasteczku albo czczeniu szatana. Mieszkańcy Sutton byli zbyt przerażeni, aby otwarcie mówić o wydarzeniach... Szczególnie po śmierci, jaka spotkała Francisa i Nicholasa Buckleya. Nie chcieli też, aby mieszkańcy sąsiadujących osad myśleli, że Bóg wybrał ich za karę, z powodu grzechów, które mogli popełnić, i braku wiary, więc pozwolili szatanowi pozbawić się swej drogocennej własności.

– W istocie, wielbny Francis Scarlet był światłem, które rozświetlało nasze ciemności – grzmiał biskup Coker. – I będzie światłem, którego nic nigdy nie ugasi, a zostanie ono przekazane jego następcy, a potem kolejnemu, a potem znowu, i tak dalej.

Szepcząc, zebrani modlili się, aby dusza Francisa znalazła pokój wieczny w Niebie, a także modlili się za Buckleyów. Niektórzy z nich ocierali oczy, gdy biskup na koniec ich pobłogosławił.

Po nabożeństwie biskup Coker stanął przy drzwiach, by podzielić się słowami otuchy i podać rękę każdemu z parafian, a Beatrice i Benjamin Lynch stanęli po jego bokach. Tuż za Beatrice ustawił się generał Holyoke, z peruką nisko naciągniętą na czoło, przez co wyglądał, jakby marszczył brwi albo był mocno zamyślony. Za każdym razem, gdy ktoś z parafian brał Beatrice za rękę, on stawał na palcach i z nadzieją spoglądał przez jej ramię.

– Wspaniały hołd, pani Scarlet – powiedział George Gilman.
– Wielebny zdecydowanie na taki zasługiwał.

Nawet Nathaniel Rowlandson ujął jej dłoń oburącz i pokiwał głową, zapłakany.

– Po stracie pani męża jesteśmy o wiele biedniejsi. Bardzo, bardzo biedni.

Henry Mendum wyszedł z domu modlitwy prawie na końcu, ubrany w czarny surdut i szare bryczesy, pod rękę z żoną. Skłonił się biskupowi, a potem Beatrice, ale nie wyciągnął ręki ani do duchownego, ani do niej.

– Bardzo ciepły dzień jak na rękawiczki, panie Mendum – powiedziała ostro Beatrice.

Mendum uniósł prawą dłoń, jakby sam się zdziwił, co na niej ma. Na dłoniach miał szare skórzane rękawiczki, ale musiały być dla niego zbyt ciasne, ponieważ nie były zapięte.

– Z szacunku dla pani męża świętej pamięci ubrałem się dzisiaj elegancko. Nie tak jak inni, których widzę dookoła.

Skinął głową w kierunku Williama Rolfe'a, który miał na sobie ciemnozielony surdut z postrzępionymi mankietami, a jego żona ubrana była w suknię w niebiesko-białe kwiaty.

– Oczywiście, panie Mendum – odparła Beatrice. – I bardzo to doceniam, ale tu... Rozpięło się panu... Pomogę, jeśli pan pozwoli.

Ujęła jego dłoń i obróciła guzik, jakby próbowała go zapiąć.

– Tak, dobrze, bardzo dziękuję – powiedział Henry Mendum.
– Przyznaję, że nieco przytyłem, od kiedy ostatni razem miałem te rękawiczki, więc są nieco przyciasne.

Wyrwał jej rękę, ale wtedy Beatrice przytrzymała ją bardzo

mocno i ściągnęła rękawiczkę, wywracając ją na lewą stronę. Henry Mendum próbował złapać ją, rzucając gniewne: – Co to? Proszę mi ją oddać! Co pani robi?

Beatrice podniosła rękawiczkę jak mogła wysoko, a kiedy farmer sięgał po nią, zobaczyła wyraźnie, że opuszki jego palców są czarne.

– To ty!

Henry Mendum próbował znowu schwycić rękawiczkę, ale Beatrice odsunęła ją.

– To ty! – powtórzyła, tym razem o wiele głośniej, chociaż była tak zaszokowana, że nie panowała nad własnym głosem i wrzeszczała: – Ty jesteś demonem! To ty terroryzowałeś wszystkich w Sutton! To ty kradłeś ziemię!

– O czym ty, do diabła, mówisz, kobieto? – warknął Henry Mendum. – Oddaj mi rękawiczkę! Straciłaś rozum?

– Twoją winę widzą wszyscy, na twoich palcach! – obwieściła Beatrice. – Patrzcie, jakie są czarne.

– Co? – wymamrotał Mendum. Zaprzestał prób przechwycenia rękawiczki i wetknął dłoń pod pachę, aby nikt jej nie widział.

– Chowanie jej nic nie pomoże, panie Mendum – powiedziała Beatrice. – To niekwestionowany dowód, że jesteś przedstawicielem szatana, z którym Jonathan Shooks rzekomo załatwiał interesy.

– To kompletne szaleństwo! – oponował Henry Mendum. – Kobieto, zwariowałaś! Majaczysz! Czy biskup słyszy, co ona mówi? Czy słyszycie te banialuki, które wypływają z jej ust? Trzeba ją zabrać do domu dla obłąkanych i zamknąć na resztę życia.

– O, nie – odezwała się Beatrice. – Pańskie palce mówią prawdę, panie Mendum. Pana czarne palce mówią, że zastraszał pan mieszkańców Sutton, aby przekazali panu swoje grunty. Mówią też, że zamordował pan rodzinę Buckleyów i czterech niewolników George'a Gilmana, a także mojego drogiego męża.

– To oszczerstwo! – krzyknął Henry Mendum, aż ślina

trysnęła mu z ust. – To godne pożałowania, wierutne oszczerstwo! Nigdy w życiu nikogo nie zabiłem!

– Może i nie zabił ich pan własnoręcznie. Wierzę, że dokonał tego Jonathan Shooks. Podejrzywałam go od samego początku, ale teraz jestem pewna. Nawet jeżeli on popełnił te zabójstwa, to z pańskiego polecenia. Sutton nękał szatan, tak! Ale jego prawdziwe imię to Henry Mendum!

– Jak śmiesz tak mówić do mojego męża! – wtrąciła Harriet Mendum. – Jest najzamożniejszym, najbardziej szanowanym członkiem tej osady! Ma przyjaciół o wysokim statusie! W handlu! W Kościele! Nawet w polityce! Usłużny do przesady! Jak śmiesz oskarżać go o taką zbrodnię!

– Zdradziły go palce! – odparła Beatrice. – Czerń na palcach.

Henry Mendum wyciągnął dłoń spod pachy i podniósł ją, aby wszyscy mogli się przyjrzeć.

– Mam czarne plamy na palcach? Czegóż to dowodzi? Niczego... Jedynie, że rozlałem trochę atramentu na biurku dzisiaj rano, pisząc list do gubernatora New Hampshire... Z którym łączy mnie bardzo bliska i zażyła przyjaźń, muszę dodać. – Po części to jest atrament, oczywiście – dodała Beatrice. – Atrament jednak można zmyć. To, co pan ma na palcach, to mieszanina tuszu i kamienia piekielnego, który jest prawie nie do usunięcia. Możesz pan myć ręce sto razy, a nadal będziesz miał te plamy.

Rozejrzała się po milczącym tłumie, który zgromadził się wokół nich.

– Wczoraj pan Jonathan Shooks przybył na plebanie i zażądał, abym oddała dużą część moich gruntów rzekomemu demonowi, który terroryzował nas ostatnimi czasy. Pan Shooks porwał mojego małego syna Noego, aby wymusić na mnie zgodę, więc nie miałam wyjścia. Posłusznie napisałam obiecany list, jedną kopię dla niego i jedną dla demona.

Teraz głos Beatrice drżał, ale postanowiła nie płakać. Henry Mendum nadal wydawał z siebie głośnie dźwięki oznaczające niezgodę i cedził: „To nonsens!” i „Oszczerstwo!”, a jego żona

skrzeczała pogardliwie raz za razem niczym wrona. Lecz Beatrice nie dała się uciszyć. Straciła zbyt wiele, aby milczeć.

– Kopię dla Jonathana Shooksa napisałam zwykłym atramentem, ale tę dla owego demona, z którym, jak mówił, się układał, napisałam specjalną mieszaniną atramentu i kamienia piekielnego, który plami palce przy dotyku. Są one prawie niezmywalne i nie można ich usunąć przez mycie. Przyszłam na to nabożeństwo dzisiaj, bo wiedziałam, że przybędą na nie wszyscy mieszkańcy, aby złożyć uszanowanie biskupowi i powitać naszego nowego plebana. Miałam szczerą nadzieję, że nie zobaczę nikogo z was z plamami na dłoniach, ponieważ to by oznaczało, że żyje wśród nas morderca i szantażysta, ktoś, kto był gotów grozić własnym przyjaciołom i sąsiadom śmiercią, aby przejąć ich ziemie, a gdyby mu się oparłi, spełnić swoje groźby. Miałam próżną nadzieję, albowiem on tu jest: pan Henry Mendum, demon pod postacią hodowcy krów.

Henry Mendum uniósł rękę, żeby wszyscy zgromadzeni mogli zobaczyć czarne plamy.

– One nic nie znaczą! Tylko tyle, że przypadkowo wylałem butelkę atramentu! Zaprzeczam i obalam wszystko, co sugeruje wdowa Scarlet!

Wtedy wystąpił naprzód generał Holyoke.

– Panie Mendum! – zaczął bardzo głośno, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. A potem dodał ciszej: – Henry... – Ponieważ znali się od ponad dziesięciu lat. Ale przede wszystkim był sędzią pokoju i uroczyście obiecał Beatrice, że ktokolwiek będzie podejrzany o zabójstwo Francisa, Buckleyów i niewolników Gilmana, nie ujdzie sprawiedliwości. – Wdowa Scarlet przyszła wczoraj po południu do mnie i zdradziła mi, jak potraktowała listy, które napisała. List przeznaczony dla demona został zwinięty i zapieczętowany, tak że tylko jedna osoba, do której był adresowany, miałaby palce zaznaczone tak jak twoje.

Gdyby mi o tym wczoraj nie powiedziała, na długo przed tym, jak rzekomo poplamieś sobie palce tuszem, może uznałbym twoją wymówkę za prawdę. Ale tak nie jest, Henry, żałuję. Ponadto fakt, że koniecznie chciałeś ukryć plamy pod

rękawiczkami, dowodzi, że nie mogłeś ich się pozbyć, jak sugerowała wdowa Scarlet.

Henry Mendum otwierał i zamykał usta, ale nie wydobywały się z nich żadne słowa. Jego żona odrzuciła głowę do tyłu i sapiała:

– Huh! Huh! Huh! – Ale nic poza tym.

Generał Holyoke odchrząknął.

– Jest jeszcze jedna rzecz. – powiedział generał. – Popierająca dowody wdowy Scarlet. Pokazała mi ją wczoraj. Ona sama nie była pewna, co to znaczy, chociaż miała podejrzenia. W świetle wydarzeń dzisiejszego ranka nieodparcie skłaniam się do wniosku, że ty, Henry, najprawdopodobniej jesteś człowiekiem odpowiedzialnym za strach, niedolę i ból, które dotknęły tej osady.

– Jaka to rzecz? – zaprotestował Henry Mendum. – To nie jest sąd, a ty nie jesteś sędzią. To znaczy, jesteś, ale to nie jest rozprawa sądowa!

Generał Holyoke sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął kartkę papieru. Rozłożył ją i podsunął Mendumowi przed twarz.

– To szkic gruntów, które różni farmerzy za namową Jonathana Shooksa zapisali „demonowi”. Działo się to pod groźbą, że ich zbiory albo żywy inwentarz zostaną zniszczone, albo nawet ich rodziny będą ranione lub zabite.

– Hola, czekaj! – przerwał mu Henry Mendum. – Zapominasz, że moje najdorodniejsze mleczne dewony zostały zatrute przez tego demona. To na moim polu na samym początku znaleziono odciski jego kopyt! Wdowa Scarlet je widziała! Byłem taką samą ofiarą jak wszyscy inni, i byłem tak samo przerażony, można by rzec!

– Panie Mendum, pańskie krowy długo nie cierpiały, zaraz im przeszło – wtrąciła Beatrice. – I pański inwentarz nie poniósł szkód. A jeżeli chodzi o odciski, to jestem pewna, że powstały w sztuczny sposób. Mało tego, do zrobienia ich wykorzystano substancje, które każdy może kupić w dowolnej aptece.

A przede wszystkim, czy pan scedował własną ziemię na tego demona w zamian za ozdrowienie krów?

Mendumowi oczy wyszły z orbit z wściekłości. Odwrócił się do tłumu mieszkańców, którzy chcieli wysłuchać, o co chodzi w tym sporze, i krzyknął:

– No i?! Wierzycie w te oszczerstwa? Wszyscy mnie znacie! Wiecie, że zawsze byłem honorowy! Zawsze pomagałem wam w trudnych chwilach, czy to pieniędzmi, czy słowami pocieszenia. Kto się opowie za mną?

Z początku nikt z mieszkańców nie zareagował, tylko wszyscy patrzyli na niego z nieskrywaną ciekawością, jakby był Minotaurem, człowiekiem z głową byka w podróznym cyrku. Lecz nagle Nathaniel Rowlandson uniósł dłoń.

– Przyszedłeś do mnie niecałe dwa lata temu, Henry, czyż nie tak, i spytałeś mnie, czy mógłbyś kupić ode mnie dwanaście hektarów, żeby powiększyć swoją farmę?

– Tak, rzeczywiście, ale zaproponowałem ci uczciwą cenę, prawda? Czy ci groziłem? Nie, nie groziłem... W żadnym razie!

– Ale czy zgodziłem się na twoją ofertę? I dobrze pamiętam, że nie byłeś z tego szczególnie zadowolony. Miałeś nadzieję, że prędzej umrę, niż pożałuję... Tak dokładnie powiedziałeś.

– Chyba ci pamięć płata figle!

– Henry, mam doskonałą pamięć. Pamiętam nawet, co to był za dzień... Czternastego maja, dzień świętego Mateusza.

Generał Holyoke znowu uniósł naszkicowaną mapę.

– Chociaż ta mapa tutaj wcale nie jest kompletna, pokazuje bez cienia wątpliwości, że pojawia się pewna prawidłowość! Cała ziemia, którą do tej pory przejął demon, graniczy z farmą Menduma, z jednej lub z drugiej strony. To przejęcie miało na celu podwojenie wielkości ziem Menduma i uczynienie z nich jednego z największych gospodarstw w hrabstwie.

– Mendum! To prawda?! – krzyknął ktoś.

Henry Mendum nic nie odpowiedział, ale wziął żonę za rękę i pociągnął za sobą ścieżką przed kościołem, obok świeżo usypanych mogił Francisa i rodziny Buckleyów, kierując się do bramy. Tłum wołał rozzłoszczony:

- Wstyd!
- Wstydz się, Mendum!
- Dokąd uciekasz?
- Demon! – zawołała jedna z kobiet.

Konstabl stał przed brama, odwiązując swego wielkiego srokosza.

– Jewkes! – zawołał generał Holyoke. – Posterunkowy Jewkes! Zatrzymaj pana Menduma!

Jewkes podniósł wzrok i rozejrzał się, zdezorientowany, jakby jego nazwisko wołał sam Bóg z nieba.

– Zatrzymaj go! – krzyknął generał, wskazując gwałtownie na Henry’ego Menduma, który dochodził od bramy.

Konstabl zrobił dwa kroki na przód, unosząc prawą rękę.

– Stój! – powiedział. – Niech się pan zatrzyma! Jest pan aresztowany!

Henry Mendum pchnął Jewkesa tak mocno w pierś, że ten zatoczył się do tyłu i nieomal upadł na trawę. Lecz gdy Mendumowie, trzymając się za ręce, pospiesznie kierowali się do swojego powozu, konstabl podszedł do konia i wydobył długą na metr mahoniową pałkę, którą przechowywał w skórzanym olstrze obok siodła. Ni to biegnąc, ni to podskakując, dogonił Mendumów, uniósł pałkę i uderzył Henry’ego w tył głowy tak mocno, że Beatrice usłyszała, jak głośno pęka czaszka.

Henry Mendum przewrócił się twarzą na drogę, nadal trzymając Harriet za rękę, tak że i ona poleciała razem z nim, a jej suknia uniosła się, odsłaniając różowe nogi w czarnych, jedwabnych pończochach i halki.

– Henry! – wrzasnęła przenikliwie, dźwigając się na nogi. – Henry!

Lecz jej mąż leżał nieruchomo, z twarzą w wyschniętych koleinach, z zamkniętymi oczami i krwią wypływającą z obu nozdrzy.

– Niech święci mają nas w opiece! – gromko zawołał biskup Coker. – Konstablu, niech pan nie mówi, że go zabił na naszych oczach?

Beatrice wybiegła za bramę i uklękła na drodze, by zbadać puls Menduma. Harriet kręciła się blisko niej, powtarzając:

– Dobrze? Dobrze? On żyje? Tak? Tylko nie mów, że umarł!

– Nie. Żyje – stwierdziła Beatrice po chwili. – Czy doktor Merrydew jeszcze tu jest?

Harriet Mendum wydała z siebie skowyt, a potem uderzyła Beatrice w ramię czarną parasolką.

– Jeżeli ktoś w Sutton jest demonem, Beatrice Scarlet, to jesteś nim ty! Patrz, co zrobiłaś mojemu ukochanemu mężowi! Patrz na niego! Jesteś czarownicą we wdowim odzieniu!

Rozdział 34

Tego wieczoru, tuż przed zachodem słońca, generał Holyoke przyjechał na plebanie i zastukał do drzwi. Mary wpuściła go i zaprowadziła do salonu, gdzie Beatrice spisywała kościelne rachunki, aby mogła je przekazać wielebnemu Milesowi Bennettowi. Otaczał ją prostokąt szkarłatnego światła wpadającego przez okno, i cała scena wyglądała jak portret namalowany w odcieniach czerwieni.

– Generale Holyoke – powitała go, odkładając pióro i wstając.
– Jak się czuje Henry Mendum?

– Niezbyt dobrze – odparł. – Doktor Merrydew obawia się, że może krwawić pod czaszką, co albo spowoduje jego śmierć, albo wprowadzi go w stan śpiączki. Nawet jeżeli odzyska świadomość, to przez resztę życia będzie mu brakowało rozumu.

– To nie powinno tak się skończyć – powiedziała Beatrice. – Powinien zostać sprawiedliwie osądzony za swoje czyny i stosownie ukarany.

– Przyjechałem przekazać, że rozmawiałem z Harriet Mendum – oznajmił generał. – Wyznała mi, że wiedziała o zamiarach męża, by poszerzyć farmę. Chciał, żeby to była największa i najbogatsza farma mleczna w całym New Hampshire, a miał jeszcze większe ambicje, jak ubieganie się o stanowisko gubernatora. Dwa lata temu zwrócił się do większości farmerów, których ziemie przylegały do jego do jego gruntów, i zaproponował kupno dużych połaci, ale prawie w każdym przypadku spotkał się z odmową. Pani Mendum powiedziała, że jeden z rolników wykazał zainteresowanie...

John Tufnell, zdaje się, że tak mówiła... Ale Tufnell żądał dwa razy większej ceny, niż jej mąż chciał zapłacić.

– Więc zamiast tego postanowił nastraszyć sąsiadów, by oddali mu ziemię?

– Właśnie. Według pani Mendum ten pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy spotkał właściciela statku podczas wyjazdu w interesach do Salem, a ten z kolei przedstawił go Jonathanowi Shooksowi. Pan Shooks uzyskał dla armatora trzy okręty od rywalizujących kompanii żeglugowych, wywołując wszelkiego rodzaju okropne wypadki na ich statkach. Przekonał te rywalizujące kompanie, że za te nieszczęścia jest odpowiedzialny szatan, który chciał ich ukarać za sprowadzenie chrześcijańskich misjonarzy z Anglii do Ameryki. Powiedział im, że mogą uratować całą swoją flotę przed katastrofą jedynie poprzez przekazanie niektórych ze swoich statków.

– Jonathan Shooks to diabeł – stwierdziła Beatrice. – Jest bystry i wykształcony we wszelkiego rodzaju chemicznych sztuczkach, a jego znajomość ziół jest niezwykła. Poza tym nie ma duszy ani sumienia.

Generał Holyoke wahał się przez moment, mrużąc oczy, jakby wyczuwał, że nienawiść Beatrice do Shooksa ma głębsze podłoże niż tylko śmierć jej męża.

– Pan Shooks wyłudził także grunty w imieniu trzech innych farmerów, zarówno w Maine, jak i w Massachusetts – powiedział powoli, nie spuszczać z niej oczu. Żadne wieści o tych wyłudzeniach nie przedostały się dalej, ponieważ ofiary przestrzeżono, aby zachowały milczenie, w innym razie spotkają ich różne okropieństwa. Henry Mendum zaproponował Shooksowi sporo pieniędzy za przyjazd do Sutton i wyłudzenie setek hektarów gruntów dla niego. – Generał Holyoke uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu Beatrice. – Natomiast Shooks nie uświadamiał sobie, że w Sutton przyjdzie mu stanąć twarzą w twarz z kobietą, której wiedza o alchemii i ziołach jest prawie tak wielka jak jego, jeśli nie większa.

– Och, chyba uświadamiał sobie to aż nadto dobrze – wtrąciła Beatrice. – Był kształcony na aptekarza w Londynie

i znana mu była reputacja mego ojca, i wiedział, kim ja jestem. Powiedział mi o tym. Nie... Zanim zaczął terroryzować naszą osadę, starannie sprawdził wszystkie wpływowe osoby: skąd pochodzą i jakie są ich słabości. Zdaje się, że wiedział wszystko o umiejętnościach, które przekazał mi ojciec, i od samego początku byłam dla niego wyzwaniem, a nie zagrożeniem. Z każdym beczelnym okropieństwem próbował mnie zaskoczyć i przechytrzyć. Nadal nie wiem, jak zabił nasze świnie ani co podał bydłu Menduma, żeby wyglądało na umierające, ani jak zatrzał ryby Rowlandsona. Jednak nie wątpię, że tego dokonał.

– Zapytam cię o coś – odezwał się generał. – Czy jesteś wystarczająco pewna, że Jonathan Shooks był odpowiedzialny za przynajmniej niektóre z tych okropieństw, aby dać dowód ławie przysięgłych?

Beatrice skinęła głową. Mogła udowodnić, że Jonathan Shooks zakupił tysiąc litrów oleju lnianego, i była pewna, że już samo to wystarczyłoby, aby go skazać, nawet jeżeli miało to oznaczać ekshumację ciała Francisa i pokazanie przysięgłym, w jaki sposób został wysuszony na drewno.

– Wspaniale – odpowiedział generał Holyoke. – W takim razie wydam nakaz jego aresztowania, i może wygnamy szatana z naszej osady na dobre. Beatrice Scarlet, jesteś dzielną i zdolną kobietą, i pochwalam to, czego dokonałaś.

Podczas ich rozmowy w salonie robiło się coraz ciemniej, a teraz było tak ciemno, że Beatrice prawie nie widziała twarzy generała. Zdawało się jej, że stoją w cieniu od wielu minionych bezpowrotnie dni. Jutro wraz ze świtem wszystko będzie nowe, jasne i odmienione, a ona zacznie nowe życie, ale teraz czuła się, jakby Francis stał blisko niej wraz z generałem Holyoke, a to uczucie było tak słodkie i tak bolesne, że jej oczy wypełniły się łzami.

Generał musiał w mroku dostrzec błyszczące łzy, ponieważ sięgnął po jej dłoń i ścisnął ją.

– Beatrice, moja droga, moja biedna, moja droga.



Nazajutrz dzień wstał jasny, chociaż z północnego zachodu wiała zimna bryza. Wysokie sosny kołysały się jak tancerze, a w powietrzu czuć było jesień.

Beatrice obudziła się wcześniej i zaczęła poranek od zagniecenia ciasta. Kiedy przyszła Mary, Beatrice zaciągnęła ją do szlachtowania świni na zimę. Widziała już znaki, że będzie ona wyjątkowo mroźna: łupiny kukurydzy były twardsze niż normalnie, a szopy pracze miały gęstsze futro i jaśniejsze pasy niż w zeszłym roku. Także krowy miały gęstą sierść na karkach.

Zagniotła ciasto na cztery duże bochenki, a potem przykryła je ściereczkami i zostawiła, aby wyrosło. Zmywała mąkę z dłoni, kiedy usłyszała płacz Noego na piętrze. Wyszła na korytarz i zobaczyła stojącego przed nią Jonathana Shooksa. Podskoczyła ze strachu.

Nie był to ten beczelny, układny Jonathan Shooks, który pierwszy raz odwiedził plebanię. Ten Shooks stracił siwą perukę, but, a jedna poła surduta zwisała mu w strzępach. Twarz miał pomazaną błotem i był nieogolony. Stał i spoglądał na nią wściekłym wzrokiem.

– Ty ladacznico! – wycedził. – Ty kurwo!

– Wynocha z mojego domu! – krzyknęła Beatrice. – Jest wydany na ciebie nakaz aresztowania, a miej czelność choćby chuchnąć na mnie, z radością zawiode cię na stryczek!

– Zdradziłaś mnie, wdowo Scarlet. Ty, wdowo po pastarze! Przyjechali po mnie do gospody w Penacook. Na szczęście udało nam się z Samuelem ująć z życiem! Ale straciłem kaleszę i konie, i cały dobytek! Wszystko!

– Zabiłeś mojego męża, panie Shooks. Porwałeś moje dziecko i wzięłeś mnie siłą. Co, do diaska, skłoniło cię do myśli, że cię nie wydam?

– Naiwnie wyobrażałem sobie, że nie doniesiesz na mnie, bo się mnie boisz, mnie i tego, co mogę ci zrobić.

– Nie boję się ciebie – odparła, chociaż głos jej się trząsał. – Teraz już nic mi nie zabierzesz, czego wcześniej nie zabrałeś. Obrzydzenie ogrania mnie na twój widok. Aptekarze mają wykorzystywać swoją wiedzę, by leczyć ludzi, a nie straszyć ich, kraść własność i mordować. Nie jesteś nawet wart miana demona. Jesteś robakiem.

Jonathan Shooks pociągnął głośno nosem, a potem wytarł go grzbietem dłoni.

– Myślisz, że więcej nie mogę ci zabrać, dziwko? Myślisz, że nie masz mi co dać? Powiem ci, co mi dasz. Możesz dać mi zemstę.

To powiedziawszy, podszedł do niej i schwycił jej rękę. Szarpnął ją tak, że straciła równowagę i upadła na podłogę. Lewym ramieniem uderzyła o nogę od stołu, a czołem o oparcie krzesła. Obróciła się, chwytając za krzesło, aby się podnieść, ale Shooks przewrócił je kopnięciem, a potem kopnął ją mocno w biodro. Kiedy znowu próbowała usiąść, zaatakował ponownie tym razem w udo.

– Naprawdę myślałaś, że przechytrzysz Jonathana Shooksa? Naprawdę wierzyłaś, że jakaś zastraszona żona plebana okaże się mądrzejsza ode mnie? Twoim ojcem był Clement Bannister i to on nauczył mnie swoich sztuczek i jak warzyć te swoje napary. Ale on nigdy nie podróżował tak jak ja. Nigdy nie zobaczył choćby połowy z tego, co ja zobaczyłem.

– Pozwól mi wstać – powiedziała Beatrice. – Mój syn płacze. Nie słyszysz? Muszę go uspokoić.

– Nigdzie nie pójdziesz, wdowo, już nigdy. Tu, gdzie teraz leżysz, dokonasz żywota, jak na to słusznie zasługujesz.

Teraz Noe krzyczał, a między każdym krzykiem z trudem łapał oddech.

– Proszę – błagała Beatrice. – Rozchoruje się, jak będzie dalej płakał.

– Czy życie nie jest tragiczne? Myślałem, że tyle już się nauczyłaś... Ty, córka aptekarza. Życie to nic innego jak choroba, zmartwienia, ból i okrucieństwo, a potem śmierć. Chcesz wiedzieć, jak sprawiłem, że bliźnięta Buckleyów się

rozchorowały? Dałem każdemu po łyżce woni knura, żeby zapchać im płuca. Lecz można to wyleczyć siarką rozpuszczoną w wodzie i dlatego podałem im napój z chińskich patyków ognistych. A biedne pstrągi Rowlandsona! Potrzebowałem tylko trochę chlorogalum, mydlanej lilii, którą dodałem do wody, a ryby już były odurzone. Indianie jej używają. Są zbyt leniwi, żeby polować na ryby z dzidami.

– Zabiłeś naszego biednego Królewicza igłami cisu – dodała Beatrice. – Dlaczego to także musiałeś zrobić?

Jonathan Shooks pokręcił głową.

– Nic nie zrobiłem waszemu koniowi! Po miałbym zabijać waszego konia? Czy zatruwając wam świnie, nie zrobiłem dosyć, żeby pokazać twojemu mężowi, jak jest nieskuteczny, a wystarczyły jedynie nasiona amsinkii. Nie domyśliłaś się tego po symptomach?

– To zapewne wdowa Belknap podała mu te igły – stwierdziła Beatrice. W tym momencie nie obchodziło jej tak naprawdę, kto zatruł konia, ale Noe płakał coraz mocniej, a ona próbowała zająć Shooksa rozmową, aby dać sobie czas na zastanowienie, jak się od niego uwolnić.

– Wdowa Belknap! Cóż, możliwe! W zasadzie nie tylko możliwe, ale nawet bardzo prawdopodobne. To bardzo mściwa kobieta, ta wdowa. Dziwię się, że rodzice nie dali jej na chrzcie „Uraza”. Szkoda tylko, że była świadkiem tego, co zrobiliśmy z Buckleyem.

– Widziała was?

– Niestety, tak. Nie spodziewaliśmy się nikogo chodzącego po osadzie o tej barbarzyńskiej godzinie, ale ona tam była i widziała nas. Jaki mieliśmy wybór? Nakarmiliśmy ją siłą piołunem, żeby straciła zmysły, a potem wywieźliśmy ją i zostawiliśmy w lesie. Obojętnie czy przeżyje, czy umrze, wszyscy w Sutton będą ją obwiniać o wszelkie nieszczęścia, które zniweczyły ich żalosne, gnuśne żywoty... Zwłaszcza że większość ludzi już ją winiła.

– Proszę, puść mnie. Obiecuję, że nikomu nie powiem, że tu byłeś.

– Jak mogę uwierzyć w cokolwiek, co mówisz, wdowo Scarlet? Zdradziłaś mnie raz, zdradzisz mnie ponownie. Przez ciebie muszę teraz uciekać z Sutton jak uchodźca, bez kaleszy, bez koni, bez dobytku, a co ważniejsze, bez pieniędzy, które miał mi wypłacić Mendum za zdobycie dla niego ziemi. Samuel pewnie będzie musiał wrócić na statki i znowu wciągać żagle.

– Lepiej wciągać żagle niż niewolników – zarzuciła mu Beatrice.

– Taka ostra jesteś, co? Bezsprzecznie! Ale teraz pokażę ci, jaki ja potrafię być ostry! – Sięgnął przez stół po nóż do porcjowania mięsa. Ostrze miało ponad czterdzieści centymetrów; wyjęła ten nóż, aby go naostrzyć do zaszlachtowania jednej ze świń.

– Co chcesz mi zrobić? – spytała Beatrice. – Cokolwiek to jest, proszę, niech nie boli. I nie skrzywdź Noego, błagam.

Jonathan Shooks przesunął ostrzem po kciuku i cienka stróżka krwi spłynęła mu po nadgarstku.

– Zamierzam zrobić ci coś demonicznego, szkarłatna wdowo, bo myślisz, że nie zasługuję na miano demona. Mógłbym podciąć ci gardło, ale to by było zbyt łaskawe. Mógłbym dźgnąć cię w serce, ale to by było zbyt szybkie. Za to, co mi wyrządziłaś, będę cierpieć latami, więc uważam, że też powinnaś cierpieć, i to jak najdłużej.

Beatrice zamknęła oczy. Próbowwała wyobrazić sobie, że wcale jej tu nie ma, że nie leży na podłodze w kuchni, wysłuchując Shooksa, jak przemawia tym niskim, monotonnym głosem. Chociaż groził jej, mówił, jakby chciał ją uwieść, a przez to jego słowa były jeszcze bardziej przerażające.

– Przetnę ci ścięgna Achillesa, żebyś nie mogła chodzić. Potem przyprowadzę twojego syna, powieszę go przed tobą i rozetnę mu brzuch, żeby jego bebechy spływały ci na łono. Wtedy tobie też otworzę brzuch i wepchnę go w ciebie, żeby znowu matka i dziecko stały się jednym, połączeni jak na początku jego życia, i w jego końcu też zjednoczeni.

Beatrice chwyciła się krawędzi stołu i znowu próbowała się podciągnąć, ale tym razem Shooks kopnął ją w żebra... Tak

mocno, że uszło z niej powietrze i nie mogła mówić. Pchnął ją na plecy, a potem przewrócił na twarz. Schwycił jej prawą stopę i uniósł nogę, przystawiając nóż, by przeciąć ścięgno nad kostką.

– Proszę, Boże, nie! – krzyknęła, wierzgając i walcząc, aby przekreślić się z powrotem na plecy. – Dobry Boże, nie rób tego! Dam ci wszystko! Możesz dostać całą moją ziemię! Wszystkie pieniądze! Cokolwiek!

– Na co mi teraz twoja ziemia i twoje pieniądze? Skazałaś mnie na banicję, szkarłatna wdowo! Teraz musisz mi zapłacić swoim żalonym życiem... I życiem twego żalonego, skomlącego syna!

Beatrice poczyniła ostatni wysiłek, aby się uwolnić, ale Jonathan Shooks trzymał jej stopę z taką zaciekłością, że zatrzęszczały jej kości palców. Uniósł jej nogę jeszcze wyżej, ale wtedy usłyszała, jak otwierają się z trzaskiem frontowe drzwi, a potem ktoś tupie w korytarzu i wpada na Shooksa tak mocno, że ten przewraca się, uderzając plecami o żelazny piec.

Beatrice odwróciła się i zobaczyła, że stoi nad nią postać w brązowym płaszczu. W kuchni wydawała się jeszcze wyższa, niż wtedy, gdy pojawiała się na końcu podjazdu, pod drzewami. Teraz spadł jej kaptur, ukazując mężczyznę o bujnych kasztanowych włosach, piwnych oczach i krzaczastej brodzie.

– Co? Kim jesteś? – zdołała wydobyć z siebie Beatrice, zanim Jonathan Shooks dźwignął się z podłogi. Jemu najwyraźniej było obojętne, kim jest ten człowiek, obchodziło go tylko, że tak gwałtownie go pchnął, więc bez słowa przeszedł przez kuchnię z twarzą wykrzywioną gniewem. Podniósł nóż i dźgał nim powietrze raz za razem, jakby wyzywał przybysza, aby się zbliżył.

Mężczyzna w płaszczu uchylił się w lewo, a Shooks zahaczył o jego rękaw czubkiem noża. Przybysz próbował złapać go za nadgarstek, ale Shooks był zbyt szybki i dźgnął go w grzbiet prawej dłoni. Krew trysnęła na podłogę. Jednak nie zniechęciło to mężczyzny w płaszczu, który cały czas próbował odebrać mu nóż.

Jonathan Shooks wymachiwał ostrzem z boku na bok, tnąc palce przybysza, a kiedy w końcu nieznajomy cofnął się o krok, unosząc obie zakrwawione ręce, Shooks rzucił się do przodu z rykiem i dźgnął go w bok. Ostrze musiało utknąć między żebrami, ponieważ z początku nie mógł go wyjąć.

Gdy siłował się z nożem, mężczyzna w brązowym płaszczu wykorzystał chwilę i schwycił go oburącz za nadgarstek i razem, dysząc i stękając, wyciągnęli nóż, ale w tym momencie ten w brązowym płaszczu wykręcił dłoń Shooksa do tyłu, uniósł ku górze i dźgnął go jego ręką dwa razy w szyję. Natychmiast krew zalała ich obydwu, a gdy siłowali się i tańczyli po całej kuchni, wyglądali jak naturalnej wielkości marionetki o twarzach pomalowanych na szkarłat.

Jonathan Shooks kołysał się na boki, próbując wyrwać się z uchwytu mężczyzny w brązowym płaszczu, ale ten był wyższy, większy i młodszy. Zmusił Shooksa, aby sam się dźgał w twarz raz zarazem. Ostrze noża otworzyło mu policzek, a potem rozcięło górną wargę, odsłaniając zęby, a potem wbiło się prosto w jego nozdrze.

Obaj mężczyźni stękali, ale żaden nie wypowiedział ani słowa. Beatrice niepewnie stanęła na nogi. Słyszała nadal, jak Noe płacze, ale napastnicy rzucali się z boku na bok na środku kuchni, przed samymi drzwiami, więc nie mogła ich ominąć. Wpadli razem na kredens, aż kilka talerzy spadło na podłogę. Potem runęli na stos miedzianych garnków obok pieca, z łoskotem niczym piekielne dzwony. Cały czas krople krwi tryskały we wszystkie strony, a podłogę w kuchni, niczym wzór kwiatowy, pokrywały krwawe odciski stóp.

W końcu mężczyzna w brązowym płaszczu pchnął Shooksa w otwarte drzwi. Stopniowo unosił jego ramię, aż czubek noża znalazł się zaledwie o centymetr od prawej gałki ocznej.

Nastąpił moment, gdy obaj naporli na siebie z maksymalną siłą, drżąc z wysiłku. Jonathan Shooks miał całą twarz zalaną krwią, i gdy tylko głębiej odetchnął, tryskał krwią na brodę przybysza.

Beatrice chciała krzyknąć: „Nie!”, ale mogła jedynie patrzeć

na nich w przerażeniu. Nie wiedziała nawet, kim jest ten w brązowym płaszczu. Mógł być szaleńcem. Gdyby miał zabić Shooksa, równie dobrze mógł rzucić się na nią.

Moment impasu zdawał się trwać wiecznie. Lecz Shooks stracił już tyle krwi, że kolana zaczęły się pod nim uginać, a głowa leciała do przodu. Z jęknięciem przybysz wepchnął czubek noża w jego oko. Gałka wyskoczyła, ale on nie przestawał napierać. Ostrze weszło przynajmniej na dziesięć centymetrów i musiało przebić mózg.

Teraz przybysz zwolnił chwyt. Cofnął się o dwa kroki, a pierś unosiła się mu i opadała ze zmęczenia. Jonathan Shooks podniósł z trudem lewą rękę, drapiąc powietrze, lecz był zbyt słaby, aby sięgnąć do rękojeści noża, który sterczał mu z oka. Osunął się na bok, na podłogę, zostawiając wachlarz krwi na sosnowych deskach. Drgnął raz, potem drugi i znieruchomiał, a lewe oko zaszło mu mgłą.

Mężczyzna w brązowym płaszczu odwrócił się do Beatrice, ukazując pomazane krwią dłonie.

– Muszę to zmyć – powiedział chrapliwie.

– Kim jesteś? – spytała. – Nie zrobisz mi krzywdy?

– Krzywdy? – powtórzył. – Chyba właśnie uratowałem ci życie.

Pokuśtykał do zlewu, trzymając się za bok. Patrzył na pompę, ale najwyraźniej nie miał siły, aby nabrać sobie wody.

Beatrice zbliżyła się do niego niezdarnie.

– Widziałam cię parę razy pośród drzew – powiedziała.

– Pośród drzew, tak. Tam mieszkam... Przeważnie.

– Ale kim jesteś? Co tam robisz? Czy to ty zostawiłeś mi perfumy i polne kwiaty, i wiadomość?

Mężczyzna skinął głową.

– Jesteś ranny – stwierdziła Beatrice. – Lepiej to obejrzę. Zdejmij płaszcz.

– Nie martw się. Przeżyję.

– Nie. Nalegam. Zdejmij płaszcz.

Z bolesnym sykiem mężczyzna zdjął płaszcz przez głowę. Beatrice pomogła mu, a potem rzuciła szatę na podłogę.

Mężczyzna był szczupły i blady, a śmierdział tak, jakby nie mył się od bardzo dawna. Pod spodem odziany był jedynie w białe, bawełniane bryczesy i sandały.

Z rany po nożu między żebrami płynęła krew. Beatrice wytarła ją, a potem podała mu szmatkę.

– Uciskaj tu – poleciła mu. – Pójdę na górę po prześcieradło, żeby to obwiązać. Przy okazji zajrzę do synka. Myśli pewnie, że go zostawiłam na zawsze.

Wyciągnęła dla niego krzesło.

– Proszę. Siadaj. Im mniejszy wysiłek, tym lepiej.

Przeszła obok ciała Jonathana Shooksa i pospieszyła na górę. Noe płakał tak bardzo, że twarz miał całą czerwoną i umazaną łzami. Beatrice podniosła go i podeszła do bieliźniarki w nogach swojego łóżka, żeby wyjąć jakieś stare prześcieradło. Zniosła synka do kuchni. Mężczyzna nadal siedział przy stole, ale oczy miał szkliste i opierał się na łokciu, jakby zaraz miał upaść.

Beatrice posadziła Noego w krzeselku i dała mu ciastko, aby zajął się czymś przez kilka minut. Chłopczyk odwrócił głowę i spojrzał zaskoczony na zakrwawione ciało Shooksa leżące na boku na podłodze, a potem na wychudzonego, brudnego, półnagięgo zarośniętego mężczyznę o długich, kasztanowych włosach. Beatrice rozerwała prześcieradło na paski i zabandażowała pierś mężczyzny jak najmocniej. W tym czasie on przyglądał się jej, ale nic nie mówił.

W końcu, kiedy spięła bandaż, odstepiła na krok.

– Już. Jak krwawienie ustanie – powiedziała – nałożę na ranę gorzknik, aby zapobiec infekcji.

– Dziękuję – powiedział. – Wiedziałem, że będziesz potrafiła mnie wyleczyć.

– Znasz mnie?

Skinął głową, a potem zacisnął mocno powieki, ponieważ poczuł ukłucie bólu w boku.

– Jak to możliwe, że mnie znasz? Kim jesteś? Czy ja ciebie znam?

– Beatrice, to było dawno temu. Chyba nigdy nie uważałaś,

że jestem cokolwiek wart.

– Powinnam cię pamiętać? Skąd?

– Byłem wtedy bardzo głupi i lekkomyślny, ale na swój sposób zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, i od tamtej pory zawsze cię kochałem.

– Wiesz, jak mam na imię – powiedział. Usiadła na krześle obok niego i przyjrzała się bacznie jego twarzy. Spojrzał ku górze i na bok, i wtedy go rozpoznała.

– Jeremy! Dobry Boże. Ty jesteś Jeremy!

Próbował się zaśmiać, ale zdołał jedynie kaszlnąć i pokiwać głową.

– Ale nie rozumiem! Co robisz w New Hampshire? Myślałam, że jesteś w Manchesterze i pracujesz ze swoimi braćmi! Dlaczego tak się ubierasz? Dlaczego nie przyszedłeś tutaj wcześniej? Mieszkałeś w lesie? Jesteś taki chudy!

Jeremy żałośnie się do niej uśmiechnął.

– Sama wiesz, jaki byłem. Ciągłe piłem, ciągle kradłem, nigdy nie dbałem o nic i o nikogo. Jedyłą osobą, na której mi zależało, byłaś ty, a jakiego narobiłem bałaganu... Francis był o wiele lepszym kandydatem na męża.

– Ale co się stało, Jeremy? Jak tu się dostałeś, na miłość boską?

– Pokłóciłem się z braćmi, bo zawsze byłem pijany i nigdy nie pracowałem. W końcu postanowiłem iść za twoim przykładem i przyjechać do kolonii, żeby zacząć od nowa. Wykorzystałem mój spadek i założyłem z kolegą, którego znałem z Birmingham, towarzystwo żeglugowe w Ipswich. Nie szło nam najgorzej, dopóki mój partner nie uciekł ze wszystkimi pieniędzmi i nie zostawił mnie bez niczego.

– Dlaczego nie przyszedłeś i nie poprosiłeś o pomoc? Przecież byśmy ci pomogli!

– Kocham cię, Beo! Ale spójrz na mnie! Spójrz, w jakim jestem stanie! Wszystko, co mam na tym świecie, to ten płaszcz! Jakże mógłbym do ciebie podejść, jak jakiś łachmaniarz? Niemal przyszedłem do twoich drzwi, ale za

każdym razem traciłem odwagę, bo przecież Francis nie byłby tym uszczęśliwiony, prawda?

– Stać cię było na perfumy dla mnie?

– Ukradłem je, jak myślisz? Taki już jestem.

– Ale przyszedłeś tu dzisiaj i uratowałeś mi życie. I mojemu synkowi też.

Jeremy spojrział na Noego bawiącego się okruchami ciastka.

– Tak ma na imię? Noe? To dobre imię. Noe, który ratował, co mógł, kiedy cały jego świat tonął.

Beatrice wstała.

– Wezwę parobków; niech zabiorą to... To... – Ruchem głowy wskazała Shooksa, ale nie potrafiła wypowiedzieć jego nazwiska. – Poślę też do osady po sędziego pokoju i dam mu znać, co się stało. Zaświadczę, że stanąłeś w mojej obronie, Jeremy, nie martw się. W każdym razie, on był poszukiwany za morderstwa i wyłudzenia, więc raczej podziękują ci, a nie potępia.

– Dziękuję, Beo.

– A przede wszystkim to rana powinna się zagoić. Musimy cię też dobrze nakarmić, a potem musisz porządnie wypocząć; no i trzeba cię też należycie odziać. Na pewno Francis nie pożałowałby ci niektórych swoich koszul i bryczesów, nawet gdyby żył.

– Beo, nic mi nie jesteś winna. Sam jestem winien temu, co się ze mną stało. Byłem pijakiem i głupcem. Gdybym nie był tak ślepy, zauważyłbym, że współnik mnie oszukuje. Dobrze, że byłem blisko, jak zobaczyłem, że ten człowiek tu przyjechał. Obserwowałem cię od śmierci Francisca. Wiem... Wygląda to, jakbym miał obsesję na twoim punkcie. Może mam. Ale nie będę dla ciebie ciężarem ani nie przyniosę ci wstydu. Za bardzo cię kocham.

– Jeremy – odezwała się Beatrice. – Jesteś moim krewnym, zostaniesz tutaj, aż wyzdrowiejesz, a dopiero potem zdecydujemy, co poczniiesz dalej.

Wyjęła Noego z krzeselka.

– Noe... Popatrz, to wujek Jeremy. No, powiedz: wujek

Jeremy.

Rozdział 35

Trzy dni później, kiedy Beatrice pielila ogród, zza domu wyszedł generał Holyoke.

– Beatrice! – zawołał. – Dzień dobry!

Jeremy siedział na krześle kuchennym z boku warzywnika, w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, który kiedyś należał do Francisa, w jednej z jego koszul i parze jasnoniebieskich bryczesów. Zgolił już brodę, a Beatrice ścięła mu włosy, i chociaż nadal wyglądał blado, to przynajmniej przypominał człowieka, a nie wyglądał już jak dziki stwór z lasu w brązowym płaszczu, który uratował Beatrice przed śmiercią z rąk Jonathana Shooksa.

Przykładała mu na ranę wywar z gorzknika i czosnku i opatrywała ją dwa razy dziennie. Dobrze się leczyła, chociaż on nadal narzekał na ból w piersi.

– Generale – powitała go Beatrice. – Nie poznał pan jeszcze mojego krewnego Jeremy’ego. To bohater, który uratował nas przed Jonathanem Shooksem, kiedy ten zjawił się, aby nas zamordować.

Generał Holyoke podał rękę Jeremy’emu.

– Bardzo przysłużył się pan naszej społeczności. Dziękuję. Beatrice, a jak ty się czujesz? Jesteś zdrowa?

Odłożyła motykę.

– Całkiem nieźle, dziękuję. Napije się generał herbaty lub cydru?

– Dziękuję bardzo, ale nie. Tak naprawdę nie jest to wizyta towarzyska. Przyjechałem pokazać ci dwie rzeczy. Gdybyś była tak dobra i poszła ze mną do powozu.

Beatrice wytarła ręce w fartuch i poszła za generałem przed dom. Czekala tam jego lśniaca bordowa dwukółka, a woźnica stał obok i rozmawiał z Mary. W powozie, zawinięta w chustę, siedziała wdowa Belknap. Kiedy zobaczyła Beatrice, uśmiechnęła się i lekko ruszyła ręką.

– Wdowo Belknap! – powiedziała Beatrice. – Tak bardzo się cieszę, że panią znaleźli! Jak się pani czuje?

– Moja głowa nadal jest pełna szaleństwa – odpowiedziała chrapliwie wdowa Belknap. – Nadal wydaje mi się, że widzę ludzi, których tak naprawdę tu nie ma, i słyszę głosy w głowie. Wciąż czasami wierzę, że mogę latać albo chodzić po wodzie. Ale doktor Merrydew mówi, że to z czasem minie.

– Gdzie ją znaleźliście? – spytała Beatrice generała.

– Niedaleko jeziora, gdzie pani ją widziała. Była zupełnie naga i żuła korę. Wątpię, czy dłużej by tak przeżyła. Dzięki Bogu, że posłałaś nas, aby jej szukać.

– Pani Scarlet, nie wiem, jak mam pani dziękować – powiedziała wdowa Belknap.

– Sama teraz owdowiałam, tak jak pani – wyznała Beatrice. – Powinna mówić pani do mnie: wdowo Scarlet.

Wdowa Belknap skinęła głową.

– Tak... Tak, słyszałam, że wielebny Scarlet odszedł. Bardzo pani współczuję. To jakieś szaleństwo. W pewnym sensie to nawet gorsze od szaleństwa, na które sama cierpię. Przynajmniej wiem, że zdrowe zmysły mi wrócą, ale mój drogi, zmarły mąż nie.

Zamilkła, a potem dodała:

– Muszę się przyznać do zatrucia waszego konia, pani Scarlet. Podałam mu igły cisu, gdy pani i wielebny ze mną rozmawialiście. Byłam zła, że oskarżacie mnie o rzucanie złych czarów na sąsiadów. Chciałam tylko, żeby zwierzę się rozchorowało i żebyście musieli wracać do domu pieszo. Ani przez chwilę nie myślałam, że padnie. Proszę o wybaczenie, z całego serca.

– Już zapomniane – odparła Beatrice. – Jak wiele innych rzeczy, które należy zapomnieć, a także wybaczyć.

Odwróciła się do generała Holyoke.

– Nie mówił pan, że ma dla mnie dwie rzeczy do pokazania?

– Aha! – Generał obszedł powóz, zatrzymał się przy kufrze z tyłu i otworzył go. – To urządzenie znaleźliśmy w kalessy Shooksa. Według mnie już samo to wystarczy jako dowód pośmiertny, prawda?

Wyciągnął dwie długie dębowe tyczki, połączone razem krótką poprzeczką, jak para nóg. Na końcu każdej z tyczek przymocowano racicę, która wyglądała, jakby pochodziła od kozła. Oba kopyta były pomazane jakąś ciemną, lepką substancją. Beatrice nie musiała jej wahać, żeby wiedzieć, co to takiego.

– Odciski kopyt diabła – powiedział generał. – Bardzo proste urządzenie w istocie, ale skutecznie wzbudziło w nas strach.

Beatrice usłyszała wołanie Noego. Odwróciła się i zobaczyła, jak Jeremy idzie z za domu, trzymając jej syna za rękę.

Przybyliśmy tu, by rozpocząć nowe życie, pomyślała. Chcieliśmy porzucić wszelkie przesady ze Starego Świata. Lecz przywieźliśmy nasz strach przed diabłem i demonami.

Obiecała sobie wtedy, że wychowa Noego tak, aby nie bał się nikogo i niczego.



Minęło sześć tygodni. Jeremy nabierał sił z każdym dniem; wkrótce mógł pomagać w ogrodzie, przy karmieniu świń i malowaniu plebanii przed zimą. Natomiast Beatrice czuła się coraz bardziej zmęczona, a jej piersi i kostki nabrzmiwały. Ostatnią miesiączkę dostała tydzień przed zabójstwem Francisa.

Nie miała sposobu, aby to udowodnić, ale była pewna, że jest w ciąży. Spoglądała na siebie w lustrze w salonie, a przez szklę w szkło nie była pewna, czy twarz ma bez wyrazu, czy może uśmiecha się do siebie.

Jeżeli była w ciąży, nie miała pewności, czyje dziecko w sobie nosi. Nie mogła zająć w ciążę z Francisem od urodzenia Noego, a Jonathan Shooks wziął ją w taki sposób, że poczęcie wydawało się niemożliwe.

Wyjrzała przez okno w salonie i zauważyła, że liście dębów przy podjeździe już zaczęły żółknąć. Nawet z Noem i Jeremim, i wszystkimi przyjaciółmi w parafii, nigdy w życiu nie czuła się taka samotna.

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)